



**KRÓLOWA
SABY**

XIII XII XI **X** IX VIII VII VI V IV III II I I I I III IV V

**SABY
KROLOWA**

TOSCA LEE

Królowa Saby autorstwa Toski Lee to kawałek kunsztownej prozy, bogatej scenerii i skrupulatnie opracowanych detali historycznych. Królowa Saby przez całe tysiąclecia była postacią mało znaną, ale Tosca Lee przywraca ją do życia – okazuje się ona silną, zdolną i oszałamiająco atrakcyjną kobietą.

Allison Pataki, autorka bestsellerów „New York Timesa”

Nie sądziłam, że istnieje powieść, która zyska moje większe uznanie niż *Judasz*, ale w *Królowej Saby* Tosca Lee przechodzi samą siebie. Równie pociągająca jak arabskie królestwo i fascynująca jak jego władczyni, *Królowa Saby* urzeka pięknem, głębią, inteligencją i pomysłowym pisarstwem.

Erin Healy, autorka bestsellerowych *Motherless* oraz *Stranger Things*

Królowa Saby to fascynująca, pełna mądrości powieść oparta na pieczołowicie dobranych materiałach, która przypadnie do gustu zarówno czytelnikom wierzącym, jak i niewierzącym. Wyraziste piękno pisarstwa Lee jest wprost niezrównane. Czułam się, jakby przemawiała do mnie sama królowa, jakby jej trudności i zwycięstwa dotyczyły mnie.

Rebecca Kanner, autorka *Sinners and the Sea*

Królowa Saby to nie bajkowy romans opowiadający o kobiecie, która usycha z tęsknoty za wymarzonym królem. Tosca Lee po raz kolejny udowadnia, że nie boi się niczego. Dzięki jej wręcz nierozważnej odwadze zyskujemy niepoprawną, nową wersję historii władczyni silnej rozumem i sercem. Ta lektura będzie zaprzątać ci myśli jeszcze długo po przeczytaniu ostatniej strony.

Pam Hogeweide, autorka *Unladylike: Resisting the Injustice of Inequality in the Church*

Szalona podróż na wielbłądzie przez pustynię, pełna zwrotów, zakrętów i

niespodzianek [...]. Wystawna królewska uczta złożona z elokwencji, wyobraźni i wyrazistej myśli przewodniej. Doskonale opowiedziana, piękna historia. Tosca Lee ma serce poetki, umysł naukowca i wyobraźnię pisarki.

Josh Olds, lifeisstory.com

Lee jest skrupulatną badaczką, która konsekwentnie stara się uczynić swoje opowieści nie tylko wiarygodnymi, lecz także do bólu realistycznymi. *Królowa Saby* to historia, która porusza niebo i ziemię – akcja, intryga, romans, a nawet mistyka sprawiają, że powieść czyta się jednym tchem. Kalejdoskop poszczególnych relacji biblijnych ukaże czytelnikom historię królowej Saby i Salomona w całkiem nowym świetle.

dr Joe Cathey, bibliista Dallas Baptist University

Gdyby Cecil B. DeMille był wśród nas, z pewnością stworzyłby adaptację filmową *Królowej Saby*. To imponujące arcydzieło. Ponadczasowa opowieść, która wznosi czytelników na wyżyny miłości i walki, o jakich mało kto słyszał. Podobnie jak w przypadku ulubionego filmu, będziesz chciał przeżywać bogactwo i głębię *Królowej Saby* wciąż na nowo.

Michael Napoliello Jr., Radar Pictures

Wszystkim tym, którzy wyruszyli w drogę.

Prolog

Oto opowieść, którą słyszeliśmy: królowa pustynnej krainy odbywa podróż na północ z *bardzo wielką okazałością*[1], by oddać hołd królowi i jego Bogu Jahwe. To historia królowej, której serce podbił król, nim powróciła do swej krainy z naręczem darów.

W taką opowieść mamy wierzyć.

Prawda sięga o wiele głębiej, niż są w stanie wyobrazić sobie bajarze. Bogactwa okazują się o wiele bardziej bezcenne, tajemnice – wszechogarniające, a zarówno miłość, jak i zdrada – bardziej namiętne i niszczyielskie.

Miłość... To słowo jest jak roślina, która usycha pod słońcem bezkresnej pustyni; stanowi esencję dawno pogrzebaną w jej piaskach. Taka też okaże się moja opowieść dla ludzi, którzy przemierzyli owe nieurodzajne drogi. Jakby moja stopa nigdy tam nie stała. Nie pamiętają mnie góry ani nie mówią o mnie wody Dhany, ożywiające płodne okoliczne tereny. Z dala od pustyni nieuchronnie zbiera się muł. To łaska.

Filary wielkiej świątyni wzniesionej na przeciwległym brzegu Wąskiej Wody będą nosiły kiedyś moje imię: Bilkis, Córa Księżycy. Na zachodzie pałacowe kolumny nazwano na moją cześć: Makeda, Kobieta Ognia. Służyłam jako kapłanka i zjednoczycielka, nosiłam imię swojego królestwa – Saby. Dla Izraelitów byłam władczynią krainy wonności, którą nazywali Szabą.

Byłam dla nich też nierządnicą.

Nie ulega wątpliwości, że historycy opowiedzą wam inną historię, a kapłani – inną. To właśnie ludzkie osądy wydają się trwać w świecie ogarniętym żądzą podboju. Nasze działania poza sypialnią i w ogóle domem zostaną zachowane w pamięci, jeśli opuścimy domowe pielesze. W ten oto sposób zostaniemy okryci hańbą, ponieważ wyszliśmy z ukrycia. Prawda o naszym życiu okaże się ulotna niczym woń kadzidła.

To jeszcze trudniejsze dla królowej, która nie może pozwolić sobie na uległość. Historia nie wie, jak pogodzić się z naszą ambicją czy potęgą, kiedy jesteśmy na tyle silne, by przetrwać. Kapłani nie znajdują zrozumienia dla tych z nas, którymi rządziło boskie szaleństwo ciekawości. W taki oto sposób zostałyśmy okopcone dymem z ognia świętego oburzenia tych, którzy pozazdrościli nam wyimaginowanej rozpusty. Stałyśmy się kusicielkami, ladacznicami i heretyczkami.

Byłam już każdą i żadną z nich – w zależności od tego, kto opowiadał historię.

Za morzem, w Sabie, górskie deszcze już ustąpiły, a wody potężnej Dhany zraszają pola o świcie. Za kilka miesięcy handlarze z północy przypłyną w poszukiwaniu wonności i złota. Przyniosą wieści o królu, który ich posyła.

Nie wymawiałam jego imienia od lat.

Owszem, ta historia wydarzyła się naprawdę. Ale w moich ustach prawdziwa opowieść rozpoczyna się tak:

Nigdy nie miałam zostać królową.

[1] 1 Krl 10,2; przyp. tłum.

Moja matka, Ismeni, urodziła się pod Psią Gwiazdą[2] o osłepiającym blasku. Podobno zaczarowała mojego ojca – pojął ją za żonę całkowicie otumaniony. Król nie wybrałby przecież kobiety ze swojego plemienia, skoro mógł poprzez małżeństwo zawrzeć sojusz z innymi ludami.

Widziałam, jak śledzono ją wzrokiem za każdym razem, gdy pojawiała się w pałacowych portykach, zawieszano rozmowy, póki nie zniknęła z pola widzenia. Rzadko zajmowała miejsce u boku ojca w sali sądowej. Kiedy do tej komnaty napływali ludzie, wzbierali gwałtownie jak wody, gdy księżyc przesłania cień. Moja matka, ze swoją śniadą skórą, brwiami przypominającymi skrzydła synogarlicy i wargami stworzonymi do wyszeptywania modlitw, stanowiła najkunsztowniejsze ze wszystkich dóbr Saby. Dzwonienie kropel deszczu na tarasach znajdujących się na wzgórzach nie dorównywało muzyce paciorków u rąbków jej szat, a woń najlepszego kadzidła z Hadramautu nie umywała się do zapachu jej perfum.

Kiedy odpoczywałyśmy na sofie w upalne popołudnia, splatałyśmy palce, a ja podziwiałam turkusy w jej pierścieniach. Pragnęłam mieć równie smukłe dłonie i stopy jak ona. Tylko tego chciałam; nigdy nie przyszło mi do głowy, że jakkolwiek inny element jej piękna mógłby zostać przyznany jeszcze jednemu śmiertelnikowi.

Często otrzymywałyśmy dary od ojca: rzadkie cytrusy sprowadzane z północy, kryjące pod górką skórką słodycz, śpiewające ptaki i grzebienie z kości słoniowej zza Wąskiej Wody, bele najlepszych egipskich tkanin, z których matka szyla mi szaty pasujące do jej sukien.

Ale najwspanialszymi skarbami były dla mnie piosenki, które śpiewała mi jako kołysanki, prosto do ucha. I modlitwy, których uczyła mnie, gdy klękałyśmy przed figurkami bożków. Słodki zapach kadzidła utrzymujący się na jej włosach. Nigdy nie przeganiała mnie, gdy przywdziewała królewskie szaty. Kiedy chodziła do ojca w nocy, nigdy nie zdarzyło się, żeby rankiem znów nie leżała zwinięta obok mnie. Saba rozciągała się od samego skraju górzystego wybrzeża aż do stóp

pustyni. Ja jednak cieszyłam się, że mój świat nie sięga dalej niż komnata matki.

Wieczorami siadywałam przed matczyną szkatułką na biżuterię i ozdabiałam uszy kolczykami. Ramiona opadały mi pod ciężarem naszyjników, podczas gdy ona leżała na sofie przy swoim stoliku. Był on pokryty złotem, tym błyszczącym kruszcem, który nawet w słabym świetle lampy wydawał się pozłacać wszystko dookoła – policzek matki, srebrny kielich w jej dłoni.

Później tańczyłam, a ona klaskała. Bransoletki pobrzękiwały mi na kostkach. Najpierw był to taniec pory deszczowej, kiedy to monsun przemierza suche wąwozy, a potem łagodnej letniej mżawki, która wywabia żdźbła prosa spod zbrązowiałej w zimie gleby. I taniec górskiego koziorożca – układałam ręce nad głową tak, by przypominały zawinięte rogi. Udawałam też lwy polujące na te zwierzęta, czym zawsze ją rozśmieszałam. Potem wstawiała, by do mnie dołączyć. Rzędy czerwonych koralików podzwaniały jej na szyi przy każdym tupnięciu.

– Będziesz piękniejsza ode mnie – powiedziała pewnego wieczoru, kiedy opadłyśmy na poduszki.

– Nigdy, mamó! – Nie potrafiłam sobie tego nawet wyobrazić.

Wyciągnęła rękę, a ja położyłam na niej swoją dłoń.

– Ja nie byłam tak urodziwa w twoim wieku – stwierdziła i pocałowała mnie w czubek głowy. – Ale bądź ostrożna, mała Bilkis. Piękno to broń, z której nie można korzystać wiecznie.

Zanim zdążyłam zapytać, co ma na myśli, matka zsunęła z nadgarstka ciężką bransoletę szerokości mojej dłoni, pokrytą rubinami.

– Widzisz te kamienie? Są twardsze niż kwarc i szmaragdy. Nie pękają pod naciskiem, nie miękną ze starości. Niech przypominają ci, moja gołąbeczko, że mądrość jest trwała, a zatem o wiele cenniejsza. – Wsunęła mi bransoletę na ramię.

– Ale...

– Cichutko. Siedem Sióstr[3] wschodzi na niebie. Przychodzi pora na nowe.
– Dotknęła wiszącego na mojej szyi amuletu – wykonanej z brązu tarczy słonecznej, z grawerem z tyłu – który miał mnie chronić. – Co byś powiedziała na młod-

szego królewskiego brata?

Usadowiłam się przy niej i zaczęłam bawić się bransoletą. Odkąd sięgałam pamięcią, opiekunka kazała mi palić każdego miesiąca kadzidło przed alabastrową figurką Shams, bogini słońca, w tej właśnie intencji.

– Podoba mi się ten pomysł.

Powiedziałam tak, ponieważ wiedziałam, że takie słowa sprawią jej przyjemność. Nie dodałam jednak, iż wolałabym brata niż siostrę, z którą musiałabym rywalizować o uwagę matki. Podzielę się nią z chłopcem, bo wiem, że on w końcu i tak nas opuści, by stanąć u boku ojca i zasiąść na tronie.

Przysięgłam modlić się codziennie, by dziecko rzeczywiście okazało się chłopcem.

Dziesięć dni później matka przeszła atak i uderzyła głową o marmurową ławę w łazience. Tamtego wieczoru powiedziano mi, że opuściła mnie dla życia wiecznego i zabrała ze sobą mojego nienarodzonego brata.

Krzyczałam tak długo, aż upadłam i uderzyłam się o krawędź stolika. Wyzwałam wszystkich od kłamców. Błagałam, by pozwolono mi ją zobaczyć, i odpychałam każdego, kto próbował mnie dotknąć. Moja matka nigdy by mnie nie zostawiła! Kiedy w końcu mnie do niej zabrali, rzuciłam się na nią, przywarłam do jej zimnej szyi, póki mnie nie odciągnęli. Jej długie pukle zaplątały się w moje palce.

Gdy zamknęli królewskie mauzoleum w świątyni Almaqaha, boga księżycy, wciąż miałam przed oczami jej oblicze. Czasami czułam jej zapach, miękkość jej policzka przy moim, kiedy spałam. Nie opuściła mnie. Przez prawie rok od jej śmierci nie mówiłam. Wszyscy myśleli, że oniemiałam z żalu. Ale tak naprawdę po prostu chciałam mówić tylko z nią.

Szeptałam do niej każdego wieczoru w łóżku, dopóki jej głos nie ucichł następnego lata, zabierając ze sobą ważną część mnie. Miałam wówczas sześć lat.

•••

Hagarlat, druga żona mojego ojca, nie była ani młoda, ani piękna. Ale dzięki

jej obecności w pałacu odnowiono ważny sojusz z Nashshanami na północy i przywrócono kontrolę nad szlakiem handlowym biegnącym przez bezkresną dolinę Dżaufu. O ile tamy i kanały, którymi płynęła woda po letnich monsunach, zapewniały Sabie życie, o tyle szlak kadzidlany zapewniał jej powietrze. Każdy oddech, jaki dało się zaczerpnąć na jej drogach, był przesycony drogocenną żywicą olibanową, balsamem i mirrą.

Miałam osiem lat, gdy mój przyrodni brat naruszył spokój części pałacu przeznaczonej dla kobiet pełnym wściekłości wrzaskiem. Stało się to tuż przed pierwszymi wiosennymi deszczami. Tego roku podczas uroczystości ojciec złożył złote figurki Hagarlat i mojego brata w świątyni. Opatrzono je odpowiednimi zaklęciami, by nikt ich stamtąd nie usunął. Czułam się zdradzona na skutek tego bluźnierstwa; przecież moja matka spoczywała w tym świętym miejscu!

Ale nawet pojawienie się dziedzica nie zadowoliło królewskiej rady. Zdaniem jej członków, mój ojciec nie dorównywał swojemu wojowniczemu ojcu. Mój dziadek, Agabos, był ludobójcą. Rzesze ludzi padły ofiarą jego ambicji, kiedy walczył o zjednoczenie czterech wielkich królestw: Ausanu, Katabanu, Hadramautu i Saby, by rządzić nimi wszystkimi. To Agabos poślubił księżniczkę z Wąskiej Wody, po której jego dzieci odziedziczyły ciemny kolor skóry.

Mój ojciec, jedyny z synów Agabosa, który przetrwał wojny, bardziej interesował się upowszechnianiem kultu boga Almaqaha w zjednoczonym królestwie niż poszerzaniem granic państwa. Tamtego roku ogłosił się arcykapłanem. Przewodniczył uctom w świątyni i ubojom rytualnym. Nawet do moich młodych uszu zaczęły dochodzić szemrania z pałacowych korytarzy, przypominające bzyczenie pszczoł z ukrytego gniazda.

Nie ufałam Hagarlat. Nie dlatego, że popierała jego gorliwość, ani dlatego, że miała twarz jak wielbłąd, ani nawet dlatego, że za jej sprawą na świat przyszło to skrzeczące coś zwane moim bratem – ale dlatego, że przywłaszczyła sobie komnatę mojej matki wraz z jej biżuterią i wyparła imię Ismeni z pamięci wszystkich poza mną.

Pałac stał się dla mnie obcy od chwili, gdy przybyli tu słudzy mojej macochy i przedziwni kapłani. Na korytarzach można było usłyszeć ich twarde plemienny akcent. Moi nowi krewni – a nawet ich niewolnicy – pomiatali mną albo po prostu

omijali mnie wzrokiem; dzieci, z którymi dorastałam, nabrały do mnie dystansu w ciągu roku mojego milczenia.

– Odejdź! – krzyknął do mnie chłopiec imieniem Luban, kiedy próbowałam wymknąć się z nim do stajni. W roku poprzedzającym śmierć mojej matki spędziliśmy tam wiele godzin, karmiąc wielbłądy i chowając się przed opiekunką. Teraz Luban był o kilka centymetrów wyższy ode mnie, a wesołe spojrzenie, którym mnie niegdyś obdarzał, znikło. – Twoja matka nie żyje i to Hagarlat jest królową. Teraz jesteś bękartem.

Zamrugałam, zaskoczona pogardą malującą się na jego okrągłej twarzy.

Następnie podbiłam mu oko.

– Jestem córką króla! – krzyknęłam. Stałam nad nim dopóty, dopóki ktoś mnie nie odciągnął.

Za karę nie pozwolono mi zjeść kolacji, ale i tak nie miałam apetytu. Już wcześniej byłam świadkiem sytuacji, gdy po śmierci jednego z rodziców dzieci stawały się sługami potomstwa, które je zastąpiło. Nigdy nie przypuszczałam, że i mnie to spotka.

– Jesteś księżniczką. Nie zapominaj, kim jesteś – powiedziała mi tego wieczoru opiekunka. Ale ja nie wiedziałam, kim jestem. Wiedziałam tylko tyle, że ona i jej córka Shara to jedyne bliskie osoby, które mi pozostały.

Choć nikt inny nie nazywał mnie „bękartem” – przynajmniej nie prosto w oczy – nie sposób było nie zauważyć pogardliwych spojrzeń, coraz mniejszego wyboru materiałów na suknie, coraz rzadszych prezentów od ojca, a w końcu ich braku.

Pewnego dnia wkroczyłam zuchwale do komnaty Hagarlat. Właśnie dyktowała plan przyjęcia z okazji pierwszych urodzin mojego brata. Na sofie leżały bele farbowanych tkanin i rzadkiego jedwabiu.

– Gdzie są rzeczy, które przysyła mi ojciec? – zapytałam. Usłyszałam, jak wszyscy wokół zaczerpnęli powietrza, i kątem oka dostrzegłam przerażenie na twarzy mojej piastunki.

Hagarlat odwróciła się do mnie. Na jej twarzy malowało się zaskoczenie tak wyraźne jak wzory z henny na jej czole. W uszach miała zielone jaspisy. Wokół poszerzającej się talii zawiązała gruby złoty pas. Pomyślałam sobie, że wygląda jak wystrojony osioł.

– Dlaczego pytasz, dziecko? Czyżby zapomniał o tobie? A tutaj przysłał tak wiele darów! Och, twoja twarz wygląda okropnie. – Wyciągnęła rękę w kierunku mojego policzka. Dokładnie w chwili, gdy dolna warga zaczęła mi drżeć, zobaczyłam bransoletę z rubinami, należącą niegdyś do mojej matki. Dała mi ją przed śmiercią.

– Skąd to masz?! – spytałam. Opiekunka odciągnęła mnie, sycząc, bym się uciszyła. – To moje!

– Co, to? – zdziwiła się Hagarlat. – Skoro tak wiele dla ciebie znaczy, to weź ją sobie. – Zdjęła bransoletę i rzuciła mi ją. Błyskotka spadła na podłogę u moich stóp.

– Wybacz mi, królowo! – korzyła się moja opiekunka. Wyszarpałam się z jej uścisku i rzuciłam się, by podnieść bransoletę. Brakowało w niej jednego kamienia. Z szaleństwem w oczach zaczęłam go szukać. W końcu opiekunka siłą wyprowadziła mnie z komnaty.

Po tym incydencie unikałam pałacu jak ognia. Uciekałam do ogrodów i popadałam w zadumę przy basenach albo nuciłam matczyne piosenki. Zajmowały mnie również lekcje z nauczycielem, którego przydzielił mi ojciec – rzekomo po to, bym nie pakowała się w tarapaty.

Przez trzy lata chłonełam poezję sumeryjską, egipskie pisma i babilońskie opowieści o stworzeniu świata. Przychodziłam do pałacowych skrybów i czytałam dokumenty sądowe, zaglądając im przez ramię. Ustępowali mi dla świętego spokoju. Główny skryba ojca pozwalał mi podziwiać swoje imponujące pisma, a kiedy udało mi się upić go winem podkradzionym z piwnicy, opowiadał nawet o bitwach stoczonych przez dziadka. Z niecierpliwością czekałam na kupców, którzy mieli wrócić z nowymi skarbami: zwojami pergaminu, glinianymi tabliczkami i papierem welinowym. Nawet łodygi palmowe, na których zapisywali rachunki, uważałam za cenne.

Po raz pierwszy od czasu odejścia matki do świata cieni odnalazłam radość. Mój mały brat, Dhamar, zostanie królem. A ja będę przemykać pałacowymi korytarzami, w których rozgrywały się spory polityczne i prywatne intrygi wokół ludzi powracających z odległych miejsc. Ucieknę od wszystkiego i wszystkich...

Poza zasięg wzroku brata Hagarlat...

Sadiq, grubas o leniwym spojrzeniu, był jak wąż. Miał talent do przekonywania doradców ojca o swojej użyteczności. Służki i niewolnicy często o nim plotkowali. Jak twierdzili, urodził się pod silnym omenem, co w praktyce oznaczało, że dorobił się sporego majątku na małżeństwie swojej siostry z moim ojcem. Zachowywał się, jakby należało do niego pół pałacu, choć nie potrafiłam pojąć, dlaczego.

W rzeczywistości Sadiq przywłaszczył sobie tylko jedną osobę: mnie.

Śledził mnie wzrokiem w portykach. Czulałam jego spojrzenie na plecach i ramionach. Wbijał je we mnie za każdym razem, gdy pojawiałam się w alabastrowym korytarzu.

Nie tylko ja to zauważyłam.

– Nie zdziwię się, jeśli Hagarlat poprosi twego ojca, by wydał cię za Sadiqą – oznajmiła moja opiekunka pewnego wieczoru, skarciwszy mnie uprzednio za to, że nie dbam o włosy. Shara, która była dla mnie jak siostra, spojrzała na matkę, a potem na mnie. Od chwili przybycia rodziny Hagarlat do pałacu coraz bardziej nie mogła znieść jej członków, choćby z poczucia lojalności wobec mnie.

– Ojciec się nie zgodzi – odparłam.

– A to dlaczego?

– Ma już Sadiqą po swojej stronie.

Nawet wówczas nie miałam złudzeń co do swojej przyszłości. W ciągu kilku lat poślubię takiego czy innego arystokratę.

Ale nie Sadiqą.

– Hagarlat nie kryje swojej miłości do brata – powiedziała opiekunka, roz-

czesując mi włosy. – Ani umiejętności zapewniania sobie względów twojego ojca.

– On nawet nie jest przywódcą plemienia!

– Jest bratem królowej. Do końca roku zostanie mistrzem wody, wspomnisz moje słowa.

Spojrzałam na nią sceptycznie. Mistrz wody nadzorował rozdzielanie przypływów wielkiej rzeki Dam, która nawadniała oazy po obu stronach Maribu. Sprawował też zwierzchnictwo nad najważniejszymi plemionami w stolicy. Tylko prawy i szanowany człowiek mógł rozstrzygać nieuchronne spory o przydział wody.

Sadiq nie miał żadnej z tych cech.

– Ograniczy swoje działania do przyjmowania łapówek.

– Bilkis!

– Taka jest prawda. Sadiq to larwa, która ssie pierś swojej siostry!

Opiekunka wzięła głęboki oddech. Była o krok od przywołania mnie do porządku. Ale zanim zdążyła wydobyć z siebie pierwsze słowo, Shara upuściła lusterko w ramie z brązu, które właśnie polerowała. Z łoskotem upadło na dywan.

– Niezdara! – Jej matka straciła panowanie nad sobą. Shara wydawała się jej nie słyszeć. Wbiła wzrok w podłogę.

Nagle opiekunka wypuściła z ręki pukiel moich włosów, które wcześniej zaczęła splatać w warkocz. Zlekceważyła to i skłoniła się tak nisko, że pomyślałam, iż skręci sobie kark.

Powoli okręciłam się na stołku.

Pod zwieńczonymi łukiem drzwiami do naszej wspólnej komnaty stała Hagarlat. Welon miała spięty z tyłu, a z jej uszu spadał deszcz złota. W przedsionku za nią stały dwie służki. Zeskoczyłam ze stołka.

Przez chwilę nikt się nie poruszył. Nawet się nie ukloniłam, gdy podeszła do mnie w milczeniu. Zatrzymała się przed lusterkiem i schyliła się po nie, jakby to była porzucona zabawka. Rzuciwszy na nie okiem, wzięła szmatkę od zaskoczonej Shary i wytarła nią powierzchnię lusterka, po czym mi je podała.

– Żebyś lepiej widziała – przemówiła, po czym wyszła, rzucając szmatkę za siebie.

Kiedy tylko zniknęła, moja opiekunka i Shara równocześnie się do mnie odwróciły. Miały pobladłe twarze. Nie pytałam, jakim cudem drzwi do zewnętrznej komnaty mogły być otwarte. To nie miało znaczenia.

W ciągu tygodnia ogłoszono moje zaręczyny. Moje i Sadiqa.

Rzuciłam się ojcu do stóp w sali audiencyjnej – jego prywatnej komnacie, miejscu, gdzie bywał nie królem, lecz człowiekiem.

– Błagam, nie wydawaj mnie za niego! – wołałam. Dotykałam skóry jego sandałów, ciągnęłam go za rąbek szaty, by przycisnąć go sobie do czoła.

– Bilkis – przemówił z westchnieniem. Uniosłam głowę, choć wcale na mnie nie patrzył. W słabym świetle lampy zmarszczki wokół jego oczu wydawały się bardziej wyraźne. Przy dolnych rzęsach brakowało charakterystycznej czarnej kreśki. – Czy nie możesz tego uczynić? Dla Saby, a przede wszystkim dla Almaqaha?

– Co mnie obchodzą jacyś bogowie? – spytałam. – I tak robią, co chcą!

– A czy ty jesteś boginią, że też pragniesz jedynie wypełniać swoją wolę? – spytał miękko.

– Zrobiła to, bo słyszała, że źle mówię o Sadiqu. Odpokutuję to! – Opuściłam głowę i przywarłam do jego stóp. – Przepraszę. Będę służyć w jej komnacie. Ale, proszę, nie rób mi tego!

Wyciągnął dłonie, by pomóc mi się wyprostować.

– Hagarlat chce, żeby nasze więzi plemienne się zacieśniły. Dlaczego nie? Twój brat zostanie królem. Czy naprawdę myślisz, że królowa jest aż tak małostkowa?

Wyrwałam się z jego uścisku.

– Nie wiesz, że ona mnie nienawidzi? – Cofnęłam się i stanęłam nieco dalej od podium, przed tronem, w świetle lampy. Otworzyłam usta, by ponowić prośbę, ale zawahałam się, gdy spostrzegłam, jak ojciec na mnie patrzy.

Przez chwilę poruszał ustami, jakby nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Jego twarz pobraźniała.

– Ismeni...? – przemówił słabym głosem. Uniósł dłoń. Jego palce zadrżały w powietrzu.

– Ojczy?

Podeszłam do niego ponownie. Kiedy próbowałam chwycić go za kolana, nagle się wzdrygnął.

– Ojczy, to ja, Bilkis!

– Jest już późno – stwierdził i spojrział w stronę zakratowanego okna. Od pochodni w królewskich ogrodach na dole biła poświata.

– Proszę, mój królu. Kiedyś byłam twoją córką. Jeśli żywisz jeszcze jakiegoś uczucia względem mnie...

– To postanowione. – Miał zmęczony głos. Światło lampy zamigotało i wtedy dostrzegłam, że na jego twarzy odcisnęły swoje piętno wszystkie lata, które nastąpiły po śmierci mojej matki. Miłość została przesłonięta bólem.

Później Sadiq wydawał się być wszędzie. Stał w portykach, kiedy wychodziłam do ogrodów. Snuł się przy fontannach, gdy szłam na lekcje. I choć nie zbliżał się do mnie na oczach wszechobecnych strażników, jego wzrok sięgał dosłownie wszędzie, niczym piekące słońce.

Przestałam przychodzić na wspólne posiłki. Zaczęłam unikać lekcji. Widok Sadiq – począwszy od sposobu, w jaki nosił zdobny sztylet, zatknięty wysoko za pas i jakby dowodzący jego męskości, aż po niezliczone pierścienie na palcach – napawał mnie obrzydzeniem. Opiekunka zapewniała mnie, że z czasem będę patrzeć na niego inaczej. Jedyne pocieszenie stanowiło dla mnie to, że nigdy nie zostawiano mnie z nim sam na sam i tak miało być aż do ślubu, który miał nastąpić za trzy lata.

Sadiq nie był jednak człowiekiem honoru.

Miałam dwanaście lat, kiedy po raz pierwszy położył na mnie swoje łapska.

Obudziło mnie delikatne skrzywienie drzwi. Nie byłam sama. W pierwszej chwili, kiedy stanął w słabym świetle lampy, pomyślałam, że to Baram, eunuch. On też miał wydatny brzuch i podwójny podbródek. Był jedynym mężczyzną, który mógł przebywać w komnatach dla kobiet.

I wtedy spostrzegłam błysk rękojeści sztyletu.

Sadiq przemierzył pokój trzema susami, a ja poderwałam się i zawołałam Barama. Sadiq uderzył mnie mocno w twarz.

Broniłam się, gdy przygwoździł mnie swoim ciężarem, a pochwa jego sztyletu wbijała mi się między żebra; napastnik był jednak dwa razy większy ode mnie.

– Baram i kobiety są przy mojej siostrze, która właśnie poroniła twojego nowego braciszka – wyszczał mi do ucha. Cuchnął zwietrzałymi perfumami i winem.
– Poza tym nikt nie sprzeciwi się nowemu mistrzowi wody.

Zacisnął dłoń na moim gardle. Drugą ręką podciągnął mi suknię. Szarpałam się z nim prawie do nieprzytomności, ale na darmo. Potem zacisnęłam powieki.

Przez kolejne trzy dni nie wstawałam z łóżka.

Opiekunka wezwała medyka, który stwierdził, że nie mam gorączki. Jego zdaniem, byłam jedynie otępiała, zachowywałam się jak ktoś, kto nie chciał już żyć w swojej skórze. Sadiqowi udało się nie zostawić śladów na mojej szyi i twarzy. Jedynie na udach miałam zadrapania od jego pierścieni.

Chciałam wstać tylko po to, by pójść na pustynię i pozostać tam dopóty, dopóki nie pochłoną mnie piaski. Ale i na to nie znalazłam siły. Kiedy nastał wieczór czwartego dnia, zawołałam opiekunkę. Poprosiłam, by przyniosła mi wyciąg z wilczych jagód, którego Hagarlat używała, by mieć szersze źrenice. Albo nektar z rododendronu[4].

Ale ona tylko zamrugła gwałtownie. Była zdezorientowana.

– Dlaczego, dziecko? Dlaczego prosisz o takie rzeczy? Już jesteś piękna, a taki napój spowoduje, że się rozchorujesz.

Nie potrafiłam zmusić się do tego, by powiedzieć jej prawdę.

Zamiast tamtych mikstur podała mi czuwaliczkę do żucia. Ale nawet ta roślina o stymulującym działaniu nie pomogła mi wstać z łóżka.

Wkrótce Sadiq zgwałcił mnie po raz drugi.

– Mój ojciec cię zabije. Oskarżę cię przed całą radą!

– Doprawdy? Spytają cię: „Czy krzyczałaś?”, „Kto cię słyszał?”, „Dlaczego nie poszłaś do swojego królewskiego ojca po pierwszym razie?”. Jeśli ja zeznam, że próbowałaś mnie uwieść, a do tego wyrażę obawę o twoją cnotę, to jak myślisz, komu uwierzą? – Wiedziałam, że miał rację. Był bratem królowej i mistrzem wody. Ja zaś byłam córką kobiety urodzonej pod złą gwiazdą i często zostawałam sama. – Kiedy poślą po akuszerkę, a ona stwierdzi, że nie jesteś nietknięta, nie będę miał innego wyboru, jak tylko publicznie cię odtrącić, dla dobra reputacji mojej i królowej.

Powinłam poczuć święty gniew. Powinłam oskarżyć go przed ojcem, byle tylko uciec od niego – i od każdego innego mężczyzny, ponieważ po tak wielkim skandalu żaden sprawiedliwy mąż nie poślubi mnie bez sowitej łapówki. Zamiast tego ogarnął mnie wstyd. Czułam go niczym zgniliznę pod skórą.

Błagałam Sharę, by tej nocy nie zostawiała mnie samej w łóżku. Ale ona nie mogła odmówić królowej, jeśli ta ją wezwie.

W kolejnych miesiącach Sadiq zgwałcił mnie jeszcze dwukrotnie. W tym samym czasie nad wzgórzami zbierały się chmury, a drzewami wstrząsały pierwsze podmuchy silnych wiatrów. Nadchodziła pora deszczowa.

•••

Zaczęły się deszcze, a ja wciąż nie ruszałam się z łóżka. Potoki spływały ze wzgórz przez całe popołudnie. Porywały ze sobą drzewa, ziemię i budynki, które stały na ich drodze do rzek. Nareszcie przespałam całą noc, wyczerpana czuwaniem w minionych tygodniach. W końcu byłam bezpieczna. Mistrz wody przebywał bowiem poza pałacem – obserwował powódź i stan kanałów wraz z robotnikami, którzy naprawiali wyłomy w śluzach.

Przed świtem wstałam i podeszłam do okna. Moja tunika osłaniała szczupłą figurę; straciłam dopiero co nabyte młodzieńcze krągłości. Chwyciwszy się parapetu, z rozmachem otworzyłam okiennicę. W ogrodzie pracowali pierwsi słudzy; dostrzegłam ich sylwetki w słabym świetle poranka. Podobnie jak podczas tyłu nocy po śmierci matki, szukałam Siedmiu Sióstr. Ale tamtego ranka nie było ich widać. Stałam przy oknie jeszcze długo po tym, jak niebo się rozjaśniło, a gwiazdy zaczęły blaknąć. Obserwowałam ruchy na niebie.

Po raz pierwszy od lat zaczęłam się modlić. Nie do Shams, która nie zdołała ochronić mojej matki, ale do Almaqaha, który ją przyjął.

Ocal mnie albo pozwól mi umrzeć.

Tylko tyle. Zdjęłam bransoletę z rubinami – najcenniejszą rzecz, jaką posiadałam – i położyłam ją na parapecie.

Tamtego dnia do ogrodu w pośpiechu wpadli mężczyźni. Ich krzyki dotarły do mojej komnaty przez otwarte okno. Niedługo potem w sali kobiet rozległ się donośny pojedynczy jęk.

Godzinę później moja opiekunka przybyła z wieściami: jedna z bram na służbie nie wytrzymała naporu wody. Sadiq został porwany przez powódź.

Uniosłam wzrok do nieba.

Jestem cała twoja.

•••

Nigdy nie odnaleziono ciała Sadiqa. Miesiąc po jego śmierci Hagarlat oskarżyła mnie przed moim ojcem. Miała ściągniętą twarz, ubranie wisiało na niej jak na szkielecie. A na mnie znowu pasowały suknie, jakbym zyskała kształty, które ona straciła z żalu.

– Ta dziewczyna to przekleństwo dla domu. – Łamał jej się głos. – Przeklęła mojego brata i mnie!

– Moja królowo, przesadzasz – stwierdził ojciec. W jego głosie słychać było

zmęczenie.

– Doprawdy? Mój brat – jej narzeczony – nie żyje, a ja dwukrotnie poroniłam, od kiedy przekroczyłam progi tego domu. Jej własna matka urodziła tylko jedną dziewczynkę, po czym zmarła z synkiem w brzuchu. Powiadam ci, ta dziewczyna sprowadza śmierć na wszystkich dookoła!

Kiedy ojciec w końcu na mnie spojrział, wiedziałam, że znowu zobaczył cię kobiety, którą poślubił nie dla korzyści, ale z miłości. Wreszcie pojęłam, dlaczego nie pocieszał mnie w żałobie ani nie szukał ze mną kontaktu, gdy zamilkłam po jej śmierci.

– Żono – przemówił i skinął głową.

– Albo ją odeślesz, albo ja odejdę z dworu i zabiorę ze sobą syna, o ile ona i jego nie zabije, jak to uczyniła z własną matką i nienarodzonym bratem! Moja matka w moim wieku miała już siedmioro dzieci, a moja siostra pięciu synów. A ja przez cztery lata nie donosiłam ani jednej ciąży. Czy masz zamiar narazić na to samo ryzyko nasze kolejne nienarodzone dzieci?

Odwróciłam się do niej z sykiem. Już nie przypominałam zielonej gałęzi, która załamuje się pod ciężarem jednego ptaka. Byłam gotowa na wszystko. Mogłabym przekląć ją, jej syna i każde oczekiwane dziecko w jej łonie, każdego członka jej plemienia wraz z jego wielbłądami i kozami, aż po ostatniego parzywego psa.

Ale oddech, zaczerpnięty po to, by to uczynić, uszedł ze mnie niczym rozmazane westchnienie. Przez jedną szaleńczą chwilę omal nie wybuchłam śmiechem.

Nie mogła mi nic zrobić. Nie mogła odebrać mi żadnej rzeczy, która nie została mi już odebrana albo której sama nie chciałabym porzucić – łącznie z moim życiem.

Ja, która nie miałam żadnej władzy, nie musiałam wypowiadać ani słowa. Hagarlat straciła nade mną zwierzchność. W tamtej chwili i ona zdała sobie z tego sprawę. Patrzyłam, jak powoli blednie.

– Tak – powiedziałam do ojca. – Odeślij mnie. Wypraw mnie przez wodę do krainy swojej matki. Przydziel mi kapłanów i zaopatrz w dary dla tamtejszej świą-

tyni Almaqaha, a ja złożę je w ofierze w twoim imieniu.

Czyżby przez jego twarz przemknął cień ulgi? Nie mogłam winić go za to, że zgodził się tak prędko. Almaqah był i jego wybawieniem.

Tamtej jesieni weszłam na pokład statku wraz z nauczycielem, orszakiem kapłanów i nowymi zarządcami powstającej kolonii. Wieźliśmy ze sobą mnóstwo kadzideł, ofiar i darów dla świątyni w Puncie. Nie pozwolono mi zabrać mojej opiekunki ani Shary – Hagarlat tego dopilnowała – przyszedł więc czas na łzawe pożegnania. Ucałowałam je w szyje i powierzyłam opiece bogów.

Postanowiono, że już nigdy nie wrócę do pałacu w Maribie, jego ciemnych korytarzy i jeszcze mroczniejszych wspomnień. Że spędzę w Puncie – i w pokoju – resztę swoich dni.

Ale Almaqah, już raz wezwany, miał wobec mnie inne plany.

[2] Psia Gwiazda – Syriusz; przyp. red.

[3] Siedem Sióstr – Plejady; przyp. red.

[4] Obie rośliny są toksyczne; przyp. red.

Śniła mi się mgła spowijająca wzgórza przed porą deszczową. Biała jak mleko, wzburzana pierwszymi podmuchami wichru, nim rozlegnie się stłumiony ryk spływających wód. Po chwili wody pieniały się już, kapryśnie zmieniając kolor – od białego po żółty, kiedy trafiały na mieliznę. Śmiertelnie niebezpieczne potoki mogą ponieść ze sobą wielbłąda, a nawet cały dom, gdy z impetem spływają do rzeki ku słuzom i leżącym w dole polom.

– Makedo...

Otworzyłam oczy i wpatrywałam się w sufit przez baldachim rozpostarty nad łóżkiem. Tańczyły tam smużki światła. Rzucały cienie przez tkaninę, która chroniła mnie przed bezlitosnymi komarami.

Usłyszałam cykady. Nawet przez zamknięte okiennice przedzierały się wydawane przez nie dźwięki, układające się w melodie. W świetle pomiędzy snem a jawą można by wziąć te odgłosy za miarowe bębnienie deszczu, które kołysze z powrotem do snu...

Na skroni poczułam muśnięcie ust, delikatne jak skrzydełka ćmy. Wyciągnęłam rękę, by pochwycić kosmyk włosów, owinąć go sobie wokół palca i poczuć jego zapach. Mężczyzna przesunął ciepłą dłoń po moim ciele. Woń kadzidła uleciała. Tkaniny pachniały pożądaniem, zaspokojonym kilka godzin wcześniej w wiosennym upale.

– Makedo... – szeptał. Imię to nadała mi rodzina babki, kiedy przybyłam do Puntu. W ten sposób pozbyłam się wyniszczonej Bilkis.

Przyciągnęłam go do siebie i poszukałam ustami jego słonej szyi. Zamruczał, zawahał się przez chwilę, jakby chciał coś powiedzieć, po czym mnie przytulił. Wydawało mi się, że słyszę deszcz, bębniący miarowo, a potem przedzierający się przez huk powodzi.

Kiedy znieruchomieliśmy, ponownie zapadłam w sen.

– Makedo...

Głęboko westchnęłam z zadowolenia.

– Musisz wstawać.

Rozwarłam ciężkie powieki, a on oparł się na łokciu i gładził mnie po wilgotnym czole. Włosy spływały mu na twarz czarną kaskadą. Maqar, którego za-
możny ojciec służył mojemu w radzie królewskiej. Maqar, wojownik, który przy-
był tu dwa lata temu wraz z innymi osadnikami z Saby, by pracować w kopalni zło-
ta i wesprzeć wojska.

Maqar, mój ukochany.

Przyciągnęłam go do siebie i oplotłam ramionami.

– Jest środek nocy.

– Owszem – zamruczał. Krótkie włoski na jego brodzie łaskotały mnie w po-
liczek. Odsunął się, a ja tym razem nie mogłam go przyciągnąć. – Chodź, księż-
niczko.

Na łożu zostałam tylko ja w szeleszczącej pościeli.

– Dokąd?

Wiele razy opuszczaliśmy pałac w środku nocy i skradaliśmy się jak dzieci,
by zażyć kąpieli w ogrodowych basenach przy świetle gwiazd albo obejmować się
w sadzie, aż do świtu, w towarzystwie ciekawskich dudków spoglądających na nas
z drzew moringi.

– Wspaniała nowa przygoda.

– Nie widzisz, że mnie wymęczyłeś?

Zaśmiał się lekko.

– A myślałem, że było odwrotnie.

– Ty jesteś jak waza, która nigdy się nie opróżnia.

– A ty jak studnia, która nigdy nie wysycha. Ale teraz chodź.

Przetoczyłam się na swoją stronę. Kiedy tak stał, wyglądał jak jedna ze statuetek z brązu, które umieszczano w świątynnych wnękach. Przysięgam na każdego – znanego czy nieznanego – boga: był po prostu piękny.

– Powiedz, że mnie kochasz. – Ale kiedy kąciki ust uniosły mi się w uśmiechu, on go nie odwzajemnił.

– Wiesz, że tak. – W jego spojrzeniu dostrzegłam dziwny cień. Może to przez lampę, w której dopalały się resztki oliwy? Może zmarszczki na jego czole zrobiły się głębsze?

Zniknął za parawanem i zaczął się ubierać.

Posłałam mu zagadkowy uśmiech.

– Co to za przygoda, która nie może poczekać do kolejnej nocy?

– Zobaczysz.

Za ścianą rozległo się delikatne skrzypienie. Eunuch przydzielony mi przez siostrę babki sypiał za drzwiami piętro wyżej. Dlaczego krzątał się o tej godzinie?

Podniosłam się na łokciach, już całkowicie przytomna.

Maqar wrócił. W jednej ręce miał mój haftowany kaftanik, drugą wyciągnął ku mnie.

Nachmurzyłam się i wstałam z łóżka.

– Prędko – powiedział, ponownie znikając za parawanem.

Po chwili patrzyłam, jak zaciska nad szczupłymi biodrami pas. Kiedy sięgnął po miecz, wiedziałam, że nie będziemy się kąpać. Wślizgnęłam się w swoje odzienie.

Maqar podszedł i ukucnąwszy przede mną, założył mi na stopy sandały. Nim wstał, podniósł na mnie wzrok. To było to samo spojrzenie, które podążało za mną, jakbym była samym słońcem, odkąd pojawił się u dowódcy garnizonu, a nieco później u pałacowego strażnika. Ale dziś w jego oczach wyczytałam coś więcej, jakąś dziwną nadzieję.

– Kochany, cóż to?

– Chodź. – Wstał i podał mi welon.

Yafush, mój eunuch, czekał z pochodnią w dłoni. Płomienie rzucały światło na jego skórę o ciemnym odcieniu. W uchu Nubijczyka błyszczało złote kółko. Patrzyłam raz na niego, raz na Maqara. Od kiedy to mój kochanek działa w porozumieniu z chroniącym mnie sługą?

Nagle przyszło mi do głowy, że może Maqar zaplanował tej nocy sekretny ślub. Ileż to razy rozmawialiśmy o tym w naszym ogrodowym łożu pod rozgwieżdżonym niebem!

Księżniczka nie wybiera sobie męża. Ale mój ojciec, choć od czasu wygnania mnie minęło już sześć lat, nie poczynił żadnych ustaleń w tej sprawie. Wiedziałam, że Sadiq przed śmiercią podzielił się z innymi informacją o moim utraconym dziewictwie. Wiadomo mi było również, że wszystko to stało się za sprawą Hagarlat.

Walczyłam z myślami.

Maqar, mój uzdrowiciel, wiedział, że nie przychodzę do jego łoża jako dziewczica. Nigdy nie spytał, dlaczego początkowo rozpaczliwie unikałam zbliżenia. Kiedy wreszcie znalazłam się w jego ramionach, poczułam wdzięczność za wszystkie zdarzenia, które mnie tutaj doprowadziły; piękno tych dni dalece przewyższało zgrozę dawnych nocy. Maqar marnował swoje arystokratyczne pochodzenie dla mnie, dla wygnanej. Nie mogłam nawet zapewnić mu przywilejów – stanowiska w radzie i inne najbardziej prestiżowe w Sabie zostały zajęte przez krewnych Hagarlat. Ale tutaj, w Puncie, nie mogłam narzekać na niedostatek. Ani ja na brak miłości.

O tym wszystkim rozmyślałam, kiedy stawiałam pierwsze kroki za drzwiami swojej komnaty.

Potajemny ślub. Uśmiechnęłam się do siebie. W takim razie nie zadaję więcej pytań.

Poszłam za nimi korytarzem na dziedziniec na parterze. Minęliśmy kolumnadę i wyszliśmy na zewnątrz. Ogrody były podświetlone, cykady w najlepsze grały swój koncert. Sięgnęłam po dłoń Maqara. Uniósł moje palce do ust, ale nie patrzył

na mnie.

Spojrzałam na Yafusha, który szedł obok. Gdy widziało się jego umięśnione ramiona i kamienny wyraz twarzy, można było nie zorientować się, że nie jest w pełni mężczyzną. Co takiego powiedział mu Maqar, że ma tak ponurą minę? Czyż to nie radosna chwila? Dlaczego żaden z nich nie wygląda na zadowolonego?

Coś było nie tak.

Kiedy przekraczaliśmy mniejszą bramę północną, serce zaczęło walić mi w piersi. Opuściły mnie wszystkie romantyczne myśli o drzewach moringi i ślubach.

Nie chciałam iść dalej.

– Dokąd mnie zabieracie? Powiedzcie mi to w tej chwili!

Maqar odwrócił się do mnie. Jego twarz była zmieniona nie do poznania. Nigdy wcześniej nie widziałam go bez przeznaczonego dla mnie uśmiechu czającego się na ustach lub przynajmniej w oczach. Ale teraz, w świetle pochodni... Nie było to oblicze mężczyzny mającego za chwilę poślubić kochankę, lecz człowieka, który zmaga się z samym sobą.

– Do świątyni. Wczoraj do portu wpłynął statek...

Statek? O tej porze roku nie przyływały już do nas statki, nawet z Egiptu. – Co to ma wspólnego z nami?

Przeniosłam wzrok z Maqara na skalistą przestrzeń. W księżycowym świetle pochyłości wydawały się jeszcze trudniej dostępne. Na widocznym nieopodal wzgórzu wzdłuż krętej drogi do świątyni tliła się słaba poświata rzucana przez pochodnie.

– Makedo... – rzekł Maqar z wahaniem. Kiedy się odwróciłam, na jego twarzy malowała się udręka. – Pamiętaj o jednym: nigdy cię nie oszukiwałem.

Wpatrywałam się w niego, zdumiona tym oświadczeniem.

– Myślę, że księżniczka powinna iść do świątyni – odezwał się Yafush.

Znowu patrzyłam to na jednego, to na drugiego, ale nie powiedzieli nic więcej.

– Żaden z was nic mi nie powie? W takim razie skończmy z tymi zagadkami!

Zebrałam szatę i ruszyłam przed nimi. Serce wciąż waliło mi w piersi.

Wspinałam się ścieżką prowadzącą do świątyni. Mijałam kamienne stele na grobach moich przodków. Stapałam zbyt głośno pośród bzyczenia owadów.

Na szczycie wzgórza czekał jakiś człowiek. Na tle nocnego nieba jego sylwetka wydawała się czarna. Jeśli miałabym sądzić po szacie, był to kapłan. Arcykapłan, o czym świadczyła jego ogolona głowa, widoczna w księżycowym świetle. Czy i on weźmie udział w tym przedstawieniu? Kiedy dotarliśmy na miejsce, uniósł dłoń w geście błogosławieństwa. Jego głos brzmiał szorstko pośród ciszy nocy.

– Księżniczko.

Nad nim wznosiła się świątynna twierdza. Fryzy w kształcie koziorożców spowijał cień. Rzeźbione drewniane drzwi stały otworem. W środku jaśniało światło pochodni – niczym wielkie, błyszczące oko.

Co czekało na mnie za tymi drzwiami, w środku nocy?

Kiedy spojrzałam pytająco na Maqara, w odpowiedzi tylko skinął głową. Wtedy pojąłam, że cokolwiek znajdowało się w środku, musiałam stawić temu czoła jako pierwsza.

Przez jedną szaloną chwilę rozważałam, czy nie pobiec ścieżką w dół – nie do pałacu ani nawet do ogrodów, ale na mroczny cmentarz. Tam przynajmniej musiałabym zmierzyć się jedynie ze skorpionami. Czułam się jednak tak, jakby samo przyjsście tu zagrodiło mi drogę powrotną.

Podniosłam wzrok na księżyc, a następnie weszłam do świątyni.

Na wewnętrznym dziedzińcu stało pięciu mężczyzn. Zamrugałam, usiłując przyzwyczaić oczy do światła pochodni. Twarze zebranych wyłoniły się z cienia.

Rozpoznałam Hassata, przewodniczącego rady Puntu i zarazem mojego dalekiego krewnego. U jego boku stał Nabat, dowódca garnizonu. U żadnego z nich nie było widać oznak snu tej nocy; może w ogóle się nie położyli. Obok Nabata do-

strzegłam trzech mężczyzn w strojach sabejskich. Za pasy zatknęli sztylety, a przy biodrach nosili miecze.

– Księżniczko – przemówił Hassat, skinąwszy głową.

– Radny Hassacie – zająknęłam się w odpowiedzi. Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Byłam zaskoczona jego widokiem. Najwyraźniej czekał na mnie.

– Wybacz, że wezwaliśmy cię tutaj w taki sposób.

Złożyłam dłonie, by przestały się trząść.

Hassat podszedł do mnie. Światło ognia tańczyło na jego ostrych rysach. Wskazał na swoich trzech towarzyszy.

– Ci mężowie przybyli tutaj, choć narazili się na ogromne ryzyko.

– Z pewnością... – urwałam, by odchrząknąć. Poczułam ucisk w gardle. – Z pewnością, skoro przybyli z Saby. Zbliża się pora deszczowa. – Tylko głupiec przeprawia się przez wodę w tym czasie. Głupiec... lub człowiek skrajnie zdesperowany.

– Księżniczko – przemówił jeden z nich. – Pochodzę z arystokratycznego plemienia Amanu.

– Z wielkiej doliny Dżaufu – dokończyłam powoli. Nazwa ta wydała się mojemu językowi obca.

– To poważany klan związany z liczącymi się kupcami z Gabaanu – dodał Hassat. – Ten człowiek to Khalkharib, krewny najsędziwszego członka rady twojego ojca, który przechadza się już po krainie cieni. Ten obok to Yatha, krewny królewskiego radnego Abamara.

Między piersiami spłynęła mi strużka potu. Ojczyzny tych mężczyzn tworzyły niemal idealną linię prowadzącą z północy na południe Saby, której granice na zachodzie sięgały gór, na wschodzie zaś – pustyni.

– Nie widziałam waszych krewnych od lat – powiedziałam ostrożnie. – Wiem jednak, że mój ojciec bardzo im ufał. Czego ode mnie chcecie?

– Wraz z wozami handlarzy do Maribu nadciągnęła plaga – zaczął Hassat.

– Przykro mi to słyszeć.

Przez chwilę milczeliśmy.

Patrzyłam na nich z rosnącym zakłopotaniem.

W końcu podszedł do mnie mąż imieniem Yatha.

– Księżniczko, zaraza dotarła do pałacu. Twój ojciec jest chory. Już wcześniej nie czuł się najlepiej. Odkąd wyruszyliśmy w drogę, nie wiemy, czy jeszcze żyje.

Cofnęłam się o krok. Ale kiedy ujrzałam Maqara, który stał za mną, zbliżyłam się do nich znowu.

– Król żył, kiedy opuszczaliście pałac. Dlaczego więc do mnie przychodzicie? Sensowniej byłoby poczekać, by mieć pewność, czy żyje, czy nie!

– Zbliża się monsun. Nie mogliśmy czekać.

– A więc przybyliście oznajmić mi jedynie, że jest chory?

Nie. Nie ryzykowaliby przeprawy przez wodę tylko z tego powodu.

Czy mi się wydaje, czy cykady umilkły? Czyżby cienie rzucane przez te mury opuściła cała magia, jakby wraz z przybyciem posłańców świątynia stała się już tylko budowlą z kamienia wapiennego i zaprawy?

– Jest coś jeszcze – przemówił mąż z Amanu. – Hagarlat zadbała o to, by wszystkie najważniejsze stanowiska objęli jej krewni.

– Jestem tego świadoma.

– Wiele plemion, w tym nasze, nie zniesie jednak panowania Nashshanów i ich sojuszników. Król jest posunięty w latach. Niezależnie od tego, czy przeżyje jeszcze kilka dni, czy też nawet rok, wkrótce rozpęta się wojna o tron.

– Ale mój brat...

– Ma dopiero dziesięć lat i jest pionkiem w rękach Nashshanów.

– Ale to on jest dziedzicem!

Maqar stanął u mojego boku.

– Makedo... nie jest przecież jedynym dziedzicem – powiedział bardzo cicho.

Wpatrywałam się w niego tak długo, aż na skórze poczułam chłód, pomimo braku powietrza w świątyni.

– Plemiona Amanu na północy aż po ludy Hadramautu na dalekim południu są gotowe wesprzeć twoje roszczenia – oznajmił Yatha.

Usłyszałam te słowa, ale ich nie pojmowałam.

– Punt również – dodał Nabat, który do tej pory milczał. – Z radością ujrzałby wnuczkę Agabosa na tronie zjednoczonych ziem.

Tak właśnie się to odbywa?

– Mój brat także jest wnukiem Agabosa – usłyszałam własne słowa. – Dlaczego Punt miałby popierać roszczenia do tronu tylko jednego z nas?

– Hagarlat nie jest lojalna wobec Puntu – powiedział Hassat. – Obchodzą ją tylko towary eksportowe, złoto i cła, które jej krewni pobierają od kupców podróżujących przez ziemie Nashshanów szlakiem handlowym na północ.

– Ale mój ojciec...

– Wybacz, księżniczko... – odezwał się Khalkharib. – Król w tej chwili może już nie żyć. Jeśli nie wrócisz, inni upomną się o swoje prawa. I jeżeli nie otrzymają ich z tytułu więzów krwi, to wezmą je sobie siłą. Nikt nie spodziewa się twojego powrotu przed deszczami. Jeśli się pospieszymy, unikniemy wojny i obronimy twój tron.

– Sabą nie rządzą kobiety!

– Wołą Almaqaha jest, by tak się stało. Nasi ludzie są gotowi. Szykowaliśmy się do tej chwili od lat.

Godzinę temu byłam odurzona snem i szczęściem życia w Puncie, a Saba wydawała mi się odległa; płynące tam po deszczach potoki widywałam jedynie w snach. Nagle to do mnie dotarło: plemiona północne sprzeciwiały się rosnącym

wpływowi Nashshanów. Moje plemię pragnęło odzyskać władzę, a ludy południowe starały się zdobyć specjalne względy. Ależ im się spieszyło! Do czego? Do obietnicy przyszłych przywilejów czy nadziei na małżeństwo polityczne? Przecież w grę wchodził tron.

I wtedy zrozumiałam. Nie chodziło im o to, żeby Sabą rządziła kobieta. Małżeństwo z królową miało uczynić z jednego z nich króla.

A przy mnie stał Maqar, przysłany mi dwa lata temu przez jego ojca wraz z orszakiem żołnierzy...

Kiedy to sobie uświadomiłam, spojrzałam na niego inaczej. Wtedy on ledwie zauważalnie pokręcił głową. I choć słyszałam jego niewypowiedzianą myśl, pod maską ukochanego zobaczyłam obcego człowieka.

Kim jestem, skoro nie jego kochanką?

Królową?

Pionkiem.

...

– Moi ludzie gromadzą się w porcie nawet w tej chwili – Nabat mówił do pozostałych, którzy zaczęli jeden przez drugiego snuć wizje powrotu.

– Mój ojciec może jeszcze żyć! – krzyknęłam, ucinając ich dyskusję.

Khalkharib spojrzał na mnie tak, jakby właśnie przypomniał sobie o moim istnieniu.

– Ale może nie dotrzeć do naszego powrotu, księżniczko. A Hagarlat i jej doradcy obejmą tron i będą go bronić siłą. Monsuny nadchodzą. Almaqah uśmiechnął się do nas. Musimy wyruszać natychmiast.

...

Tamtej nocy odtrąciłam Maqara.

– Co jeszcze przede mną ukrywałaś? Jakie intrygi knułeś za moimi plecami przez te dwa lata?

Złapał mnie za nadgarstki. Zaczęłam młócić pięściami powietrze. Przyciągnął mnie do piersi. Zabib, służka, wycofała się i udawała, że jej tu nie ma, choć przecież nadal krzątała się po mojej komnacie i pakowała biżuterię, suknie oraz drogocenne zwoje. Świtało. Niebo wyglądało złowieszczo. Niewolnicy i zbrojni nieśli mój dobytek w stronę konwoju czekającego na pałacowym dziedzińcu. Eskortę tę przygotowano nie wiadomo kiedy, bez mojej wiedzy.

– Nazywacie mojego brata pionkiem w rękach Nashshanów. A jednak oto jesteście – ty i ci ludzie przychodzicie do mnie po tym, jak przez lata knuliście za moimi plecami! Mogliście zostać zdemaskowani w każdej chwili. Nie znacie Hagarlat tak jak ja! Jak długo moje życie było w niebezpieczeństwie, a ja o niczym nie wiedziałam?

– Makedo – przemówił wreszcie, tuląc mnie mocno do siebie. – Każdy z tych mężów przysiągł cię chronić. Żołnierze. Moi ludzie tu, w pałacu. Yafush, który śpi nieopodal twojej komnaty...

– I ty, który śpisz w jej wnętrzu. O, ja głupia! Przez chwilę myślałam, że wyprowadzasz mnie z pałacu w nocy, by wziąć potajemny ślub! – Roześmiałam się z okrucieństwem, po czym zasłoniłam oczy, zła i upokorzona.

– O niczym innym nie marzę.

– Nawet teraz twoje zapewnienia brzmią szczerze – stwierdziłam z goryczą.

– Ponieważ są prawdziwe! Ale jakże mógłbym cię poślubić, skoro wiedziałem, że ten dzień nadejdzie – choć nie chciałem, by tak się stało? – Wypuścił mnie z objęć. – Jak miałbym to zrobić?!

– Przez cały czas kłamałeś w żywe oczy!

– Nie. Almaqah wie, że poślubiłbym cię choćby w tej chwili, gdybyś tylko zechciała.

– Jakie to wygodne z twojej strony! Zostałbyś królem. Powiedz mi, proszę, czy taki był zamiar twojego możnego ojca? Czy poinstruował cię też, w jaki sposób

mnie uwieść?

– Makedo. – Na jego twarzy malowała się udręka. – Błagam...

– Powiedz mi, że to nie był od początku jego plan, kiedy knuł z innymi, bym objęła tron.

– Sojusznicy dawno temu zawarli pakt, że nie będą ci składać ofert małżeństwa politycznego, aby nie ściągnąć na siebie uwagi Hagarlat. Nie, dopóki...

Spoliczkowałam go. Po chwili uderzyłam go ponownie.

– Jakie to sprytne z waszej strony! A ja myślałam, że o mnie zapomniano na tyle lat, aż do dziś. I nie ostrzegłeś mnie ani chwili wcześniej. W zamian za te wszystkie noce, kiedy ci się oddawałam, mogłeś przynajmniej wyświadczyć mi taką przysługę.

Podniósł głos.

– Jak niby miałem ci o tym powiedzieć?! Czy nie rozumiesz, że byłem rozdarty? Co mam zrobić, żebyś mi uwierzyła? Powiedz, a uczynię to!

– Już za późno. A teraz ci ludzie przyszli po to, by mnie stąd zabrać, a ja mam posłusznie poddać się ich żądaniom? Cóż, nie zrobię tego!

Krzyknęłam do Zabib, by przestała pakować moje rzeczy.

Wszystko wokół zniknęło; moja osobista świątynia – miejsce uchodźstwa, nauki, spokoju, a później odkrywania miłości – stała pusta. To tutaj szlochałam Maqarowi w ramię, gdy po raz pierwszy przyszedł do mnie i uzdrowił mnie słowem oraz czułością. To tutaj miałam nadzieję spędzić resztę swojego życia, pogrążona w leniwym zadowoleniu; chciałam ślęczeć nad wciąż powiększającymi się zbiorami zwojów, z dala od demonów przeszłości.

A teraz wszystko to rozmywało się przed moimi oczami jak góry Saby mające na horyzoncie.

Po moich policzkach spływały łzy upokorzenia, gorące i słone niczym rozległe Morze Czerwone.

– Makedo... – Ponownie złapał mnie za nadgarstki. – Miłości moja.

– Nic mi nie mów o miłości. Błagam cię. Okaż mi tę łaskę.

Przyciągnął mnie do siebie z rozpaczliwą siłą.

– Powiedz, co mam uczynić!

Miałam ochotę powiedzieć, by sobie poszedł, wrócił z tymi wszystkimi ludźmi za morze i dał mi spokój. Ale nie potrafiłam znieść myśli o tym, że mogłoby go tutaj zabraknąć. Zaakceptowałam wygnanie, ponieważ było tu bezpiecznie. Dzięki Maqarowi to miejsce stało się piękne.

– Odeślij ich – odparłam. – Mieszkaj tu ze mną, tak jak do tej pory. Niech nic się nie zmienia. Jeśli jesteś szczerzy, zostań ze mną, mimo że nigdy nie zasiądem na tronie.

– Jak długo będę w stanie uchronić cię od niebezpieczeństw, gdy władzę obejmie ktoś inny – ktoś, kogo podstawowym celem będzie unicestwienie każdego konkurenta? Czy naprawdę myślisz, że zachowasz życie, jeśli twój brat zostanie królem?

– W takim razie ucieknijmy na wieś i zapomnijmy, że kiedykolwiek sypialiśmy w murach jakiegoś pałacu! Kupimy sad i będziemy uprawiać rolę. Dokonamy żywota w pokoju... – Gdy to mówiłam, wiedziałam, że moje przeświadczenie o takiej możliwości było równie fałszywe jak iluzja wolności przez te wszystkie lata. Tak naprawdę błagałam nie jego, lecz boga, który niegdyś wybawił mnie od Saby, a teraz w okrutny sposób wzywał tam z powrotem.

– Nie mogę wrócić. Nie mogę. Nie mogę... – Zasłoniłam oczy drżącymi dłońmi. Nie wiedziałam, czy wyznałam to Maqarowi, czy bogu.

Maqar złapał mnie za ramiona.

– Jeśli zechcesz, ucieknę z tobą na wieś i dokonam żywota u twojego boku w ukryciu. Powiedz tylko słowo, a uczynię to. Ale nigdy nie będziesz bezpieczna. Nigdy nie zaznamy spokoju. Stale będziemy musieli mieć oczy dookoła głowy, a ty będziesz chować do mnie urazę.

– Nigdy.

– Owszem. Ponieważ jedyne bezpieczne miejsce dla ciebie to tron. Nadej-

dzie dzień, w którym będziesz się zastanawiać, czy nie powinnaś dziś pójść tam, dokąd nakazali ci wyruszyć bogowie. Czy myślisz, że to efekt pomyłki: być pierworodnym dzieckiem króla? Że twoi rodzice pochodzili z tego samego rodu królewskiego? Czy nie rozumiesz, że jesteś przeznaczona do wyższych celów? Nie będziesz pionkiem. Nie pozwól im, by tak cię postrzegali! Jesteś od nich bystrzejsza i lepiej wykształcona niż niejeden mędrzec. I kiedyś kochałaś Sabę.

Owszem. Kochałam. Zanim matka opuściła mnie dla życia po śmierci, a ja zamilkłam. Zanim Sadiq splugawił moje komnaty, a Punt stał się sanktuarium – nawet jeśli tylko dlatego, że nie był Sabą, której zaznałam.

Tego ranka znowu śniłam o jej deszczach. W kolejnych dniach zastanawiałam się, czy to był omen. Nigdy nie potrafiłam uwolnić się od przeszłości; zawsze żyłam w strachu przed jej mackami, nawet wtedy, gdy zapraszałam do siebie kupców z portów, by zjedli ze mną posiłek w zamian za opowieści z podróży. Nie przekraczając murów Puntu, słuchałam o poczynaniach rady, niestabilnej polityce plemion, rosnącym kulcie Almaqaha i świątyniach, które wybudował dla niego ojciec. Almaqaha, boga księżyca, przedstawianego z błyskawicami lub jako byka. Almaqaha, któremu powierzyłam się wiele lat temu.

Saba znalazła mnie w snach. Saba znalazła mnie tu. Mogłam ją opuścić, ale ona nie opuściła mnie. Pojęłam teraz, że część mnie, mądrzejsza i bardziej przewidująca niż mój dopiero przytomniejący umysł, przygotowywała się do takiej przyszłości od dawna.

Gdzieś na zewnątrz rozległ się piskliwy śpiew muchołówki. Zamknęłam oczy.

– Pytałeś, co masz uczynić.

– Owszem. Powiedz mi!

– Jeśli zostanę królową, nie poślubię cię. To małżeństwo skazałoby mnie na niepewność do końca moich dni. A ja pragnę jakiejś pewności na tym świecie. Zatem nie zostaniesz ani moim mężem, ani królem. I co teraz powiesz?

– Że będziesz lepszą królową niż władcy przed tobą.

Opuściłam głowę na ramię Maqara. Objął mnie z większą czułością niż

wcześniej. W końcu wziął długi, drżący oddech, jakby przez cały ten czas wstrzymywał powietrze.

– Zostań ze mną – powiedziałam.

– Będę ci służył do końca moich dni.

Godzinę później opuściłam komnatę na zawsze, jak sądziłam. Nie byłam królową. Jeszcze nie. Ale nie byłam już tamtą księżniczką. Tego ranka wkroczyłam na pokład statku cumującego u brzegów Wąskiej Wody i ponownie przyjąłam imię, pod którym znała mnie Saba: Bilkis.

I tak oto moje dni w ukryciu dobiegły końca. Miałam osiemnaście lat.

Kiedy zamknęłam oczy, wydawało mi się, że czuję zapach żywicy olibanowej ściekającej po drzewach. Mówiło się, że woń tych sabejskich perfum dociera do żeglarzy na Morzu Czerwonym i unosi się nad południową zatoką. Tutaj można było w to uwierzyć.

– Księżniczko.

Otworzyłam oczy. Ujrzałam namioty i wielbłądy stu dwudziestu mężów na skraju wielkiej pustyni.

Zbierały się chmury. A jednak niebiosa nam sprzyjały. To znak od Almaqaha, jak stwierdzili kapłani kilka dni temu, kiedy podróżowaliśmy przybrzeżną równiną na południu. Asm, kapłan, który wraz ze mną opuścił Punt, złożył tam w ofierze wielbłąda.

Maqar jechał u mojego boku. Nagle wskazał coś palcem. Jeźdźcy. Na północnym krańcu doliny.

– Ruszajmy – powiedziałam i odwiązałam welon. Poprowadziłam swojego wielbłąda w dół wzgórza.

Opuścić Sabę lub wrócić do niej oznaczało: ryzykować wszystko – przebyć zdradliwe góry po walce ze spiekotą na przybrzeżnej równinie tylko po to, by zostać wyśmianym przez pawiany. Przemierzyć ocean piasku dalekiej wschodniej pustyni, cmentarza dla niezliczonych intruzów. Jedyna dająca się pokonać trasa prowadziła z północy przez oazy Dżaufu, a dalej mogłeś się przemieszczać tylko wtedy, gdy miałeś krewnych wśród okolicznych plemion albo bogactwa; z południa zaś – z portu przez doliny, a potem jedynie jeśli miałeś statek. To nie morze strzegło Saby i jej dobytku, ale jej góry i piaski.

Płakałam, kiedy statek wpływał do południowego portu. Nie były to łzy ulgi związanej z tym, że dotarliśmy tam przed deszczami i natknęliśmy się na południowe plemię Urramar, które użyczyło nam tak potrzebnych zapasów i wielbłądów.

Płakałam, bo nie sądziłam, że kiedykolwiek ucieszy mnie widok wysokich gór Saby.

Maqar miał rację. Kiedyś kochałam Sabę. Ale teraz na jej widok poczułam się całkowicie rozbita, jak powracająca kochanka.

Mój powrót miał swoją cenę. Od momentu gdy wkroczyliśmy na górskie szlaki Katabanu, Sadiq nawiedzał mnie w koszmarach – po raz pierwszy od lat. Nocami rzucałam się na posłaniu, oblana zimnym potem, drżąca pod wełnianym płaszczem w późnowiosennym chłodzie.

– Wynoś się! – krzyknęłam, kiedy Maqar obudził się w nocy i próbował mnie uspokoić. Chwilę później wyszłam za nim i zwymiotowałam na ziemię.

Hagarlat śledziła mnie na płaskowyżach, a ponura twarz ojca stawała mi przed oczami przy zejściu do wielkiej doliny. Maqar wybaczył mi mój wybuch, ale mnie nie dotykał.

Byłam jakby poza ciałem. Punt jawił mi się jako ciemna kraina za Wąską wodą, Saba zaś witała mnie demonami. Gnałam więc do przodu w jedynym dostępnym teraz kierunku: na północ, do stolicy.

Kiedy dotarliśmy na skraj obozowiska, coś zamajaczyło nad górami na tle tajemniczego nieba. Zmrużyłam oczy i obserwowałam krążące leniwie sępy. Nad naszymi głowami rozpościerały się chmury.

W obozowisku słyhać było ostre, gardłowe akcenty plemienne. Przypominało to odgłosy burzy kłębiącej się na horyzoncie. Wodzowie stali pod baldachimem swojego namiotu, pogrążeni w ożywionej dyskusji.

Krajobraz rozdarła błyskawica. W dolinie ucichł wiatr. Wrażenie było upiorne.

Możni umilkli, kiedy zbliżyłam się do ich namiotu. Umilkła także nowa osoba w tym gronie – człowiek może o kilka lat młodszy od mojego ojca. Jeszcze chwilę temu zażarcie dyskutował z Khalkharibem.

Dwanaście par podkreślonych na czarno oczu spojrzało na mnie jednocześnie. Czy chwiałam się, idąc w ich kierunku, czy krok mi się załamywał? Jak po-

strzegali mnie ci ludzie, którzy nie wiedzieli o mnie prawie nic, znali jedynie moje pochodzenie? Czy którykolwiek z nich widział we mnie królową, czy też jedynie środek służący do przejęcia władzy?

I ja posłałam spojrzenie każdemu z nich. Nowo przybyłemu w ostatniej kolejności.

– To Wahabil – przedstawił go Khalkharib. – Jego plemię jest spokrewnione z twoim. – Nie musiał mi tego mówić; natychmiast rozpoznałam symbol bogini Shams na rękojęści sztyletu mężczyzny. Powitałam go jak krewnego, dotykając okrytym woalką nosem jego nosa. Był krępy, mojego wzrostu, miał – o dziwo – jasne oczy i delikatną brodę, która nie zasłaniała mu podbródka.

– Moi ludzie czekają w kolejnej dolinie – oznajmił Wahabil.

– Czy masz jakieś wieści o moich krewnych? Myślałam, że dowiem się...

– Z Maribu przybył jeździec – przerwał mi Khalkharib.

Serce waliło mi jak młot.

– Król, twój ojciec, nie żyje – powiedział Wahabil. – Hagarlat posadziła swojego syna na alabastrowym tronie. Wypowiedzieliśmy mu posłuszeństwo. Twoi krewniacy gromadzą się teraz w Sirwah.

Cisza.

Wahabil z wolna pochylił się do przodu, dłonie oparł na kolanach.

– Bądź pozdrowiona, królowo.

Khalkharib od niechcienia uczynił podobnie, a wraz z nim Nabat i mężczyźni z Amanu. A potem Yatha, dowódca plemion Urramar i Ausan oraz wódz wschodniego Hadramautu, który dołączył do nas na wybrzeżu. I czterech innych; ich pochodzenia nie mogłam sobie przypomnieć. Jeden po drugim pochyłali się do przodu. Ich pomruki wypełniały powietrze.

Zza baldachimu rozległy się okrzyki ludzi, którzy znajdowali się na tyle blisko, by słyszeć i widzieć to, co się stało. Ci kłaniali się grupami, kolejni – falami. Ich głosy wznosiły się ku złowrogiemu niebu i niosły do chmur moje imię.

– Bądź pozdrowiona, królowo! Królowo Bilkis.

Odruchowo odwróciłam się w stronę Maqara, ale i on pochylał się nisko nad suchą ziemią; zobaczyłam jedynie kark, który pieściłam tyle razy.

Zerwał się wiatr. Baldachimy zadrżały, a sklepienie niebios rozdzierało się coraz dalej na południe.

– Zbierzcie ludzi – Khalkharib usiłował przekrzyczeć wichurę. – Ruszamy na Marib.

Tamtej nocy głos mojej matki, którego nie słyszałam już od wielu lat, powrócił – najpierw w postaci łagodnego nucenia dającego się usłyszeć w moim nieprzytomnym umyśle. Piosenka rozbrzmiewała niczym łopot namiotu na wietrze lub odgłos deszczu pośród huku wiatru na wyżynach. Była to sabejska kołysanka opowiadająca o otoczonych górami płaskowyżach, śpiewana wiosną, kiedy ulewa spływa z teras na pola i sady.

Była to pieśń mojej matki. I moja.

•••

W dolinie zebraliśmy ludzi z plemion Kahar i Ausan. Poruszając się szybko, okrążyliśmy oazy opanowane przez ptactwo. Hagarlat z całą pewnością zwołała swoich sojuszników już dawno temu i wieść o moim przybyciu wkrótce dotrze do uszu jej szpiegów, o ile już się tak nie stało. Wiadomości rozeszły się w okolicznych osadach, z których przychodzili członkowie plemion, by jeść przy naszych ogniskach albo zaprosić nas do siebie „na tłuszcz i mięso”, ciekawi plotek i widoku powracającej księżniczki, przyszłej królowej. Najbogatsi z nich ubijali kozy i cielęta – czasami tuzin zwierząt – by wykarmić nas wszystkich, choć sami nie mieli wtedy co jeść. Jedno z plemion przysłało nawet czterech swoich członków, by do nas dołączyli.

– Oto twój sługa Ammiyatha! Pamiętaj o nim! Miej wzgląd na niego! – krzyczano.

W ciągu nocy niewielkie rzeczki przekształciły się w rwące potoki. Był to

efekt deszczy padających na nizinach. Rzeki zalewały wyczekujące pola, a robotnicy naprawiali pęknięcia w kanałach nawadniających.

Szły za nami wdowy z nagimi dziećmi, zgarbieni, prawie bezzębni starcy, odziani w łachmany chłopcy z młodszym, głodnym rodzeństwem. Przychodzili jadać przy naszych ogniskach. Byli to najubożsi, zapomniani członkowie plemion dotkniętych chorobą lub suszą po zimie. Za każdym razem nakazywałam, by dano im coś do jedzenia – choćby miskę spienionego wielbłądziego mleka. Raz ujrzałam, jak kilku mężczyzn odtrąciło młodą matkę z dziećmi. Wpadłam wtedy w furję.

– Saba to kraina pełna wonności i złota – zaatakowałam Wahabila. – Jak to możliwe, by jakikolwiek mieszkaniec kraju, któremu wszyscy zazdroszczą bogactw, chodził głodny? – Poszłam za tą kobietą i jej dziećmi i zabrałam całą rodzinę do swojego namiotu.

– Ludzie ją odprawili, ponieważ ich własne zapasy się kurczą – powiedział mi później szeptem Maqar. – Kilku mężczyzn z Urramar musiało ubić wielbłąda.

– Dajcie jej moją porcję, skoro nikt jej nie nakarmił. A także jeden z moich koców.

Pomimo tej decyzji nie poszłam spać głodna. Później dowiedziałam się, że zarówno Wahabil, jak i Maqar odstąpili swoje posiłki kobiecie, która wymknęła się z namiotu przed świtem.

Początkowo wędrówka lądem kojarzyła mi się jedynie z niekończącym się bólem pleców od jazdy i górami kamieni pośród kłębowiska wielbłądów. Kiedy minęły te pierwsze, zdumiewające dni, nie czułam nic poza nasilającym się wiosennym upałem, duchotą, twardym siodłem i nocnym chłodem przeszywającym mnie mimo płaszcza. Natrętne muchy gryzły zarówno wielbłądy, jak i ludzi.

Kiedy sklepienie rozdzierało się nad zachodnimi wzgórzami, ciężkie od deszczu, zdałam sobie sprawę z tego, że nie zasypiam już snem sprawiedliwego zaraz po udaniu się na spoczynek, lecz leżę czujna i nasłuchuję wieczornych odgłosów gepardów oraz ostrego skrzeczenia sokołów o brzasku.

W miarę jak odległość od Maribu malała, coraz bardziej uświadamiałam sobie, że jestem zmęczona nie tyle podróżą, ile myślami o nadchodzących chwilach

prawdy. Aż za dobrze wiedziałam, co się ze mną stanie, jeśli poniesiemy porażkę. Moi krewni i sojusznicy narażali własne życie. Byli gotowi zaryzykować dla potencjalnych korzyści. Ale co będzie z Asmem, kapłanem, który wędrował ze swoimi uczniami na moją prośbę? Co z Yafushem, eunuchem, który spał przed moim namiotem? Co z Maqarem, który potajemnie mnie w to wszystko wmieszał? Jaki koniec ich czekał, jeśli zostaniemy pokonani?

Almaqahu, wybaw nas wszystkich.

Moje wątpliwości nie dotyczyły tylko naszych przyszłych losów. Już od wybrzeży Puntu prowadziłam walkę. Po latach spędzonych poza granicami Saby byłam królową, która nie znała swoich wrogów ani nie potrafiła ocenić szczerości sojuszników. Otaczający mnie arystokraci mieli zamiar objąć władzę w radzie do czasu, aż któryś z nich mnie poślubi i stanę się królową tylko z nazwy.

Musiałam zabiegać o to, aby jechać u ich boku – chciałam bowiem zostać wtajemniczona w ich rozmowy. Właściwie to musiałam walczyć, by w ogóle pozwolili mi jechać na wielbłądzie. Zagroziłam nawet, że spalę lektykę, którą dla mnie przygotowali. Najwyraźniej miałam im towarzyszyć niczym święta arka, którą wojska mojego dziadka zabierały na pole bitwy, aby za pomocą tego symbolu ogłaszać swoją suwerenność... Symbol ten jednak sam w sobie nie oznaczał żadnej władzy.

Almaqah wezwał mnie z powrotem do Saby. Musi uczynić mnie roztrofną.

Mówiłam rzadko, za to nasłuchiwałam wszystkiego. Szybko zorientowałam się, czyje imię mogę umieścić na liście swoich potencjalnych sojuszników. Kto miał najlepszych szpiegów. Do których możliwych zwracać się w pierwszej kolejności. Które plemiona miały najlepsze wielbłądy, były najbliższej spokrewnione z królewskim rodem, a którymi targały właśnie.

Nic po nici rozszyfrowywałam splot wzajemnych zobowiązań, ambicji i urazów, w który wplątano mnie bez mojej wiedzy. Za każdym razem, gdy dołączali do nas nowi przedstawiciele plemion, robiłam to samo, co zwykłam czynić od lat: gorliwie się uczyłam. Nad kim powinnam zyskać przewagę. Czyjego wsparcia potrzebowałam najbardziej. Komu mogłam zaufać. Komu nie należy wierzyć.

Moja wiedza nie osłabiała jednak wyraźnej samokontroli możliwych, widocz-

nej za każdym razem, gdy się do nich zbliżałam. Ale i nie ułatwiała im sztywnych odpowiedzi, kiedy skłaniali głowy – chyba że chodziło o gorące zapewnienia dotyczące ich wkładu w moją sprawę.

– Przedstawiciele plemienia Kahar przybywają do ciebie z toporami, włóczniami i mieczami – powiedział ich dowódca z sabejskim akcentem. – Przyprawiam ci sześciuset mężów. Kiedy powrócimy na nasze ziemie, a ty zostaniesz królową, złożymy w ofierze Almaqahowi setkę zwierząt. Nie zapominaj o nas.

Od pewnego czasu czułam, że coś, co zostało zapoczątkowane powoływaniem się na prawo krwi, przekształciło się w długą listę wzajemnych przysług. Nigdy w życiu nie czułam się taką dłużniczką.

– Yafushu – szepnęłam raz późno w nocy, wymykając się z mojego czarnego namiotu. Pośród oceanu śpiących przy dogasających ogniskach ludzi i ułożonych do snu wielbłądów namiot ten niczym nie różnił się od prawie pięćdziesięciu pozostałych.

Eunuch, który nigdy nie spał zwrócony twarzą do namiotu, nie przewrócił się na drugi bok.

– Cierpisz na bezsenność, księżniczko – stwierdził. Jego szerokie ramię wyglądało jak zachodnie pasmo gór na tle gwiazd. W trakcie podróży nie odstępował mnie na krok. Towarzyszył mi nawet wtedy, kiedy szłam za potrzebą i kuciałam, osłonięta płaszczem, podobnie jak czynił to każdy Sabejczyk, czego Yafush nie omieszkał nazywać kobiecym zachowaniem.

– Widzę, jak na mnie patrzysz – powiedziałam łagodnie. – Jestem przedmiotem. Koroną, którą będzie nosił inny człowiek.

– To dobrze.

– Niby dlaczego?

– Oni będą cię także chronić, ryzykując własnym życiem. Przynajmniej na razie.

Przy sąsiednim ognisku ktoś mamrotał przez sen i zaraz został uciszony burkliwym komentarzem.

- Opowiedz mi o egipskiej królowej Hatszepsut.
- Wiesz o niej już wszystko.

Istotnie, przeczytałam każdą wzmiankę na temat tej egipskiej monarchini, której posłańcy jako pierwsi wyruszyli przez Morze Czerwone, by handlować z moimi przodkami w Puncie. Kobieta-faraon, nazywająca siebie królem. Nawiedzały mnie barwne sny o niej, o sztucznej drodze faraona, o delikatnych palcach oplatających insygnia władzy, o Amonie – jej boskim ojcu.

- Opowiedz, co mówi o niej twój lud – wyszeptałam.

Yafush wreszcie ułożył się na plecach, ale nie odwrócił się, by na mnie spojrzeć.

– Mówią, że uczyniła się mężczyzną. I że faraon, który przejął po niej władzę, kazał usunąć zewsząd jej wizerunki. Ty nie możesz na to w przyszłości pozwolić, księżniczko.

- Kiedy umrę, niewiele będę w stanie zrobić.
- Kobieta nie może rządzić tak jak mężczyzna, księżniczko.
- Dlaczego?
- Ponieważ jest kobietą.
- I ty mi to mówisz? Twoim ludem rządzą królowe.
- Królowa musi rządzić jak kobieta, księżniczko.

Na chwilę umilkłam. W końcu zrozumiałam enigmatyczne słowa Nubijczyka.

– Powiedz mi, czy to prawda, że była córką Amona? Jakże kobieta może być córką boga?

– Była faraonem. Skoro Amon, a nie jej ojciec, powołał ją na tron, to czyją była córką? – Uśmiechnął się, w ciemności jego zęby błysnęły bielą.

Odwzajemniłam uśmiech i już prawie pozwoliłam, by płachta namiotu opadła, ale w ostatniej chwili powstrzymałam ją.

- Yafushu...
- Tak, księżniczko?
- Nie będziesz mnie nazywał „królową”?
- Jesteś kobietą o wielu imionach, księżniczko.

Prawie do świtu wpatrywałam się w ciemność panującą w namiocie i rozważałam słowa Yafusha. Skoro nie liczyłam się jako kobieta, ale nie powinnam udawać mężczyzny, musiałam stać się kimś zupełnie innym.

Następnego dnia nakazałam Asmowi, by ogłosił mnie przed całym zgromadzeniem arcykapłanką i córką Almaqaha. Kiedy kapłan usłyszał moje słowa, zmarszczył brwi.

- Księżniczko, dlaczego o to prosisz? – spytał.
- A kto według ciebie postara się o złoto dla świątyni, gdy zostaniesz pierwszym kapłanem? To nie była prośba.

Po raz pierwszy od chwili przybycia na południowe wybrzeże zrzuciłam swoją zabrudzoną tunikę i przywdziałam szatę wyszywaną karneolami. Rozpuściłam włosy, sięgnęłam po ciężki naszyjnik w kształcie księżycy i pierścionie. Ich ciężar wydał się obcy wysuszonej, popękanej skórze moich palców. Na głowę wciśnęłam złoty diadem z delikatnym filigranem opadającym kaskadą aż do brwi.

Przez cały ranek niebo ciemniało coraz bardziej. Gdy Asm uniósł pozłacane rogi nad moją głowę i ogłosił mnie Arcykapłanką Księżyca, Córą Byka, w oddali rozległ się grzmot, jakby góry osunęły się na skraj ziemi. W tamtej chwili nie myślałam o tym w ten sposób; ot, taka była pora roku, chmury nad wyżynami zbierały się od kilku dni. W porannym upale każdy podmuch wiatru był dla mnie, dźwigającej ciężar ubrania i złota, jak błogosławieństwo.

Nie byłam przygotowana na poruszenie, jakie nagle zauważyłam u zgromadzonych. Na dziesiątki, a potem setki ludzi, którzy upadli na kolana. Kątem oka dostrzegłam, że Khalkharib patrzy na to ze zdziwieniem, a Wahabil kłania mi się nisko... Widziałam mojego kapłana o surowym wyrazie twarzy i Maqara z wyciągniętymi dłońmi – jakbym nie była kobietą, która spędziła w jego ramionach setki

nocy, ale boginią.

Asm, który zamierzał poczekać z odprawieniem rytuału do czasu, aż znajdziemy się w kompleksie świątynnym w Maribie, ogłosił tę chwilę znakiem i oznajmił, że nigdy więcej we mnie nie zwątpi.

– Powiedz mi, Córa Almaqaha, czy miałaś wizję?

Pokręciłam głową, a on przyjął tę odpowiedź z pewną dozą rozczarowania. Nie powiedziałam mu, że nie wypatrywałam znaków. Że obrzęd ten był dla mnie przedmiotem zarówno pożądania, jak i strachu. Córa Almaqaha. Nawet mój ojciec, poprzedni arcykapłan, nie ośmielił się ogłosić synem boga. Nie musiał. Wykorzystywał bowiem swój tron jako nośnik kultu, a nie na odwrót.

Od tej chwili moje zwycięstwa i porażki dotkną samego boga księżycy. W wyniku naszej walki imię Almaqaha będzie wysławiane lub szargane przez przyszłe pokolenia.

Skoro byłam teraz niewolnicą boga, to i on powinien mi służyć.

Nim wyruszyliśmy dalej, zakopałam w ziemi drogocenny naszyjnik z jadem.

Prowadź mnie do mego tronu.

Tamtego popołudnia niebo zmętniało, a na góry spadła potężna ulewa.

...

Na wschodnim krańcu doliny Haribu czekało na nas niemal siedmiuset mężczyzn, którzy przysięgli mi lojalność. Połowę z nich stanowili moi krewni. Po latach twarze tych nielicznych kuzynów i wujów, których niegdyś znałam, stały się dla mnie obce. Krewni Khalkhariba i Maqara, prowadzeni przez Salbana, ojca mojego ukochanego, dopełniali całości.

Widziałam, jak udają, że wcale nie usiłują dostrzec mojej twarzy okrytej woalem. Jeden z nich spojrzał mi w oczy, nim uniósł dłoń w geście pozdrowienia. A więc już słyszeli o ogłoszeniu mnie arcykapłanką. W jakiś sposób poczułam, że je-

steśmy sobie przez to jeszcze bardziej obcy.

Ulgę przyniosły mi słowa jednego z nich:

– Kuzynko, pamiętasz, jak bawiliśmy się w pałacu? Ty miałaś cztery lata, a ja pięć; łapałem dla ciebie jaszczurki. Teraz wytnę dla ciebie ludy północne!

Odpowiedziałam, że pamiętam, i objęłam kuzyna, choć część tych wspomnień już dawno się wypaliła.

Dotarliśmy na skraj obszaru stanowiącego południowo-zachodni kraniec pustkowia. Był to teren wyjątkowo żyzny; niegdyś jego spragnione piaski zasiląca wielka rzeka. Rosły tam powoje, słonolubne tamaryszki i zeszłoroczne turzyce.

Człowiek podróżujący na północ lub wschód mógł jechać stąd przez miesiąc pośród wydm i zwapniałych równin, doprowadzając się do skrajnego wyczerpania, odwodnienia albo szaleństwa, zanim napotkał jakąś żywą dyszę. Piaski strzegły wschodnich granic Saby od zarania dziejów; pogrzebały już całe legiony intruzów.

Tamtego wieczoru, kiedy ludzie rozeszli się do goszczących ich rodzin, od strony pustyni przybyło kilku mężów. Na znak pokojowych zamiarów rzucali piaskiem w powietrze. Byli to uchodźcy, którzy mogli przebywać na pustyni już od miesięcy. Nazywano ich Pustynnymi Wilkami.

– Powiadają, że niedaleko stąd jest studnia, w której o tej porze roku znajduje się sporo deszczówki – powiedział mi później Amańczyk. Skinął głową na wschód, w kierunku pustyni. – Oni przybyli, aby napić swoje wielbłądy, które miesiącami piły słoń wodę. Bardziej są jednak spragnieni wieści. Nie słyszeli o śmierci twojego ojca ani o twoim przybyciu. Jeśli podarujesz im wielbłądy lub noże, przyłączą się do ciebie.

– Poślę kogoś, aby z nimi porozmawiał. A gdzie moi sojusznicy, twoi krewni? – spytałam. Mój kuzyn – bratanek mego ojca – twierdził, że Hagarlat może mieć pięć, a nawet siedem tysięcy mężów po swojej stronie.

– Przybędą – odpowiedział. Nim odszedł od ogniska, włożył sobie do ust trochę czuwaliczki.

– Już mu nie ufam – powiedział Maqar, wśliznąwszy się do mojego namiotu.

Księżyc był w nowiu – doskonała noc na zasadzkę. Do tej pory zwiadowcy nie zauważyli jednak żadnych niepokojących ruchów.

– Ponieważ pochodzi z północy? – spytałam, kiedy położyliśmy się na sterce juków. Odgarnęłam mu włosy z twarzy. Dotknęłam go pierwszy raz od wielu dni.

– Nie. Ponieważ nie patrzy na ciebie tak, jak inni.

Roześmiałam się głośno.

– A jak powinien na mnie patrzeć?

Przedstawiciele plemion byli ludźmi srogimi i zmęczonymi życiem. Maqar również był wojownikiem, a nawet szkolił w tej dziedzinie innych, ale przez dwadzieścia pięć lat życia nie został dotknięty kamieniem, który tak szybko wyrwał wojnę w sercach tych mężów.

– Nie rozumiesz tego, prawda? Jesteś z innego świata. Nigdy nie widziałem cię takiej jak wtedy. Czy wolno mi cię dotykać, Córo Almaqaha?

– Nawet musisz. – Z powrotem nachyliłam się do niego. Palce Maqara zapłonęły, podobnie jak jego oddech na mojej twarzy. Zaczęło padać.

– Makedo...

– Teraz już Bilkis – zamruczałam, chwytając wargami jego kciuk.

– I tak zawsze będę widział w tobie Makedę. Nawet wtedy, gdy zostaniesz moją królową. I długo po tym, kiedy poślubisz jakiegoś arystokratę albo faraona. I zapomnisz o Puncie. O mnie.

Ugryzłam go, ale nie za mocno.

– Nigdy tak nie mów. Poza tym, czyż nie słyszałeś plotek? Przeklełam swojego narzeczonego, dlatego zmarł. Czy myślisz, że Khalkharib i inni nie widzą, jak wchodzisz do mojego namiotu i wychodzisz z niego? Wiedzą, że nie jestem dziewicą. O ile nie wiedzieli o tym wcześniej.

– Kiedy zostaniesz królową, szybko wybaczą ci jedno i drugie.

– To nie ma znaczenia. Jeśli nie ty, to żaden. – Nie powiedziałam mu o tym, że zaczęłam się zastanawiać nad złożoną wcześniej przysięgą, iż nigdy za niego nie wyjdę. Miałam na to wystarczająco dużo czasu.

Posłał mi delikatny i, jak mi się wydało, smutny uśmiech.

– Teraz tak mówisz. Ale przyjdzie dzień, w którym radni polecą ci sojusz z kimś o wiele potężniejszym. A jeśli nie oni, to ja to zrobię.

– Przysięgłeś być przy mnie.

– I będę, nawet jeśli nie w twoim łóżku.

– Dlaczego mówisz takie rzeczy? – Czy aż tak go zraniłam podczas pierwszych nocy w podróży? – Są inne sposoby na zawarcie sojuszu. Sam mówiłeś, że jestem mądra. Czy twoim zdaniem oddałabym się komuś tak łatwo – o ile w ogóle – wiedząc, że jesteś blisko? Nie. Nie zrezygnuję z ciebie.

Milczał, ale to nie miało znaczenia. Z czasem udowodnię mu prawdziwość moich słów. Nie mogłam sobie wyobrazić życia – ani tutaj, ani w Puncie, ani nigdzie indziej – bez niego.

Ale wtedy... ścisnęło mnie w dołku.

– Z pewnością rozważałeś taką możliwość – mówiłam powoli – że będę przy tobie nawet wówczas, gdy zostanę królową, tak, jak tego oczekiwałeś.

– Czy możesz w to w ogóle wątpić?

Przez chwilę słychać było tylko nasilające się bębnienie deszczu. Nie odpowiedziałam. Maqar podniósł się gwałtownie.

– Powiedziałaś, że nigdy nie uczynisz mnie królem, i nie sprzeciwiłem się temu. Kosztowało mnie to więcej, niż myślisz. Czy nie widzisz, jak na mnie patrzą? Jak możni milkną, kiedy jestem w pobliżu? Są zbyt ostrożni, by okazać pogardę, ale owszem, gardzą mną, ponieważ darzysz mnie względami.

– Są zazdrośni!

– Mimo to mówię, że musisz wyjść za mąż dla sojuszu, z miłości do ciebie, podczas gdy pragnę tylko cię osiąść! Jak jeszcze mam cię przekonać? Daję ci

moją dumę, moje ciało, moje życie!

Nachyliłam się i chwyciłam go za ramiona. Zawstydzily mnie te słowa.

– Przebacz mi – powiedziałam. – Przebacz mi – powtórzyłam szeptem.

Po dłuższej chwili napięcie zaczęło go opuszczać.

– Plemienni politycy mają zły wpływ na nas oboje – stwierdziłam. – Ty i ja... zbyt długo sypialiśmy osobno.

Odgarnęłam mu z karku kaskadę włosów. Odwrócił głowę. Nawet w ciemności widziałam, że patrzy na mnie ze zdziwieniem. Nagle znalazłam się w mocnym uścisku jego ramion. Bębnienie deszczu stłumiło jego westchnienia.

Z przywódcami plemion spotkałam się o świcie, na rozciągającym się na skraju pustyni rozległym terenie porośniętym roślinnością. Sześć kopczyków z kamieni – prymitywna imitacja słupów świątyni w Maribie – wyznaczało miejsce polowego sanktuarium, z którego korzystali nomadzi i podróżnicy.

Niman, mój kuzyn, postarał się o młodego kozła. Niman sam mógł zostać królem, gdyby jego ojciec przetrwał wyprawy wojenne Agabosa. Ale żaden z synów Agabosa poza moim ojcem nie przeżył i dlatego koronę przekazano właśnie jemu. Kozłą co jakiś czas meczało. Zaczątki jego rogów zakręcały się lekko do środka, tworząc idealny sierp nad łbem zwierzęcia.

Wraz z Nimanem pojawiło się jeszcze coś, czego nie miałam nadziei kiedykolwiek ujrzeć: *markab*.

Wcześniej widziałam jedynie jej wizerunek na świątynnych drzwiach z brązu, na których przedstawiono zwycięstwa mego dziadka. Teraz ujrzałam ją na własne oczy. Legenda stała się rzeczywistością.

Markab – arka wykonana z drewna akacjowego, ozdobiona złotem i strusimi piórami – pełniła funkcję sztandaru, a jednocześnie była trofeum wojennym. Z jej podstawy po obu stronach wystawały złote rogi. Przesadnie wygięte w łuk, przywodziły na myśl byka, atrybut boga księżyca. Wojska mego dziadka wносиły arkę na pola bitew. Siedziała w niej dziewczica o obnażonych piersiach. Żaden przeciwnik nie był w stanie jej wykraść. *Markab* zaginęła jednak w ostatnich latach panowania mego przodka – a przynajmniej doszły mnie takie słuchy.

Na jej widok w obozie zapanowała cisza. Dziesięciu mężów niosło *markab* nad głowami, a kolejnych dwudziestu biegło obok niej dla upamiętnienia dnia, w którym wojownicy przykuli się do ramy arki, aby do ostatniego tchu bronić jej i dziewiczej królowej wojny. Kiedy wniesiono arkę, dostrzegłam uchwyty, za pomocą których dawało się przytwierdzić ją do grzbietu wielbłąda.

Dwóch akolitów chwyciło mnie za ramiona i zaprowadziło na miejsce. Go-

dzinę wcześniej Asm podał mi gorzki wywar z korzenia datury[5]. Natychmiast zebrało mi się na wymioty. Odmówiłam odpoczynku. Potem zwróciłam jeszcze dwukrotnie.

Uklęłam przed *markab*. W ustach miałam gorzki posmak, a moje rozpuszczone włosy wiły się po łydkach i ziemi. Nagle niebo nade mną przesłoniła jakaś postać. Asm. Połączana czaszka byka Almaqaha wydawała się unosić nad jego głową, oczy ziały niczym czarne otwory bez dna, nos wyglądał jak usta z wyszczerzonymi zębami. Omal nie krzyknęłam na ten widok.

Kapłan przemówił. Choć dobrze znałam jego szorstki głos, wydawało mi się, że słowa wydobywały się z bydlęcego pyska. Na zachodzie, nad górami, zagrzmiało.

– Oto czynimy ofiarę z krwi – wody, soli i ochry życia – byś wysłuchał modlitwy swej córki. Almaqahu, bogu księżyca i burzy, usłysz swego sługę i spełnij jego prośbę! – Zamachnął się i nagle w powietrzu znalazło się pięć magicznych kamieni, które następnie potoczyły się po ziemi. Dwa upadły znakami do góry: kamień wątroby i kamień krwi.

– Almaqahu, usłysz i spełnij – mamrotali współplemieńcy, czciciele Amma i Sayina, Athtara i Wadda, bogów słońca, księżyca oraz Gwiazdy Porannej[6], pól, deszczu i burzy. Bogów ich krain, przodków i klanów. Każdy z tych mężów przysięgał na bóstwa z odwiedzonych terenów, podobnie jak ja przysięgałam na Sayina, gdy przebywaliśmy na wybrzeżu, i na Amma w Katabanie. Teraz byliśmy na suwerennym terytorium Saby.

Saba i Almaqah, ponad wszystko.

Asm zwrócił twarz na wschód, gdzie nad pustynią było widoczne blade srebro księżyca. W dłoni kapłana lśnił sztylet o sierpowatym kształcie.

– Almaqahu, przynieś swej córce wielkie zwycięstwo, daj zwinność mieczom zebranych, jej krewnych i sojuszników. Odpowiedz, czy tego dnia zdobędziemy Marib. Daj nam zwycięstwo, byśmy mogli czcić cię po wsze czasy. Saba i Almaqah, ponad wszystko!

Plemiona zawierają własne układy z bogami, pomyślałam. Wszyscy ludzie

muszą to czynić. Ale mój układ, zawarty wiele dni temu, dotyczył tylko boga i mnie samej.

Asm klęczał przy koźleciu i trzymał jego łeb. Nie zauważyłam, kiedy się poruszył. Ostrze błysnęło, a następnie powoli się uniosło. W jednej chwili krew naczyniła kremową szyję zwierzęcia makabrycznym uśmiechem; potem trysnęła czerwonym łukiem w powietrze.

Akolita padł na kolana, by złapać ją do złotej miednicy. Patrzyłam, jak naczynie się wypełnia, aż obraz zamazał mi się niczym karmazynowy rozprysk na krawędzi misy. Nie było wiatru; czułam mocną metaliczną woń.

Wpatrywałam się, skamieniała, jak ze zwierzęcia uchodzi życie. Związane nogi koźlecia w końcu opadły bezwładnie na piasek.

Gdy Asm poruszył się, by rozciąć koźleciu brzuch, powiedziałam sobie, że nie będę na to patrzeć. Kiedy odwracałam wzrok, mimowolnie dostrzegłam, jak akolita pociągnął za krawędź ziejącej rany.

Odór trzewi... Rozdzieranie mięsa jak prucie niezliczonych nici... Asm, zakrwawiony aż do przedramion, wycinający wątrobę...

W pełnym łęku zdumieniu patrzyłam, jak ją bada, a następnie rozcina delikatnie niczym owoc.

– Wróżba jest pomyślna – oświadczył. – Dziś zdobędziemy Marib!

Lud wzniósł okrzyk. Moja krew pulsowała zbyt szybko, zbyt głośno.

– Co będzie dalej? – zapytał ktoś.

Kapłan podał okrwawiony kawał mięsa akolicie, a od drugiego pomocnika wziął misę z krwią. Z pewnym opóźnieniem zdałam sobie sprawę z tego, że klęczał przede mną.

– Córo Almaqaha, spójrz na zawartość naczynia i powiedz mi, co widzisz.

Oderwałam wzrok od czarnych otworów w czaszce byka.

Misa. Tyle krwi! Nachyliłam się i spojrzałam na czerwoną ciecz, w gąszcz życia i śmierci. Przez chwilę wydawało mi się, że nie stoję na skraju pustyni, lecz

w pałacu. Znow jestem małą dziewczynką, która przywiera do ciała swej martwej matki. Wokół moich palców wiją się jej włosy. A potem znowu mam dwanaście lat i jestem złakniona wybawienia. Rubiny zdobiące bransoletę mojej matki są tak samo karmazynowe jak plamy krwi na złotym brzegu misy...

Ten obraz mnie spowijał, zacieśniał się wokół mojego ciała. Ogłuszyło mnie ostre dzwonięcie w uszach.

– Moja królowo, co widzisz? – Głos Asma dochodził jakby z daleka.

– Kadzidło. Z żywicy olibanowej – usłyszałam swoje słowa.

Chciałam go dotknąć, ale wstał z kolan. Zachwiałam się i poszukałam oparcia. Moje dłonie spoczęły na brzegu misy. Po chwili podałam ją komuś.

– Szlak kadzidlany – usłyszałam z oddali głos kapłana. – Szlak kadzidlany! Almaqah zapewnia ci pomyślne rządy! – Zebrani zaczęli wznosić okrzyki – wszyscy oprócz Maqara, który ścisnął mnie za ramiona. Dzieliły nas moje wyciągnięte ręce, moje ociekające krwią palce.

Maqar objął mnie i zawołał, by królowej przyniesiono wodę i coś do jedzenia. Kiedy spojrzał na mnie, dostrzegłam, że jego oblicze było pochmurne jak niebo na zachodzie. Dotknęłam jego twarzy.

W nocy, a potem ponownie tuż przed świtem nadrabialiśmy zaległości w naszym łożu polowym – po cichu, acz żarliwie. O brzasku przysięgam sobie w chwili ciszy, że przed końcem lata weźmiemy ślub. Nie obchodziło mnie to, jakie były zamiary jego ojca. Mógł sobie myśleć z satysfakcją, że wszystko to ukartował. Nieważne. To ja wygrałam.

Od strony obozowiska nadbiegł jakiś człowiek. Wstałam z wysiłkiem. Dopiero teraz zauważyłam, że rozmazałam Maqarowi krew na policzku i piersi.

– Od północy nadciągają wojownicy! – krzyknął mężczyzna. – Setki!

Ręce wszystkich mężów wokół nas powędrowały do mieczy, ale Amańczyk obwieścił donośnie: – Widzisz, królowo? Moi ludzie nadeszli. – Skinął w kierunku wielkiego zgromadzenia widocznego na horyzoncie.

•••

Kiedy wojownicy przygotowywali się do drogi, przystanąłam przy *markab*, by musnąć palcem zdobiące ją pozłacane rogi. Skubnęłam leniwie strusie pióro. Złote elementy były dobrze wykonane, bardzo gładkie. Nie miały najmniejszej rysy. Podobnie jak drewno akacjowe – tak mi się przynajmniej wydawało. Pióra również były nienaruszone, aż nazbyt dziewicze i świeże, by człowiek mógł uwierzyć w to, że od dawna odwiedzały pola bitew...

Bardzo sprytnie.

...

Zmierzaliśmy na zachód, by powitać Amańczyków na równinie Maribu. Tamten człowiek miał rację: były ich setki. Po przyłączeniu się do nas sformowali prawe skrzydło. Dobiegało południe i zaczął padać deszcz. Włosy przykleiły mi się do głowy, a welon do twarzy. Od rana z okolicznych wiosek przybywali kolejni mężczyźni i teraz było ich razem już prawie cztery tysiące. Stanowili zjednoczoną królewską eskortę, efekt sojuszu militarnego.

Przed nami, za Dhaną, która płynęła po lewej stronie, widać było skraj południowej oazy Maribu, zieleniącej się pośród wdzierających się wszędzie piasków pustyni. Serce zaczęło mi szybciej bić.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek jeszcze ujrzę te pola, a nawet jeśli tak, to nie pomyślałabym, iż uznam to za błogosławieństwo. Teraz mój duch umacniał się, gdy patrzyłam na rwącą rzekę. Jej nurt, latami widywany w snach, był znowu realny. A dalej – świątynia pośród południowej oazy, połączonej ze stolicą wąskim traktem wiodącym nad wodami.

Gdy dobrnęliśmy do wschodniego skraju mniejszych oaz na północy, Niman gwałtownie obrócił się w siodle.

– Saba i Almaqah, ponad wszystko! – krzyknął i uniósł włócznię.

Ci, którzy znajdowali się najbliżej, podchwycili to hasło. W ciągu kilku minut okrzyk zmienił się w ryk niemal czterech tysięcy głosów, zagłuszający zarówno

deszcz, jak i szum wody.

Powinniśmy już dostrzec zachodnie mury Maribu. Nagle horyzont zadrżał niczym powietrze pod wpływem fali upału na piaszczystej drodze. Przez moment pomyślałam, że to omamy po napoju sporządzonym przez Asma – czy raczej po tych kilku jego kroplach, których nie zwróciłam. Ale wtedy ich zobaczyłam.

Szeregi wojowników. Całe mnóstwo.

Nabat dał sygnał, byśmy się zatrzymali. Gdzieś z tyłu zabrzmiał krótki dźwięk rogu, obwieszczający wszystkim rozkaz.

Maqar zbliżył się do mnie.

– Niech twój kapłan przeprowadzi cię traktem do świątyni. Natychmiast! – powiedział przyciszonym głosem. – Chronj ją – zwrócił się do Yafusha.

Powstrzymałam eunucha gestem.

– Nie.

Maqar jednak nalegał.

– Nie możesz tego oglądać. Nie będziesz bezpieczna. Nie przy tyłu przeciwnikach!

– Nie będę uciekać, kiedy inni walczą w moje imię.

– Zrób to, póki czas – syknął.

– I co – mam czekać na raport z pola bitwy? Na posłańca, który powiadomi mnie, czy jestem królową, czy nie?

– To wszystko nie będzie miało żadnego sensu, jeśli zginiesz! Sam po ciebie przyjdę, gdy będzie po wszystkim. Wkroczysz do miasta w chwale. Ale do tego czasu przynajmniej będziesz miała tu azyl...

Nie musiał kończyć tego zdania – znałam jego dalszy ciąg: „Jeśli przegramy”.

– A co niby mam robić w świątyni? Dokonać żywota jako kapłanka, nie postawiwszy już nigdy stopy poza jej murami? – Pokręciłam głową. – Nie zostawię

mojej *markab*. Nie zostawię cię.

– Zapomnij o mnie! Teraz powinienem być dla ciebie nikim! Dla dobra Saby...

Narastało we mnie coś zbyt długo skrywanego, zbyt długo zapomnianego. Święte, zaciekle oburzenie. Sprzeciw wobec ponownego wyrzekania się swojego imienia, praw należnych z tytułu urodzenia z powodu wstydu czy lęku... Wszystkie powody do wstydu, wszelkie lęki z przeszłości opadły ze mnie niczym skorupa.

– Czy myślisz, że nie wiedziałam, iż znajdę się w niebezpieczeństwie, kiedy zgadzałam się na powrót? Że mogę zginąć, gdy tylko postawię stopę na ziemiach Saby lub w każdej innej chwili? Jestem córką mojej matki i nie będę się kryć! – oznajmiłam podniesionym głosem. Zerwałam welon. – Jestem córką króla, namaszczonej przez samego Almaqaha! – I wtedy się odwróciłam i krzyknęłam do otaczających mnie ludzi: – Jestem wnuczką wielkiego Agabosa, zjednoczyciela Saby! Do kogo należała *markab*? Do niego. Teraz jest moja. Jest nasza!

Za mną rozbrzmiały okrzyki, ludzie unieśli miecze. Khalkharib i inni odwrócili się, by na mnie spojrzeć. Nie miało znaczenia to, że to wcale nie była zaginiona *markab* mojego dziadka. W tej chwili nią będzie. Podniosłam się w siodle.

– Czy człowiek może pokonać osobę wybraną przez bogów? To my jesteśmy potomstwem Almaqaha, który obiecał nam pomyślność, jakiej nikt dotąd nie widział! Saba! I Almaqah! Ponad wszystko!

Okrzyki zmieniły się w ryk.

Maqar miał kamienną twarz. Poruszał ustami. Choć nie wydał z siebie ani jednego dźwięku, w jakiś sposób wiedziałam, o co pytał.

„Kim ty jesteś?”

Ponownie zabrzmiał dźwięk rogu. Wojownicy z północy zbliżali się; pokonali już połowę dzielącej nas wcześniej drogi. Nabat przyglądał im się uważnie. Wydawało mi się, że mamrocze coś do siebie. Khalkharib, który jechał obok niego, pochylił się w siodle i powiedział coś szybko.

Nabat krzyknął do nas przez wrzawę:

– Jest ich za mało! Mamy przewagę!

– Pod każdym względem – potwierdził Niman, uśmiechając się ponuro. – Saba i Almaqah!

Zanim wojownicy ruszyli do przodu, na krótką chwilę przestałam widzieć pole bitwy. Był tylko Maqar, który na mnie patrzył. Jego twarz miała nieodgadniony wyraz, właściwy dla kogoś, kto kojarzy drugą osobę, ale jej nie rozpoznaje.

Wtem ustawieni w szeregi ludzie pomknęli naprzód, zagarniając po drodze wszystko niczym monsun nadciągający ku górskim wąwozom.

Przedarliśmy się przez północną oazę. Rzeka złożona z tysiąca mężów na wielbłądach wydawała się mnie opływać. Licząca trzy tysiące ludzi piechota zwarła szeregi. Współplemieńcy, przywykli do życia w miastach i na wsiach, w jednej chwili powrócili do swoich koczowniczych korzeni, jak oswojone zwierzęta, które dziczeją pod wpływem zapachu krwi.

Może był to wynik działania datury, ale choć zdawałam sobie sprawę z tego, że jeszcze nigdy nie prowadziłam wielbłąda z taką mocą, przez chwilę czułam się, jakbym płynęła. Wielbłądzica kołysała mnie niczym fale statek; nie był to ciężki chód, jakiego doświadczyłam w ciągu ostatnich tygodni. A przecież nie jechałam tak szybko jak wojownicy. Mężczyźni mijali mnie, piękni w swojej dzikości; barwy jeźdźców i ich zwierząt wymieszały się, tworząc pełną energii mozaikę.

Yafush zbliżył się do mnie i ściągnął moje wodze. Maqar, z mieczem w dłoni, jechał po drugiej stronie. Miałam na sobie tylko płótno i jedwab, a moją jedyną bronią był sztylet.

Pierwszy szereg wojowników z północy przed nami wydawał się słabnąć i załamywać po jednej stronie. Na dwukrotny ostry dźwięk rogu moi łucznicy, którzy kucali w siodłach, wypuścili w ich stronę morze strzał. W oddali mężowie z północy upadali; ich szeregi przypominały teraz szczerbate uzębienie.

Ale na lewym skrzydle nasza mocniejsza linia frontu osypywała się niczym ziemia ze wzgórza. Nabat krzyczał coś do Khalkhariba, który wydawał się go nie słyszeć. Wśród naszych wojowników zaczął szerzyć się popłoch.

Zwalniałam. Ta utrata prędkości aż bolała. Jadący przede mną mężczyźni,

k którzy wcześniej, przy ogniskach, głaskali swoje wielbłądy jak ukochanych przyjaciół, teraz wyrzaskiwali ich imiona niczym okrzyki wojenne.

Coś było nie tak. Spojrzałam za siebie i dostrzegłam sporą lukę w naszych szeregach – nie wśród piechoty i jazdy na przedzie, ale właśnie na tyłach. Nastąpiła dłuższa chwila dezorientacji... i wtem nagły szczęk ostrzy, błysk metalu tam, gdzie nie powinno go być.

Maqar starał się przekrzyczeć wrzawę.

Zacisnęłam powieki, po czym je otworzyłam. Chciałam ocenić sytuację. Patrzyłam, jak szeregi na skrzydle kurczą się i załamują w miejscu, gdzie walczyli Katabańczycy. Co się stało?!

I wtedy mnie olśniło.

Amańczycy nas zdradzili.

Przed nami jazda skręciła w lewo, by odeprzeć kolejny atak wojowników z północy. Za chwilę wrogowie nas otoczą.

– Księżniczko! – Przestraszyłam się tonu Yafusha. Eunuch potrafił całymi dniami milczeć. Jeszcze nigdy nie słyszałam, by w panice podnosił głos. Domyśliłam się, że chce potajemnie zabrać mnie z pola bitwy, nim wrogowie opanują ścieżkę prowadzącą do świątyni i ucieczka stanie się niemożliwa. Szarpnęłam lejce, ale było już za późno. Postawny Nubijczyk chwycił mnie mocno za tunikę. Moja wielbłądzica wrywała się do przodu. Nagle zawirowałam w powietrzu i uderzyłam w bok wielbłąda Yafusha. Zwierzę zachwiało się i na moment opadło do tyłu. W tym momencie odwrócił się do nas Maqar. Posławszy mi ostatnie spojrzenie, z impetem ruszył z ludźmi swojego ojca.

Yafush pochylił się nisko i wiozł mnie, uczeponą szyi wielbłąda, kiedy nagle nadciągnął atak. Wojownicy wokół nas padali na ziemię; strzały sterczały im z piersi, ud, gardeł.

Wyciągnęłam szyję i ujrzałam poszerzającą się lukę w naszych szeregach. Nabat i Sabejczycy zwarli się z przeciwnikami z północy, a Katabańczycy padali pod naporem zdradzieckich Amańczyków.

Chłonełam ten widok, ledwie świadoma tego, że brak mi tchu. Nasz wielbłąd pędził, ile sił w nogach.

Yafush zboczył w kierunku wąskiego traktu. Wtedy grupa wojowników z północy ruszyła, by odciąć nam drogę.

Maqar. Gdzie jest Maqar? Widziałam leżących współplemieńców; wielbłądy trącały nosami swoich nieruchomych właścicieli lub biegały w przerażeniu pomiędzy rannymi. Dostrzegałam Asma. Trzymał się za nogę.

I wtedy to zobaczyłam. Biały wielbłąd, który niósł *markab*. Bezwładny, z łbem przechylonym na bok...

Gwałtownym szarpnięciem zdarłam z ramion wierzchnią szatę, a następnie zeskoczyłam na ziemię. Zadrżała pod moimi stopami. Na chwilę straciłam oddech. Brnęłam po omacku przez błoto, łaknąc powietrza. Płuca odmawiały mi posłuszeństwa. Nagle między żebrami poczułam ostry ból. Przez chwilę myślałam, że trafiła mnie strzała.

Usłyszałam okrzyk: „Saba i Almaqah!”.

Krople deszczu wpadały mi do oczu; widziałam gwiazdy, których nie powinno być, w mroku, który nie istniał.

Dostrzegłam Yafusha. Otaczali go ludzie z północy. Szczęk ich mieczy wydawał mi się odległy w świetle, który stawał się nierealny. *Umieram*, pomyślałam. Lepiej tutaj, w ten sposób, niż przed sądem Hagarlat. Błoto na policzku.

Ale na tym samym polu bitwy walczył Maqar. I Asm. I Yafush, i tysiące wojowników. Wszyscy oni byli elementami paktu, który zawarłam z samym Almaqahem.

Wstań.

Moje zbuntowane płuca wreszcie zaczęły pracować. Oddech, który wrócił, był jednak nie do zniesienia.

Wojenny ryk rozbrzmiał ponownie.

Obróciłam się i poczułam ból w ramionach. Dzwoniło mi w uszach. Moje

serce waliło jak oszalałe. Podniosłam się, jednocześnie ciężka i lekka, ale ziemia pode mną wirowała. A przede mną, w oazie, leżało mnóstwo ciał.

Górował nad nimi jeden przedmiot: złota arka na białej wielbłądziej plamie. Lejce leżały w błocie. Zatoczyłam się, po czym ruszyłam, koszmarnie wolno, do *markab*.

Sięgnęłam po uzdę, ale nie zdołałam jej pochwycić, bo zwierzę szarpnęło się gwałtownie. Po chwili znalazłam wodze. Oplotłam wielbłądzi łeb nogami, po czym przygwoździłam zwierzę całym swoim ciężarem. Minęła wieczność, nim moje stopy znalazły oparcie na jego szyi. Nie dałam rady usiąść w siodle. W końcu wielbłąd mnie uniósł. Złapałam uchwyt z drzewa akacjowego i wdrapałam się na arkę. Lejce obwiązałam sobie wokół dłoni.

– Córa Almaqaha! – wykrzyknął jeden z naszych. Nie byłam w stanie dojrzeć jego broni. Domyślałam się, że jest ranny. Podał mi swój bat. Chwyciłam go, objęłam akacjową ramę i nakazałam wielbłądowi biec.

Chaos. Dotarłam do przetrzebionego skrzydła. Serce waliło mi w piersi. Wołałam Maqara, a kiedy go nie znalazłam, zaczęłam wzywać donośnie każdego boga, którego imię znałam. Gdzieś przede mną ponownie rozbrzmiał sygnał do walki.

Almaqahu!

Nie zauważałam, że wrogowie słabną. Ledwie słyszałam dźwięki rogów moich krewnych. Używając całej swojej siły, stanęłam w *markab*.

Teraz liczył się dla mnie tylko jeden widok. Tylko jedna twarz.

W końcu dojrzałam Maqara. Włosy oblepiały mu zakrwawioną twarz. Amańczycy właśnie się poddawali, ale dla niego było już za późno.

•••

Później powiadano, że wzywałam potęgi Almaqaha ze zdobionej sierpowatymi rogami *markab*, jakbym siedziała na tronie. Że zerwałam z siebie szatę niczym niegdysiejsze dziewice wojenne i zagrzewałam swoich wojowników do walki

okrzykami, aż do klęski przeciwników.

Prawda była taka, że Yafush pochwycił mnie, gdy spadałam z wielbłąda. Że nawet kiedy wnieśli mnie do miasta i ogłosili królową, całymi tygodniami leżałam w łóżku z połamanymi żebrami, nie mogąc się wybudzić.

Mój ukochany nie żył. Korona należała do mnie.

Hagarlat, mój przyrodni brat Dhamar i ich wpływowi poplecznicy zostali zgładzeni z rozkazu Wahabila, mojego nowego doradcy. Udzieliłam pozwolenia Nimanowi, naszemu współplemieńcowi, by w odwecie najechał Nashshanów, Amańczyków i ich sojuszników. Zniszczono ich studnie, zabrano im tysiące wielbłądów i uczyniono ich niewolnikami.

Moi krewni powrócili w chwale, ale ja nie czułam się zwyciężczynią. Zyskałam królestwo zatrute żalem.

Dryfowałam między świadomością a zbawiennym snem, wywołanym napojem podawanym mi przez lekarza. W tych godzinach często rozmawiałam z Maqarem. Czasem z człowieka stawał się on koźlęciem; jego krew spływała do złotej miednicy.

Wreszcie obudziłam się na dobre i strąciłam dzban z napojem na podłogę.

Kiedy Asm przewodniczył składaniu w świątyni ofiary z pięciuset byków i trzystu koźląt, posłałam w zastępstwie młodą dziewczycę, by zajrzała do makabrycznego naczynia. Asm był zdumiony tym, że nie będę głosić przepowiedni osobiście. Nigdy nie wyznałam mu prawdy: tamtego dnia, na skraju pustyni, prosiłam o kadzidło, świadoma, że jestem bliska omdlenia.

Ale kiedy zajrzałam do misy, nie zobaczyłam żadnego obrazu.

[5] Datura – inaczej bieluć, roślina o właściwościach halucynogennych; przyp. tłum.

[6] Gwiazda Poranna – planeta Wenus; przyp. red.

Marib, klejnot Saby, leżał na rozstaju dróg. Sabejski szlak handlowy biegł od wyżyn południowego Hadramautu na północ do Damaszku, a trasy nadmorskie – od Ofiru po tereny okalające wschodni odcinek rzeki Indus. Ktokolwiek zajmował się przewozem przypraw, niewolników, złota, kości słoniowej, kadzidła, tkanin, klejnotów czy egzotycznych zwierząt, musiał prowadzić interesy na sabejskich drogach i w portach. A to oznaczało, że od teraz musiał mieć do czynienia ze mną.

W pierwszych miesiącach rządów posłałam osadników na północ, do wielkiej doliny Dżaufu. Powierzyłam im najlepsze ziemie zdradzieckich Nashshanów i Amańczyków. W zamian za to mieli wznieść obozy wojskowe i nowe świątynie w oazach. Szlak handlowy – najważniejsza arteria prowadząca przez serce zjednoczonego królestwa Saby – był bezpieczny.

Przyjęłam do służby mężów, którzy za mnie walczyli, oraz ich krewnych, a także Pustynne Wilki. Wezwałam najpotężniejszych możliwych z królewskich plemion na rytualną ucztę w świątyni, by zawrzeć pakt pokojowy.

Deszcze spadły obficie; na polach wschodziły sorgo i proso. Na skraju pustyni kwitły na różowo tamaryszki i mimozy, piaski pokryły się niebieskimi tomiłkami.

Stworzyłam korpus inżynierów, którzy mieli naprawiać kanały i usuwać muł. Poradziłam się Wahabila w sprawie spotkania nowych ministrów handlu i skarbu oraz ich zastępców z radcami zamorskiej kolonii w Puncie.

Ofiarowałam figurę Maqara z brązu świątyni. Umieściłam ją naprzeciwko statuetek matki i ojca. Posążki Hagarlat i mojego przyrodniego brata usunęłam, odprawivszy nad nimi uprzednio rytuał zdjęcia klątwy. Ale w odróżnieniu od figury mojego ojca, na której wypisano jego liczne zasługi związane z szerzeniem kultu Almaqaha, a także posążka matki, mającego wychwalać potęgę bogów przejawioną w jej pięknie, na statuetce Maqara widniał tylko jeden wyraz: *Serce*. Miał przypominać o tym, czego pozbawił mnie Almaqah.

W ciągu dnia nie pozwalałam sobie na myśli o Maqarze. Ale nocami Shara, moja przyjaciółka z dzieciństwa, tuliła mnie mocno, gdy łzy tryskały mi z oczu jak przez glinianą tamę. Przyciskałam alabastrowy słoik z pyłem z jego mogiły do piersi. Ten pył należało mieszać z winem i pić, by złagodzić żal, ale nie potrafiłam się do tego zmusić. Wino w kielichu za bardzo przypominało mi krew w misie.

Pogodzenia się ze śmiercią ukochanego nie ułatwiało mi również to, że jego oczy wpatrywały się we mnie spod cienkich powiek Salbana, jego ojca. Za każdym razem, gdy wzywałam Salbana w charakterze doradcy, nie potrafiłam na niego spojrzeć. Co gorsza, radni zaczęli debatować nad zaletami najnowszej oferty mojego małżeństwa i koniecznością wyznaczenia spadkobiercy.

– Ledwie zasiadłam na tronie – powiedziałam pewnego dnia. – Czy macie mnie już dość, że myślę o mojej śmierci?

– Nigdy, moja królowo. – Tęgi Abamar z Ausanu pokręcił głową. – Obyś panowała sto lat.

– Jednakowoż już wcześniej rozważałaś sojusz z innym klanem – przemówił cicho Salban, czym mnie przestraszył. Do tej pory litościwie milczał, gdy była o tym mowa. – Dlaczegoż nie rozważyć go teraz?

Poczułam, że mam zimne palce. Tylko z Maqarem rozmawiałam na temat ślubu...

– Rozumiem... że masz na myśli moje krótkie narzeczeństwo w czasach, kiedy byłam dzieckiem? – spytałam bardzo ostrożnie. Nie wypowiem imienia Sadiqa.

Skinął głową, ale było już za późno. Niepewność, zawieszona na tak długo po tamtej nocy przed śmiercią Maqara, raz jeszcze targnęła moim sercem.

– Almaqah wprowadził mnie na ten urząd, a ja wprowadziłam was – powiedziałam, popatrując znacząco to na jednego, to na drugiego. – Almaqah objawi nam przyszłość. Ale teraz mamy o wiele bardziej naglące sprawy.

Tamtego lata, gdy żywica wyciekała z drzew u podnóży gór, a rolnicy zaczęli nacinać cienką korę, pozwoliłam, by młode kobiety z elitarnych rodzin sabejskich i ausańskich doglądały moich komnat, a mężczyźni stajni. Kapłani i kapłanki

całego panteonu bogów służyli memu domostwu.

Poświęcałam temu wszystkiemu uwagę, ledwie zdając sobie sprawę z pory dnia. Miesiące rozróżniałam jedynie na podstawie obserwacji kapryśnego księżyca, który widziałam przez okno każdej nocy.

Tamtej jesieni, gdy z drzew kadzidlanych zostały już zebrane łyzy białej żywicy, a deszcze powróciły, żal wstrzymał wreszcie swoje nocne wizyty u mnie. Jego miejsce zajęły obowiązki. Rzadko kiedy zapadałam w głęboki sen, a jeśli mi się to udawało, śniłam jedynie o zasłanej ciałami ziemi i ofiarnym kozłęciu. Często budziło mnie wycie wiatru w kamiennych paszczach lwów pod pałacowymi gzym-sami. Wydawało mi się wtedy, że słyszę lamentujące dusze. Oblana potem, podchodziłam do stolika, by przeczytać sprawozdania z rozmów prowadzonych w moim imieniu, a także przestudiować kwoty dziesięcin zebranych na prace publicz-ne.

– Moja królowo – zaczęła Shara, podnosząc się z jedwabnych poduszek, na których spała obok mnie w łóżku. – Nie odpoczniesz? Pisma nie uciekną do jutra.

– Za chwilę – odparłam, podobnie jak niemal każdej nocy.

Nie mogłam jej powiedzieć, że nie śmiem dać sobie wytchnienia. Że urząd, który dźwigam na barkach niczym ołowiany płaszcz, zbyt słono kosztował i muszę mądrze dźwżyć władzę, której tak bardzo nie mogłam znieść. Co gorsza, uwaga Salbana przywróciła do okrutnego życia niepewność dotyczącą zamiarów Maqara. Tysiące razy miałam ochotę posłać po jego ojca, by zażądać odpowiedzi na pytanie, którego godność nie pozwalała mi zadać. Była to zagadka nie do rozwiązania; żadne potwierdzenie dwulicowości Maqara nie byłoby w stanie przekonać mnie, że mnie nie kochał, ale nie istniało też takie zaprzeczenie, które przyniosłoby pokój memu sercu.

Ani jedno, ani drugie nie zwróci mi go.

Jedno wiedziałam na pewno: byłam teraz królową. I nie miałam innego pomysłu, jak tylko pracować dniami i nocami. Inaczej chyba bym zwariowała.

...

– Moja królowo – przemówił Wahabil pewnego ranka, gdy spotkałam się ze swoimi osobistymi doradcami. Podniosłam wzrok, przestraszona. Uświadomiłam sobie, że przysnęłam na siedząco.

– Wybacz mi – powiedziałam. – Proszę, kontynuuj.

– Obradujemy już od kilku godzin. Może krótka przerwa? – zaproponował i skinął na skrybę, który siedział w rogu. Pozostali mężowie zaczęli wstawać.

– Nie – odparłam ostro. – Radny Abyada jest świeżo po ślubie. Zakończmy nasze sprawy, by mógł jak najprędzej znaleźć się u boku swej młodej małżonki, przy której z pewnością już jest myślami. – Wokół rozległy się chichoty.

– Ojjj – zająknął się Abyada, przechylając głowę. – To prawda. Tyle że nie jestem już młodzieniaszkiem, a ona jest niezwykle żywiołowa, gdyż bardzo pragnie dziecka. Zwłoka mi się przyda – będę mógł zebrać siły.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Mimo to będziemy kontynuować – oznajmiłam.

Niman i Khalkharib wymienili spojrzenia. Yatha przyglądał się swoim złożonym dłoniom.

– A zatem? – zachęciłam ich.

Wahabil wolno podniósł się z za odległego krańca stołu, podszedł i uklonił mi się, przesłaniając pozostałych.

– Moja królowo – przemówił cicho, kładąc dłoń ozdobioną pierścieniami na wypolerowanym hebanowym stole. – Jesteś wyczerpana.

– To nonsens – odparłam. – Po prostu nie działa na mnie ta czuwaliczka, którą tak z Yathą zachwalacie.

Pozostali roześmiali się z grzeczności. Ale Wahabil wyprostował się i pokręcił głową.

– Martwimy się o waszą wysokość. Przemęczasz się, królowo. Służba mówi, że prawie nie śpisz, zjadasz tylko niewielkie porcje...

– Służą mi kobiety, Wahabilu. Twoja matka i żony z pewnością też tak mówiły. One nie są zainteresowane sprawami kraju, stanem tamy, kanałami na południu ani wymianą olbrzymich ilości mirry za egipskie konie.

– A jednak i my to dostrzegamy. Królowo, jeśli istnieje jakieś zmartwienie, które powstrzymuje cię od jedzenia i wypoczynku, błagam, pozwól mi posłać po lekarza.

Przy stole zapanowała cisza. Czułam na sobie ciężar spojrzeń zgromadzonych. Nimana, mego kuzyna. Abyady. Khalkhariba i Yathy. Nabata. Abamara. Ich wyrozumiałość przeplatała się ze zniecierpliwieniem, tworząc swoistą mozaikę.

– Zapewniam was, że mam się dobrze – oświadczyłam. – Może mimo wszystko powinniśmy zrobić sobie przerwę.

– Jesteś zjednoczycielką Saby. Twoja osoba to skarb dla królestwa, zwłaszcza że nie masz dziedzica. Musisz dbać o swoje samopoczucie. Jeśli nie dla swojego dobra...

Uderzyłam dłońmi w stół i gwałtownie wstałam.

– Czego ode mnie żądacie? Czego jeszcze, co miałam do ofiarowania, nie oddałam wam, Sabie? W czymże was zawiodłam, że mnie upominacie? Oddałam się na służbę! Macie moje posłuszeństwo! Tak wielu poniosło śmierć! Czego jeszcze chcecie?

– Moja królowo... – zaczął Wahabil. – Może małżeństwo zmniejszyłoby ten ciężar. I zapewniło dziedzica...

– Nie będę rozmawiać o małżeństwie! – oznajmiłam. Jednym ruchem ręki zmiotłam ze stołu stertę pergaminów wraz ze złotym kielichem.

Trzęsłam się z niepojętej dla mnie wściekłości. Czerpałam ze źródła, które od dawna wydawało mi się wyschnięte.

– Wy, którzy mnie tu sprowadziliście, ponieważ nie chcieliście pionka Nashshanów na tronie. – Wbijałam wzrok po kolei w każdego z nich. – Nie myślcie sobie, że z moją pomocą uczynicie królem któregoś ze swoich popleczników. To ja jestem królową i to ja, z woli Almaqaha, będę rządzić tym krajem!

Posławszy ostatnie spojrzenie zgromadzonym przy stole, opadłam z powrotem na siedzenie.

– Obrady uważam za zamknięte.

...

Tej nocy Asm przyszedł do mojej prywatnej komnaty – tej samej, która niegdyś należała do mego ojca.

– Wahabil cię przysłał – powiedziałam zmęczonym głosem. Na zewnątrz mżyło. Do moich uszu dochodził przytłumiony ryk kamiennych lwów, wywołany deszczami, które powoli się kończyły.

– Nie ma człowieka, który mógłby posłać pierwszego kapłana Almaqaha do kądkolwiek – odparł. – Ale owszem, prosił mnie o interwencję.

Odwróciłam wzrok.

– Czy i ty zamierzasz mnie upominać?

W Puncie podczas nowiu miałam zwyczaj przyglądać się nocnej ofierze, składanej po to, by Almaqah powrócił na nieboskłon. Ale tutaj nie poszłam wąską ścieżką do świątyni od czasu rytualnej uczty sprzed kilku miesięcy.

– Jakże miałbym cię upominać? Córa Almaqaha musi wypełniać własną wolę.

Zaśmiałam się lekko.

– Chyba w to nie wierzysz?

Nie wiedziałam, jak wyrazić swoje odczucie, że bycie królową to wyrok dożywotniej samotności. Czułam każdy skrawek rosnącego nieustannie dystansu między mną a moimi najbliższymi, moim doradcą, a także myślami, których nie mogłam, nie ośmieliłabym się wypowiedzieć na głos.

Nie powiem mu przecież, że nigdy nie czułam się bardziej zniewolona i opuszczona przez bogów.

Dlatego nie powiedziałam nic więcej.

– Może Córa Almaqaha musi pamiętać, kim jest?

Taksowałam Asma wzrokiem, gdy rozłożył się na niskiej sofie przylegającej do mojego siedziska. Nigdy nie nosił obszytych srebrną nicią szat ani kaptura, jak zwykli to robić inni kapłani. Proste odzienie przydawało powagi jego stanowisku bardziej niż jakakolwiek ekstrawagancja. Wydawał mi się wiecznie młody, niemal nieśmiertelny. Jedyłą skazę stanowiła rana na nodze po bitwie; już zawsze będzie kulał. Słabe światło lampy stojącej na złotym stole mojej matki, przyniesionym tu z powrotem z komnat Hagarlat, uwydatniało kolor jego skóry, taki sam jak u mieszkańców Puntu i moich tamtejszych krewnych. Była to barwa ledwie o odcień ciemniejsza od koloru mojej skóry.

– Jest królową – powiedziałam w końcu, sięgając po wino.

– Ukochaną przez lud.

– Oni kochają mnie za to, co mogę dla nich zrobić – odparłam. – Chcą ziemi, ceł i rozsądzania spraw na ich korzyść. – Podniosłam wzrok. Asm subtelnym gestem zachęcił mnie, bym mówiła dalej. – Czasami wydaje mi się, że to samo muszą mówić o nas bogowie, gdy zanosimy do nich prośby i błagania. Niepłodna kobieta – o dzieci, chory – o zdrowie, rolnik – o deszcz, a kupiec – o dobrą pogodę i bezpieczną podróż.

– Królowa zaś – o przychylność, która już została jej okazana.

Przez chwilę milczałam.

– Nie wiedziałam, że przychylność ma tak wysoką cenę.

– Zawsze jest jakaś cena – odparł cicho kapłan. – Czyż sama nie darzysz największą przychylnością tych, którzy dowiodą swego oddania, bez względu na poniesione straty? Tych, którzy pošlą swoich ludzi, by zdobyli dla ciebie tron, nawet za cenę ich śmierci? Którzy na twój rozkaz wzniosą obozy wojskowe oraz zaproponują najlepsze warunki na szlakach handlowych wiodących przez twoje ziemie?

– Jeśli prawdą jest to, co mówisz, to nasze modlitwy są niczym innym jak zawieraniem układów. Nikt, kto przekracza progi mego pałacu, nie czyni tego bez

nadziei na korzyści. My także oddajemy bogom cześć w nadziei na spełnienie naszych próśb. Nic dziwnego, że bogowie gardzą naszymi próbami zapanowania nad ich decyzjami poprzez pobożność. Że uderzają w nas, kiedy najmniej się tego spodziewamy, tylko po to, by udowodnić naszą niemoc – stwierdziłam gorzko.

– Naprawdę uważasz, że bogowie są tak małostkowi?

– Tak to rozumiem – powiedziałam. – Mszczą się na nas, ponieważ nigdy nie ofiarowaliśmy im tego, czego naprawdę chcą.

– A cóż to miałyby być?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie pytamy o istotę bogów, o to, czy chcą zostać poznani. Przelewamy krew w ich imię. Czynimy to ze strachu. Ale nie chcemy ich poznać. Nie dajemy im miłości. Nie naprawdę. Teraz pojmuję – mówiłam, wpatrując się beznamiętnie w alabastrowy palnik na stoliku, na kadzidło niknące w oczach. – I sądzę, że muszą być najbardziej samotnymi istotami na świecie – dodałam miękko. – A może nie chcą zostać poznani, a moja samotność to rzecz ludzka?

Deszcz przestał padać.

Kapłan nic nie odpowiedział. Spojrzałam na niego i dostrzegłam, że wpatruje się we mnie ze zdumieniem.

– Jak to się dzieje, że masz takie przemyślenia i zgłębiasz umysły bogów? – spytał.

Zamrugałam z zakłopotaniem.

– Mam je od zawsze. Te myśli są ze mną dniami i nocami. Z pewnością i ty nad tym rozmyślałeś i możesz coś powiedzieć. Mów więc. Powiedz mi, w jaki sposób bogowie wyzbywają się chęci bycia poznanymi i zamiast tego zawierają z nami układy. Jak mam przetrwać choćby godzinę bez wołania do nich: dlaczego? Dlaczego Almaqah odebrał mi Maqara? Dlaczego tak się stało, skoro byłabym gotowa znieść myśl, że tak naprawdę nikt nie zna mnie dłużej niż on?

Chociaż Asm wiedział o moim uczuciu do Maqara, zawstydziłam się, gdy te słowa wydobyły się z moich ust.

– Wiem, co powiesz: wtedy kochałabym Almaqaha tylko dlatego, że spełnił moje pragnienia. I to prawda. A to nie jest miłość. Jestem tak samo winna jak każdy, kto cierpi z braku czegoś, czego sam nie jest w stanie dać!

Asm milczał. W ciszy słychać było tylko uderzenia mojego serca.

– Czyż nie taka jest prawda? – spytałam.

Nieznacznie skinął głową.

– Bogowie są niepoznawalni. Jako pośrednicy mamy za zadanie jedynie przewidywać i spełniać kaprysy Almaqaha...

– Tak, poprzez figurki, uczyty i rozlewanie krwi na ołtarzu. Tak, tak, wiem – odparłam, odstawiając kielich z nietkniętym winem. – Ale dlaczego? Cóż przychodzi im z naszego cierpienia? Czy to wyraz arogancji, że żądają naszego bojaźliwego uwielbienia? Czy obawy, że jeśli nie będziemy śpiewać, wykrzykiwać ich imion i wznosić niezliczonych świątyń na ich cześć, to przestaną istnieć? Niezależnie od powodu, zastanawiam się, czy odbierają nam to, co ukochaliśmy, po to, byśmy musieli ich wzywać, szukać jakiegoś znaczenia w tej marnej egzystencji? Dlaczego? Dlaczego?! Pytam o to dniem i nocą!

Patrzył na mnie jak na wyrocznie. Na jego twarzy malowała się mieszanina zdziwienia i czci. I choć dzieliły nas zaledwie dwie długości ręki, zdawało mi się, jakby to była przepaść.

– Po raz pierwszy... – zaczął delikatnie – zazdrozczę ci odpowiedzialności, którą nosisz na barkach jak brzemię. Możesz pojmować umysły bogów lepiej niż ktokolwiek z nas.

I to było najgorsze ze wszystkiego. Do kogo mam się więc zwrócić, jeśli nie do kapłana?

– Czy ty nie rozumiesz? Ja nie wiem nic! Błagam i w odpowiedzi słyszę tylko ciszę. Wiem tyle, że Almaqah mnie opuścił. Mnie, która wzniosła świątynie na jego cześć. Czymże go znieważylałam, że zabrał mi Maqara?

A cóż takiego uczynił Maqar? Czyżby mnie oszukał i Almaqah postanowił zgładzić go za obłudę? Widziałam jego ostatnie spojrzenie. Rzucił się do walki.

Dlaczego? Z potrzeby pokuty? Czy z miłości?

Nie istniała wyrocznia ani wróżba z wnętrzości, ani pojedyncza gwiazda, ani cały gwiazdozbiór, dzięki którym mogłabym poznać prawdę. A kapłan leżący tuż przy mnie nie potrafił odgadnąć woli Almaqaha lepiej ode mnie.

– To historia, którą opowiadałam sobie, kiedy przestałam oddawać cześć bogini Shams – powiedziałam, ocierając z policzka gorące łzy. – Każda żywa istota usycha pod tym samym żarem, który zsyła nam życiodajne słońce. Ale księżyc przybywa w chłodzie nocy, by sprawować rządy nad kochankami i snami, ożywiać nasiona, które spoczywają w ziemi. Teraz wiem, że ziarna gniją w ciemności, a światło księżyca pada na każdego: i na chłopkę, i na królową. Podobnie zresztą jak promienie słońca. W ten sposób żaden człowiek nie znajduje się na uprzywilejowanej pozycji, a bogowie robią, co chcą, i to my przypisujemy ich działaniom znaczenie. Albo tak się dzieje... albo bogowie nie istnieją.

Milczał.

– Nie oskarżysz mnie o bluźnierstwo? Mówię takie rzeczy własnemu kapłanowi! Tobie, który nawet nie zasypujesz mnie frazesami. Czy mnie nie potępiasz?

– Nie będę prawił ci banałów – powiedział w końcu bardzo cicho. – Jesteś Córami Almaqaha. Masz u niego względy. Jeśli nie przemówi do ciebie, do kogóż innego miałby przemówić?

Po krótkim czasie odszedł, wyraźnie zaniepokojony, a ja nie mogłam powstrzymać się od myśli, że w jakiś sposób zarażam go swoimi obawami. I nie wiedziałam, czy to dobrze, że być może zaczniesz szukać odpowiedzi dla dobra nas obojga... A jeśli takich odpowiedzi nie da się uzyskać, a on odszedł strapiony, mogłam po prostu zostawić go w spokoju.

Tamtej nocy spodziewałam się, że każde pytanie, z którego teraz w pełni zdałam sobie sprawę i ośmieliłam się je wypowiedzieć na głos, będzie nękało mnie aż do świtu. Zamiast tego po raz pierwszy od miesiąca przespałam spokojnie kilka godzin. Tak jakby po wyrzuceniu z siebie tych myśli na jakiś czas uszła ze mnie trucizna, a może nawet pozbyłam się jakiegoś żądła.

Wahabil, prawdopodobnie w geście pojednania, zaproponował, że zajmie się królewskim przyjęciem wydawanym dla najważniejszych kupców. Była jesień i wkrótce karawany miały ruszyć na północ ze sławnymi sabejskimi kadzidłami, tkaninami, przyprawami oraz drogocennymi kamieniami sprowadzanymi z Ofiru na zachodzie i Hidushu na wschodzie.

Przydzieliłam mu służbę i oddałam skarbiec do jego dyspozycji. Kiedy opisałam swoją wizję, wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

– Moja pani, koszt tego przyjęcia...

– To nie jest przyjęcie – oznajmiłam, biorąc go na stronę. – To przesłanie – takie, które ma dotrzeć aż na krańce świata.

Libijczycy przez lata urosli w siłę i stali się militarną potęgą w Egipcie. Królowie Asyrii i Babilonii – prawdziwy Babilończyk po swoim elamickim poprzedniku – mieli piętnaście lat na umocnienie swojej pozycji. Król Fenicji od jeszcze dłuższego czasu wymieniał drewno cedrowe i wyroby rzemieślnicze za ziarno i olej. Ze wszystkich przeczytanych pism o sprawowaniu rządów nauczyłam się jednego: nie ma nic bardziej nęcącego niż sojusz i handel z suwerenem, którego reputacja po latach stabilnego panowania była znana – i nic bardziej niepewnego niż władca, który dopiero co zasiadł na tronie.

Zwłaszcza jeśli była to kobieta.

Było to dla mnie bardzo ważne – spotkać się z kupcami, których imiona znałam jedynie ze słyszenia lub z lektury pergaminów. Oni nieśli Sabę światu. Zgromadzą się w pałacu na ucztę z mięsiwem i posilą się przed podróżą. Tak przynajmniej mówiłam.

Ale prawda, którą Wahabil pojął od razu, była inna. Miałam zamiar prowadzić wojnę podstępem – nie mieczem czy toporem, ale bogactwami. Nie na polu bitwy, lecz z pałacu.

Niegdyś złożyłam przyrzeczenie na imię Almaqaha i teraz miałam zamiar wypełnić przepowiednię z krwi – z udziałem bogów lub bez niego. Sabejskie kadzidło napelni wonią świątynie tysiąca bezimiennych bogów, a mirra zabalsamuje i unieśmiertelni ciała egipskich zmarłych. W zamian otrzymamy tkaniny, wino, żelazo i konie.

Chciałam jednak zwiększyć znaczenie Saby także nowymi sposobami.

Poślę nasze największe bogactwa przez morza i piaski, a za to dostanę nie tylko zasoby poszczególnych narodów, lecz także uczonych i rzemieślników z dalekich ziem, którzy przybędą, aby zobaczyć osławione królestwo Saby. Nadejdzie dzień, w którym ozdobami mego dworu będą poeci i astronomowie, podobnie jak dziś złoto i srebro. Będziemy dzielić się wiedzą z egipskimi rolnikami uprawiającymi pszenicę, matematykami z Babilonii, murarzami z Fenicji i tkaczami z Hidushu. Mojemu dziadkowi przypisywano zjednoczenie kraju, a ojcu – wprowadzenie kultu Almaqaha. Moim dziedzictwem będą wiedza i nauka.

•••

– Musisz zrobić ze mnie piękność – powiedziałam tamtego wieczoru do Shary.

Zachichotała i ten dźwięk mnie zaskoczył, od czasu powrotu nie słyszałam bowiem jej śmiechu. W latach mojej nieobecności nie obchodzono się z nią łaskawie. Czas uczynił z niej poważną osobę. W kącikach jej oczu widać było siatkę głębokich zmarszczek, przypominających zaschnięte kanały. Jej drobne dłonie, o ile nie były czymś zajęte, drżały niczym dwa ptaki. Nigdy nie spytałam, co spotkało ją po śmierci matki, a Shara sama też o tym nie opowiadała. Wyznała mi jedynie, że na krótko została konkubina jakiegoś mężczyzny. Nie miałam wątpliwości co do tego, że Hagarlat maczała w tym palce – była wszak znana z okrucieństwa. Modlitwy wdzięczności zanoszone przez Sharę dwukrotnie przeniknęły do moich snów w ciągu koszmarnych pierwszych tygodni po powrocie. Gdy wyzdrowiałam, pozwoliłam jej wybrać drogę życia, a ona zdecydowała się zostać przy mnie.

– Czy mam też sprawić, by słońce świeciło jaśniej?

Przystanąła przy szkatułce z biżuterią i wybrała dla mnie bransolety, kolczyki i pierścienie. Jej ręce zalsniły klejnotami.

– A ty – no cóż, nie pozwolę ci pójść w tych zwykłych ubraniach, które tak sobie upodobałaś. To nie Shara, którą pamiętam. Nie, włożysz jedną z moich sukien. Wybiorę dla ciebie sandały i biżuterię. Przy emisariuszach i kupcach nawet nasi niewolnicy będą nosić stroje z najlepszych tkanin. A ty będziesz wyglądać jak królowe z innych krajów. Będą opowiadać o tobie na dworach królewskich!

Shara pobladła i upuściła kilka klejnotów. Podeszłam do niej i objęłam ją. Drżała.

– Sharo, co się dzieje?!

Podniosła wzrok. Miała puste spojrzenie.

– Przyrzeknij mi coś – powiedziała. – Jeśli nie jako królowa, to jako przybrana siostra, która piła mleko z tej samej piersi.

Zamrugałam ze zdumieniem.

– Cokolwiek zechcesz.

– Nie oddawaj mnie.

– Nie oddawaj?

Po raz pierwszy miałam ochotę zażądać, by powiedziała mi, co zrobiła jej Hagarlat. I co uczynił jej mężczyzna, któremu ją powierzono. I gdzie on jest, bym mogła odplacić mu za to spojrzenie, jakim obdarzyła mnie teraz.

Ale zamiast tego wzięłam od niej biżuterię i odłożyłam ją na bok. Rozdzieliłam dłonie, które zacisnęła, i chwyciłam je mocno.

– Nie oddam cię. Przyrzekam. Jesteś wszystkim, co mam na tym świecie. – Ucałowałam ją i przyciągnęłam do siebie. Kiedy położyłam dłoń na jej włosach, moje serce przeszło coś ostrego. Poczułam coś, czego nie czułam nawet do Maqara. Od powrotu pragnęłam dla Shary poczucia bezpieczeństwa. Tamtego wieczoru zobaczyłam w niej kobietę wykorzystaną i odrzuconą. Wdowę. Sierotę. Chorą. Rolniczkę, która trudzi się na polu w niemiłosiernym upale. Kobietę umierającą

przy porodzie. Kapłankę, która spogląda w niebo w poszukiwaniu znaków od nie-wzruszonego boga.

Nie mogłam sprawić, by słońce nie parzyło, a ziemia obrodziła. Nie mogłam powstrzymać śmierci ani zmusić bogów do mówienia.

Ale byłam jej królową i mogłam ją chronić. Nic więcej.

Zakiełkowało we mnie ziarenko: rozwinę naukę w Sabie. Nie tylko jako królewskie dziedzictwo – w ten sposób pomogę też jej najskromniejszym mieszkańcom. Pewnego dnia kobiety takie jak Shara w towarzystwie zagranicznych emisariuszy będą odczuwać tylko dumę. Będą uważać się za lepsze od nich, ponieważ dorastały w królestwie obfitującym w mądrość równą jego bogactwom. Zwolniłam uścisk, przestraszona tą myślą.

Shara pozwoliła mi narzucić na swą suknię haftowany płaszcz, na rękę wsunąć bransoletki, a na palce – pierścienie z jaspisami. Wydała mi się inną osobą.

– Ty także jesteś wszystkim, co mam – powiedziała. Pomyślałam, że wygląda jak królowa.

•••

Tamtego wieczoru, kiedy otworzono przede mną drzwi, a dźwięki fletu i tamburynu wypełniły moje uszy, wkroczyłam do sali wypełnionej najzamożniejszymi sabejskimi kupcami i handlarzami, którzy przybyli do Saby, aby zaimponować nowej królowej egzotycznymi towarami z dalekich krajów. Ale ja odwróciłam rolę. Widziałam, jak wyciągali szyje. Popatrywali to w jedną, to w drugą stronę. Przyglądali się cudownemu wystrojowi komnaty, jakby śledzili wzrokiem lecące stado ptaków.

Starłam się zobaczyć ten spektakl ich oczami. Latarenki, sprowadzone z dalekich krajów słynących z jedwabiu, świeciły przy sklepieniu niczym setka odległych słońc. Maleńkie alabastrowe lampiony w kształcie domków, rozstawione na schodach, rzucały światło przez rzeźbione okienka na ogromną srebrną płytę pod tronem, która rozbłysła niczym pomarańczowy księżyc.

Pośrodku sali stał długi, niski stół wysadzany drogocennymi kamieniami lapis-lazuli, zastawiony srebrnymi dzbanami z winem i kielichami inkrustowanymi turkusami. Wokół potężnych kolumn pięły się jaśminy i białe róże, przez co przypominały one wonne białe obłoki.

Siedzący przy przeciwległej ścianie muzycy, grający na wszystkich znanych instrumentach, lśnili niczym bogowie, jakby wszystko mieli połączane – od tunik po skórę. Nawet długie włosy lirnika skrzyły się w świetle.

Biały dym z najczystszej kadzidła z żywicy olibanowej unosił się ponad wielkimi palnikami z brązu w kształcie koziorożca i byka. Buchał z ich nozdrzy niczym gorący oddech; wydawało się, że podobizny Almaqaha ożyły.

Podniosłam wzrok na latarenki mające imitować gwiazdy na wieczornym niebie. Siedem Sióstr zawisło wśród bezkresnej nocy. Myśliwy. I Psia Gwiazda, większa od pozostałych.

Doprawdy, alabastrowa sala olśniewała.

Zauważyłam zdumienie dworzan na widok ich królowej. W uszach miałam srebrne kolczyki, kunsztownie zdobione, połyskujące niczym krople deszczu. Od szarfy w pasie do kolan lały się ze mnie złote łuski, z rąbka mej sukni spadały dwie setki pawich piór. Tego wieczoru zrezygnowałam z korony w kształcie sierpa na rzecz o wiele wspanialszego nakrycia głowy: srebrnego koziorożca o oczach z ogromnych rubinów, nad którego rogami widać było księżyc i tarczę słoneczną.

Shara miała na głowie welon. Kłaniano jej się z szacunkiem. Niektórzy nie mieli pewności, czy nie jest przypadkiem gościem z rodziny królewskiej.

Nawet służki zostały ubrane w kosztowne farbowane suknie. Na szyjach i nadgarstkach miały ozdoby z jaspisu i egipskiego fajansu. Nie było też dworzanina, który kiedykolwiek widziałby bardziej osobliwego eunucha niż Yafush. Jego ręce zostały ozdobione złotymi obręczami.

Podium otaczało dwudziestu strażników w niebieskich kamizelkach. Każdy miał u pasa miecz z połyskującą rękojeścią, a na torsie – srebrny sierp Almaqaha.

W prześwitach kratek przysłaniających widok na zewnętrzny dziedziniec widać było oczy setek ludzi, którzy przyszli, aby ujrzeć to pełne przepychu widowie-

sko, a także nasycić się mięsem i daktylami. I, co najważniejsze, usłyszeć opowieści, które będą mogli powtórzyć swoim pobratymcom. Widziałam, jak słudzy przechadzają się pośród nich z wielkimi paterami pełnymi chleba, fig i ciasta.

Kiedy zeszałam z podium, dziewczyna w szacie przystrojonej srebrem, ze zdobionym gwiazdami lśniącym diademem na czole, podała mi czarę.

– Czcigodni goście – przemówiłam. Mój głos niósł się po całej sali, w której zapadła cisza. – Ten wieczór to wieczór podróży. Wyruszamy wraz z karawanami w najdalsze zakątki świata. Ale nasza podróż nie jest zwyczajna. Jesteśmy potomstwem Almaqaha! Pochodzimy nie z ziemi, jak ludy gorszych bogów, lecz z lędźwi księżycy i słońca, jemu poślubionych. A zatem rozpoczynamy podróż w niebiosach, na łonie Almaqaha. I ucztujemy w jego niebieskim królestwie! – Uniosłam kielich, by wznieść toast. Muzyka rozbrzmiała ponownie.

Słudzy nalewali wodę do srebrnych miednic, a królewski urzędnik osobiście doglądał rozmieszczenia gości. Cała rada, składająca się z dwudziestu czterech mężczyzn, zasiadała pośrodku stołu, najbliżej tronu, a ministrowie handlu, w barwnych chustach na głowach, po jej prawej i lewej stronie. Dalej kilku mężów w ozdobnie haftowanej wełnie. Rękojeści ich sztyletów były wysadzone kaboszonami i cytrynami w kształcie słońca. Moi handlarze. Na drugim końcu, przy wielkim, błękitnym stole, siedzieli niezliczeni kupcy.

– Moja pani... – odezwał się Wahabil, który stanął przy mnie, gdy zajęłam miejsce na tronie. Otworzyłam usta, by złożyć mu gratulacje, ale nagle spostrzegłam, że towarzyszy mu mężczyzna w prostej kamizelce. Zza wyraźnie zużytego pasa wystawała mu srebrna rękojeść sztyletu, na której widniał znak starego, dumnego rodu. – Przedstawiam ci Tamrina z plemienia Gabaan, syna Shakra. To główny handlarz twój i twojego ojca. Objął to stanowisko po swoim ojcu.

Mężczyzna uklonił się nisko. Gdy się wyprostował, przez chwilę przyglądałam się wytwornej linii jego zarostu, ciemnym kreskom na powiekach, zdumiewającej barwie jego skóry. Spodziewałam się, że będzie opalony jak rolnik, a tymczasem ujrzałam ciepły, lśniący odcień brązu. Nie nosił pierścieni i w ogóle żadnej biżuterii poza szeroką złotą obręczą na nadgarstku.

– Moja królowo... – zaczął. – Pozwól, że powtórzę słowa, które bez wątpie-

nia wypowiedział już mój krewny, radny Ilyafa, ku potępieniu nikczemnych działań Amańczyków. Chwałę twoje decyzje powzięte w ich sprawie. Niech Almaqah błogosławi twoim rządóm i uczyni twe imię wielkim.

Przyglądałam mu się przez chwilę bez słowa. Był nieco młodszy ode mnie.

– Powiedz mi, jak się miewa twój ojciec? – spytałam w końcu.

– Jest jak wielbłąd, którego wypuszczono wreszcie na pastwisko po latach znoju. Gruby i szczęśliwy. – Zachichotał.

– Zaprawdę, Gabaan to potężne plemię – stwierdziłam, w zamyśleniu głaszcząc głowę koziorozca wyrzeźbioną przy krawędzi podłokietnika. – I jakież... neutralne. – Nie musiałam wypowiadać tego, co było oczywiste: oto nie przysłali swoich ludzi do pomocy podczas naszego marszu na Marib. Rozmawialiśmy o tym z Wahabilem.

Tamrin skinął głową.

– Moja pani...

– Sprytna polityka, jeśli weźmie się pod uwagę zależność Gabaanu od plemion zamieszkujących oazy. – Podniosłam na niego wzrok. – A jednak trudno pojąć brak lojalności, gdy neutralność nie jest już koniecznością.

– Moja pani jest mądra. Stosuję się do jej ustaleń z radnym Ilyafą w kwestii jak najpełniejszego okazania lojalności przez plemię Gabaan. Jestem tylko handlarzem, nomadą pośród nomadów.

Nie zaczerwienił się ani nie zająknął. Był albo obyty na dworze, albo po prostu głupi.

Nie uznałam go jednak za głupca.

– Co sądzisz o naszym przyjęciu, Tamrinie z Gabaanu?

Moi goście rzucali zdawkowe uwagi pomiędzy przeżuwaniami kęsów zwiniętego słodkiego chleba maczanego w sosach z kardamonem i fenkułem. Nie próżnowali; powolne jedzenie przyciągało do stołu nieprzychylnie duchy.

Tamrin wyciągnął rękę w kierunku gwiazdozbioru z latarenek.

– To prawdziwe чудо. Będę opowiadał o nim do końca życia, a ludzie posądzą mnie o egzaltację. Za pozwoleniem, przyniosłem ci prezent.

Młodszy mężczyzna podał mu długie pudło w kształcie prostopadłościanu. Tamrin chwycił je obiema dłońmi.

– To skromny dar, ale pochodzi z bardzo daleka. Twoja miłość do nauki była znana memu ojcu.

Shara odebrała pudło, otworzyła je i uniosła, bym mogła obejrzeć jego zawartość. W środku znajdował się podwójny zwój z dobrego papieru welinowego.

– Czyje to pisma? – spytałam.

– Króla Izraela z północy. Zostały przetłumaczone przez mojego ojca. Opowiadają o tajemnej wiedzy, którą ów władca posiadał za sprawą swego boga.

Czytałam jedynie skąpe relacje o tym królestwie istniejącym dopiero od przeszło pół wieku, o tej federacji plemion wciąż raczkującej, jeśli chodzi o sztukę budowy miast.

– Czy wierzysz w to, że bogowie udostępniają tajemną wiedzę, Tamrinie z Gabaanu?

– Powiadają tak o wszystkich suwerenach, czyż nie? – odpowiedział z uśmiechem. – Przyznaję, że nie pojmuję tego boga. Wiem za to, że król łaknie bogactw i rzadkich dóbr tego świata.

– Jakiż władca ich nie pragnie?

– Owszem, ale ten może sobie na nie pozwolić. Bogactwo jego kraju dorównuje nawet zamożności Saby.

Roześmiałam się głośno. Wahabil, który stał u boku Tamrina, również uśmiechnął się uprzejmie. W jego oczach widać było zmęczenie. Nadzorowanie przygotowań do przyjęcia mocno nadwerżyło jego siły. Znajdę sposób, by mu to wynagrodzić – a przynajmniej pozwolę mu odpocząć.

– Każdy handlarz jest również bazarzem. Teraz rozumiem, dlaczego mógłbyś zostać posądzony o egzaltację.

Przytaknął lekkim skinieniem głowy.

– Poza tym oboje wiemy, że tylko Babilonia i Egipt dorównują Sabie – powiedziałam. – Ale nawet Egipcjanie muszą handlować wszystkim, czym się da, łącznie z perukami, gdyż chętnie kupują naszą mirrę.

Wahabil zachichotał, a Tamrin mu zawtórowała, choć miałam wrażenie, że mimo dworskiej etykiety spojrział na mnie badawczo.

– Izraelita nawiązał ważny sojusz z Egiptem.

– Czyżby?

– Poślubił córkę faraona i w posagu otrzymał miasto Gezer, leżące na skrzyżowaniu Drogi Morskiej z Drogą Królewską. Dzięki temu sprawuje kontrolę nad handlem z Egipcjanami na południu i z Fenicjanami na północy.

Przechyliłam głowę na bok. Faraonowie nie zwykli wydawać swoich córek – zezwalali jedynie na małżeństwa synów z zagranicznymi księżniczkami. Cóż ten faraon widział w rozpoczynającym panowanie władcy, że nie zważał na honor swego państwa?

Wahabil chrząknął dyskretnie. Goście prawie skończyli jeść.

– Proszę za mną – poleciłam i wstałam. Moi goście zerwali się na równe nogi. – Wkrótce sami zawitamy do Egiptu.

Skinęłam na dwóch mężów, by dołączyli do mnie, gdy wraz ze świtą wyszłam do pałacowych ogrodów. Pierwsi goście, którzy pojawili się za nami, aż westchnęli z zachwytu. Teren, oświetlony tysiącem latarenek, przeszedł całkowitą przemianę. Wielkie połacie błękitnej mgiełki kłębiły się na całej długości ogrodu, dzieląc go na części wschodnią i zachodnią, płynęły niczym fale wzburzane wieczornym wiatrem.

Na zachód od tego błękitnego przesmyku z klatek stojących pod drzewami owocowymi leniwie spoglądały wiwery i lwy. Po ogromnym wybiegu przechadzały się strusie. Różne ptaki urządziły konkursy śpiewacze z papugami mieszkającymi w arboretum wielkości mojej sali audiencyjnej. Nieopodal stała czarno-biała zebra, przywiązana do szarańczyna. Na akacjach rozwieszono mieniące się złotem

cieniutkie krążki. Ciemnoskórzy słudzy ustawiali patery z podpłomykami na stołach uginających się pod ciężarem mis z rybami w sosie przyprawionym kurkumą, a także z gulaszem z cielęciny, soczewicy, pokruszonego sera i warzyw na ostro. Przysmaki Puntu.

Na północ od „Puntu” wznosiły się „piramidy”. Każda z nich miała wysokość pięciu mężczyzn. Były doskonale widoczne na tle owalnego płótna oświetlonego od tyłu kandelabrem z pochodniami. Wyglądało to jak wschód Ra. Nadzy niewolnicy w czarnych wełnianych perukach i fajansowych naszyjnikach czekali u brzegów „Nilu”, przed „świątynią bogini Isis”, z dzbanami egipskiego piwa. Przekroczyło to nawet moje wyobrażenia. Z zachwytem patrzyłam na papirus falujący na wieczornym wietrze u brzegów sztucznej rzeki, a także na barkę, wystarczająco dużą, by pomieścić lektykę.

We wschodniej części ogrodu przedstawiono kolejne oazy, w których przystawały karawany – w Yathribie, Dedanie i Temie przy szlaku kadzidlanym. Pasły się tam uwiązane do daktylowców wielbłądy o najlepszych rodowodach. Trzy białe wielbłądzice odpoczywały pomiędzy otwartymi czarnymi namiotami, w których wnętrzach było widać szerokie plecione dywany, a na nich – patery z rybami, zieloną cebulką i egzotycznymi jajkami o różnych kolorach i rozmiarach. Kilku służących, przebranych za mieszkańców dzikich terenów, ale i tak wyglądających wytworniej niż którykolwiek Pustynny Wilk, czekało, by powitać „podróżnych”.

Wszędzie poruszali się tancerze – stąpali ciężko po ziemi w „Puncie”, płasali z naczyniami na głowach w „oazach”. Muzykanci grali na bębnach, oudach i egipskich sistrumach.

Przy wejściu stał wielki złoty kocioł pełen zaschniętych kropelek pachnącej żywicy. Pośrodku „Morza Czerwonego” znajdowała się „wyspa”, a na niej stał alabastrowy tron przypominający ten z pałacowej sali – z identycznymi nogami zakończonymi kopytami koziorożca i przewieszoną przez poręcz skórą lamparta. Podobieństwo było tak uderzające, że goście zastanawiali się głośno, jakim cudem tak szybko go tu przeniesiono.

Klasnęłam w dłonie i muzycy umilkli.

– Zstąpiliśmy z niebios niczym sami bogowie... – zaczęłam – by przeprowić się przez Morze Czerwone do Ofiru. Tam skosztujemy złota i egzotycznej dzicy

Puntu lub jego przysmaków przy akompaniamencie ptaków. A może pragniecie udać się na północ do Egiptu, by uraczyć się tamtejszym piwem, złożyć ofiarę z kadzidła przed Isis lub pomodlić się, by Ra zechciał ponownie wzejść? Czy może wolicie zwiedzić z karawanami tereny z tej strony morza, przez Dedan i Yathrib aż do Palmiry?

Podeszłam do kotła i za pomocą jednego z wielu srebrnych kielichów wyłowiłam zeń garść kropelek żywicy.

– Jeżeli zamierzacie skorzystać ze złota Puntu, przychylności Ra czy gościnności w oazach, nie zapomnijcie zabrać ze sobą tego, co w Sabie najlepsze! Przerzekajcie na bogów każdego miejsca, które odwiedzicie, i składajcie im ofiary tak słodkie, by zwrócili tęskne spojrzenia ku Sabie. Saba i Almaqah, ponad wszystko!

Wołanie odbiło się echem. Spojrzałam w niebo na białą księżycową tarczę.

Po chwili w ogrodzie zabrzmiały radosne pieśni i rozpoczęła się zabawa. Kiedy muzycy zaczęli ponownie grać, nawet członkom rady królewskiej udzielił się entuzjizm młodszych mężczyzn.

Rzuciłam triumfalne spojrzenie Tamrinowi. Śmiał się głośno, gdy goście zbierali do kielichów krople żywicy przed wyruszeniem na poszukiwanie egzotycznych przyjemności.

Zbliżył się do mnie – nie na tyle, aby rozżłościć mojego eunucha, ale wystarczająco blisko, bym go słyszała.

– Zaprawdę, moja pani, wprowadziłaś mnie w zachwyt.

– Dziękuję za prezent – odparłam.

– Może któregoś wieczoru zechcesz wysłuchać opowieści prostego handlarza, nim moja karawana wyruszy na północ, i doradzić mi, które z nich powinienem przekazywać dalej. Choć za relację o tej nocy z pewnością nazwą mnie kłamcą. Teraz jednak upraszam cię, byś powiedziała mi, jak mógłbym okazać ci lojalność Gabaanu i handlarza Tamrina. Wierność plemienia Gabaan, raz okazana, nigdy się nie zachwieje. Być może pewnego dnia dostąpię tego zaszczytu, by ci to udowodnić.

Przyjrzałam się jego twarzy – od zmarszczek na czole i prostej linii nosa po oczy, często mrużone w słońcu.

– Oczywiście.

Tamtej nocy, kiedy wstawałam z tronu w ogrodzie, myślami byłam nie w Puncie, Egipcie czy oazach, nie przy gościach podszczypujących niewolnice i brodzących po pijaku w „Nilu”.

Zdałam sobie sprawę z tego, że przyglądam się zakątkowi, którego nie rozjaśniało światło nawet najdalszej latarni. Skrawkowi ziemi na północ od „Temy”, jeszcze za „Edomem”. W innym świecie.

Izrael. Ta nazwa szumiała mi w głowie. Smakowałam ją w ustach. Wypatrywałam handlarza w tłumie gości, ale nie mogłam go znaleźć. Opowieści Tamri-na z pewnością były równie przesadzone jak jego dworskie maniery. Żadne królestwo istniejące niewiele ponad pół wieku nie miało takich wpływów ani bogactw, jakie on przypisywał Izraelowi. Żaden suweren nie cieszył się taką przychylnością kapryśnych bogów.

Wiele godzin później, gdy uznałam zabawę za zakończoną, a Sabę za bogatszą niż kiedykolwiek wcześniej, gościom rozdano ostatnie złote krążki, egipskie skarabeusze i bele farbowanych na jasny kolor tkanin z doliny Indusu, a przybyłym na dziedziniec – tysiąc worków ziarna w komplecie ze srebrnymi kielichami. Mogłam wreszcie udać się do swojej komnaty. Nakazałam wyczerpanej Sharze odpoczynek, a sama usiadłam na sofie z moimi nowymi zwojami. Przyglądałam się pięknie zapisanym tekstom.

Kiedy zaczęło świtać, jeszcze czytałam. I później, o poranku.

– Powiedz mi... – zaczęłam, zasiadłszy w swojej prywatnej komnacie – cóż to za wymysł? – Dokładnie w tym miejscu błagałam ojca, by nie wydawał mnie za Sadiqa. Tutaj też prosiłam go, aby mnie odesłał do Puntu. Jakże wiele się zmieniło!

Zgięty w ukłonie Tamrin podniósł się, wyraźnie zaskoczony.

– Moja pani...? – I tym razem był ubrany prosto; obręcz na nadgarstku i schludnie przycięta broda stanowiły jego jedyne ozdoby. Włosy związał skromnym rzemieniem. Po przeciwległej stronie komnaty, przy drzwiach, stał Yafush. Na jego szyi lśniło złoto. Był imponujący, stateczny i piękny niczym figura obsydianowa. Jak bardzo można się od siebie różnić!

Shara naląła wina i zajęła rzeźbiony fotel, a handlarz zaczerpnął zwyczajowy pierwszy łyk trunku, wyraźnie zakłopotany.

– Czy czytałeś zwoje, które mi podarowałeś? – spytałam.

Brwi Tamrina się uniosły.

– Ja... nie. Cóż, znam tylko fragmenty. Na izraelskim dworze czasami cytuje się królewskie pisma.

– Rozumiem.

W nocy miałam ochotę spalić zwoje – ten zbiór sentencji zaczerpniętych z innych tekstów, głównie egipskich. Mimo niechęci musiałam przyznać, że to zgrabne kompendium, choć niespecjalnie nowatorskie. Ale to nie przysłowia wywołały moje oburzenie.

– Jak długo ten król zasiada na tronie?

– Od dziesięciu lat, królowo, o ile nie jedenastu. Ale powiedz mi, błagam, co cię tak wzburzyło?

– Ów król spisał tutaj dwie pieśni.

Sięgnęłam po zwój leżący na stoliku z kości słoniowej, podniosłam go i zaczęłam czytać: *Niech za dni jego kwitnie sprawiedliwość i pełnia pokoju, dopóki księżyc nie zagaśnie*[7]. – Przerwałam i spojrzałam na Tamrina.

– O, moja pani – powiedział niemalże z ulgą – zapewniam cię, że to nie afront wobec twojego boga. Na obrzeżach miasta tego władcy czci się wielu bogów. Czynią to nawet jego żony.

– Czy jesteś tego pewien? – spytałam. Nie czekając na odpowiedź, ciągnęłam: *Niech panuje od morza do morza i od Rzeki aż po krańce ziemi. Niech przeciwnicy jego przed nim upadają, a wrogowie jego proch liżą. Królowie Tarszisz i wysp niechaj przynoszą dary...* – Podniosłam wzrok znad zwoju i utkwiałam go w handlarzu. Po chwili dokończyłam: *... niech królowie Szeby i Seby składają daniny.*

Czyżby zbladł?

– Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że niedouczeni zwą moje królestwo „Szebą”. Czyż nie?

– Jest tak, jak mówisz, królowo.

– A gdzież jest Seba?

Zawahał się na moment.

– W Puncie, moja pani.

Przybrałam kamienny wyraz twarzy. Tamrin natychmiast złożył mi głęboki pokłon, a ja pominęłam fragment i czytałam dalej: *On wyzwoli bowiem ubogiego wołającego o pomoc... Ulituje się nad słabym... Niech żyje więc i niech mu składają w darze złoto Szeby!*

Rzuciłam Tamrinowi zwój pod stopy.

– Moja pani, przyjmij moje najszczerze przeprosiny. Nie byłem świadom...

– To zapis modlitwy Dawida, syna Jiszaja – oznajmiłam bezbarwnym głosem. – Któż to?

- To król, ojciec Salomona.
- Tak go zwa? „Synem Jiszaja”?

Wyprostował się gwałtownie.

- Owszem. Ojciec króla nie był członkiem rodu królewskiego.
- A zatem... – zaczęłam rozbawiona – jakże został królem?

Na chwilę zacisnął usta.

– Został wybrany przez jednego z proroków spośród synów Jiszaja. Był pasterzem... i najmłodszym synem.

W komnacie rozległ się mój śmiech.

– A teraz syn pasterza jest takim wielkim i bogatym królem. – Spojrzałam na Share, która zasłaniała usta dłonią niczym welonem, by, jak domniemywałam, skryć rzadki u niej uśmiech.

– Tak. – Handlarz rozłożył ręce. – Jego ojciec był nietuzinkowym królem. Jak głosi tradycja, okazał się wybitnym wojownikiem. A nawet rozbójnikiem, jak wielu w jego czasach, i zabójcą. To on zjednoczył plemiona Izraela.

Nasi władcy również jednoczyli plemiona. Do dziś lud zwał mnie *mukarrib* – „zjednoczycielka”, na cześć mojego dziadka, który złączył cztery wielkie królestwa w jedno, z Sabą na czele.

– A więc ten król-pasterz modlił się, by Saba składała jego synowi w darze złoto.

– Moja królowo, bogactwo Saby jest wszystkim znane. To wyraz podziwu wobec twego królestwa, że dawny król życzył swojemu synowi takich zaszczytów.

– Chodź, Tamrinie, porozmawiamy teraz szczerze.

Cofnął się, gdy zeszłam z podestu i skierowałam się ku niskiej sofie. Skinęłam na niego, by zajął miejsce na sofie stojącej obok. Tym samym nadałam mu status doradcy.

– Dziesięć lat na tronie. Może jednaście, jak mówisz.. – zaczęłam, a Shara

postawiła przed nami talerz z daktylami.

– Tak, moja pani.

– Jego żona jest córką faraona. Ale dobrze wiemy, że faraon jest słaby.

– Jego pierwsza żona.

– A ile ich ma? – Uniosłam kielich. Mój ojciec również miał kilka konkubin.

– Nie jestem pewien. Kiedy ostatnio liczyłem, może było ich dwieście.

Tylko cudem nie oblałam się winem.

Tamrin uśmiechnął się nieznacznie.

– To prawda. Córka faraona wniosła mu w wianie Gezer, a ammonicka żona – kontrolę nad Drogą Królewską prowadzącą od Morza Czerwonego do Damaszku. Ma wiele kobiet, w tym konkubiny z dwunastu plemion swego narodu, żony z państw lennych: Moabu, Edomu, Aramu, Chamatu, Soby, Kanaanu, a także Chitytki i Amalekitki.

– Czy każda twoja opowieść o tym człowieku będzie tak mocno przesadzona: od relacji o jego ziemiach po bogactwa i kobiety? – Tym razem, kiedy spojrzałam na Tamrina, niemal nie mogłam oderwać od niego wzroku. Jakim cudem do tej pory nie zauważyłam, że ma ciemnoniebieskie oczy?

Handlarz pokręcił lekko głową.

– Obawiam się, że żadna nie jest. Widziałem stolicę jego kraju i budowę świątyni, a także fortyfikacje miast, w których zostały osadzone garnizony sprawujące kontrolę nad drogami od Eufratu do Synaju i od Morza Czerwonego do Palmiry. Jako że władca sprawuje zwierzchnictwo na szlakami biegnącymi przez Gezer, jest również pośrednikiem w handlu końmi i rydwanami między Anatolią a Egiptem.

Zmrużyłam oczy.

– Zwą go „księciem kupców” – ciągnął. – Gustuje w luksusach, egzotycznych towarach i zwierzętach.

– I, najwyraźniej, w kobietach.

– Najwyraźniej – przyznał z lekkim uśmiechem.

– Dlaczego tak mało słyszałam o jego ojcu i o nim samym, skoro jest tak potężny i bogaty? – Lata temu dotarły do mnie jakieś pogłoski o bandyckim królu Dawidzie, ale to wszystko.

– Niewiele karawan zapuszcza się tak daleko na północ. Z reguły z towarami jeździ się tylko do oaz w Dedanie, gdzie kupują je inni handlarze. Mój ojciec odbył wielomiesięczną podróż do Edomu i Jerozolimy kilkakrotnie, a ja dwukrotnie, widziałem więc to wszystko na własne oczy. Twój ojciec prowadził interesy z tym władcą. Posłał mu nawet mirrę na ewentualny pogrzeb jego ukochanej matki, kiedy ta zachorowała. Podczas ostatniej wyprawy dowiedziałem się, że odeszła do krainy cieni.

Raz jeszcze wbiłam wzrok w stojącego przede mną mężczyznę. Dokładnie przyjrzałam się jego oczom i szlachetnym kreskom wokół nich, szerokiej górnej wardze i szczupłym palcom u dłoni o zrogowaciałej skórze. Miałam rację, kiedy wcześniej pomyślałam, że ten człowiek powinien głosić handlową potęgę Saby reszcie świata. Zauważyłam, że nie rozsiadł się na sofie; stopami dotykał posadzki. Był więc człowiekiem twardo stąpającym po ziemi, który nigdy nie tracił czujności.

Albo też człowiekiem znoszącym dworskie życie z wyraźną łatwością, ale tylko tak długo, jak było to konieczne.

– Wcześniej opuściłeś przyjęcie – stwierdziłam.

Skinął głową.

– Jestem skromnym handlarzem i nie czuję się dobrze wśród luksusów. Proszę mi wybaczyć.

Skubnęłam nieistniejącą nitkę przy rękawie.

– Co otrzymał mój ojciec w zamian za kadzidło na pogrzeb królowej? Wnioskuje bowiem, że matka króla była królową, a nie jakąś pastereczką.

– Królewską wdzięczność i specjalne względy.

– Królewską... wdzięczność!

– Owszem, a także dogodne warunki handlowe. Moja pani... – zaczął Tamarin i pochylił się w moją stronę – zaniósę na północ opowieści o twoim królestwie, jego bogactwach i lojalności twego ludu. Powiedz mi, czego jeszcze żądasz... a ja to uczynię.

Czy mi się zdawało, czy też w jego oczach tliła się obietnica? Spojrzałam na wierzch jego dłoni, na linię prowadzącą od nadgarstka aż do silnego przedramienia. Widziałam żyły pod skórą.

Oparłam się na poduszkach.

– Pojmujesz mój zamysł. Zrozum i to: pragnę, aby nasz język i kult bogów, a także informacje o naszych osiągnięciach w dziedzinie nawadniania pól dotarły na tereny leżące na północ od Fenicji. Chcę, by świat usłyszał o naszej wielkiej tamie, kanałach i hodowli wielbłądów. O rajskich ogrodach, którymi są nasze oazy, a także o murach wokół naszej stolicy i jej wielopiętrowych domach.

– Oraz o pięknie królowej Saby?

Wykrzywiłam usta w uśmiechu, rozbawiona.

– Ani razu nie spojrzalesz na moją twarz.

– Mimo to, moja pani, kiedy opowiem o tobie, ludzie zarzucą mi przesadę – podobnie jak ty, kiedy mówiłem o Salomonie. Ale dlaczego chcesz, by świat usłyszał o cudach Saby? Niemożliwe, że tylko po to, by się pochwalić.

– Masz rację. A jednak musimy się chwalić. Chcę zwabić do stolicy najlepiej wykształconych uczonych i najlepszych rzemieślników. Nie mogę doczekać się dnia, w którym rzeźbiarze i budownicy z Fenicji, astronomowie z Babilonii i ludzie znający tajemnicę produkcji jedwabiu przybędą tłumnie do Saby, by ujrzeć nasze bogactwa. Ich wiedza zostanie tutaj sowicie wynagrodzona.

Powoli zaczerpnął powietrza.

– Aha, teraz pojmuję. A zatem dopilnuję, by nazwę „Saba” wymawiano jak imię boga, tajemniczo i z namaszczeniem... a imię jej królowej jak imię bogini.

Wybuchnęłam śmiechem, ale był to zupełnie inny dźwięk niż ten przed chwilą.

– Spodziewam się, że wkrótce otrzymasz wiele darów z Egiptu – powiedział Tamrin, przyglądając mi się uważnie. Jego wzrok zatrzymał się na moim welonie.

– Czasy świetności Egiptu już minęły – stwierdziłam.

– Za to jego libijscy najemnicy rosą w siłę z każdym dniem. Może i Egipt utracił Nubię, ale wkrótce stanie się nowym, świetnie uzbrojonym krajem.

– Zawsze mieliśmy dobre relacje z Egiptem. Ale teraz rządzą nim kapłani. Poślemy dary dla świątyń w Tebach.

– Jak sobie życzysz, królowo. To będzie sporo kosztować.

– Owszem, i to jest szansa na zysk dla ciebie. Uczynię cię bogatym, z pewnością bogatszym, niż jesteś teraz – zapewniłam. Tylko osoba zamożna, która nie musi nikomu niczego udowadniać, ubiera się tak skromnie, a jednocześnie nosi się z taką klasą. – Teraz jednak powiedz mi: jakich bogów czci ten król Salomon?

– Boga swoich ojców.

– Czyli?

– Zwą go: „JESTEM, KTÓRY JESTEM”, „JAM JEST”.

Uniosłam brwi.

– Jakież imię nosi ten bóg?!

– To bóg o imieniu, którego się nie wymawia, uważany za boga wszystkich bogów.

– Ten król niechybnie zmierza ku upadkowi. – Zaśmiałam się głośno. – Czyż nie wie, że tak samo było w Egipcie, kiedy Echnaton nakazał oddawanie czci jedynie Atonowi – bogu, który przynajmniej miał imię – i marnie się to skończyło? Ten sam Echnaton, którego uważają za wroga! – Dawno temu czytałam pisma o świątyniach zaniedbanych po śmierci Echnatona, a także o pladze, która dotknęła ludność. Nic dziwnego, że znienawidzono go za rozdrażnianie bogów.

– Jaki jest symbol tego boga o niewymawialnym imieniu? Przywiozłeś ze sobą posążek?

Tamrin się zawahał.

– Ten bóg nie ma ani symbolu, ani posągów.

Wybuchnęłam jeszcze głośniejszym śmiechem niż wcześniej.

– Bóg, którego nie można nazwać ani zobaczyć!

– Prawo Izraelitów zabrania sporządzania wizerunków bogów – w tym ich własnego.

– Czyż nie jest to zaprzeczanie istnieniu boga, unicestwienie jego imienia i oblicza?

– Zapewniam cię, że jego kapłani są pobożni – odparł posępnie. – Choć żony króla praktykują swoje wierzenia w budowlach, które wzniesiono dla nich poza miastem.

Wzdrygnęłam się na te słowa.

– Nie zabawi długo na tym świecie.

– Masz rację, moja pani. – Tamrin skłonił głowę. – Ale skoro jeszcze tu jest, jakie dary dla niego powinienem zabrać w podróż?

Spojrzałam na niego.

– Żadnych – odpowiedziałam bez wahania.

Uniósł wysoko brwi.

– Weź ze sobą jedynie na sprzedaż zwykłe ilości towarów najlepszej jakości.

– Jesteś pewna, królowo?

– Saba ma monopol na handel przyprawami. Jeśli król zechce towarów z Puntu czy terenów położonych dalej na wschód, musi się z nami targować. Jeżeli pragnie najlepszego kadzidla, musi z nami handlować. Jestem nową królową, z którą należy się liczyć. Niech pośle dary... nam.

Zawahał się na moment.

– Jak sobie życzysz. A jaką wiadomość mam zanieść „księciu kupców”?

– Jedynie swoje opowieści i... cennik.

– A jeśli zawitam do Jerozolimy i opowiem o Sabie oraz o jej wspaniałej królowej władcy złąkniomemu pokojowych i zyskownych sojuszy... Co mam odpowiedzieć, kiedy wyjdzie z propozycją sojuszu z Sabą poprzez małżeństwo?

– Że nie mam córek na wydaniu.

– Miałem na myśli ciebie, moja królowo.

Podniosłam na niego wzrok.

– Jestem władczynią swojego kraju. Nie księżniczką, którą można posłać do jego haremu.

– Obyś panowała sto lat – powiedział i skłonił głowę.

Gdy tylko opuścił komnatę, zdjęłam welon i upiłam z kielicha spory łyk wina.

Nie umknęły mi ukradkowe spojrzenia Shary.

– Wiem, co sobie myślisz – powiedziałam później, kiedy rozbierała mnie w prywatnej komnacie po tym, jak córki możnych zajmujące się moimi pokojami zostały odesłane do łóżek.

– Nie mów, że nie zauważyłaś tego, jaki on jest przystojny... i jak na ciebie patrzył.

– Może i zauważyłam.

Zaśmiała się, a ja poczułam wdzięczność, że mogłam usłyszeć ten dźwięk.

Tamtej nocy, kiedy Shara zasnęła, a jej oddech stał się miarowy niczym morskie fale, znowu zaczęłam rozmyślać o szczupłych palcach i żyłastych przedramionach, o tym, jak górna warga Tamrina rozszerza się w uśmiechu.

Ale teraz potrzebowałam nie tyle kochanka, ile uzdolnionego sojusznika,

którego usta będą wychwalać mnie przed światem.

Piękne usta, przyznaję.

...

Tamrin wrócił trzy tygodnie później, by pożegnać się ze mną w świątyni. Był pierwszy dzień po nowiu – czas przeznaczony na rozmaite początki i podróże. Tym razem Tamrin miał ze sobą amulet z brązu z inskrypcją, która miała go chronić. Był to typowy amulet handlarzy. Kapłanka – kobiece wcielenie cyklu księżycowego Almaqaha – zaintonowała pieśń, a akolita Asma napełnił krwią koziorożca misę przed świętym źródłem. Młoda dziewczyna, przysłana do świątyni z mojego rozkazu, kołysała się na klęczkach, pewnie pod wpływem napoju z datury.

– Lew zaryczy – powiedziała kilkakrotnie. Asm nie interpretował jej słów. Wróżba była przeznaczona tylko dla handlarza, który sam miał wyjaśnić sobie jej znaczenie. O ile takowe istniało.

Kiedy uniosłam nad nim ręce w geście błogosławieństwa, dziewczyna podniosła na mnie wzrok i krzyknęła, a następnie zasłoniła sobie oczy. Zlekceważyłam jej zachowanie, gdyż wiedziałam, że jest w tej chwili niespełna rozumu. Skupiłam się na Tamrinie – człowieku, w którym od teraz będę musiała pokładać wielką ufność. W przedziwny sposób zazdrościłam mu tej podróży.

Spojrzał na mnie tak, jakbym nie była kobietą ani królową, ale kimś zupełnie innym.

Poczułam, że dystans między nami szybko rośnie. Przypomniało mi to noc, podczas której niepokoiliam swoimi wątpliwościami Asma, a spojrzenie kapłana świadczyło o tym, że zupełnie nie rozumie on moich rozmyślań i udreki związanej z poszukiwaniem odpowiedzi na liczne pytania.

Zanurzyłam palec w misie.

– Wróc do mnie bezpiecznie za rok – powiedziałam i narysowałam na czole Tamrina odwrócony księżycowy sierp.

Handlarz oddał mi pokłon i ucałował pasek u mojego sandała.

Chwilę później odjechał, by dołączyć do karawany złożonej z trzech setek mężczyzn i tłuż wielbłądów.

Wkrótce nadeszła zima, a ja zapomniałam o królu Izraela.

[7] Tu i dalej: Ps 72; przyp. tłum.

Błogosławiłam małżeństwa. Ułaskawiałam złoczyńców poszukujących schronienia w świątyni i głosiłam, że w ramach pokuty powinni przyrzekać poprawę na groby bliskich im zmarłych. Orzekałam w procesach dotyczących plemienia znanego z kradzieży wielbłądów sąsiadów, a także w sprawie kobiety, która poślubiła dwóch braci i rozwiodła się z jednym z nich, ale nie zwrócono jej połowy posagu. Zajął się również sprawą mężczyzny, który nie mógł dać żonie dzieci, dlatego zaprosił do swojego namiotu podróżnego i zostawił ich samych. Ów podróżny pojawił się rok później i zaczął rościć sobie prawo do dziecka.

– W którym namiocie poczęto dziecko? – spytałam.

– W moim – odparł mąż.

– Zatem to twoje dziecko. A za każdym razem, gdy ten podróżny pojawi się u was, powitasz go jak brata.

Miałam dwadzieścia lat i byłam w pełni świadoma obsesji radnych w kwestii mojego potomka. Otrzymałam propozycje małżeństwa od przedstawicieli wszystkich znaczących klanów Saby, w tym od Nimana, mojego kuzyna. Odrzuciłam każdą z nich.

Wahabil odwiedzał mnie regularnie, jakby znał mój cykl miesięczny.

– Jeśli nie chcesz wyjść za mąż dla korzyści... – zaczął natarczywie pewnego wieczoru – to weź do łóżka któregoś z kapłanów. A jeszcze lepiej dwóch albo więcej. Niech dziecię pocznie się za sprawą samego Almaqaha. W przeszłości królowe rodziły już dzieci bogom. Błagam cię o to dla dobra twego królestwa. Inaczej po twojej śmierci wybuchnie wojna.

Wiedziałam, że było wiele kapłanów i kapłanek, którzy świadczyli takie „usługi”. Ale nie potrafiłam powiedzieć Wahabilowi o tym, że przez dwa lata sypania z Maqarem ani razu nie zaszłam w ciążę. Możliwe, że kiedy Sadiq gwałcił mnie rok przedtem, zanim stałam się kobietą, uszkodził mi drogi rodne. Nie wie-

działam tego na pewno, a poza tym nie zniosłabym upokorzenia związanego z wyjawieniem tego kapłanowi lub komukolwiek innemu.

– Przemyślę to – powiedziałam jedynie. Chciałam mu coś obiecać, choćby po to, by go uspokoić.

– Czy tak właśnie się dzieje, kiedy jest się eunuchem? – spytałam wieczorem Yafusha, który spacerował ze mną po ogrodzie, zawsze o krok w tyle. – Nawet nie pamięta się dotyku drugiego człowieka, nie można więc go pragnąć?

– Bycie eunuchem nie oznacza całkowitej utraty pragnienia, księżniczko – odparł cicho. – A jedynie środków do jego zaspokojenia.

Przystanąłam i chwyciłam go za rękę.

– Przykro mi, że ci to zrobili. Moim zdaniem to chyba nawet grzech – przeciwko ciału, o ile nie przeciw samym bogom.

– Myślę, że ty jesteś eunuchem w większym stopniu niż ja, księżniczko.

– Zawsze potrafisz mnie pocieszyć, Yafushu.

– Pewnego dnia odzyskasz świadomość swojego kobiecego ciała. A i ono przypomni sobie ciebie.

Często przewodniczyłam rytualnym ucztom. Kiedy patrzyłam w misę wypełnioną krwią, dostrzegałam jedynie życie zwierzęcia oddane bogu, o ile ów bóg w ogóle istniał. Może taka była rola bóstw – zostały wymyślone po to, by jednoczyć ludzi pod władzą większą niż królewska. Myśl ta wprawiała mnie w przygnębienie. Nadchodziła zima. Słońce stało się chłodne i mdłe, pozbawione tajemnicy.

...

Pierwsze chmury zebrały się nad zachodnimi wyżynami w dniu, w którym Wahabil oznajmił mi, że z północnego Dżaufu przybył posłaniec.

Handlarz Tamrin powrócił!

Przyjęłam go w mojej alabastrowej sali sześć dni później.

– Moja pani... – zaczął i złożył mi pokłon. Zauważyłam, że pociemniała mu skóra. Na palcu miał złoty pierścień.

– Mam nadzieję, że podróż okazała się owocna? – spytałam i położyłam ręce na podłokietnikach.

Wyprostował się szybko.

– W rzeczy samej. Pozwól mi wręczyć ci drobne podarunki spośród najlepszych towarów, jakie mamy.

Wahabil, który stał obok mnie na podeście, skinął na ludzi Tamrina, by podeszli. Nachyliłam się w ich stronę.

– Moja królowo, to z Fenicji. – Dwóch mężów wystąpiło do przodu i zaprezentowało mi kilka bel tkaniny w kolorze purpury tyryjskiej, tak pożądaną przez władców. – Oto tkanina barwiona wydzieliną ślimaków morskich żyjących tylko u wybrzeży fenickich. Ma drogocenny kolor królów – i królowych – wart swej wagi w srebrze.

Skinęłam, by podeszli bliżej. Chciałam dotknąć materiału. Z każdym rokiem jego jakość była lepsza.

– A to z wybrzeży znajdujących się po drugiej stronie wielkiego morza śródziemnego – oświadczył Tamrin, podczas gdy jeden z mężczyzn otworzył u moich stóp skrzynię. W środku znajdowało się mnóstwo złotych przedmiotów. Wahabil wybrał kilka z nich i podał mi. Była to biżuteria inkrustowana drogocennymi kamieniami. Niektóre przedmioty ozdobiono osobliwymi spiralnymi filigranami, jakich wcześniej nie widziałam.

– Z Egiptu – mówił dalej Tamrin i zaprezentował mi kolekcję peruk. Po bliższych oględzinach stwierdziłam, że pomiędzy ich wełniane nitki wpleciono maleńkie złote koraliki.

Nagle po drugiej stronie sali wybuchło zamieszanie. Strażnicy stali w gotowości; niektórzy pobiegli do wyjścia. Przestraszone dwórki krzyczały.

Po chwili jeden z mężów wprowadził do sali konia. Roześmiałam się, wstałam i klasnęłam w dłonie. Zwierzę o złocistej sierści potrząsnęło łbem. Czerwone i

niebieskie frędzle zatańczyły na jego grzywie. Prowadzący konia mężczyzna z trudem ścisnął lejce.

– Uważaj, królowo – powiedział Wahabil i wyciągnął rękę.

Uniosłam rąbek sukni i minęłam doradcę. Chciałam sama obejrzeć zwierzę. Nie mieliśmy wielu koni w Sabie.

– Jak udało ci się podróżować z tym stworzeniem? – spytałam z zachwytem.
– Zaprawdę, gdybyś powiedział, że przeniósł was tu dżin, uwierzyłabym.

Karawana mogła iść całymi dniami bez kropli wody – nie stanowiło to specjalnego problemu dla wielbłądów, szczególnie gdy znalazła się jakaś pasza. Ale koń to zupełnie inna sprawa. Te z mojej stajni zostały sprowadzone łodziami do Puntu, a potem przez Wąską Wodę trafiły do Saby.

– Oazy się zazieleniły, moja pani. Dwa wielbłądy niosły tylko ziarno dla konia. – Tamrin uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony. W końcu zauważyłam przecież jego wysiłek, by sprowadzić to zwierzę do Saby.

Okrążyłam konia z podziwem. Wtem aż zaparło mi dech w piersi.

– Przecież to ogier! – wykrzyknęłam.

– W rzeczy samej. Moja pani może więc powiększyć swoje stado.

Uniosłam dłoń bardzo wolno, by dotknąć dumnej końskiej głowy.

– Doprawdy, Tamrinie, jesteś cudotwórcą.

– Oho, ja jeszcze nie skończyłem – odpowiedział. Kilku mężów podeszło do nas z naczyniami. Przechadzałam się pośród nich, podczas gdy handlarz opowiadał o ich zawartości. Kardamon. Kolendra. Fenkuł. Pudełko rzadkiego i drogocennego szafranu. Amfora najczystszej oliwy z oliwek.

– Jeszcze dziewiętnaście naczyń trafiło do twoich spiżarni – dodał. Zmarszczki wokół jego oczu uwydatniły się, były jaśniejsze niż opalona skóra twarzy, jak u kogoś, kto godzinami mruży powieki, chroniąc oczy przed słońcem. Wydawał się zupełnie odmieniony, ale nie potrafiłam stwierdzić, co dokładnie się zmieniło.

– Zjesz ze mną i opowiesz o swoich podróżach – poleciłam.

Skłonił się nisko. Konia wyprowadzono z sali.

•••

– Twoja podróż istotnie przyniosła owoce – powiedziałam tamtego wieczoru w ogrodzie, opierając się o poduszki. Spektakl był skończony; przed nami spoczywał elegancki, acz prosty posiłek. Słyszałam, że handlarzom trudno ponownie nawyknąć do murowanych domostw po wielu nocach spędzonych przy ognisku – tak trudno, że mieszkają w namiotach swoich plemion poza bramami miasta lub w towarzystwie wielbłądów jeszcze przez kilka tygodni po powrocie. Podejmowałam Tamrina na prywatnej wizycie już po raz drugi. Towarzyszyli nam jedynie Shara i Yafush – moja prawa i lewa ręka.

– W rzeczy samej. – Uśmiechnięty Tamrin pochylił się i sięgnął po daktyla w miodzie. Przeżuwał go z namysłem, jakby zastanawiał się, od czego zacząć opowieść. Upił z kielicha spory łyk wina palmowego. – Świat łąknie dóbr Saby. Najbardziej rozmiłował się jednak w najświeższym i najcenniejszym towarze eksportowym w mojej ofercie...

Przechyliłam głowę na bok. Z roku na rok zmieniały się tylko ilości przypraw, perfum, balsamu i kadzidła, a także wzory na tkaninach. Wszystkie sabejskie dobra były drogie, od złota Puntu po kadzidło z Hadramautu. Musiały przebyć tak długą drogę wraz z całym chroniącym je orszakiem, że zanim dotarły do celu, ich cena równała się wartości samego złota.

– Najlepszym towarem eksportowym jest opowieść naocznego świadka o nowej królowej Saby – powiedział Tamrin i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Roześmiałam się tak głośno, że dźwięk ten dotarł aż do koron figowców.

– Przedstawiciele rozmaitych plemion przychodzili do oaz nie tylko po to, aby popatrzeć na towary i posilić się przy naszych ogniskach, lecz także – a nawet przede wszystkim – by usłyszeć wieści.

– No cóż – odparłam – wiem coś o tym.

– Nie pozostawiliśmy ich w niewiedzy. Wkrótce opowieść o twoim pięknie i bogactwie dotrze na krańce świata.

– Ty pochlebco.

Tamrin westchnął gwałtownie.

– Ty mówisz, że ci schlebiam, a oni, że popadam w przesadę, kiedy wychwalam gwiazdy zstępujące do twych komnat, kadzidło płonące w nich dniem i nocą po to, by woń bogów wypełniała nozdrza nawet najmniej znaczącego pałacowego sługi. Gdy mówię, że kość słoniowa jest w Maribie powszechna jak w innych miejscach marmur, alabaster – niczym skała wapienna, a laski cynamonu – jak drewno na opał. Że służka królowej nosi tak piękne ubrania, iż można ją pomylić z samą władczynią. Nie pomyliłby się jednak ten, kto w końcu ujrzałby królową... – Spojrzenie handlarza stało się leniwe. Na jego dolnej wardze lśniła kropla wina. – Nie. Nie sposób nie rozpoznać piękna, które, raz ujrzone, wryje się w umysł obserwatora niczym oblicze bogini ognia. Tak wielka uroda pozostaje w pamięci w każdym najmisterniejszym szczególe po jednym tylko spojrzeniu.

Westchnęłam i potrząsnęłam głową, jakbym miała do czynienia z beznadziejnym przypadkiem. Tamrin zachichotał.

– A więc to prawda, co mówią o sabejskich handlarzach – stwierdziłam. – Że przejaskrawią każdą historię o Sabie. Przecież tylko inni handlarze są w stanie odbyć podróż pozwalającą sprawdzić ich prawdomówność.

– Niech nazwą mnie kłamcą i oszustem, jeśli to nie jest prawdą – odparł i znowu się uśmiechnął.

I to wszystko mówił człowiek, który nigdy nie widział mojej twarzy.

– Ale ja też łaknę wieści – powiedziałam. – Opowiedz mi o świecie poza Sabą, o tym, co widziałeś i słyszałeś.

– Och, tak. Nowy władca objął tron w Atenach, w mieście, z którym handluje Fenicjanie, za zachodnim morzem. Fenicjanie sprzyjają tamtym ludom. One też zajmują się kupiectwem, choć z lichym skutkiem.

– A Fenicjanie?

– Przeprowadzają się przez morze, z każdym rokiem docierają coraz dalej. Mają niezrównanych nawigatorów. Ale to nic nowego.

Mówiąc to, Tamrin błędził gdzieś myślami, jakby przygotowywał się do tego, by opowiedzieć mi o czymś zupełnie innym. W jego niebieskich oczach dostrzegłam niemal dziki błysk.

– Twoje dary są aż nazbyt drogocenne. Muszę zwrócić ci koszty, szczególnie te, które poniosłeś w związku z transportem konia i paszy dla niego. Zapłacę wielbłędami, kozami, złotem – otrzymasz, co zechcesz.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedział, starannie wybierając z talerza daktyle, a potem migdały w oleju.

– Nalegam.

– Nie ma takiej potrzeby... ponieważ to wszystko zostało już opłacone. Ja podarowałem ci tylko tkaniny i przyprawy. Złoto, biżuteria, oliwa i ogier, a także zaopatrzenie dla niego oraz dodatkowe wielbłądy do niesienia paszy to dary od Salomona, króla Izraela.

Posłałam mu zdziwione spojrzenie.

– Nie wiedziałem, czy chcesz, abym mówił o tym publicznie, dlatego nie ogłosiłem tego wcześniej. Wybacz mi. Pomyślałem, że nie zaszkodzi, jeśli twoi dworzanie ujrzą korzyści, jakie przynoszą twoje przedsięwzięcia.

Sprytnie.

– Czy podobne pokazy na dworze były powszechne za czasów mojego ojca?

Pokręcił głową.

– Nie. Twój manewr opłacił się z nawiązką. To było zmyślne z twojej strony, moja pani, że rozpoczęłaś pertraktacje od milczenia.

– Mój manewr...

– Decyzja, by nie posyłać wiadomości ani darów. Król był bardzo zakłopotany.

- A zatem muszę usłyszeć tę opowieść.
- Zaniósłem mu wieść o śmierci twego ojca...
- Rozmawiałeś z nim osobiście?

Kiwnął głową.

– Owszem. Stałem przed wszystkimi jego dworzanami, a on zbeształ mnie tak, że początkowo nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Zbeształ cię?! Jesteś moim poddanym. Masz nienaganne maniery. Chcesz powiedzieć, że zbeształ mnie...

Tamrin podniósł wzrok. Miał poważny wyraz twarzy.

– Opowiedz mi wszystko, bez ogródek.

– Zaniósłem wieści o śmierci twego ojca – powtórzył. – O sojusznikach, którzy byli gotowi poprzeć twoje roszczenia i walkę o tron. O zwycięstwie nad twymi wrogami i zorganizowaniu obozów wojskowych na ich ziemiach, a także o budowie nowych świątyń ku czci boga księżyca. „Czy nie posłała mi wiadomości, podarunku ani prośby o zawarcie sojuszu?”, spytał król.

Wybuchnęłam śmiechem. Miałabym wysłać prośbę do władcy, który tak niedawno rozpoczął panowanie?

– Król chyba poczuł się urażony. Zaprawdę, moja pani, nie masz pojęcia, w jakim położeniu się znalazłem. Oto miałem przed sobą człowieka, który dostaje wszystko, czego zapagnie. Najlepsze dary z każdego podległego mu królestwa i terenów ościennych, aż po Tarszisz. Musiałbym chyba oddać mu cały przewożony ładunek i ogłosić go darem od królowej, choć oznaczałoby to utratę wszystkich ziemskich dóbr moich i połowy mego plemienia. – Lekko zmarszczył brwi. – Zamiast tego powiedziałem mu, że ty nie przemawiasz gestami czy słowami, ale nawet armią dowodzisz samym tylko wzrokiem. Że królowa Saby to tajemnica, której żaden mężczyzna nie jest w stanie zgłębić. – Urwał i posłał mi lekki uśmiech, jakby nie miał na myśli siebie.

– Nareszcie przyłapałam cię na rażącym kłamstwie.

– Ależ nie. – Tamrin pokręcił głową. – To prawda, choć nie powiedziałem mu, że przemawiasz z elokwencją równą najmądrzejszym królom. Rozkazał mi więc opowiedzieć o tobie więcej, podobnie jak ty rok temu zażądałaś ode mnie słów o nim. Wyśpiewałem tę samą pieśń o twoim pięknie, o bogactwach Saby – tak wielkich, że srebro okazuje się w niej bezwartościowe, bowiem mamy mnóstwo złota i innych drogocennych towarów zarówno w samym królestwie, jak i w jego koloniach za morzem. „Ponieważ Saba rozciąga się od morza do kopalń złota, świątyni i pól Puntu”, powiedziałem. Kazał mi pozostać na dworze przez wiele dni.

Wtedy pojąłem, co się w nim zmieniło: ów człowiek grzał się jeszcze w promieniach łaski tamtego króla!

– Przez wiele dni obserwowałem go, gdy jako sędzia zasiadał na tronie ze złota i z kości słoniowej. Widziałem, jak na jego stół, do stajni i zbrojowni trafiają daniny od poszczególnych narodów.

– Jak wielkie są te daniny?

– Moja pani, dary, z którymi mnie odesłał, to błahostka.

– Czyżby? – Cóż, towary te, poza ogierem, i w Sabie właściwie stanowiły drobiazgi. Co w takim razie wzbudziło taki podziw handlarza?

– Jego bogactwo rośnie z każdym dniem. Przerwał już monopol Filistynów na handel żelazem. Ma wielkie kopalnie nieopodal Edomu, z których wydobywa się na eksport pokaźne ilości miedzi. Będące jego własnością okręty fenickie wyruszają z Jaffy na zachodnim morzu, by ich załogi mogły handlować z Frygią, Tracją i Tarsiszem. Jego świątynia została ukończona po siedmiu latach pracy fenickich architektów i kamieniarzy. Ludzie spoza miasta mówią, że to duch wykonał tę pracę, ponieważ nigdy nie słyszeli odgłosów dźut i młotów od strony tej budowli – wznoszono ją w ciszy. Prawda jest taka, że wiele kamieni obrabiano w tunelach pod wzgórzami. Niemniej jednak jego legenda rośnie.

– Cóż władca taki jak Hiram z Fenicji może uzyskać od tak młodego królestwa, że posyła mu tylu ludzi, buduje okręty i świątynię dla jego władcy? – spytałam ze sceptycyzmem. Targały mną wątpliwości. Król Fenicji nie obdarowałby tak hojnie kogoś zupełnie niedoświadczonego, a przy tym skazanego na porażkę, jeśli weźmie się pod uwagę jego bezimiennego boga bez twarzy. Dlaczego tak wielu

ważnych ludzi, jeżeli wierzyć opowieściom, zacieśniało więzi z tym władcą i wysyłało mu swoje córki?

– Salomon w ramach zapłaty przyznał Hiramowi ziemię. Królestwo Izraela przylega do granicy Fenicji. Król posyła ogromne ilości pszenicy, jęczmienia i oliwy z oliwek na stoły Hirama, ponieważ Fenicjanie nie są samowystarczalni w kwestii żywności. – Tamrin pokręcił głową. – Odkąd ostatni raz gościłem w Jerozolimie, powiększył swój harem o czterdzieści nowych żon.

– Czterdzieści?!

– W rzeczy samej. A teraz, kiedy zakończono budowę świątyni, rozpoczął prace nad wielkim pałacem dla siebie i drugim dla córki faraona.

Wpatrywałam się w niego i zachodziłam w głowę, czy to możliwe, by handlarz tak bardzo ubarwiał swoją opowieść.

– Pani, przysięgam, wszystko, co mówię, jest prawdą.

– Już dobrze. Pomówmy otwarcie. Jak to możliwe, by jeden mężczyzna spał z tyloma kobietami? Wybacz mi, proszę, ale w tej chwili twoja opowieść przekracza nawet granice przesady.

– Nie wątpię w to, że żony rzadko go widują. Większość jego, ekhem, względów otrzymują najważniejsze z nich. Kobiety są oddawane – i otrzymywane – wraz z posagami, które poszerzają zasięg terytorialny państwa i zapewniają bezpieczeństwo na szlakach. Bywa też, że wymienia się je za robotników pracujących przy budowie miast ościennych lub po to, by przypieczętować traktaty pokojowe z sąsiednimi plemionami. Król ma obsesję na punkcie handlu i powiększania swoich bogactw, a nie płodzenia synów. Ma wroga w Damaszku, który występuje przeciwko niemu i atakuje północne granice jego kraju.

– Mówiłeś, że na północy Izrael sięga Eufratu.

– Owszem. No cóż, w tej chwili jest to kwestia dyskusyjna. Jego ziemie wydają się ciągnąć daleko na północny wschód od Damaszku, ale samo miasto zostało opanowane przez Rezona, nowego króla Syrii. Dlatego Salomon jeszcze bardziej obwarował najważniejsze miasta i rozpoczął budowę kolejnego na pustyni.

Aha. Czyli nie wszystko było takie idealne w tym młodziutkim królestwie.

Gdy Tamrin umilkł, odchyliłam się z powrotem. Przez głowę przelatywało mi mnóstwo myśli.

Egipt graniczył z Izraelem na południu, a Fenicja na północy i zachodzie. Cóż mogłoby zagrozić takiemu sojuszowi? Te narody już wcześniej zawiązały braterstwo – na ich czele stał Egipt – w zamian za dary, posłańców i małżeństwa, a także wzajemną ochronę. Saba miała własne kontakty z Egiptem oraz rynki zbytu w Jerozolimie i Tyrze, ale oto nastał król, który nazywał faraona „ojcem” i zastąpił stoły Hirama! Nawet słabnący Egipt znalazł sposób, by wżenić się w potęgę, oraz władcę, który zabezpieczył szlaki handlowe.

Zacisnęłam usta. A otóż i ja, naciskana przez wszystkich, by poślubić jednego mężczyznę. Gdybyż zawrzeć tyle układów poprzez małżeństwa, a jednocześnie nie oddawać nikomu ani kawałka tronu! Yafush miał rację: kobieta nie może rządzić tak jak mężczyzna.

Nie, musimy być o wiele sprytniejsi.

– W skrócie, moja pani, jest tak: to król, który nie uznaje porażek i zawsze dostaje to, czego chce – nie poprzez wojnę, jak jego ojciec, ale dzięki handlowi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Moja królowo, zarzucił mnie gradem pytań o ciebie, twój dwór i sądy nad twoim ludem. – Tamrin zawahał się i zaczął wiercić.

– I?

– Potem zażądał, by na jego dworze pojawił się twój emisariusz, a Saba złożyła mu hołd.

Poraziłam go tak chłodnym spojrzeniem, że upadł na kolana i skłonił głowę do ziemi.

– Och, doprawdy?

W ciągu roku kobieta potrafi przysporzyć sobie wielu kłopotów. Zwłaszcza jeśli jest królową i chowa do kogoś urazę.

Niepokoilo mnie to. Uwiarygadniało bowiem jedynie opowieści o królu Izraela.

Jeśli choćby najmniejsza część relacji Tamrina była prawdą, szczególnie informacje o ścisłych sojuszach Salomona z Fenicją i Egipcem, z którymi dosłownie dzielił łożę, to nie mogłam sobie pozwolić na milczenie. Jeden ruch któregoś z tych krajów mógł wpłynąć na bezpieczeństwo sabejskich szlaków i rynków zbytu.

W ciągu kolejnych ośmiu miesięcy wzywałam Tamrina sześciokrotnie. Miał wolny rok. W tym czasie inne, mniejsze karawany podróżowały z tymi samymi towarami na północ, ale bez królewskiego handlarza, który docierał dalej i przystawał po drodze na dłużej. Z reguły wyruszał w wielomiesięczną podróż zimą. Wiele dni spędzonych w przydrożnych oazach, w Jerozolimie, może w Damaszku, a potem miesiące drogi powrotnej. I wreszcie, po prawie roku odpoczynku, kolejny zimowy wyjazd.

Kiedy przyjął go po raz pierwszy, pokazał mi nowy zwój.

– To najnowsze pisma króla – oświadczył. Podarował mi także niewielkie cudencko: figurkę siedzącej na tronie bogini Astarte z misą w dłoniach.

– Czy to ją czczą Fenicjanie? – spytałam.

– Owszem, to bogini płodności, miłości i wojny... – Tamrin urwał. – Zresztą to chyba jedno i to samo.

Roześmiałam się głośno.

– Ale przecież nie byłeś w Fenicji?

Pokręcił głową.

– Nabyłem ją w Jerozolimie, gdzie bogini również jest znana.

– Ludziom TEGO, KTÓRY JEST? – spytałam z udawanym oburzeniem.

– W tym mieście czci się więcej bogów niż w sabejskich świątyniach – odparł.

– Ale cóż ona robi? Przepowiada przyszłość? – Od pamiętnego dnia ani razu nie spojrzałam w misę.

– Nie. Przekonasz się. Napełnij figurkę ciepłym mlekiem, a stanie się cud.

Tamtego wieczoru przeczytałam najnowsze przysłowia Izraelity. O Pani Mądrości i jej przeciwieństwie, Głupocie. Cóż za niespodzianka.

Leniwie przyglądałam się figurce Astarte. Poprosiłam Share, by przyniosła ciepłe mleko. Zaglądała mi przez ramię, gdy napełniłam wnętrze statuetki. Postawiłam posążek na stole. Przez pewien czas wpatrywałyśmy się w niego jak głupie kozy. Nagle na jednej, a potem na drugiej piersi bogini pojawiły się krople, które po chwili skapnęły do misy.

Wybuchnęłyśmy śmiechem i zaczęłyśmy starannie oglądać figurkę. Dostrzeżyliśmy dwa otwory w miejscach, gdzie wcześniej znajdowały się sutki.

– Były zaklejone woskiem – stwierdziłam. – Ciepłe mleko go rozpuściło!

Shara nie mogła przestać się śmiać jeszcze długo po tym, jak ustawiłam przedmiot na półce obok bożków domowego ogniska.

– Opowiedz mi o rajku – poprosiłam Tamrina podczas jego następnej wizyty. A on po raz kolejny przytoczył historię o pierwszym mężczyźnie i kobiecie stworzonej z jego żebra. O wężu, który powiedział jej, że nie umrze, jeśli zje zakazany owoc.

– Czyż nie to samo zdarzenie opisano w babilońskim eposie, w którym w ogrodzie została odnaleziona bogini życia i mądrości, strażniczka ziela życia? Czy to nie tę boginię król nazywa „Panią Mądrością”? A jednak twierdzisz, że czci tylko jednego boga i żadnej bogini!

– Te opowieści wydają mi się dziwaczne – odpowiedział Tamrin, kręcąc głó-

wą. – Jedno wiem na pewno: ów król rozsądza sprawy nie do rozstrzygnięcia. Opowiadał mi, że w noc, w którą złożył ofiary całopalne, jego bóg przyszedł do niego i spytał, co ma mu dać. Król poprosił o pojętne serce, aby mógł sądzić lud, oraz o dar rozróżniania dobra od zła. Bóg odpowiedział, że spełni jego prośbę, a ponadto da mu to, o co nie prosił, czyli bogactwo i sławę. Powiadają więc, że król patrzy na serce człowieka tak, jak tylko bóg potrafi. Że pojmuje przyrodę i zwierzęta jak żaden inny człowiek – nawet istotę mrówek, szarańchy i jaszczurek. Niektórzy prostaczekowie twierdzą też, że potrafi rozmawiać z drzewami, ptakami i rybami.

Parsknęłam drwiąco.

– Jakież to sprawy są „nie do rozstrzygnięcia”? – Pomyślałam o sporach rodzinnych, z którymi przychodzono do mnie, gdy zawodziły wysokie rady plemienne.

– Choćby sprawa dwóch nierządnic, moja pani. Prawdziwy skandal!

– W takim razie muszę o tym usłyszeć.

– Obie miały maleńkie dzieci, ale pewnej nocy jedno z nich zmarło. Kobiety stanęły przed królem wraz z żywym dzieckiem. „Przygniotła swoje w czasie snu i je zabiła”, twierdziła jedna z nierządnic. „Nie, to ona zabiła swoje dziecko i wzięła moje”, przekonywała druga. Skąd król miałby wiedzieć, która z nich kłamie?

– Król mógł przeznaczyć dziecko do świątyni – powiedziałam. – Wtedy oszustka nie miałaby dziecka wcale. Za to prawdziwa matka zyskałaby pewność, że jej potomek pełni boską posługę, a ona otrzyma za to swoją nagrodę.

Handlarz skinął głową.

– Słusznie powiadasz. Ale Salomon rozkazał strażnikowi dobyć miecza, podzielić dziecko na pół, jakby to był bochenek chleba, i dać każdej z kobiet.

– Ach!

– Jedna z kobiet uznała, że to sprawiedliwe rozwiązanie, druga zaś padła na kolana i błagała, by dziecko oddano tej drugiej.

– I w ten sposób król odkrył, która jest prawdziwą matką.

– Tak.

– Powiedz mi jednak, czy mądry człowiek bierze sobie setki żon? – spytałam, uniósłszy brwi.

Tamrin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Najwyraźniej.

Ze spotkania na spotkanie zadawałam mu coraz więcej pytań.

– Opowiedz mi jeszcze raz o jego ojcu i matce. – I Tamrin opowiadał, tak cierpliwie, jakby robił to po raz pierwszy. Mówił, że ojciec króla pewnego dnia przechadzał się po tarasie i nagle dostrzegł kąpiącą się żonę jednego ze swych żołnierzy. Sprowadził ją do siebie. Zaszła w ciążę. Kiedy jej mąż powrócił z wojny, władca rozkazał mu iść do domu i spać z żoną. Ale żaden mężczyzna nie odejdzie, jeśli jego towarzysze nadal przebywają na polu bitwy. Król nakazał więc ustawić go na przedzie podczas najbardziej zaciętej walki. Mąż kobiety zginął.

– Ten człowiek nie był posłuszny rozkazom – powiedziałam. – Czy nie ma o tym mowy w opowieści? Poddani ponosili śmierć za mniej rażące nieposłuszeństwa wobec wcześniejszych królów. Sam mówiłeś, że ten władca był ludobójcą.

– Owszem – odparł Tamrin. – Nie, nie ma o tym mowy. Bóg króla ukarał go za to; władca sam przyznał, że powinien umrzeć za swój czyn.

Innym razem poleciłam Tamrinowi, aby ponownie opowiedział mi o Abrahamie – człowieku, któremu ten bóg obiecał syna, po czym nakazał złożyć go w ofierze, a także polecił wszystkim mężczyznom się obrzezać.

– Cóż tego boga obchodzą napletki jego wyznawców? – spytałam, wracając myślami do rozmowy z Yafushem. – Najpierw stworzył napletek, a potem powiedział: „Odetnij go!”? Nie pojmuję też boga, który raz mówi: „Rozmnożę twoje potomstwo jak gwiazdy na niebie”, a raz: „Ofiaruj mi swego syna!”.

Tamrin wzruszył ramionami.

– Ja też nie. Ale to tylko historia. Chodzi o moral: nie powinno się podawać w wątpliwość TEGO, KTÓRY JEST.

– Jesteś tego pewien? Znam miasto Ur, w którym, jak mówiłeś, urodził się izraelski patriarcha. To było największe miasto na świecie. Skoro Abraham opuścił Ur, a jego potomstwo osiedliło się w Kanaanie, w miejscu, w którym dziś leży królestwo Izraela, to morał jest chyba nieco inny.

– A jakież to?

Umilkłam na chwilę, po czym zaczęłam głośno rozmyślać.

– Ta opowieść to lekcja dla potomstwa Abrahama. Uczy, że jego synowie nie powinni być jak jego nowi sąsiedzi, którzy czczą swoich bogów, składając w ofierze dzieci, ale że winni służyć swemu bogu, słuchać jego nakazów. Wydaje mi się jednak, że człowiek ten wystawiał swojego boga na próbę, podobnie jak bóg wystawiał jego.

Tamrin wyglądał jak uderzony piorunem.

– Zaprawdę, jesteś najmądrzejszą z kobiet!

– Jestem jedynie spostrzegawcza. Jak nazywa się bóg, któremu Kananejczycy składają swoje dzieci w ofierze?

– Moloch. Bóg Ammonitów. – Handlarz postukał się palcami w brodę. – Król ma żonę spośród tego ludu.

– Ciekawe... – zamyśliłam się – co powiedziałby na to jego bóg?

...

I tak mijały miesiące. Wiosna. Lato. Deszczowa jesień. Wreszcie Tamrin przybył na mój dwór, by się pożegnać.

– Moje wielbłądy są nakarmione, a nawet upasione. Zgromadziłem najlepsze dobra Saby, a ty mnie hojnie opłaciłaś. Co tym razem powinienem zabrać ze sobą i okazać królowi jako twoją odpowiedź?

Rozłożyłam ręce.

– Czy którykolwiek z moich radnych wygląda na gotowego do podróży?

– Jaki dar lub wiadomość mam mu przekazać? – spytał, a ja usłyszałam w jego głosie coś w rodzaju desperacji.

– Powiedz mu, że królowa Saby, Córa Almaqaha, pozdrawia go w niewymawialne imię jego boga – rzekłam z drwiącym uśmiechem. Na galerii rozległy się chichoty. – A na osobności dodaj, że każdy król ma wrogów, którzy przybierają pozę sojuszników. I że każdy sojusznik spoza granic jego państwa kreuje się na przyjaciela tak długo, jak przyjaźń ta okazuje się dla niego korzystna. My nie zawarliśmy sojuszu, dlatego nie udaję przyjaźni, ale za to proponuję układ z obopólnymi korzyściami. Zabierzesz ze sobą dary, które przygotowałam dla jego świątyni, a także szafiry dla królowej.

– A co mam powiedzieć, jeśli Salomon spyta, dlaczego nie przysłałaś emisariusza na jego dwór, a Saba nie składa mu hołdu?

– Czyż góry powstają i idą pokłonić się przed drzewem, które chełpi się dopiero co wypuszczonymi korzeniami? Saba istniała od początku czasów. Jej wysłannicy nie odpowiadają na wezwania częściej niż góry, które poruszają się tylko wtedy, gdy tego zechcą, i biada temu, na kogo nastąpią. Powiesz mu zatem, że bardzo obraził twoją królową. Wręczysz mu posążki byka i koziorożca, by poznał naszych bogów – przede wszystkim boga, który zwie królową Saby swą córą. Poślemy mu także złotą misę do jego nowego pałacu i powitamy jego wysłanników, o ile będą na tyle śmiali, by odbyć tę podróż. Przymierzamy pokazać im cuda, z których zrodzą się opowieści godne króla. O ile ktoś zdoła zmusić ich do powrotu. Nikt, kto raz przekroczył bramy raj, nie chce go opuszczać. Będą przechadzać się po terasach Saby, jak czynią to sami bogowie, zwabieni jej wonią.

Po sztywnym ukłonie Tamrina poznałam, że wyobraził sobie już gniew króla.

Uśmiechnęłam się pod osłoną welonu.

Tamrin powrócił wczesną wiosną, przed porą deszczową. Był jeszcze szczuplejszy, a na jego twarzy malowało się zmęczenie. Pośród darów, które napłynęły do mojej sali, zauważyłam biżuterię z pereł i jaspisu, tkaniny obszyte paciorkami, kosmetyki i perfumy w kosztownych naczyniach. A także hizop, lukrecję, cynamon i szafran, sokoła wędrownego w ozdobnym kapturze oraz egipską kotkę o lśniącym futrze, którą przyprowadzono na złotej smyczy. Od razu nadałam jej imię „Bastet” – na cześć egipskiej bogini.

– Sami widzicie: nawet bogowie odwiedzają nasz pałac – powiedziałam. Moje słowa wywołały pomruki aprobaty wśród ministrów.

– Moja pani – przemówił Tamrin, kłaniając się nisko, kiedy przyjął go na osobności. – Opowiedziałem Salomonowi o twojej mądrości i wykształceniu. A także o samowystarczalności Saby, która nie musi brać od nikogo żywności jak Fenicja ani wprawnych robotników jak sam król Izraela. Choć przekazałem to w nieco łagodniejszej formie. – Wreszcie na jego twarzy pojawił się znajomy łobuzerski uśmiezek. – Wtedy król powiedział: „Zacna królowo, jakże osłaniasz się woalem milczenia, a następnie skrywasz za zasłoną słów! Jakże zwodzisz, samej sobie przynosząc szkodę. Jakże to – twierdzisz, że niczego nie potrzebujesz, a twoi wysłannicy nie przychodzą do mnie? Rozumiem, że nie nauczono cię, jak być królową – obyś wzrastała w mądrości. Woń twego pałacu dociera do mnie z daleka. Zaprawdę, to powiew cudu. Skoro jednak ty jesteś suwerenem krainy rozdarłej przez bogów, ja jestem nim dziesięciokrotnie bardziej, ponieważ moja władza pochodzi od Jedyneego, który umieścił twego boga na nocnym niebie”.

– Czyż jego próżność ma jakieś granice? – parsknęłam.

Wargi Tamrina jakby skamieniały. Pojęłam, że z pewnością nie wyczekiwał momentu przekazania mi wiadomości, którą niósł ze sobą przez te wszystkie miesiące.

– Ale to nie twoja wina. Nie winię cię za jego pyszałkowatość – powiedzia-

łam łagodniej.

– Zaprawdę, moja pani, gdybyś wiedziała, jakie pytania zadawał mi wraz z uczonymi, którzy gromadzą się na jego dworze... Wszyscy są ciekawi, ponieważ nie wiedzą o Sabie zbyt wiele. Dużo pytali o ciebie, a ja szczerze im odpowiadałem. Powiedziałem, że jesteś najbardziej cenioną kobietą na świecie i mężowie z jego najdalszych zakątków zabiegają o twoją przychylność, o twoje łóżko – a liczba owych mężów dorównuje liczbie wszystkich ludów.

Pokręciłam głową i wzniosłam oczy do nieba.

– I pomyśleć, że martwiłam się o ciebie! Najwyraźniej jesteś w doskonałej formie.

– Ci mędrcy po powrocie na swoje dwory i do szkół będą opowiadać o królowej Saby. Wkrótce świat będzie utożsamiał Sabę z pięknem i bogactwem. Tego pragnęłaś, nieprawdaż?

– Istotnie. – Nie powiedziałam, że zapewne nie omieszkają też wspomnieć o tym, w jaki sposób król ośmielił się mnie pouczyć. – Nie masz dla mnie żadnych nowych pism?

– Żadnych – odpowiedział. – Mówi się, że król pisze coraz mniej.

– Ma aż takie kłopoty?

– Nie zwierza mi się przecież. Słyszałem jednak o utarczkach pośród jego plemion, między północą, skąd ściągają coraz więcej robotników, a południem, które darzy względami.

– Bierze robotników spośród własnego ludu?!

Najpierw oddanie ziem Hiramowi, a teraz rekrutowanie robotników?

– I on mówi, że to ja mam wzrastać w mądrości! Jakim cudem jego lud się nie buntuje? Czyż nie mówiłeś mi, że Egipcjanie zrobili to samo z poddanymi?

– W rzeczy samej. Owszem, ludzie mają pretensje. Ale sami podbici Kanańscy, Chitycy i Amorycy nie są w stanie zapewnić siły roboczej koniecznej do realizacji wszystkich jego projektów.

Było to już drugie pęknięcie, które dostrzegłam na królewskiej fasadzie.

– Podejź i usiądź. Wyglądasz, jakbyś ledwie trzymał się na nogach.

– Jeśli pozwolisz, nie zabawię długo. Zostawiłem swoje wielbłądy i ludzi. Szedłem przez sześć dni. Jakże król mnie zbeształ! Powiedział: „Skoro tak, odpowiesz jej tym samym”. I wyjawiał mi wszystko, co chciałybyś wiedzieć, od historii swoich narodzin po losy braci. Mogę więc odpowiedzieć na każde twoje pytanie. Ale teraz błagam cię: wrócę na dwór, jak tylko dopilnuję, by moje wielbłądy napiły się i odpoczęły. Nie mieliśmy łatwej podróży; w drodze powrotnej dwukrotnie doznaliśmy napaści.

– Kto śmiał to uczynić?

Pokręcił głową, jakby oganiał się od much.

– Od czasu poszerzania się granic królestwa Izraela nieustannie przemieszczają się tam bandy rozbójników. Wszędzie pełno jest wysiedleńców. Wielu z nich spotkał ten los w efekcie decyzji ojca Salomona – to ci, których Dawid nie wymordował. Świat poza Sabą to jeden wielki chaos i cierpienie. – Spojrzał na mnie z powagą. – Udało nam się pojmać dziesięciu z nich.

– Podczas kolejnej podróży będzie ci towarzyszyć więcej uzbrojonych ludzi. Pozwól, że o to zadbam.

– Straciliśmy jedynie niewielką część ładunku i zaledwie kilka wielbłądów. Mogło być o wiele gorzej. Ale ty, moja pani, możesz udać się na spoczynek z wiedzą, że dla króla Izraelitów pozostajesz tajemnicą. Podczas pobytu na jego dworze odpowiedziałem na wiele jego pytań o twego dziada, a także o twego ojca – najwyższego kapłana przed tobą. O twą matkę i jej słynne piękno. Powiedziałem mu też, że Saba to świat sam w sobie, sięgający od Wąskiej Wody po środek pustyni, na której potrafią przetrwać tylko Pustynne Wilki. I że królowa nie ma jednej, ale wiele świątyń. I wielu bogów, na których czele stoi Almaqah. A jednak, choć spędziłem tyle dni na wychwalaniu przed nim Saby i jej królowej, kiedy przygotowywałem się do odjazdu, powiedział do mnie, jakbyśmy dopiero zaczęli dyskusję: „Wysłuchałem twoich opowieści i mam wrażenie, że twoja królowa włada jedynie jakimiś górami, pustkowiec i gajem drzew kadzidłowych. Dlaczego zatem tak ją przede mną chwalisz?”. – Powiedziawszy to, Tamrin uniósł dłonie w obron-

nym gościu.

Wpatrywałam się w niego przez chwilę. Po tym wszystkim! Czy ten król oszalał? A może... Odwróciłam wzrok i potrząsnęłam głową.

– Moja pani?

– On wystawił cię na próbę – stwierdziłam, odwracając się do niego ponownie. – Chciał sprawdzić, czy będziesz starał się go udobruchać, czy też przybierzesz postawę obronną. Czy otworzysz usta, by mówić, czy zamkniesz je i uśmiechniesz się wyrozumiale. Każda z tych reakcji pozwoliłaby mu stwierdzić, ile prawdy jest w twoich słowach.

Jakże wyraźnie to teraz dostrzegłam! Król był znużony kwiecistymi mowami, w których Tamrin przecież przodował. Władca zmęczył się pięknymi słówkami. Dlatego udał, że zapomniał o tej jednej wielkiej propagandzie, i wbił handlarzowi szpilę. Jak dziecko, które zmuszano do przestrzegania etykiety i uśmiechania się godzinami, a ono w końcu pokazało język. Roześmiałam się na tę myśl. Dobrze znałam to uczucie. Prawdopodobnie był zmęczony nawet pochlebstwami. Pragnął zrobić to, czego nie ośmieliłby się uczynić poza granicami swego królestwa, a ja swojego.

Teraz Tamrin naprawdę się na mnie gapił.

– O co chodzi? – spytałam.

– Moja królowo, on powiedział mi: „Gdy jej to powiesz, upewniwszy królową uprzednio, jak bardzo ją przede mną chwaliłeś, obserwuj ją. Jeśli jest bystra, będzie się zastanawiać nad powodem moich słów. Jeżeli jest mądra, będzie się śmiać. A jeśli jest głupia, wybuchnie gniewem”. Na Almaqaha, oto widzę, że miał rację. Co więcej, moja pani jest tak mądra, za jaką przez cały ten czas ją uważałem. – Ukłonił mi się nisko.

Czy powinno mi pochlebiać to, że udowodniłam swą mądrość? Czy też raczej mnie rozwścieczyć? W końcu przygotował tego człowieka, aby poddał mnie próbie. Nie było mi do śmiechu.

– Czyli odsyła mi poddanego, by stał się moim sędzią – odparłam sucho. – To też kazał ci powiedzieć? Jaka szkoda, że nie usłyszał tego cały dwór. Wstań.

Zaczął się podnosić, po czym zamarł i ponownie upadł na twarz.

– Zabawiono się mną. Okazałem się głupcem.

– Lepiej ty niż ja. Jakże miałbyś nadal ryzykować swoimi karawanami, a nawet życiem, służąc głupiej królowej?

– Będę służył jej po wsze czasy, ponieważ jest mądra.

– Owszem. Bo obcy król ci tak powiedział. Wstań.

Stanął na nogi.

– Idź. Zajrzyj do swoich wielbłądów. Zjedz coś, odpocznij. Uwolnię cię od ciężaru przemawiania w imieniu nas obojga przeciwnymi kącikami ust. Mogę sobie tylko wyobrazić rozmowy, jakie toczysz w głowie.

Wypuścił z płuc powietrze i lekko potrząsnął głową.

– Wróc jesienią.

•••

W jednej chwili byłam rozwścieczona zuchwałością króla... a zaraz potem popadałam w zakłopotanie. Cały czas zajmował moje myśli. Skoro Salomon, opanowawszy szlaki, trzymał Egipt i Fenicję na wodzy, to ja w jakiś sposób musiałam przejąć kontrolę nad nim.

Przez kolejne miesiące układałam w głowie odpowiedź. Co jakiś czas zapisywałam kilka wyrazów. Zaprzestawałam rozmyślań i podejmowałam je na nowo. Jesienią przeniosłam wszystko na papirus.

Pytasz mnie, jak to możliwe, że nie potrzebuję niczego. A ja pytam ciebie: jak to możliwe, że jesteś tak bardzo zależny od innych? Sabejczycy mają w zwyczaju uniząć się, by podkreślić swoje bogactwa. „Jakie piękne zwierzę!”, stwierdzi ktoś na widok białego wielbłąda. „Och, masz na myśli to?”, zdziwi się właściciel. „Przecież to tylko koza, i do tego nie daje mleka”. Możesz być pewien, że ptak przylatujący do ciebie z moich ziem pochodzi od ludu, którego cnotami są skromność i gościnność. To te same cechy, które nakazują nam oddawać najwspanialsze

dobra i zwierzęta – a nawet namioty, w których sypiamy – każdemu, kto tylko je doceni, i dodać, że to drobiazg z naszej strony.

Ty jednak nie masz tego w zwyczaju, powiem zatem bez ogródek: Saba nie potrzebuje zboża z żadnego innego źródła niż nasze oazy. Kadzidłowce o żywicy wydzielającej woń bogów rosną u nas, ponieważ zasadzenie ich sprawiło bogom przyjemność. Zboże i bogowie – nic więcej nam nie potrzeba. To samo słońce, które wysusza plony innych narodów, ogrzewa naszą ziemię, a księżyc sprawia, że nasiona kielkują w ciemności. Złoto jest dla nas mniej cenne – jest jak piaski pustyni, lśni na sandałach, powiekach i we włosach. Nasze kopalnie są niewyczerpane, daktylowce niezrównane, a trzody niezliczone.

Jesteśmy odporni na wszelkie ataki; żadna armia nie jest w stanie wystąpić przeciwko nam – nie pokona bowiem piasków ani klifów okalających słoną wodę. Bogowie stworzyli tę fortecę, tak samo odosobnioną jak twój Eden, który zniknął bez śladu. Przez niewielką tylko bramę dzielimy się naszymi dobrami i zbieramy hołdy od całego świata. W stolicy mamy nie jeden, a dwa raje. Wszystkim obdarowano nas po dwakroć. Zapach naszej mirry jest prawdziwie cudowny – wprowadza dusze faraonów i królów do krainy umarłych, jej woń jest tak wszechogarniająca, że krzepi najmarniejsze ze stworzeń na ziemi do późnych lat, a po życiu zapewnia nieśmiertelność. Jakże miałyby być inaczej? Całe królestwo nosi zapach boga, każdy człowiek jest kapłanem, a każdy owad wyśpiewuje hymny pochwalne. Tutaj ziemskie przyjemności stają się boskimi. Posiedliśmy wiedzę o wszelkich wspaniałościach poprzez samo tylko oddychanie. Bogowie istotnie są niesprawiedliwi, skoro obdarzyli nas dostatkiem wszystkiego, co najlepsze. Mimo to dzięki handlowi jadamy przysmaki z całego świata, nosimy najlepsze jedwabie, barwione na kolor purpury. Jesteśmy tak zatraceni w luksusach, że najprostsze zboża, figi i tkaniny stanowią dla nas odmianę.

Pytasz, jak to możliwe, że nie potrzebuję niczego. Oto odpowiedź. Tak naprawdę nie chodzi ci o kraj, lecz o kobietę, która nie ma potrzeb. Odpowiedź brzmi: jestem stworzeniem mojej ziemi. Jestem Sabą. Egipt ma swój Nil, a my mamy monsuny, tamy i kanały, których projekt zdradzili naszym przodkom bogowie. Istniejemy od niepamiętnych czasów, jesteśmy narodem wiecznym i błogosławionym. Toczymy lub toczyliśmy tylko wojny domowe, ponieważ żaden inny kraj nie jest w stanie dorównać nam pasją.

Dlaczego zatem nakazujesz mi – jak jakiemuś poddanemu – bym posłała emisariuszy? Czy w ten sam sposób wezwałbyś mego ojca – pierwszego kapłana boga, który wschodzi nad górami i sięga samych niebios? Ja jestem arcykapłanką, Córką Almaqaha, która nie usłucha śmiertelnego króla.

Nie piszę jednak do ciebie jako królowa ani kapłanka. Pytam: jak to możliwe, że czcisz jednego boga przed wszystkimi, boga bez imienia i bez oblicza? Z jakiego powodu mądry człowiek woła do jednego boga, ryzykując gniew i zazdrość pozostałych bóstw – i dlaczego twój bóg cię o to prosi? I jak można modlić się w świątyni odciętej od niebios dachem?

Między nami nie powinno być tajemnic. Wiem od Tamrina, mego handlarza, że jesteśmy spokrewnieni; nasze korzenie prowadzą do człowieka potopu, Noego, którego synowie rozpierzchli się po krańcach świata. Z pewnością pojmujesz wszystko, co ci napisałam, i wszystko to już wiesz. Zapisuję więc te słowa na wietrze, ufając, że rozbrzmi ich echo. Nawet bogowie chcą zostać poznani.

Nie mam pojęcia, dlaczego napisałam ostatnie zdanie. Czy podszepli mi je bogowie, czy też moje serce.

Obserwowałam dziewczęta, które opiekowały się moją komnatą. Słuchałam ich chichotów. Rozprawiwały o mało znaczących sprawach: o najprzystojniejszych pałacowych niewolnikach, o niższych rangą urzędnikach zapraszających je do swych łóżek, o przysyłanych mi darach, które im oddawałam, o tym, skąd i od kogo je dostałam...

Obserwowałam też moich radnych. Przysłuchiwałam się ich sporom, kłótniom przy stole – niekiedy tak żarliwym, jakby sam księżyc miał spaść z nieba, jeśli nie dopną swego.

Patrzyłam na pełnych gorliwości akolitów z nowej szkoły kapłańskiej. Oddawali każdą chwilę nadziei... właśnie, czemu? Obserwowałam kapłanów, którzy tak bardzo żyli mistyką, że wydawali się należeć do jakiejś wyższej przestrzeni, odrębnej i zwierzchniej wobec świata świeckich. Skąd mieli pewność, że ich bóg w ogóle spogląda na nich z nieba?

Widziałam aż nazbyt wyraźnie, jak rolnicy i kupcy dążyli do bogactw – niczym do samego słońca, zresztą z podobnie lichymi efektami. Patrzyłam na żony obnoszące się ze swoimi ciężowymi brzuchami, na niepłodne kobiety, które zakrywały głowy, na kochanki wielbiące swą miłość niczym bóstwo.

Na Wahabila, zagubionego w niepewności przyszłych dni. Na Share, zatraconą w więzieniu przeszłości. Na ciągle niespokojnego Tamrina. Jedyne mój tajemniczy eunuch wydawał się zamieszkiwać krainę... sama nie wiem czego. Pokoju? Teraźniejszości? Pośród nas był samotną wyspą.

To niemożliwe, że minęły kolejne lata. Wkrótce miałam rozpocząć dwudziesty drugi rok życia.

– Dobrze – powiedziałam w końcu do Wahabila. Była jesień, ostatnie deszcze ustały, w powietrzu nie unosił się już zapach migdałowców i drzew morelowych w pełnym rozkwicie. – Idź do Asma. Powiedz mu, że poślubię boga.

Myślałam, że mój radny przewróci się z radości.

– Zaplanuję wszystko na czas nowiu – odpowiedział.

Nie wiedziałam, jak mu wyznać, że równie dobrze mógłby to być czas zaciemnienia, kiedy Almaqah skrywa swe oblicze. Nie miałyby to żadnego znaczenia. Zamiast tego skinęłam głową i stwierdziłam, że owszem, musimy to zrobić, i nie, nie jest zbyt wcześnie. Nie było sensu czekać, ponieważ miałam już swoje lata.

W noc nowiu i w sześć kolejnych czuwałam do świtu. Na spoczynek udawałam się w ciągu dnia, a post łąmałam tylko o zachodzie słońca. Jadłam wtedy gotowane jajka przepiórcze i owoce granatu. Złożyłam w świątyni dary: posążki z brązu i alabastrowe palniki do kadzideł. Kapłanom ofiarowałam flakony z cennym olejem nardowym, a kapłankom – złotą biżuterię.

Ósmej nocy przemierzyłam oazę, nie włożywszy wcześniej welonu ani biżuterii. Zostawiłam Yafusha oraz służki na trakcie i oddałam Sharze sandały, by móc przekroczyć wrota świątyni boso, bez świty, jak każdy inny wierny, z misą olejku w dłoniach. Na dziedzińcu, na oczach milczących kapłanów, wylałam olejek na ołtarz i napiłam się ze świętego źródła. Zdjęłam wierzchnią szatę i weszłam do sanktuarium w samym płótnie.

Kłęczałam i modliłam się do rana. Następnie wróciłam do pałacu i zamknęłam się w komnacie. Widywałam się jedynie z Sharą i piłam samą wodę.

Ostatniej nocy, gdy księżyc skrył swoje oblicze, a ja zapaliłam kadzidło na brązowym palniku z rączką w kształcie koziorożca, zdałam sobie sprawę z tego, że Shara mi się przygląda.

– Boisz się? – wyszeptała.

Wpatrywałam się w biały dym. Smuga życia, a potem pustka. Chwila. Zbyt ulotna.

Nazajutrz dwórki uczernią mi oczy, a twarz i dłonie pomalują henną. Będę jadła miodowe ciastka, owoce i tłuszcz. O zachodzie słońca przywdzieję ciężki ślubny welon i wkroczę do świątyni. Zostanę w komnacie w towarzystwie kapłanek przez tydzień, a bóg będzie przychodził do mnie każdej nocy pod postacią kapłana. Wszystko to będzie się działo pod przymkniętym okiem Almaqaha, które bę-

dzie mnie oświetlać przez okno tej kamiennej alkowy, podczas gdy bóg posiadzie mnie w łożu.

Kadzidło pryskało, a dym stawał się coraz gęstszy. Zapach był tak silny, że aż mdlił. Otworzyłam okiennicę, ale ściany i tak wydawały się zacieśniać wokół mnie.

Przemierzyłam komnatę bez oddechu i otworzyłam drzwi na oścież. Shara stanęła za mną z szalem w dłoniach.

– Moja pani! – zawołała. – Bilkis!

Ale ja biegłam już korytarzem, a potem schodami, do portyku. Przeciskałam się pomiędzy strażami. Kiedy przedarłam się do ogrodu, usłyszałam za sobą ciężkie kroki Yafusha.

Biegłam dalej. Mijałam oleandry, anemony o długich łodygach i astry przypominające fioletowe gwiazdy, które spadły z nieba. Starłam się zaczerpnąć powietrza. Moje płuca musiały skurczyć się w ciągu ostatnich czterech lat. Przede mną, na oświetlonej latarniami drodze, liście wysokich palm kołysały się nad ogrodowym basenem. Wyobraziłam sobie, że wchodzę do wody, brodzę pośród lilii i kładę się na powierzchni. Ale nie byłam w stanie wyrwać się ze swojej apatii, zatrzymałam się więc na brzegu, by popatrzeć na bezksiężycową noc.

Odgłosy biegnących. To Yafush i strażę. Objęłam się rękoma. Ledwie usłyszałam, jak Yafush każe strażnikom wrócić na stanowiska. Shara też tu była; otuliła mnie wełnianym szalem.

– Nic mi nie jest – usłyszałam swój głos. – Potrzebowałam tylko trochę powietrza.

Zachwiałam się i omal nie wpadłam do basenu. Yafush zdążył złapać mnie za ramiona.

Wtuliłam policzek w jego natłuszczoną klatkę piersiową i zamknęłam oczy.

W komnacie wypiałam wywar, który przyrządziła mi Shara.

– Kapłani nie muszą o tym wiedzieć – powiedziała. Jej twarz w świetle lampy wydawała się blada. – Pod żadnym względem nie złamałaś postu.

Skinęłam głową. W ogóle o to nie dbałam. Szybko zasnęłam. Na szczęście nic mi się nie przyśniło.

...

Ktoś mnie wołał. Po chwili znowu usłyszałam swoje imię; głos był bardziej naglący. Kończyny miałam jak z ołowiu.

Głosy. Zamieszanie pod drzwiami.

– Królowo. – To Shara. Potrzęsała mną.

Do kogo ona mówi?, pomyślałam, jakby oddzielona od świata.

– Co się dzieje? – spytałam w końcu. Słowa wypowiadałam z trudem, nawet w moich uszach brzmiały jak bełkot.

– Tamrin. Handlarz. Wtargnął na dziedziniec ze swoimi ludźmi i zażądał audiencji. Ich wielbłądy ledwo stoją na nogach.

Zamrugałam ze zdziwienia. Staralam się zrozumieć, o czym ta dziewczyna mówi.

– Tamrin? – Podniosłam się na łóżku, a Shara narzuciła na mnie szatę. Przecież to o dwa miesiące za wcześnie. Czy napadnięto na jego karawanę? Jedenaście miesięcy temu posłałam z nim pięćdziesięciu zbrojnych.

– Zaczął się awanturować, kiedy Wahabil powiedział mu, że dziś nie możesz zobaczyć się ani z nim, ani z żadnym innym mężczyzną. Rozległy się krzyki. Handlarz omal nie oszalał ze złości. Twierdził, że musi pomówić z królową teraz, zaraz.

Wyjrzałam przez okno, zdumiona, że jest już późne popołudnie.

Wprawnie upięłam włosy. W chwili gdy Shara pojęła, co zamierzam zrobić, krzyknęła:

– Bilkis, nie wolno ci!

Ale ja otworzyłam drzwi, za którymi stał Yafush. Na mój widok służki pode-

rwały się ze strachu niczym ptaki.

– Myślę, że lepiej tam pójść, księżniczko – powiedział cicho eunuch.

...

Kiedy wkroczyłam do sali, obaj mężczyźni gwałtownie odwrócili głowy.

– Moja pani! – wykrzyknął Wahabil, podczas gdy Tamrin podszedł do mnie zamaszystym krokiem.

– Moja pani... – zaczął Tamrin i upadł przede mną. Jego tunikę i włosy pokrywał piasek. Kiedy handlarz się wyprostował, zauważyłam, że pospiesznie umyło mu twarz. Na stole za nim spoczywał talerz z nietkniętym jedzeniem.

– Powiedzieli, że do mnie nie wyjdiesz, że przebywasz w odosobnieniu... – zająknął się i wybałuszył oczy. Uświadomiłam sobie, że w amoku zapomniałam o welonie.

Wahabil złapał się za głowę.

– Jak to się stało, że wróciłeś tak wcześniej? – spytałam z niepokojem. Jeszcze nigdy nie wyglądał na tak poruszonego. – Czy zaatakowano was podczas podróży?

Pokręcił głową.

– Tak, ale jesteśmy już bezpieczni. Przybyłem tu z kilkoma towarzyszami. Twój ludzie pilnują karawany, która przybędzie tu dopiero za kilka tygodni.

– To mogło poczekać... – stwierdził Wahabil, wyrzucając ręce w powietrze.

– Bałem się czekać! – krzyknął Tamrin.

– Bogowie postąpią zgodnie ze swą wolą niezależnie od naszych knowań – powiedziałam. – Nadejdzie kolejny cykl. Nie jestem jeszcze taka stara.

– Moja pani, nie możemy czekać na bogów. Musimy działać teraz – odparł Tamrin, który najwyraźniej sądził, że mówiłam do niego. Wahabil spojrzał na niego ze zdziwieniem.

Wybuchnęłabym śmiechem, gdyby nie ciekawość, dlaczego Tamrin był aż tak zdenerwowany.

– Królowo, podróżowaliśmy, nie bacząc na trudy, przez wiele dni, by przybyć do ciebie... – Znów się zagapił. Miałam ochotę nim potrząsnąć.

– Cóż się stało? – spytałam. Handlarze nie opuszczają swoich karawan.

– Król już się ze mną nie spotka.

– Co masz na myśli?

– Nasze dary przyjął jego wysłannik. Wyjaśnił mi, że król miał pilną sprawę do załatwienia i nie mógł się z nami zobaczyć. Kiedy powiedziałem, że mam dla niego wiadomość i muszę przekazać mu ją osobiście, kazano mi czekać. Pięć dni z rzędu chodziłem tam z twoim pismem na próżno. Czekałem wraz z ludźmi, którzy przyszli do króla z pozwami, jak jedna z nierządnic z dawnej opowieści!

Mój zwój. Ten, który miał wzbudzić jego oburzenie. W którym w końcu się odsłoniłam, choć w zaszyfrowany sposób; ujawniłam swoją wielką samotność. Poczulałam, że się czerwienię.

– Gdy wreszcie władca przyjął mnie na swoim dworze, powiedziałem: „Mój panie, otrzymujesz dary od Saby z rąk swojego dworzanina, ale nie widziałeś jeszcze jej największego skarbu – słów zapisanych przez sam Klejnot Saby, które wręczam ci osobiście!”. On odpowiedział: „Nie otrzymałem tego, o co prosiłem. Gdzież jest wysłannik królowej?”. Kiedy przekazałem mu, że to ty oczekujesz jego emisariuszy w Sabie, spytał: „Czy twoja królowa uważa, że poprosiłem o jej wysłanników z próżności?”.

Poczulałam, że mrużę oczy ze złości.

– Cóż to ma znaczyć?!

– Zadałem mu to samo pytanie, ale on nie odpowiedział.

– „Czy to prawda – zapytał mnie wtedy przed całym dworem – że twoja królowa ma zamiast stóp kozie racice?”

– Co takiego?!

– Osłupiałem. W końcu odezwałem się: „Mój panie, kto śmiał powiedzieć coś takiego o najpiękniejszej kobiecie na świecie?! Jako świadek naoczny potwierdzam, że jest pod każdym względem nieskazitelna. Dlaczego obrażasz Córkę Almqaha?”. „Nie jesteś ani jej doradcą, ani radnym”, odparł król, na co odpowiedziałem: „Nie, ale jestem na twoim dworze głosem królowej, który proponuje twoim ludziom, aby wyruszyli do raju. Przybywam tutaj tylko ze względu na chwałę Saby i jej bogów. Ronię łzy za każdym razem, gdy z niej wyjeżdżam; śpiewam pieśni dziękczynne, kiedy do niej wracam. Osądź słowa królowej sam, ponieważ wszystko, co mówi, jest mądrością i prawdą”.

– I? – zachęciłam go, by mówił dalej.

– I wtedy mnie odprawił.

Zamrugałam.

– Co z moim zwojem?

– Przekazałem go jego słudze i odszedłem w osłupieniu wraz z towarzyszami.

Publiczny afront. Wróciłam myślami do listu, który posłałam Salomonowi. Znałam treść pisma na pamięć. Przejrzałam je przecież tysiące razy, czytałam jego fragmenty na głos, jakbym rozmawiała z tym człowiekiem osobiście. Czy to możliwe, że moje intencje zostały źle odczytane?

– Czyż on oczekuje ode mnie, że pošlę Wahabila, by się przed nim płaszczyl? – spytałam. – Znajdziemy nowe rynki zbytu dla naszych towarów. Całkowicie się od niego odetniemy. Skoro i tak przewozimy kadzidło przez wodę do Puntu i na północ wielbładami do Egiptu, nie musimy z nim handlować! – Zawrę pakt z jego wrogiem w Damaszku i stworzymy własny szlak przez góry do Fenicji. Połączymy nasze bogactwa z Egiptem. Być może nawet pewnego dnia poślubię faraona...

– Jest coś jeszcze... – powiedział Wahabil z wyraźną rezygnacją.

– Cóż takiego?

– Na królewskim dworze było pełno Fenicjan – oświadczył Tamrin. – Króla

pochłaniało zapewnianie im rozrywek. Często oddalał się z nimi i nie było go w mieście całymi dniami.

– Z Fenicjanami?!

– Przysłuchiwałem się plotkom powtarzanym przez dworzan i rozpytywałem w mieście. Wiem, że właśnie z tego powodu początkowo nas nie przyjął. Przybyła tam rzesza fenickich rzemieślników. Wielu z nich udało się do zatoki Morza Czerwonego, gdzie rzeka płynąca między Edomem a terenami Amalekitów wpada do morza w porcie Esjon-Geber... – Podeszedł do stołu i na jego lakierowanej powierzchni zaczął kreślić palcem mapę. Opuszką najmniejszego palca wskazał miejsce portu w północnej zatoce Wąskiej Wody na granicy izraelicko-egipskiej.

– Fenicjanie w zatoce... – powiedziałam cicho.

– Kiedy wyruszyliśmy i przebyliśmy Edom, skierowałem się wraz z kilkoma ludźmi do zatoki. Moja pani... – Tamrin pokręcił głową – król wznosi tam miasto portowe. Izraelici sprowadzili drewno z lasów Libanu. Budują flotę kupiecką...

Cofnęłam się o krok, jak ktoś rażony piorunem.

Teraz pojęłam, dlaczego król hołubił Hirama i czemu w swej żądzy bogactw poczuł, że może zlekceważyć Sabę.

Salomon, król Izraela, chciał zmarginalizować handel towarami z Saby i uczynić nasze karawany przeżytkiem.

Kierowana złością, chciałam wykluczyć go z gry, a on już podjął działania, by to samo zrobić ze mną.

– Wahabilu – powiedziałam, wpatrując się w stół. – Przynieś mapy. Zbierz radę. I powiadom ludzi w świątyni, że dzisiejsze zaślubiny zostały odwołane.

Kiedy radny wyszedł, wymamrotałam przekleństwo i odwróciłam się w kierunku stołu. Pochyliłam się nad jego powierzchnią i spiorunowałam wzrokiem kształt morza nakreślony niewidoczną linią.

– To nie wszystko... – przemówił handlarz za moimi plecami. Miał dziwny głos. – Nie mogłem tego powiedzieć przy Wahabilu...

– Wszystko, co mówisz mnie, możesz powiedzieć i jemu.

– Nie to.

Odwróciłam głowę. Poślawszy mi spojrzenie, podszedł do siodła z jukami leżącego na inkrustowanej ławie przy ścianie.

– Gdy przygotowywaliśmy się do podróży, do naszego ogniska przybyła grupa mężczyzn na dobrych wierzchowcach. Obozowaliśmy nieopodal umocnień Aradu. Uzdy koni tych mężów były zdobione złotymi frędzlami. Ludzie króla. – Wyjął jakieś zawiniątko. Kiedy je odsłonił, dostrzegłam, że było okryte purpurową tkaniną.

Przedmiot był wielkości palnika do kadzidła, tylko miał bardziej kanciasty kształt.

– Dworzanin, który nas wcześniej przyjął, posłał przez moich ludzi zwyczajowe dary do naszego obozowiska pod miastem. Biżuterię, tkaniny, przyprawy. I niewolnika wyszkolonego w grze na lirze. Na tym instrumencie grał podobno ojciec króla. Sprowadziłem tutaj tego muzyka, może rzuci nam nieco światła na plotki krążące na dworze. – Skinęłam głową. Doceniałam jego przezorność. – Ale ludzie, którzy przybyli do mojego obozu tamtego wieczoru, przynieśli tylko jedną rzecz. To. – Tamrin podszedł i podał mi przedmiot.

– Co powiedzieli?

– Tylko tyle, że to od samego króla. I że mam ci to przekazać na osobności. To wszystko.

Odwinęłam doskonale mi znaną purpurową tkaninę. Pod spodem było kolejne płótno, na którym wyhaftowano złotego lwa. Podniosłam wzrok na Tamrina. Handlarz znowu się we mnie wpatrywał.

– Zaprawdę, królowo, nie ma przesady w moich słowach o twoim pięknie. Co więcej, każdą jego dotychczasową pochwałę uznaję za niewystarczającą – teraz, gdy widzę twoje oblicze – powiedział miękko.

Nie byłam jednak w nastroju do tego, by słuchać pochlebstw. Uniosłam haftowany róg tkaniny.

Tamrin zmarszczył brwi.

– Takie lwy widnieją po obu stronach królewskiego tronu.

Odpakowałam zawiniątko i ujrzałam figurkę byka. Piękny czarny byk ze złotą obręczą w nosie. Obracałam posążek w dłoniach i wpatrywałam się w niego pustym wzrokiem. Byłabym gotowa pomyśleć, że to jego bóg. Ale przecież on czcił boga bez imienia. Nasi rzemieślnicy wykonują bardzo podobne figurki...

Na spodzie widniało błogosławieństwo Almaqaha...

Był to ten sam posążek, który posłałam przez handlarza królowi!

– Odrzuca dary na naszych oczach? Co to ma znaczyć?! – spytałam, ściskając w pięści kawałek tkaniny.

– Ja... nie mam pojęcia – odpowiedział Tamrin, wyraźnie zakłopotany.

– Nie przyjmuje mojego handlarza. Zwraca mój posążek. I nawet w tej chwili buduje okręty, by pozbyć się nas z rynku. Powiadam ci jednak: ten niby-król pożałuje dnia, w którym usłyszał imię Bilkis, królowej Saby!

Rzuciłam posążkiem o ścianę.

– Możesz już iść! – krzyknęłam w stronę Tamrina. – Sprawdź, czy twoje wielbłądy mają wodę. Zjedz coś. I, na miłość do Almaqaha, natychmiast się wykup.

Kiedy odszedł, opadłam na najbliższe krzesło. Yafush, zwykle milczący gdzieś w kącie, i tym razem nie odezwał się ani słowem.

– Myślę – zaczęłam cicho – że to przeze mnie.

– Nie sędzę, by można było mieć wpływ na czyjeś postępowanie, księżniczko.

Pokręciłam lekko głową.

– Jesteś tego pewien? Ostatniej nocy, kiedy spoglądałam na ogrodowy basen, modliłam się o to, bym nie musiała poślubić boga. A teraz mam, czego chciałam... Tak postępują bogowie, nieprawdaż? Z każdej prośby potrafią uczynić miecz obojętny. Wysłuchują modlitwy, ale każą ponosić takie koszty spełnienia błagań, że

wkrótce ich żałujemy. Teraz Saba nie tylko nie ma dziedzica. Jej dobrobyt wisi na włosku.

Cóż to za człowiek ten król, prawdopodobnie równie mądry, a już na pewno równie arogancki jak jego bóg? Władca młodziutkiego narodu, który ośmiela się rozkazywać królowej krainy starej jak świat... Dlaczego to czyni? Ponieważ jest królem, a ja królową bez króla? Ponieważ jego arogancja pociągnęła za sobą obrazę, że nie padam mu do stóp i nie posyłam swoich doradców, jak czynią to inni? Ponieważ nie uczyniłam z siebie przedmiotu umowy politycznej?

Analizowałam te pytania niczym magiczne kamienie. Cóż, kiedy nie wypadnie właściwy los, magowie sprawdzają, czy ten, którego się spodziewali, w ogóle jest w puli...

Co to mogło oznaczać, że król miał zamiar uczynić nasze śródlądowe szlaki przeżytkiem? Dzięki okrętom Izraelici mogli popłynąć wzdłuż południowego wybrzeża Saby prosto do Hadramautu, skąd pochodziło najlepsze kadzidło na świecie.

Nie. On nie chciał wykluczyć Saby – a jedynie jej królową...

Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że Yafush stoi przy ścianie, o którą roztrzaskałam posążek. Przemieścił się tak cicho, że wcześniej tego nie zauważyłam. Wyglądał jak obsydianowa statuetka.

– Myślę, że musisz się temu lepiej przyjrzeć, księżniczko.

Odwróciłam się do niego.

– Wiem. Poślę świątyni zwierzę jako zadośćuczynienie. Trzy zwierzęta – poprawiłam się szybko. Pewnie będę musiała przyznać się do tej profanacji na piśmie i złożyć przysięgę na grób mego ojca, że już nigdy tak nie uczynię. A potem udać się do nowej świątyni w Nashshanie w ramach pokuty.

– Myślę, że musisz się temu lepiej przyjrzeć, księżniczko – powtórzył z naciśkiem Yafush.

Wpatrywał się w roztrzaskany posążek. Ze zniszczonego ciała byka wystawało coś jaśniejszego. Podeszłam bliżej i kucnęłam nad figurką. Podniosłam pękniętego byka i rozłupałam go na pół. Usłyszałam charakterystyczny trzask. Dopiero

teraz dostrzegłam, że posążek jest wewnątrz pusty. W środku znajdował się jedynie mały zwój.

– Cóż to za podstęp? – spytałam, wyjmując zwój. Był zalakowany pieczęcią w kształcie lwa – takiego samego jak na tkaninie.

Zręcznie złamałam pieczęć i rozwinęłam zwój. Kiedy czytałam kolejne wersety zapisane pięknymi znakami, serce waliło mi jak młot.

Szuranie za drzwiami. Zwinęłam pismo, a następnie pozbierałam kawałki figurki. Owinęłam je haftowanym płótnem i purpurową tkaniną.

– Prędko! – poleciłam, podając zawiniątko Yafushowi, który podążył za mną do bocznych drzwi. Dokładnie w chwili, gdy otworzyły się główne wrota i podniesione, wściekłe głosy moich radnych zaczęły wypełniać pomieszczenie za nami.

W komnacie sypialnej opadłam na sofę przy stole. Zapomniałam o zniszczonym posążku w chwili, gdy rzuciłam go na poduszkę. Drżącymi rękami odwinęłam zwój.

Twoje słowa przysły do mnie z wiatrem. Jakże mnie poruszyły! Nie ze względu na echo, jakie po nich rozbrzmiało, ale dlatego, że stanowią echo moich własnych słów.

Jesteś wielką zagadką. Arcykapłanka, kobieta, królowa. Kim naprawdę jesteś? Jak brzmi twoje tajemne imię? Kim jest ta kobieta, która odmawia mi swoich wysłanników i pochlebstw? Jest albo nieustraszona, albo lekkomyślna, przy czym nie posądzam jej o to drugie. Twierdzisz, że piszesz do mnie jako kobieta, ale nie starasz się mnie kusić. Kobieta, która nie ucieka się do uwodzicielskich sztuczek, lecz wystawia mnie na próbę trudnymi pytaniami. Mówiono mi, że imię, którym nazywano cię w Puncie, oznacza „Kobieta Ognia”. Jakże mnie rozpalilaś!

Jeśli znalazłaś mój list, oznacza to, że jesteś podejrzliwa nawet względem własnego boga. Tylko nieustraszeni albo lekkomyślni podają bogów w wątpliwość. Chociaż nie, źle mówię – nie lekkomyślni, lecz kierowani boskim szaleństwem poznania tego, co inni uznają za niebezpieczne. Jesteśmy więc niebezpieczni, ponieważ nie znamy innego sposobu postępowania.

Oto jestem. Prowadzę rozmowę z samym sobą, ale wyobrażam sobie, że prowadzę ją z tobą. Te słowa pewnie skruszeją w ukryciu i zmieniają się w pył w ciemności. Tak czy inaczej, pomówimy ze sobą. Nie dlatego, że tak nakazuję, ale dlatego, że tak musimy postąpić. Jak to się stało, że opanowałaś moje myśli? Jak śmiesz rozpraszać uwagę króla jednym tylko wersetem?

Podniosłam się i czytałam dalej.

Posłałem ci dar – niewolnika, który gra na lirze. Ma na imię Mazor, co znaczy: „Lekarstwo”. Mój ojciec grał na lirze; jej melodia była lekarstwem również dla króla rządzącego przed nim.

Mazor jest muzykiem, owszem, ale posługuje się też – w mowie i piśmie – zarówno aramejskim handlarzy, jak i językiem mojego ludu. Zna nasze opowieści i psalmy. Był skarbem na moim dworze. Nikt mu nie dorównuje. Modlę się, by okazał się cenny i pożyteczny również u ciebie.

Pytasz o mojego Boga i świątynię. Poślij swoich emisariuszy. Opowiem im i pokażę wielkie rzeczy. Zanim te historie tobie. Odpowiem ci, a ty zastawisz mój stół. Ale na razie powiadam tak: nasza świątynia nie jest otwarta na niebo, ponieważ nasz Bóg jest wszędzie. Twój bóg to bóstwo burzy i księżycy, ale mój stworzył nieboskłon. Dlatego nie szukamy Go tam. Nie czcimy pracy Jego rąk, lecz wielbimy Jego straszliwą potęgę i przymierze.

Przyślij swoich ludzi – podałem ci wszelkie powody, byś to uczyniła. Jeśli tego nie zrobisz, twoje towary przestaną się liczyć, ponieważ moje okręty będą pływać daleko poza zasięg twoich karawan i łodzi. W ten sposób zmuszam cię do odsłonięcia kart. Czy w odpowiedzi będziesz nieustraszona, czy lekkomyślna? Poślij swoich ludzi. Nie bądź taka arogancka. Nie zawarłaś sojuszu małżeńskiego. Twój handel jest w niebezpieczeństwie. To nie groźba, to prawda. Dzięki mnie możesz wiele zyskać. Pewnie wzdrygnęłaś się na te słowa, zatem ujmę to inaczej: ocal swoje królestwo. Może i jest tak, jak mówisz: nie potrzebujesz niczego od świata. Ale przez to uniemożliwiasz Sabie dostęp do wynalazków – jeśli nie za swojego życia, to za życia przyszłych pokoleń.

Wreszcie nie jestem królem, nawet nie mężczyzną, ale chyba chłopcem. Otoczonym przez dworzan, urzędników... spragnionym świata, ale zbyt często w nim osamotnionym. Zdaje mi się, że coś na ten temat wiesz. Dorastałem w haremie mojego ojca, otoczony przez setkę matek. Uczylem się języka ich westchnień i spojrzeń, kiedy myślały, że nikt na nie nie patrzy. Zastanawia mnie: dokąd podąży twój wzrok, gdy jesteś sama? Jak pełny lub pusty jest bóg w tobie, gdy wszyscy widzą jedynie arcykapłankę? Ile z twoich pytań pozostało bez odpowiedzi?

Masz teraz tyle lat co ja, gdy omal nie rwałem sobie włosów z głowy. Mówią,

że jestem mądry, ale mądrość nie zapewnia pokoju. Przypomina nam tylko o tym, czego nie wiemy – i wiedzieć nie możemy. O naszych słabościach, którym poddajemy się wciąż na nowo w tych rzadkich chwilach, gdy zapominamy o rządzonej przez nas świecie.

Sela[8], królowo Bilkis. Sela, Kobieto Ognia. Sela, Córo Księżycy. Poślij mi swoich emisariuszy i coś dla mnie – nie twoje kadzidła, ponieważ otaczają mnie cudowności. Nie twoje ziarno, ponieważ mój stół jest zastawiony. Nie twoich mędrców, ponieważ obdarzono mnie mądrością. Ale coś od siebie. Ogień spragnionej duszy.

Salomon

Opuściłam dłonie na stół. Serce biło mi bardzo szybko.

[8] *Sela* – wyraz wielokrotnie pojawiający się w Biblii, o nieustalonym znaczeniu; przyp. red.

Czytałam jego list wciąż na nowo. Wracałam do początku, nie dotarłszy jeszcze do końca, najpierw przy oknie, potem przy świetle lampy z brązu mającej kształt koziorożca.

Na Almaqaha, on był taki zuchwały! Pyszny. Bezcelny. Czyżby nazwał mnie lekkomyślną?

Zarozumiały. Sam nazwał się niebezpiecznym – phi! Ale jednocześnie pisał o sobie jako o zagubionym chłopcu.

Ten człowiek uważał się za znawcę kobiet – przypuszczałam, że tak było w istocie – choć tylko wydawało mu się, że zna mnie.

Dlaczego przekonywały mnie jego słowa? Jak to możliwe? Oto król, który zamierzał wydrzeć Sabie jej monopol... a jednocześnie błagał o odpowiedź!

Nie rozumiałam go.

Podczas pierwszej lektury dwukrotnie omal nie podarłam pisma na kawałki. I to on zarzucał mi arogancję? Czy myślał, że może mi rozkazywać? Ten władca państwa plemiennego niewiele starszego niż pokolenie już wszczynał konflikty?

Przeczytałam list ponownie. A potem jeszcze dwukrotnie. Oparłam się o krawędź stołu. Staralam się wyobrazić sobie jego głos. Jak te słowa mogły brzmieć w jego ustach?

Zastanawia mnie: dokąd podąży twój wzrok, gdy jesteś sama?

Jak to się stało, że opanowałaś moje myśli?

Moi radni się zbierali. Ależ będą wzburzeni! A jednak nie byłam w stanie spotkać się teraz z nimi. Przekazałam im przez Yafusha, by przepytali Mazora. I że spóźnię się o godzinę. Potem przedłużyłam ten czas o kolejne dwie godziny.

Król Izraela miał rację. Zmuszał mnie, bym odsłoniła karty.

Ale między wierszami jego listu tkwiło coś jeszcze. Jakaś tęsknota, jakaś pustka, którą znałam aż nazbyt dobrze.

Oto jestem. Prowadzę rozmowę z samym sobą, ale wyobrażam sobie, że prowadzę ją z tobą.

Czy on jedynie gra, aby mnie uwieść? Czy igrałby z moimi uczuciami, skoro nie jest w stanie mi rozkazywać? A może żeruje na mojej domniemanej potrzebie... czego? Posiadania nauczyciela? Przyjaciela?

Nie. Męża wnoszącego korzyści polityczne. Chciał mnie skusić, bym odsłoniła karty, skoro nie mógł mnie do tego zmusić.

Był niebezpieczny, choćby ze względu na swoje manipulacje.

Omam nie posłałam po Tamrina, ale jednak zdecydowałam się zostać sama. Handlarz nie wiedział, że znalazłam zwój. Chyba że król udzielił mu jakichś instrukcji na wypadek, gdybym nie odkryła tajemnej zawartości posążka.

A może – podobnie jak wcześniej – powiedział Tamrinowi, że jeśli zareaguję w pewien sposób, będzie to oznaczało jedno, a jeżeli w inny, to drugie? Na pewno sprawił, że mój handlarz przestał być wiarygodnym źródłem informacji. A przynajmniej uczynił go podejrzanym – po to, bym nie ośmieliła się odsłonić z moimi pytaniami.

Jakże sprytnie opakował ten zwój w warstwy! Warstwa po warstwie, taka egipska cebula. A co stanowiło rdzeń?

Mogłam nie reagować wcale. Mogłam tak samo zmusić go do odsłonięcia kart – poczekać, aż pośle mi słowo, tym razem w bardziej jawny sposób. Ale co wtedy? Jak mnie osądzi, jeśli nie okażę się tak niebezpieczna czy przebiegła, jak domniemywał – albo raczej nie spełnię jego oczekiwań? Jak będzie mnie wtedy traktował – z jeszcze większą pewnością siebie czy też z większą ostrożnością?

Przemaszerowałam do okna i z powrotem jakieś dwadzieścia razy. Zapomniałam o głodzie. Przez cały ten czas nie miałam nic w ustach. Jak mogłabym jeść, skoro mogłam stracić wszystko?

Jednocześnie od lat nie czułam w sobie tyle życia.

Wreszcie nalałam sobie trochę wina i usiadłam, by przeczytać zwoj ponownie – czy i on czytał mój tyle razy? – a w mojej głowie zrodziła się wątpliwość co do ewentualnej odpowiedzi.

...

– To się skończy wojną – stwierdził Khalkharib, podrywając się, kiedy weszłam.

Przygotowałam się na to, że pod moją nieobecność radni wpadli w amok. Słyszałam ich podniesione głosy przez drzwi do mojej komnaty, kiedy zwlekałam z jej opuszczeniem, niepewna, jak poprowadzić rozmowę wokół treści nieczytanego przez nikogo poza mną zwoju, który schowałam w rękawie.

– Ani słowa o zwoju – powiedziałam do Yafusha, gdy wychodziłam z komnaty. Eunuch rzucił mi łagodne spojrzenie, w przeciwieństwie do czekającej pod drzwiami Shary, na której twarzy malował się niepokój.

– Moja pani, co się stało?! Dlaczego zamknęłaś się w komnacie? – spytała, chwytając moje dłonie.

– Panujący od niedawna król lubi mieszać – odparłam i pocałowałam ją w policzek. – Wszystko dobrze. Ale Almaqah nie ujrzy dziś swojej małżonki.

Teraz, kiedy radni kłaniali się przede mną, a na stole między nimi leżały mapy, poczułam nieopisany spokój.

Czy w odpowiedzi będziesz nieustraszona, czy lekkomyślna?

– Zaczniemy od początku – oświadczyłam. – Jeśli to ma się skończyć wojną, z pewnością się od niej nie zacznie.

– Królowo – odezwał się Wahabil. Zajęłam swoje miejsce. – Sądzimy, że król ma zamiar przejąć te szlaki. – Wskazał największą mapę. Dostrzegłam, że rozłożono na niej dwie karmazynowe tasiemki. Obie wskazywały drogi prowadzące od portu w Esjon-Geber w zatoce przez południowe wybrzeże morza, a następnie rozdzielające się: jedna wiodła na wschód wzdłuż południowego wybrzeża w Sa-bie, a druga na zachód, w okolicach południowego wybrzeża w Ofirze. – Na tej tra-

sie... – zaczął i wskazał linię prowadzącą na zachód – prawdopodobnie dobiją do portu w Egipcie w drodze powrotnej. O ile stamtąd właśnie nie wyruszą.

– A druga trasa?

– Sądźmy, że muszą zaopatrzyć się w prowiant gdzieś przy naszym południowym wybrzeżu, zanim wyruszą dalej. Ale mają fenickich nawigatorów. Nie wiemy, jak daleko są w stanie żeglować bez widoku lądu.

– Nie mogą nas całkowicie ominąć – powiedziałam i skrzyżowałam ręce na piersiach. Dziwiło mnie to, że wydawałam się sobie stateczna niczym posąg pomimo dzikich emocji targających mną w ciągu ostatnich godzin.

A może to wino, które wypiałam na pusty żołądek?

– Statki płynące na wschód będą musiały w którymś momencie przyjąć ładunek kadzidła – zastanawiałam się na głos. – Świat potrzebuje naszej żywicy. Król także.

– Ale cóż może go powstrzymać przed bezpośrednim handlem z Hadramautem? – spytał Abyada.

– Jeśli statki popłyną prosto do Hadramautu, Saba utraci korzyści z dziesięcin i ceł przy każdej świątyni i oazie wzdłuż śródlądowego szlaku na północ – do dał Khalkharib. – Całe nasze królestwo na tym ucierpi.

– I o to właśnie mu chodzi – stwierdził Niman. – Bez wydatków na trasie lądowej zyska znacznie więcej.

– Saba straci również monopol na przyprawy i tkaniny z Hidushu, przez co jej plemiona zaczną rywalizować między sobą – kontynuował Khalkharib. – Samo istnienie tej floty zagraża zjednoczonej Sabie!

– Tak – odparłam cicho. – Jestem tego świadoma.

Oparłam brodę na dłoni i wpatrywałam się w mapę, podczas gdy przy stole nadal toczyła się dyskusja.

– Jest jeszcze Punt...

– Zakładasz, że flota będzie chciała zatrzymać się w Puncie?

– Zapomnij o flocie. Przetransportujemy towary łodziami do Puntu, a potem powieziemy je karawaną na północ do Egiptu.

Ocal swoje królestwo.

– Egipt nie będzie chciał handlować z nami, ale bezpośrednio z Salomonem
– powiedziałam i podniosłam wzrok, by zobaczyć, kto wypowiedział ostatnie słowa. Khalkharib.

– Skąd pewność, że król będzie chciał z nami w ogóle współpracować? Rozpoczął to przedsięwzięcie bez słowa, nie posłał nam emisariusza ani nie zawarł żadnej umowy!

Tak czy inaczej, pomówimy ze sobą. Nie dlatego, że tak nakazuję, ale dlatego, że tak musimy postąpić.

Niman pokręcił głową.

– Khalkharib ma rację. Dojdzie do wojny.

– Będzie z nami rozmawiał – zapewniłam.

– Łatwo powiedzieć! – Khalkharib spojrzał na mnie, jakbym była niespełna rozumu. Po raz pierwszy od momentu wejścia do sali miałam ochotę go spoliczkować.

– A co, jeśli się nie zgodzi? – spytał Niman.

– Zmusimy go do tego.

– Jakim sposobem? – naciskał Khalkharib. – Ma wszystko do zyskania i nic do stracenia. Co powinniśmy robić – urabiać go gładkimi słówkami czy płakać jak dzieci? Nie. Odpowiemy siłą.

Może i jest tak, jak mówisz: nie potrzebujesz niczego od świata. Ale przez to uniemożliwiasz Sabie dostęp do wynalazków – jeśli nie za swojego życia, to za życia przyszłych pokoleń.

– Musimy posłać po kapłana. Niech nam powróży – zaproponował Niman.

– Dobrze – zgodził się Khalkharib.

Pokręciłam głową. Jeszcze nigdy nie widziałam, by podczas wróżenia jednocześnie wypadły trzy kamienie oznaczające „tak”, „nie” i „zaczekaj”. Ani też nigdy tego nie pragnęłam.

Wstałam.

– Radni! Spieszno wam do wojaczki. Saba nie widziała wojny – prawdziwej wojny – od czasów mojego dziada. Nasze pochopne czyny będą wyrazem desperacji i w rezultacie nie zyskamy na czasie. Mówicie o latach spędzonych na pozyskiwaniu wrogów króla z każdego zakątka kontynentu. Na wabieniu ich kosztownymi darami, podczas gdy nasze karawany zostaną pozbawione rynków zbytu. Wojna nie przyniesie klęski Salomonowi, który ma po swojej stronie wojska egipskie i fenickie, a jedynie nam. Faraon może i jest słaby, lecz Egipt ma libijskich najemników. Król Fenicjan jest stary. Ale dzięki Salomonowi oni mają co jeść. Dzięki niemu mają też żelazo i miedź. Kieruje nami duma, lecz są inne sposoby niż prowadzenie wojny z trzema państwami. Kiedy deszcze spłyną do wąwozu, staniemy przeciwko nim czy skorzystamy z wody?

– Owszem. Ale to nasza woda. A flota nie jest nasza.

Podeszłam bliżej środka stołu.

– On ma fenickich rzemieślników. Chce wykluczyć Sabę i handlować bezpośrednio z podległymi jej królestwami. Na jego miejscu zrobiłabym to samo.

Cisza.

– Widzę szansę dla nas. Odległe rynki, egzotyczne towary, przewożone nie tylko przez wielbłądy – pustynne okręty – lecz także przez statki.

Khalkharib zaśmiał się zgryźliwie.

– Wybornie! Tyle że nie dysponujemy fenicką flotą.

– Nie. My nie. Ale on tak.

Wahabil pokręcił głową.

– Nawet gdyby był przychylnie nastawiony – a najwyraźniej nie jest – nie mamy portów, które byłyby w stanie pomieścić jego statki.

– W takim razie musimy je zbudować.

– To może zająć wiele lat.

– Przy dużym wysiłku na pewno mniej niż wojna. Tymczasem nasze karawany będą mogły podróżować w spokoju. Może nawet z jeszcze większym zyskiem niż wcześniej.

– Jak zgromadzić taką siłę roboczą? Nasi ludzie pracują na polach i przy zbiorach żywicy, opiekują się kanałami, ptactwem i budowlami w mieście...

– A zatem będziemy musieli zawrzeć pakt. To samo uczynił król Izraelitów: zawarł pakt z Hiramem. Dlaczego i my nie możemy spróbować? Sam powiedziałeś, że statki – zdolne pomieścić ile? setki ludzi? – powstają w zatoce nawet w tej chwili. Ci ludzie pomogą nam rozbudować nasze porty. Porty, dzięki którym będziemy mogli handlować na znacznie większą skalę niż przy wykorzystaniu samych karawan.

– Z czego wnioskujesz, że król Izraela w ogóle będzie chciał z nami pertraktować? – spytał Khalkharib.

Roześmiałam się i ponownie skrzyżowałam ręce.

– Panowie. Jesteśmy najbardziej przekonującym z narodów. Mogę śmiało powiedzieć, że mamy poparcie najpotężniejszego z bogów. Nasi radni są najbystrzejszymi mężami stanu. To prawda. Ale nasze argumenty mają o wiele mocniejsze podstawy. Król Izraela łaknie luksusów, wszystkiego, co najlepsze na świecie. Ma flotę, którą musi opłacić. Będziemy go nęcić każdą rzeczą, której może od nas pragnąć, naszymi bogactwami. Zgodzi się, ponieważ pod żadnym pozorem nie zrezygnuje z kadzidła Hadramautu czy złota Puntu. Tak długo, jak w świątyniach będzie się zanosić modlitwy do bogów, zmarłych będzie się przygotowywać do pochówku, a złoto będzie cenne, nie zabraknie rynków zbytu dla bogactw Saby. Jesteśmy w stanie zapewnić wszystkie te cudowności razem – jako naród – o wiele skuteczniej niż poszczególne królestwa. Na o wiele lepszych warunkach. Od Hadramautu po Punt.

Wahabil westchnął ciężko.

– Moja pani, podobno król jest równie dumny, co zuchwały. To władca, któ-

remu odmówiłaś posłania emisariuszy i którego lekceważyłaś, od kiedy wstąpiłaś na tron.

– A zatem jakież będzie zdumiony, gdy w końcu ich powita.

– Nawet jeśli tak się stanie, jest zdolny wyrzeć taki nacisk na innych, że nie widzą już innej drogi jak tylko wypełnianie jego woli. Mówią, że przepelnia go magia jego boga.

Ponownie się roześmiałam.

– Naprawdę w to wierzysz, Wahabilu?

Pokręcił głową.

– Dość długo rozmawiałem z Tamrinem, którego od lat uważam za lojalnego sługę. Nawet on czuje udrękę, gdy król go odrzuca, i rozkwita, kiedy władca obdarza go odrobiną uwagi, jakby był samym słońcem. Kogo pošlesz, by mu dorównał, jeśli jest taki, jak mówią?

– Kogoś, kogo nie ośmieli się odrzucić – odparłam. – Siebie.

Czy okażę się nieustraszona, czy lekkomyślna?

I jedno, i drugie.

Nie byłam przygotowana na ich wybuch gniewu.

– Moja pani! – Wahabil uderzył dłońmi w stół. – Nie możesz!

– A kto śmie mówić królowej, co może, a czego nie może robić?

– To zbyt niebezpieczne – stwierdził Niman. Stojący obok niego Abyada pokręcił głową.

– Twój tron będzie zagrożony – dodał Wahabil. – Cóż powstrzyma wtedy innych od sięgnięcia po władzę?

Po takim sprzeciwie radnych po raz pierwszy od przekroczenia progu sali załała mnie fala trwogi.

Co ja zrobiłam? Co powiedziałam i do czego się zobowiązałam? Taka zuchwała wypowiedź nigdy nie odejdzie w niepamięć.

Muszę być sprytna. I szybka.

– Nikt nie może uczynić tego, co ja zamierzam. Poza tym nie było nikogo przede mną!

Nawet Hatszepsut nie udała się osobiście do Puntu.

– Owszem, nikt wcześniej nie spożył też żywego jadowitego węża. Ale dlaczego ktoś miałby to zrobić? – spytał Wahabil. – Jeśli chcesz zawrzeć małżeństwo polityczne, moja pani, błagam cię, pozwól swoim ludziom wszystko przygotować. Tak to zwykle przebiega.

A ten znowu o małżeństwie.

Nie wiedziałam, czy się śmiać, czy zacząć krzyczeć.

– Nie chodzi mi o taki układ. Pojadę tam jako władczyni. Jak król do króla. Nikt, nawet ty, Khalkharibie, nie jest w stanie zażegnać tego sporu tak sprawnie jak

ja, w królewskim stylu. Ale za to będziesz mi towarzyszył. Ty i Niman.

Moje słowa wywołały kolejną falę sprzeciwów. A ja nagle, bez specjalnych wysiłków, odzyskałam spokój. Poczułam nawet radosne uniesienie.

Wahabil usiadł, ale po chwili zerwał się z krzesła i wyrzucił ręce w powietrze.

– Już dobrze, drodzy mężowie – powiedziałam. – Czyż nie wiecie, że mówicie do księżniczki, która przebyła z wami podróż od wybrzeży Puntu? I razem z wami spała pod gołym niebem, choć nie wiedziała, czy kolejnej nocy nie napadną na nas wojownicy z północy, czy rzeki się nie przepelnią i nie zmyją nas z powierzchni ziemi, kiedy będziemy spać? Czyż nie maszerowaliśmy razem od przybrzeżnych równin Hadramautu przez doliny Katabanu aż po skraj pustyni?

Niman pokręcił głową.

– To co innego.

– Owszem. Ta podróż dla odmiany pozwoli mi rozprostować nogi. To dla mnie szansa ujrzenia na własne oczy północnych szlaków. Jeśli jednak ty nie czujesz się na siłach...

– Z radością udam się tam w twoim imieniu, jako twój kuzyn i współplemieńiec – powiedział Niman.

– W takim razie, jak na współplemieńców przystało, wyruszmy razem. W Sabie jesteśmy bezpieczni. Ale i odizolowani od świata. Polegamy na relacjach naszych handlarzy. Oni przynoszą wieści o tym obcym dworze, w którym wydają się być rozmiłowani, i przemawiają w naszym imieniu. Sami zobaczymy i osądzmy tę potęgę, to zagrożenie. Zwróciliśmy oczy na nasze góry i rzeki – i ujarzmiliśmy deszcze. Zwróciliśmy oczy do nieba – i wznieśliśmy świątynie dla bogów. Teraz spójrzmy na świat. Niech za kilka lat nie okaże się, że na skutek odosobnienia stworzyliśmy staroświecki raj pomiędzy mitycznymi krainami. Pewnego dnia, choć do tego czasu mogą minąć wieki, u naszych granic staną wojska. Nie możemy sobie pozwolić na niewinność dzieci zbyt długo trzymanyh w kołyskach.

– Królowo, tu nie chodzi o rozprostowanie nóg, ale o znojną półroczną podróż! – wykrzyknął Wahabil. – Tamrin zaświadczy, że zdarzają się burze piaskowe

i ataki rozbójników...

– Czyż tutaj nie dzieje się to samo? – spytałam. – Jesteśmy narodem wysyłającym karawany. Kiedy zapomnieliśmy, że w naszych żyłach płynie krew nomadów? Żyjemy w miastach, ale jesteśmy wytrzymali i luksusy nas nie zmiękczyły. Cóż, może troszkę. – Uśmiechnęłam się lekko. Przy stole rozległy się nerwowe chichoty. – Nasi przodkowie nie pozwalali sobie na słabości. My też nie powinniśmy tego czynić – ciągnęłam. – To nie tyle podróż do jakiejś odległej krainy, ile wyprawa w poszukiwaniu naszej tożsamości. Słabi ludzie wypowiadają wojny i najeżdżają inne kraje z powodu żądzy lub strachu. My ani się nie lękamy, ani nie pożądamy. I właśnie tego dowiedziemy. Zaskoczmy wodzów Edomu, Amalekitów, faraona, władcę Fenicji i, rzecz jasna, króla Izraela. Czy Salomon odbyłby taką podróż? Nigdy by się nie ośmielił! Północne plemiona Izraela spiskują przeciwko południowym. A jak świadczy o naszym królestwie to, że jego królowa może opuścić swój kraj pewna tego, iż powróci nietknięta? Że tak długa podróż to dla niej pestka? Żaden inny władca nie odważy się tego uczynić!

Uniosłam dłoń, zawczasu powstrzymując kolejne głosy sprzeciwu.

– Taka kampania to o wiele rozsądniejsze rozwiązanie niż wojna. Poweźmiemy wiele przygotowań. Uczynimy z naszej podróży takie widowisko, że Salomon nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko zawrzeć z nami ugodę. Wprawimy go w osłupienie nie naszą bronią, lecz bogactwem. Nasze kadzidło będzie niczym włócznie, złoto niczym ogień, a kość słoniowa niczym strzały. Egipt podarował mu ziemie i obozy wojskowe, Fenicja – materiały potrzebne do budowy świątyni, pałacu i okrętów, a także rzemieślników. Ale Saba ofiaruje mu egzotykę, której król tak bardzo łaknie, w wymiarze przekraczającym jego wszelkie wyobrażenia. Podarujemy mu możliwość dotknięcia bogactw dalekiego świata... bez konieczności wstąpienia z tronu.

Wahabil kręcił głową.

– To zbyt niebezpieczne. Królowo, nie masz potomka. Jeśli coś ci się stanie, Saba pograży się w wojnie, przeciwko której występujesz – nie poza granicami, ale wewnątrz państwa.

– Zadbam o dziedzica... Adoptuję go – wymyśliłam naprędce.

Jakież zdumienie odmalowało się na ich twarzach!

– Adoptuję dziedzica przed Almaqahem w świątyni. Zrobię to jednak potajemnie. Nawet wy nie będziecie wiedzieć, kogo wybrałam. Zalakowane zwoje, na których wypiszę jego imię, spoczną w trzech świątyniach. Ani wy, ani nikt inny nie będzie wiedział w których. Dopiero po upewnieniu się, że nie żyję, kapłani wrócą do Maribu, złamią pieczęcie i odczytają imię sukcesora.

– Tak... się nie robi – wydukał Wahabil.

– Nie robi się też tak, że królowa wyrusza w podróż przez pół świata. A jednak tak właśnie uczynię.

– Wyznaczenie dziedzica nie jest niczym nowym. Istnieje precedens związany z adopcją współplemieńca – stwierdził Niman.

– I jakaż to ulga dla was, że nie będziecie musieli poznawać tej osoby ani oglądać zwaśnionych wodzów, a jedynie chronić tron pod nieobecność królowej lub ją samą podczas wspólnej podróży. – Przeniosłam wzrok z Nimana na Khal-khariba.

Po twarzy Wahabila przemknął lekki uśmiech.

– A plemiona? Kto powstrzyma je przed powstaniem w czasie twojej nieobecności? – spytał Yatha. – Hadramaut sporo zyskałby, gdybyś poniosła klęskę.

Uniosłam dłoń.

– Ty. Chyba że nie wiesz, jak się z nimi rozprawić? – Omiotłam wzrokiem zgromadzonych. – Powiadam wam: na plemieniu, które ośmieli się sięgnąć po mój tron, spocznie klątwa. Przeklnę je w świątyni, kiedy wyruszę w drogę.

Gdy wypowiadałam te słowa, serce waliło mi w piersi. Rzecz jasna, nie miałam zamiaru zginąć podczas tej wyprawy. Poza tym czułam coś, co było mi obce od lat.

Wolność.

– Teraz nakazuję wam milczeć – oświadczyłam. – Jeśli choć słowo o moim planie opuści progi tej komnaty, dorwę tego, kto nie dochował tajemnicy. Za taką

zdradę płaci się życiem. Moja podróż wymaga wielu miesięcy – może nawet roku – przygotowań. Nikt nie może się o niej dowiedzieć jeszcze długo po moim wyjeździe.

Wpatrywali się we mnie ze zdumieniem. Wiedziałam, że muszę sprawiać wrażenie szalonej albo natchnionej.

– Jak to możliwe?! – wykrzyknął Yatha.

– Uczynimy to możliwym – powiedziałam bardzo cicho. – Jeśli w czasie mojej nieobecności ktoś napadnie na tron Saby, zostaniecie przeklęci wraz z plemionami, które wystąpią przeciwko mnie. Sam Almaqah dopilnuje, byście po śmierci nie znaleźli miejsca w krainie cieni. Powiadomię kapłanów. Klątwa zostanie nałożona przed moim wyjazdem.

Niman bez żenady rozglądał się po sali, a Khalkharib wyglądał na szczerze oburzonego.

– Ale jeśli Saba rozkwitnie... – ciągnęłam – wtedy wraz ze swoimi plemionami dostąpicie zaszczytów. Kiedy fenickie statki wyruszą w podróż, pierwszy transport najlepszych towarów trafi do was. Najlepsze wielbłądy z mojej stajni zostaną posłane do waszych wielbłądzic, a potomstwo waszych dzieci będzie pobierało nauki na dalekich dworach królewskich. Najmarniejszy z waszych niewolników dorówna wodzom innych plemion, a wasi synowie zostaną powiernikami i doradcami władcy zjednoczonych królestw, który obejmie rządy po mnie. Nie będziecie już pragnąć niczego poza odpowiedziami na pytania, jakie nawet nie przysłyby do głowy głodnym, wysiedlonym i zalęknionym. Waszym największym problemem będzie to, co uczynić z tak licznym potomstwem i jak zagospodarować ogromne bogactwo po zakończeniu podróży na ziemię ojców. Ale teraz...

Skinęłam na Yafusha. Eunuch podszedł bliżej. Zbliżał się wieczór. I pomyśleć tylko, że kroczyłabym teraz traktem świątynnym, aby poślubić boga.

– Przed odejściem złożycie mi przysięgę pod ostrzem eunucha.

Yafush dobył miecza i uniósł go nad karkiem Wahabila.

– Moja pani – powiedział Wahabil, skłoniwszy głowę. – Nigdy nie dałem ci powodu do wątpliwości...

– Zaprawdę, nie dałeś, mój przyjacielu. A zatem złóż mi przysięgę jako Córze Almaqaha w obecności wcielenia samego boga.

– Niech Almaqah zgładzi mnie osobiście, jeśli miałbym cię kiedykolwiek zdradzić – powiedział Wahabil.

Yafush podszedł do Yathy, który spoglądał na mnie spod gęstych rzęs.

– Przysięgam – oświadczył Yatha.

Mężowie, jeden po drugim, składali przyrzeczenia. Wierzyłam w nie dzięki temu doniosłemu obrzędowi, choć tak naprawdę każdy z nich mógł złamać przysięgę w czasie mojej nieobecności. Duchem byłam już na szlaku kadzidlany, podróżowałam na północ ku oazom Yathribu i Dedanu, do Izraela. Nie ze względu na króla, lecz dlatego, że nie mogłam już znieść tego miejsca.

Kiedy skończyli, Yafush ponownie stanął u mego boku. Wtedy Wahabil zawołał donośnym głosem:

– Królowo, jak mamy sprawić, by nikt nie dowiedział się o twojej nieobecności?

– Ujawnię wam swój plan. Wkrótce odegramy przed Salomonem spektakl, na którego widok padnie na kolana.

...

Na bogów, cóż ja uczyniłam?

Nie mogłam spać. Setki razy spacerowałam do okna i z powrotem. Nie, nie wyjmę zwoju i nie będę go czytać od nowa – po raz dziesiąty, jedenasty – przy świetle lampy, podczas gdy Shara śpi.

Wmówiłam sobie, że ten zuchwały plan przyniesie dobrobyt mojemu królestwu. Ale prawda była taka, że list Salomona zszargał mi nerwy. Gdyby nie to piśmo, zabiegałabym o względy wrogów Izraela. Zamiast tego będę musiała hołdować ambicjom króla.

Jutro pewnie będę łajac samą siebie za to, że padłam ofiarą intrygi. Zagrozi-

łam swojej radzie i poczyniłam obietnice, których dotrzymania wcale nie byłam pewna. Opuściłam alkowę mojego boga po to, by zaplanować podróż do ziemi bezimiennego boga. Byłam pewna, że właśnie takiej pochopnej reakcji oczekiwał ode mnie Salomon. Cóż, nie zawiodę go, ba!, znacząco przekroczę jego oczekiwania.

Na wątpliwości przyjdzie czas później. Nie byłam tak poruszona od dnia, w którym opuściłam Sabę, by zamieszkać w Puncie. Każdy przełom w moim życiu wiązał się z podróżą. Czas na zmianę. Dużą.

Tuż przed świtem posłałam po niewolnika Mazora. Jeśli został wyrwany ze snu – a pewnie tak właśnie było – to w ogóle tego nie okazał. Skłonił się nisko w przedsiönku. Włosy miał schludnie związane na karku, a jego twarz była pełna jak u chłopca. Jedyne siwizna brody zdradzała jego wiek.

– Czy nie czujesz się wyczerpany tak znojną podróżą?

– Dobrze mnie tu karmią, wypocząłem. A nawet gdyby tak nie było, ożywia mnie chwała mojego Boga.

Jakże zazdrościłam mu takiego całkowitego oddania bogu, nawet bezimiennemu!

– W takim razie zagraj i zaśpiewaj dla mnie – poleciłam, układając się na sofie.

– W języku mojego ludu? – spytał.

– We własnym.

Uklonił się nisko i zaczął grać. Kiedy śpiewał, w jego głosie usłyszałam melancholię. Zamknęłam oczy i chłonełam ów śpiew niczym olejek.

Mazor grał, gdy do komnaty wpadły pierwsze promyki brzasku, a potem przez kolejne godziny. Śpiewał pieśń za pieśnią w swoim dziwnym języku. W końcu usnęłam, ukołysana powtarzającymi się długimi dźwiękami *yah*.

Śniłam o królach, którzy rozkazywali i nakłaniali do rozmaitych czynów. O tronach, które trzeba opuścić, by wznieść umocnienia. O bogach bez twarzy, których imion nie sposób wymówić.

Po raz pierwszy od lat zasnęłam, pewna swojej drogi. Po raz pierwszy od lat oczekiwałam przyszłości.

Ale cały spryt, którym się wykazałam, był niczym w porównaniu z tym, co miałam uczynić później.

Tamtej zimy, w roku, w którym Tamrin nie podróżował, do pałacu przybył dobrze zbudowany Ausańczyk z gór Sarah. Zwykle nie jeździł on do Izraela, a jedynie do oazy w Temie, na południe od Edomu.

– Posyłam pięćdziesięciu zbrojnych, by strzegli twojej karawany – powiedziałam do niego. – Ale kiedy dotrzesz do Temy, będziesz musiał odesłać dwudziestu z nich na dwór izraelski i poczekać na ich powrót. Mają towarzyszyć ci w drodze na południe. – Powierzyłam mu złoty dzban, który został wykonany na moje polecenie. Dzióbkami naczynia były dwie głowy koziorożców zwrócone w przeciwne strony, a wdzięczne rogi tych zwierząt zawijały się i łączyły w podwójny uchwyt. Pod jedną głową wygrawerowano napis *Nieustraszony*, a pod drugą *Lekkomyślny*. Napełniłam dzban piaskiem, pysk „Nieustraszonego” zatkałam woskiem, a „Lekkomyślnego” liścikiem, w którym napisałam:

Twoje pytania są jedynie zwierciadłem; tylko człowiek, który zadaje je sam sobie, postawi je komuś innemu.

Jestem nieustraszona czy lekkomyślna? To dwie strony jednego naczynia. Nalewać z jednej oznacza: czerpać z drugiej.

Mój wysłannik wyruszy wraz z królewskim handlarzem w ciągu roku. Obaj płaczą na myśl o opuszczeniu raj. Ale skoro ty nie możesz wyjść do świata, pošlę Sabę do ciebie. Tego dnia słońce wzejdzie na południu.

Kim jestem? Jestem dziewczynką, którą chłopiec ciągnie za włosy tylko po to, by zwrócić na siebie uwagę. Masz, czego chciałeś. A cóż uczyni dziewczynka?

Na imię mi Zagadka. Moje pytania są liczne jak ziarnka piasku.

Tego dnia wstałam wcześniej, by zakończyć sprawy dworskie. Spotkałam się

z doradcą, a po godzinie również z Wahabilem, na którym spocznie zadanie zarządzania królestwem pod moją nieobecność.

Shara natychmiast zauważyła zmianę, jaka się w mnie dokonała.

– Ależ się zmieniłaś! – wykrzyknęła, ujmując moją twarz w dłonie. – Barwa twojego lica dorównuje kolorom klejnotów! – Najwyraźniej było to zaraźliwe; moja przyjaciółka z dzieciństwa, która płakała ze strachu, kiedy wyjawiałam jej swój plan, a potem znów płakała, gdy powiedziałam, że będzie mi towarzyszyć, wyglądała, jakby przebudziła się z długiego snu. Miała lżejszy krok, sprawniejsze ruchy. Dwukrotnie słyszałam nawet, jak śpiewa w komnacie przy układaniu bel tkanin przyniesionych ze skrzyni.

Dla samego tego dźwięku mogłabym pojechać na koniec świata.

Wiosną, kiedy deszcze ustały, posłałam po Tamrina. Był cichszy, niż się spodziewałam. I miał rozbiegany wzrok.

– Obiecuję, że król cię przyjmie, gdy następnym razem postawisz stopę w jego mieście – powiedziałam. – Pokolenia Izraelitów będą wspominać zbliżającą się podróż. Ale teraz musisz poczynić wiele przygotowań. Będziesz przewoził więcej skarbów i otrzymasz więcej wielbłądów. Będziesz miał również do dyspozycji o wiele więcej zbrojnych. – Przyjrzał mi się wtedy z bliska; łuk jego wargi się napiął.

– W związku z budową przez króla nowego portu?

Pokiwałam głową.

– Będziemy z nim negocjować i przekonamy go takimi darami, że ofiaruje nam wszystko, czego zapagniemy.

– Czyli pošlesz swojego emisariusza? – Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

– Postawiłam cię w trudnej sytuacji wobec króla. Tym razem będzie inaczej. Ja pojedę z tobą.

Na te słowa Tamrin zbladł.

– Moja królowo...

– Z pewnością bardzo długo zastanawiałeś się, co oznaczają te okręty – nie tylko dla Saby, lecz także dla twoich karawan.

Skinął głową. Dostrzegłam nowe zmarszczki wokół jego oczu.

– W rzeczy samej, mój ojciec jeszcze nigdy nie wykręcał sobie palców tak często i z taką mocą. – Zaśmiał się posepnie. – Ja też nie.

Wiedziałałam, że nie chodziło mu o majątek – o, nie. Ten człowiek wygrzewał się w blasku zarówno króla, jak i królowej, ale nie cenił spraw tak przyziemnych jak złoto. Nie obawiał się stracenia bogactw, lecz utraty surowej wolności podróży.

– Dobrze się spiszę. Dla ciebie i dla Saby.

Podniosłam wzrok i poczułam ciężar jego spojrzenia.

– Nigdy w ciebie nie wątpiłam. Musisz jednak opowiadać, że królowa posyła do króla jedynie negocjatora. Musisz się też przygotować na to, że powiesz bogactwo, które nigdy jeszcze nie przebywało takiej drogi bez całej armii.

– Moja pani, nie mogę oszczędzić ci trudów podróży. Więcej ludzi i więcej wielbłądów istotnie oznacza armię.

– Tak się składa... że mam ją do dyspozycji.

Odszedł jako inny człowiek. Wszyscy byliśmy odmienieni, poruszeni przedsięwzięciem, atmosferą tajemnicy. Nawet Wahabil wydawał się z tego powodu bardziej pobudzony niż zmartwiony. Z jego czoła zniknęły zmarszczki. Rozmawiał ostro z szambelanem i krzyczał na służbę.

Tylko chwilami dopadał mnie niepokój. Tyle obietnic. Tyle wielkich słów. Nie mogę zawieść. Podczas spotkań z Wahabilem i radą trzymałam wysoko głowę. Ale w trakcie spacerów po ogrodzie, kiedy pałacowe mury wydawały się zacieśniać wokół mnie, myślałam o tym, że jednak mogę zawieść – i to na setki sposobów. Podczas samej podróży, jeszcze przed dotarciem do Izraela. Mogę też stracić panowanie nad sobą w czasie rozmowy z tym królem, z tym pożeraczem świata. A co, jeśli zasoby Saby się skurczą? Nigdy wcześniej nie brałam tego pod uwagę. Po raz pierwszy sprawdziłam stan stajni, kopalni złota, pól i winnic, sękatych drzew,

które wytwarzały nasze kadzidlane perły. Co, jeśli nie zdołam zainteresować tego rzekomo mądrego człowieka, króla, który krył w sobie tyle tajemnic? Czy postępowałam sprytnie, czy może zamierzał on posiąść dobytek Saby, by zappełnić swoje skrzynie bez dna?

Wyglądałam księżycyca spomiędzy gałęzi, przez jaskrawą gęstwinę pnączy miłinu. Odwzajemniał moje spojrzenie w ten chłodny wieczór.

Na dzień, w którym nieuchronnie wszyscy dowiedzą się o mojej nieobecności, zamówiłam potężny alabastrowy posąg na swoją cześć. Moja podobizna będzie miała obsydianowe, wszystkowidzące oczy. Sprowadziłam wielbłądy i zbrojnych z niemal każdego plemienia. Nie będę podróżować ze strażą pałacową, najbardziej zaufanymi ludźmi Nabata, ale z tymi, którzy w przeciwnym wypadku mogliby odpowiedzieć na wezwanie uzurpatorów i uderzyć na Marib. Dzięki temu oni i ich krewni będą musieli wznosić modły o powodzenie królewskiego przedsięwzięcia.

Deszcze nadeszły z końcem lata, długie i obfite. Wszędzie majaczyły obietnice – dla dobrych zimowych zbiorów, dla Saby...

Tego roku podczas letniej pielgrzymki świątynię zalało mnóstwo podróżnych, więcej niż zwykle. Przewodniczyłam rytualnej uczcie. Ogłosiłam dobrą wróżbę i przepowiednię niespotykanego bogactwa dla naszego narodu. Obwieściłam, że nastanie dzień, w którym uświęceni goście uczty – biedni, zapomniani, wędrowcy – staną się elitą.

Kolejne oświadczenia. Kolejne obietnice. Coś, co zaczęło się od atmosfery uroczystego świętowania i oddziaływało na otaczających mnie ludzi: Wahabila, Khalkhariba, Share, której skóra lśniła jak u małej dziewczynki – przerodziło się w ściskanie w żołądku.

Każdej nocy posyłałam po Mazora. Poznałam już sporo izraelskich słów. Znałam teksty licznych pieśni spisanych przez króla-poetę. Początkowo uczyłam się ich z ciekawością, a potem wręcz gorączkowo.

Dwa miesiące przed wyjazdem poleciłam Mazorowi, by grał na lirze, podczas gdy służka wcierała mi olejek w dłonie, włosy i stopy. Wkrótce skóra popęka mi na skutek trudów podróży. Było to tego wieczoru, kiedy moje poselstwo powróciło z Izraela.

– Tyle wieści, moja pani! – wykrzyknął dowódca, wchodząc do mojej prywatnej komnaty. – Król osobiście nas przyjął i nalegał, byśmy zostali kilka dni. Jakież osobliwe i egzotyczne jedzenie, ucztowanie, jakiego nigdy nie doświadczyłem...

– Tak, tak... – machnęłam ręką ze zniecierpliwieniem. Serce waliło mi jak oszalałe.

– Wręczyliśmy mu twój podarunek. Z jakąż uwagą go oglądał! Aż krzyknął, kiedy znalazł list, jak mały chłopiec, który zwyciężył w grze. Ale zmarszczył brwi, gdy czytał pismo przed całym dworem i kiedy przechylił dzbanek, z którego wnętrza wysypał się na posadzkę piasek. Myślałem, że wybuchnie płaczem. Wydawał się naprawdę wzruszony. „Tyle pytań...”, szepnął. „Tak”. A potem: „Ona wie”. Odstawiwszy naczynie na bok, pytał nas o podróż. Ale spoglądał na nie często. Kolejnego wieczoru zabrał nas na ucztę. Spytał, jakich emisariuszy masz zamiar mu posłać. Chciał poznać nazwy ich plemion. Nie wiedzieliśmy tego i tak właśnie mu odpowiedzieliśmy. Podczas tej uczyty król mało zjadł. Trzeciego dnia po naszym przyjeździe było zaćmienie i w mieście wybuchł popłoch. Król zniknął w swoich komnatach i nie wzywał nas, ale też nie pozwolił nam odejść. Zostaliśmy więc jeszcze dwa dni, aż przyjął nas, by życzyć dobrej podróży. Ofiarował nam wiele darów: noże, skóry, a mnie dobry chittycki łuk. Tobie zaś dał to. – Wyjął zza pasa owinięty materiałem zwój.

Czyżby serce wyskoczyło mi z piersi? Skinęłam na Yafusha, by odebrał pismo, choć miałam ochotę sama wyrwać je z rąk dowódcy.

Zaczęłam mu dziękować. Miałam zamiar natychmiast go oddalić.

– Moja pani, jest coś jeszcze. Kiedy wyjeżdżaliśmy, do miasta przybyli fenicyjscy posłańcy. Dlatego zostaliśmy jeden dzień dłużej i wypytywaliśmy o nich cały królewski dwór. Moja pani, Hiram, król Fenicji, nie żyje.

Gwałtownie wypuściłam z płuc powietrze. Nie wierzyłam własnym uszom. Te wieści przysły w najlepszym możliwym czasie.

Teraz król będzie musiał zawrzeć porozumienie z nowym królem Fenicji. Wcześniejsze ugody mogą być nieaktualne.

Kiedy zostałam sama w komnacie, złamałam pieczęć na zwoju i rozwinęłam go niecierpliwymi palcami.

O, Pani Zagadko!

Jakież udręki cierpię, zarówno kiedy przemawiasz, jak i w czasie ciszy. Na jakąż próbę mnie wystawiasz! Jakże jednocześnie zachwycasz i wzbudzasz gniew!

Czyż nie wiesz, że twój handel stoi pod znakiem zapytania? Oczywiście, że wiesz. I dlatego karzesz mnie tak prędką odpowiedzią i mądrym darem – zdajesz sobie sprawę z tego, że jedno mnie urazi, a drugie zachwyci. Czyż nie wiesz, że mógłbym poważnie nadszarpnąć twoje królestwo? Nie myl króla z chłopcem, choć istotnie jestem człowiekiem, któremu przychodzą do głowy chłopięce pomysły. Pociągnąłem cię za włosy. Ty kopnęłaś mnie w goleń. Nie waż się splunąć mi w oko.

Ciekaw jestem twojego posłańca, choć już wiem, że będę rozczarowany. Nie przysyłaj mi najmądrzejszych ani najsprytniejszych, ani najbardziej wprawnych. Jestem zmęczony ciągłymi pochlebstwami, pozami i głupawymi uśmieszkami. Choć sabeijscy emisariusze nie uśmiechają się głupawo. Jestem zmęczony pieczołowicie przygotowywanymi ugodami, ułożonymi dokładnie niczym fundamenty pod pałac. Męczę się nawet muzyką, złotem i ucztowaniem. Wstaję głodny od własnego stołu.

Ale przecież znasz to uczucie, ponieważ jesteś równie zmęczona. Moje słowa są zwierciadłem. To też wiesz. Oczywiście, że wiesz. Raz jeszcze podejmę dyskusję, wiedząc, że mówię do samego siebie.

Powiedz mi: czy myślisz, że twoi bogowie znają cię tak jak ja, którego twarzy nigdy nie widziałaś?

Jakże trzymasz mnie w niepewności! Zarzuciłaś mnie pytaniami, a przecież mnie nie znasz. Grasz w niebezpieczną grę. Nieustraszony i lekkomyślny kończy jako głupiec. Czy jesteś głupia, królowo?

Jeśli jesteś mądra, będziesz również ostrożna. Jeżeli jesteś sprytna, postąpisz z prostotą.

Ale jeśli jesteś łaskawa, pošlesz kaźdego ze swoich emisariuszy z osobnymi wiadomościami, które będą na tyle długie, że wygłodniały król nie pochłonie ich wszystkich od razu.

Salomon

Przeczytałam list z wściekłością, a zaraz potem ponownie – już z poczuciem zwycięstwa. Niech myśli, że mnie zna, choć sam uważał się za nierozpoznawalnego. Ten król, o którym mówi się, że czyta w ludzkich sercach.

Cóż, ja nie byłam zwykłym człowiekiem. I wkrótce rzeczywiście porozmawiamy wystarczająco długo.

Dwa tygodnie po otrzymaniu wiadomości od Salomona spacerowałam z Wahabilem w ogrodzie, gdzie nie sposób było nas podsłuchać. Welon osłaniał moją twarz przed słońcem. Rozmawialiśmy przyciszonymi głosami, a podmuchy wiatru dodatkowo tłumiły nasze szepty szelestem liści palmowych. Powierzałam mu ostatnią sprawę, którą będzie musiał zająć się pod moją nieobecność. Za pięć dni narzeczcie ruszę w podróż na północ, do Izraela.

Byliśmy tak zaabsorbowani, że nie dostrzegłam, iż niebo nagle zmętniało.

– Księżniczko – odezwał się nagle Yafush – spójrz lepiej w górę.

Wystraszyłam się na dźwięk jego głosu. Mój nubijski cień rzadko coś mówił w obecności innych ludzi.

Przeniosłam wzrok z niego na słońce, które gasło na moich oczach, i owinęłam się ciaśniej welonem. Raz lub dwa razy w roku chłodniejsze powietrze wzbijało piaski pustyni, na jakiś czas spowijając równinę i podnóża wzgórz zielonkawym całunem.

Wahabil zmrużył oczy i przechylił głowę, jakby nasłuchiwał dźwięku, którego źródła nie potrafił zlokalizować.

I wtedy to usłyszałam: słabe drgania, dobiegające z oddali bzyczenie.

Z nieba zaczął sypać się skrzydlaty grad.

Szarańcza.

Tamtego dnia godzinami stałam przy okiennej kracie. Cały teren pałacu przysłaniała chmura tnących powietrze skrzydeł.

Do rana niewielkie pędy zimowych zbóż zniknęły całkowicie, jakby pól nigdy nie obsiano. Owady zostawiły po sobie ściernisko złożone z łodyg, szkieletów krzewów i gałęzi. Niektóre drzewa pozostały zupełnie nietknięte, ale pola były огоłoczone z roślin, a z pastwisk zniknęły trawy i krzaki. Wygłodniałe wielbłądy

próbowały chwycić bezskrzydłe koniki polne, które nie miały szans prześcignąć szarańczy.

– Cóż to oznacza? – spytałam Asma, wpatrując się w zniszczony ogród.

– Nadleciały po ulewnych deszczach. Wróg zagraża twoim interesom, królowo. Ale sprawy mogą obrócić się również na korzyść. Co zostało zjedzone, powróci tym obficie – odparł kapłan.

Nie przekonało mnie to.

Na ulice wyległy tłumy, by pozbierać owady. Wkrótce pałacowe kuchnie wypełnił zapach kolendry i szarańczy smażonej na oleju sezamowym. I choć Yafush twierdził, że owady były wyjątkowo smaczne – pewnie dzięki obfitym plonom, które pochłonęły – nie potrafiłam zmusić się do ich zjedzenia nawet w akcie zemsty.

Posłałam jeźdźców, by ocenili straty, i nakazałam nakarmić wielbłądy ziarnem ze spichlerza. Nie można ich było teraz głodzić!

Kilka dni później do pałacu przybył Tamrin. Z wyraźnym wysiłkiem przychodziło mu spojrzeć mi w oczy. Widziałam kiedyś taki sam wzrok u drapieżnika w klatce.

– Szarańcza nadciągnęła z północy – powiedział. Co chwila sięgał po wino. Pił go dziś więcej niż kiedykolwiek wcześniej. – Przeleciała nad Wąską Wodą do Mekki, a stamtąd do nas, po drodze rujnując oazy. Są całkowicie ogołoczone. Nie ma paszy, by wykarmić stado wielbłądów, nie mówiąc już o karawanie.

Nie powiedział głośno tego, co oboje wiedzieliśmy: tego roku nikt nie wyruszy w podróż na północ.

Za drzwiami mojej komnaty wszystkie wcześniejsze argumenty obrócono wniwecz. Nawet pokojowo nastawiony Abyada zastanawiał się na głos, czy skoro nie wyruszymy do Izraela, by pertraktować z królem, możemy wypowiedzieć mu wojnę.

– Czy nie pojmujesz? – syknął Khalkharib. – To znak, że musimy pójść tam nie jako emisariusze, lecz jako armia. Jak szarańcza.

– Jesteś teraz kapłanem, że zachciało ci się interpretować znaki? – spytałam opryskliwie. – Szarańcza przybyła na południe i zniszczyła naszą ziemię, a nie na odwrót. A skoro stąd do Mekki nie ma paszy dla wielbłądów w karawanie, to tym bardziej zabraknie pożywienia dla wojsk. Król także utracił źródło dochodów i cła. Kiedy cierpimy my, cierpi i on. Jeśli bogowie chcieli nam w ten sposób coś pokazać, to chodziło im raczej o potrzebę zapewnienia szlaków morskich. Dzięki statkom moglibyśmy wymienić kadzidło za ziarno do ponownego zasiewu, ponieważ Almaqah wie, że nie da się posiać żywicy!

Co gorsza, nie mogłam posłać wiadomości na północ. Grupa jeźdźców może i znalazłaby paszę dla swoich wierzchowców, ale rozbójnicy wkrótce tłumnie ruszą w poszukiwaniu jedzenia i zwierząt w zamian za te, które teraz będą musieli ubić. Kilka sabejskich łodzi dopłynęło do portów w Hidushu i Puncie. Do ich powrotu wiatry na Morzu Czerwonym zmieniają kierunek z zimowego północnego na letni południowy, a my nie jesteśmy Fenicjanami zdolnymi ujarzmić pogodę.

Jakie wnioski z mojego milczenia wysnuje król po tym, jak zażądał odpowiedzi? Jak słabi wydamy się mu, skoro ulegliśmy tak prozaicznej pladze? Jak bardzo niemili bogom? I wszystko to po moich słowach o Sabie – najwspanialszym kraju na świecie!

Co pomyśleli sobie nie tylko o moim milczeniu, lecz także o nieobecności handlarza wiosną? Nowy fenicki król zdążył już odnowić więzi z Izraelem i z tego co było mi wiadomo, budowa floty Salomona zmierzała ku końcowi. Izraelici przygotowywali się do wypraw na krańce świata. A oto ja nie mogę pojechać ani nikogo posłać!

Złożyłam tyle obietnic, rozpałam wyobraźnię – nie tylko swoją, lecz także mojego ludu...

Ośmieliłam się mieć nadzieję. Oto mój największy grzech.

Powiedz mi: czy myślisz, że twoi bogowie znają cię tak jak ja, którego twarzy nigdy nie widziałaś?

Tamtego wieczoru uciekłam do sadów. Moje stopy miarowo uderzały o ziemię. Szybciej, szybciej. Yafush nie był w stanie za mną nadążyć. Kiedy byłam już daleko poza zasięgiem wzroku jakiegokolwiek strażnika pałacowego, odwróciłam

się i zaczęłam krzyczeć wniebogłosy.

– Czego chcesz ode mnie? Gdzie jesteś, że odwracasz się do mnie plecami jak najbardziej wiarołomny z kochanków? Jakiej krwi żądasz, której jeszcze ci nie dałam? Jakiej nadziei jeszcze mi nie wyrwałeś z powodu kaprysu? Czego jeszcze chcesz? Mów! Powiedz, a zakończymy to! – Ale księżyc milczał. Nagie gałęzie drzew owocowych przecinały jego oblicze niczym czarne błyskawice.

Były to najdłuższe miesiące w moim życiu. Całymi dniami krążyłam po pałacowych korytarzach i ogrodzie. Gdy zapadała noc, godzinami stałam w oknie i wylewałam swoje żale w setkach listów pisanych do samej siebie.

Wraz z wiosną zaczęły się obfite deszcze. Rolnicy obsiali pola podwójnie. Wydobyłam zwój, na który przez cały ten czas konsekwentnie nie zwracałam uwagi, choć tak naprawdę odczytywałam go w głowie tysiące razy.

Jakież udręki cierpię, zarówno kiedy przemawiasz, jak i w czasie ciszy. Na jakąż próbę mnie wystawiasz! Jakże jednocześnie zachwycasz i wzbudzasz gniew!

Jakże trzymasz mnie w niepewności!

W liście do króla z pychą rzuciłam mu wyzwanie i zaprosiłam go do rozmów. I chociaż twierdził, że wzbudziłam w nim gniew, wiedziałam, iż nie zniesie jednego: ciszy. Nie był to człowiek, który godzi się z porażką. Nigdy nie zapomni, że uniżył się, prosząc o słowo ode mnie, a nie otrzymał go. Nie mogłam pozwolić sobie na posłanie wiadomości, która jeszcze wzmogłaby jego chłód.

Wyjęłam pergamin i w końcu usiadłam do pisania. Ale po tak długim czasie, po tylu rozmowach przeprowadzonych z samą sobą, opuściła mnie wena.

Pani Zagadka rzecze: pożeram milionem ust. Pochłania się mnie jednym kęsem. Nie mam nad sobą króla, a jednak poruszam hufcami. Kim jestem?

Jestem sama. Nie ma nikogo, kto wysłuchałby tych słów. Oto kobieta, która mówi do siebie.

Królowa rzecze do króla: czy to mój bóg spiskuje, by zebrać owoce Saby, czy też to twój z zazdrości zamknął korytarz między nami? Tak czy inaczej, musimy po-

zwolić im zawrzeć pakt, bym mogła posłać ci emisariuszy z długą wiadomością, której oczekujesz. Mówię zatem do twojego boga czule jak do kochanka, choć brak mi słów. Spraw, by zmiękło jego nieśmiertelne, zawistne serce.

Napisałam: „Poślę Sabę do ciebie”. Ale słońce nie wzejdzie na południu przez kolejny rok. Bogowie czynią więc ze mnie oszustkę, chyba że uzgodnimy, iż miesiące to ledwie dni, które miną jak sen, a kiedy wreszcie się zbudzisz, Saba przekroczy mury twego miasta i księżyc stanie przed słońcem. Nie będzie to zaćmienie, które zabrało Hiram Fenicji, lecz zapowiedź zawieszenia biegu świata, kiedy to czas zapomni o swoim istnieniu. Koziorożec pożywi się nocą, a lew zapoluje za dnia.

Męczą cię muzyka, złoto i ucztowanie. Udajmy więc, że nie ma uczt, nie ma złota. Za to musi być muzyka. Ty grasz na flecie z trzciny, a ja klaszczę w dłonie. Nie jesteś królem, a ja nie jestem królową. Nie ma pałacu. Jest tylko ogród i nasze głowy przyozdobione jedynie koronami z kwiatów...

Do tego dnia raz jeszcze musisz przywdziać płaszcz mądrości, a ja welon ognia.

Jestem Bilkis.

Oparłam głowę na rękach i rozplakałam się głośno. Po chwili zwinęłam zwój. Tym razem żadnych zmyślnych prezentów. Tylko te słowa, proste niczym dziewica odziana w płótno.

Tego lata pola obrodziły pod upalnym słońcem. Ale ja byłam rozproszona i napięta. Coraz częściej przemierzałam w myślach trasy swojej niewielkiej grupki Pustynnych Wilków, tych tajemniczych mieszkańców srogich piasków, którzy służyli mi już na tyle długo, by dostać wielbłąda czy kilka dzbanków, nim znów znikną między wydmami. Posłałam ich z moim zwojem drogą do Gabaanu, skąd dwóch ludzi Tamrina miało ich poprowadzić dalej.

Do czasu, kiedy plony okazały się wystarczająco obfite – a była to wieczność – w myślach przebyłam z nimi drogę na północ i z powrotem dziesięć, dwanaście, dwadzieścia razy.

– Moja pani, czy mnie słuchasz? – spytał Wahabil. Przyszedł, aby pomówić o szarańczy i konieczności wypalenia ziemi, która okazała się ogromnym gniazdem jaj. – Martwię się o ciebie, o twoje rozproszenie i wzburzenie wywołane przez króla Izraela.

Shara już wcześniej wyraziła swoją troskę – zauważyła, że schudłam, a z mojej twarzy zniknęły kolory. Cóż jeszcze mogłoby mi się przydarzyć, stłamszonej w murach pałacu, przyjmującej tylko raporty o zbiorach, o tym, czy szarańcza się pojawiła i w jakich ilościach, a wreszcie ile jaj tych owadów zaobserwowano na ziemi obok kiełkującego prosa!

Tamtej jesieni do pałacu przybył Tamrin.

– Co z moimi Wilkami? – spytałam.

Podniósł się z ukłonu i zmarszczył brwi. Wydawał się bardziej swobodny niż zwykle. Ale zdradzał go niepokój w oczach. Dla mnie ten rok był drogą przez mękę – a cóż musiał znaczyć dla niego, nomady pośród nomadów?

– Pozdrawiam cię jako królową, a ty pytasz, co z twoimi Wilkami? – Jego śmiech był jak ciepły miód, ale wiedziałam, że to wymuszona reakcja.

– Wybacz mi. Witaj. To jak, widziałeś się z moimi Wilkami? – Uśmiechnęłam się z czułością.

– Niestety, nie. – Pokręcił głową i wyjrzał przez okno. Okiennice były szeroko otwarte. Do środka wpadał chłód wczesnego wieczoru. Tamrin także czekał na wiadomość od swoich ludzi – lub od samego króla. – Jest za wcześnie na ich powrót. Kto wie, na jak długo Salomon ich zatrzymał. I czy w ogóle ich przyjął.

Nie pomyślałam o tym. Poczułam narastający niepokój.

– Dziwię się, że sam ich nie eskortowałeś – powiedziałam.

Odsunął się nieco i wplótł palce w rozpuszczone włosy, które spływały mu po karku.

– Omal nie rzuciłem się za nimi! – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – I zrobiłbym to, gdybym nie miał wielbłądów, dla których trzeba wynegocjować paszę, i nie musiał biegać po mieście jak jakiś dworzaniek! – Zamarł. – Wybacz mi.

Machnęłam ręką.

Ja też byłam zmęczona czekaniem. Czułam się wręcz wyczerpana. Powiedziałam sobie, że nie będę tu trwonić czasu, ale słowa Salomona ciągnęły się za mną jak tren sukni. Jak to się stało, że pozwoliłam królowi z drugiego końca świata opanować wszystkie swoje myśli? Jakim cudem wywarł taki wpływ na mnie i Tamrina?

– Dlaczego przyszedłeś, skoro nie masz wieści? – spytałam, mrużąc oczy.

– Nie wiem, dlaczego tu jestem – odparł cicho. – Ten ostatni rok zadał mojemu plemieniu dotkliwy cios, podobnie jak całej Sabie. Pomyślałem, że jeśli królowa mnie przyjmie, przynajmniej nie będę musiał gapić się na te same wielbłądy, na te same twarze moich towarzyszy i niewolników, którzy wpatrują się we mnie z jednym pytaniem w oczach. – Pokręcił głową. – Ale pamięć mnie zawodzi.

– Jakże to?

Podniósł wzrok.

– Zapominam, że kiedy królowa przyjmuje mnie na prywatnej audiencji, nie zakłada welonu. I że zawsze opuszczam ją jeszcze bardziej rozproszony niż wcześniej.

Nad parapetem okiennym wisiał wielki, pomarańczowy księżyc.

– Czy nie masz żony, Tamrinie? – Choć odrzuciłam propozycję od jego plemienia, przez cały ten czas nie wiedziałam, czy przypadkiem nie pochodziła ona od niego.

– Nie. – Usiadł, uśmiechając się smutno. – I nie będę mieć. Żadna kobieta nie chce być kochana jako ta druga.

– W małżeństwie nie chodzi o miłość – odparłam.

– Nie. Ale każda kobieta – chyba nawet królowa – chce być kochana, i to kochana ponad wszystko. Mógłbym zadowolić żonę, tak myślę. Ale nie uszczęśliwiłbym jej. I znienawidziłbym jej poczucie obowiązku, choćby dlatego, że wiedziałbym, iż odzwierciedla moje.

Nigdy nie rozmawiałam z nim tak otwarcie.

– W takim razie kogo obdarzyłeś pierwszą miłością? – spytałam.

– To nie ja obdarzyłem. Odebrano mi ją.

Odwróciłam wzrok.

– Oj – powiedział łagodnie. – Pomyślałaś, że mam na myśli moją panią, którą, owszem, miłuję. Ale nie w tym rzecz.

Dopiero teraz mogłam na niego spojrzeć.

– Kto wydarł ci twoją miłość?

Pokręcił głową jak ktoś zupełnie zagubiony.

– Bogowie powietrza i słońca – odpowiedział, śmiejąc się bezradnie. – Szlaku, piasków, oaz... Ci, którzy gnają mnie do Izraela, Damaszku, Tyru. Na dwory królów i z powrotem do Gabaanu, za którym tęsknię do łez, ale w chwili powrotu nim gardzę. Podobnie jest z piaskami czy namiotami w oazach, których łaknę, a zaraz potem nie mogę znieść. Tylko gdzieś pomiędzy odnajduję spokój serca. – Podniósł na mnie wzrok. – A jednak wracam do ciebie, niezdolny sobie pomóc, choć wiem, że odejdę. Ufam, że powiesz mi: „Idź!”. Wiem, że możesz rozkazać mi zostać, i będę posłuszny. Ale tylko dlatego, że mnie do tego zmusisz.

O dziwo, udręka uczyniła to dzikie spojrzenie jeszcze piękniejszym.

– Yafushu! – zawołałam, nie odrywając wzroku od Tamrina.

Eunuch wyszedł bez słowa i cicho zamknął za sobą drzwi.

Tamrin siedział nieruchomo.

Zawahałam się przez chwilę. Pomyślałam o listach od króla. O ich zaklętym przyciąganiu. I o władcy, który z pewnością nie sypia sam przez te wszystkie noce, choć ma się za udręczonego.

– Nie rozkażę ci zostać – szepnęłam.

W jednej chwili pokonał niewielką odległość między nami i przyciągnął mnie swoim obnażonym ramieniem. Jego usta spoczęły na moich.

Zapomniałam, jak to jest czuć ciepłą, piżmową woń skóry. Pachniał drewnem sandałowym i olejkiem.

Tamrin przybył do Maribu jeszcze dwukrotnie przed końcem jesiennych deszczy.

A potem Pustynne Wilki powróciły.

Przysyłasz mi nie emisariuszy, ale Wilki, a ja otworzyłem przed nimi bramy. Obdarowałbym tych ludzi hojnie na podróż, którą mieli odbyć pod niemiłosiernym słońcem, gdyby tylko posiadali juczne zwierzęta. Teraz wiem, że rozkazałaś swojemu handlarzowi, ciekawskiemu dudkowi, prawdziwym wilkom pustynnym i dżinom przyprowadzić ich aż tutaj. Ale nie myśl, że możesz rozkazywać królowi.

Skryłem przed nimi swoje łzy. Jakim sposobem wdzierasz się do serca prostą historyjką o ogrodzie tak, że nie tryska krew? To nie moje łzy, a twoje, ponieważ skoro ty jesteś moją Zagadką, ja jestem twoim Zwierciadłem.

A jednak to ja zostałem pochłonięty jednym kęsem, a ty jesteś Szarańczą, plagą wrogów Izraela. Czy w takim razie jesteś i moim wrogiem? Tylko demony kuszą słodkimi słówkami. Tylko demony mogą doprowadzać do szaleństwa, wykorzystując przeciwko człowiekowi jego ukryte tęsknoty. Jakże zaroilo się w mojej głowie od myśli, a ty je wszystkie pochłonięłaś.

Ale gdy mówię: „Nie dam się pokonać”, ponieważ uważam cię za przepelnioną pychą, ty stajesz się łagodna i melancholijna. Muszę być zatem łagodny w odpowiedzi, choć doprowadzasz mnie do łez swoją samotnością, którą przeżywam i ja.

Teraz jesteś wzburzona, ponieważ cię przejrzałem. Czy pławisz się w moim rozproszeniu? Oczywiście, że tak. Jesteś kobietą.

Uważaj na siebie, Bilkis – ileż to razy szeptałem twoje imię? Wiele kobiet igrało już z uczuciami królów, a tylko kilka z dobrym skutkiem.

Ale igraj ze mną, choć nakazuję ci ostrożność. Błagam cię. Chcę poudawać jeszcze trochę dłużej.

Poślij mi emisariusza z rojem słów, by mnie pożarły.

- Poślij wiadomość do Tamrina – poleciłam Wahabilowi tego samego dnia.
- Czas wyruszać.

O świcie w dniu wyjazdu kapłani złożyli w ofierze byka na dziedzińcu świątyni w Maribie. Było chłodno; nawet owinięta grubym wełnianym szalem drżałam w bladym świetle brzasku. Asm wróżył z parującej jeszcze wątroby. Zawahał się, nim ogłosił, że podróż będzie owocna. Zmarszczył brwi.

Wzięłam go później na stronę.

– O co chodzi?

– Powrót, moja pani. Będzie... nieco trudniejszy.

Taka wróżba mi nie przeszkadzała.

Pożegnałam się z Wahabilem w świątyni. Pewnie wyglądało to, jakby muskał nos niewolnicy. Zrzuciłam purpurowe suknie i założyłam prostą tunikę. Nakrycie głowy i welon osłaniały wszystko poza moimi oczami. Nie sposób było mnie odróżnić od Shary czy niewolnic.

– Troszcz się o moje królestwo – szepnęłam.

– Będę to czynił, jakbyś śledziła każdy mój krok. Wróc bezpiecznie w przyszłym roku, moja pani. Niech Almaqah cię prowadzi. Niech Almaqah będzie ci ła-skawy. Błogosławione wielbłądy, które będą cię nosić.

Stał się mi bardzo drogi, ten mój oddany doradca, mój przyjaciel. Objęłam go i ucałowałam jak ojca.

Nim opuściłam kompleks świątynny, weszłam do mauzoleum i stanęłam przed wapienną płytą grobu mojej matki oraz jej alabastrową maską pośmiertną. Westchnęłam i dotknęłam pustych oczu. Były zimne.

Miałam dwadzieścia cztery lata – tyle samo co ona, gdy odeszła. Czy wiedziała, że jestem teraz królową? Pogłaskałam wyrzeźbiony policzek.

Stałam tam jeszcze przez chwilę, jakbym miała nadzieję, że do mnie przemó-

wi. Ale słyszałam tylko wiatr i odgłosy wydawane przez wielbłądy. Wreszcie wyszłam na zewnątrz i ruszyłam traktem. Czekali na mnie ludzie, czekały zwierzęta. Siedmiuset mężów, w tym dwudziestoosobowa grupa Pustynnych Wilków. Cztery setki wielbłądów. Była to jedynie część karawany przygotowana do podróży na północ, w rodzinne strony Tamrina. Tam spotkamy się z prawie trzema setkami wędrowców i taką samą liczbą wielbłądów.

Kiedy przemierzyliśmy oazę, przez którą kroczyłam kilka lat temu, spojrzalam przez ramię na powracający do stolicy niewielki orszak Wahabila. Nastął ranek. Murowane budynki Maribu były skąpane w złotym cieple, alabastrowe okna pałacu wyglądały jak pięćdziesiąt tarcz słonecznych. Zachowam ten widok w pamięci. Zwróciłam twarz na północ.

•••

Tamrin musiał zadać sobie wiele trudu, by ukryć moją obecność. Znalazł wymówkę pozwalającą ulokować mnie, Sharę i pięć innych dziewcząt na przedzie karawany, gdzie było najmniej piasku.

– Nie są tak wytrzymałe – westchnął ciężko do jednego z nadzorców, który pokręcił głową na widok lektyki. Usłyszałam głosy Nimana i Khalkhariba. Każdy z nich przyprowadził dziesięciu mężów i piętnaście wielbłądów.

Najtrudniej było ukryć eunucha. Wszyscy wiedzieli, że Yafush zawsze stał u mego boku. Zawiązano mu na głowie turban i Khalkharib głośno dawał do zrozumienia, że to jego niewolnik. Zwracał się do niego imieniem „Manakhum”, choć już drugiego dnia usłyszałam, jak się myli.

Nie mogliśmy ciągnąć tej maskarady w nieskończoność, ale miałam nadzieję, że uda się zataić mój wyjazd przynajmniej do czasu minięcia Dżaufu. W pałacu Wahabil wybrał niewolnicę mego wzrostu i odseparował ją od pozostałych w apartamencie znajdującym się w części dla kobiet. Codziennie miała przespacerować się raz w portyku, osłonięta jednym z moich welonów i ubrana w moją suknię. Miała nawet zasiadać na moim tronie w sali sądowej i nachylać się do Wahabila, jakby zdradzała mu wyrok, który następnie ogłaszał. Nie był to doskonały fortel, ale miał szanse nieco odwlec moment, w którym wszyscy dowiedzą się o mojej

nieobecności.

Nigdy wcześniej nie widziałam karawany Tamrina. Zwykle składała się z trzystu pięćdziesięciu wielbłądów i prawie takiej samej liczby mężów. W pierwszych dniach zdumiała mnie wielkość naszego orszaku – a miał się on jeszcze powiększyć!

I jaka wrzawa! Ciągłe ktoś rozmawiał, nadzorcy wykrzykiwali polecenia do dowódców poszczególnych grup, a jeźdźcy przemawiali do swoich wielbłądów przymilnie jak do kochanek. Wielbłądy ryczały dniami i nocami – w ten sposób protestowały, gdy wiązano je przy paszy, i dopominały się, by je wydojono. Hałasowały też podczas wypoczynku i kiedy nakładano na nie siodła oraz juki.

Prawie sto pięćdziesiąt wielbłądów niosło dary: złoto, tkaniny i przyprawy – zwykle sabejskie towary, ale w ilościach, jakich w życiu nie widziałam. Jedno ze zwierząt dźwigało samą kość słoniową, inne – heban, kolejne – rogi nosorożca, strusie pióra i pieczołowicie opakowane jajka, pomalowane i przyozdobione klejnotami. Następny wielbłąd niósł skrzynię pełną aloesu, rozmaitych maści, kremów i balsamów z mirtu oraz żywicy olibanowej, a także drugą – z czernidłem do malowania oczu i różnymi kosmetykami. Trzy kolejne taszczyły biżuterię, kielichy, złote skrzynki inkrustowane drogocennymi kamieniami, wełnę, włókna konopi i tkaniny barwione na przeróżne kolory. Wystarczająco dużo darów dla kilkuset żon i konkubin króla, o ile plotki miały coś wspólnego z prawdą.

Lektyka z dziewczętami była w rzeczywistości moim palankinem, wyposażonym z niezwykłym przepychem, ale zmyślnie – otóż ozdoby można było zdjąć. Złote rozpórki i baldachim z piór owinięto w wełniane koce i umieszczono na wielbłądzie idącym z tyłu. Do dźwigania samej mojej garderoby i biżuterii potrzeba było pięciu wielbłądów, a ubrania oraz ozdoby Yafusha, Shary i pozostałych dziewcząt załadowano na osiem kolejnych zwierząt.

Dwadzieścia wielbłądów, związanych sznurem, niosło złote i srebrne frędzle, zdobienia na siodła, wyszukane błyskotki, namioty, dywany, koce i palniki do kadzideł. Asm miał do dyspozycji osiem wielbłądów, a do tego zwierzęta akolitów, objuczone posążkami i innymi przedmiotami rytualnymi.

Podróżowało z nami trzydziestu muzyków, w tym Mazor. Długo wahałam się, czy go zabrać, choćby dlatego, że nie chciałam, by dowiedział się o moich po-

czynaniach. Dopiero kilka tygodni temu zdecydowałam, że złożę mi przysięgę pod mieczem. Muzyk zapłakał i zaczął czołgać się po ziemi, by ucałować czubek mojej stopy, kiedy spytałam, czy chciałby ujrzeć swoją ojczyznę.

– Już raz przeżyłeś trudy podróży, przybywając tutaj. Czy czujesz się na tyle sprawny, by raz jeszcze przemierzyć tę drogę tam i z powrotem?

– Tam i z powrotem po tysiackroć, jeśli będę mógł znów zobaczyć Izrael – powiedział. Policzki miał wilgotne od łez, a z nosa kapłało mu jak małemu chłopcu. Wieczorem wyśpiewywał cudowne pieśni jeszcze długo po tym, jak zasnęłam, a kiedy rano się obudziłam, nadal cichutko grał na lirze.

Pośrodku karawany szła Saja, moja biała wielbłądzica. Za nią, na innej wielbłądźcy, jechała *markab*, owinięta w płótno i wełniane koce. Chciałam, by przypominała dodatkową lektykę. Nawet przez myśl mi nie przeszło, by nie zabrać jej ze sobą – przejście arki z drzewa akacjowego pod moją nieobecność z całą pewnością ułatwiłoby uzurpatorowi zagarnięcie tronu. Wahabil – o czym powszechnie wiadomo – umieścił ją w mojej prywatnej komnacie ponad rok wcześniej. Uzasadniał tę decyzję względami bezpieczeństwa. Teraz na jej miejscu stała prosta atrapa okryta tkaniną ze złotym haftem.

Za *markab* podążał kolejny królewski przedmiot, owinięty w tkaninę i przy-mocowany do wielkiego samca: kopia tronu stojącego w ogrodzie podczas mojego przyjęcia. Nie był to element oryginalnego inwentarza, ale – jak to kobieta – potrzebowałam wielu rzeczy na ten rok.

Dalej jechały zwierzęta w wiklinowych klatkach: koty pustynne, śpiewające ptaki, pawie, pelikany i papugi. Dwa wielbłądy dźwigały między sobą klatkę z posykaną czarną panterą, a dwa kolejne – dwie mały z Puntu.

Prawie setka wielbłądów przewoziła mąkę, suszone mięso, daktyle, wodę, oleje sezamowe i inne, a także wielbłądzie mleko w bukłakach z koziej skóry, na którym pod koniec dnia utworzą się bryłki masła. Za nimi podążało siedemdziesiąt zwierząt niosących dodatkową paszę do wykorzystania w nieprzewidzianej sytuacji.

Orszaku pilnowali zbrojni, jadący po obu jego stronach na całej długości. Szczególnie koncentrowali się na środku, gdzie znajdował się skarb, i na końcu,

przy zaopatrzeniu. Czterech mężczyzn wiozło obok nas sztandar Saby z koziorożcem, różniący się od królewskiego proporca jedynie tym, że między rogami zwierzęcia nie widniał srebrny półksiężyc.

Już po dwóch godzinach wypełnionych otępiającym bólem przypominałam sobie, jak obolała byłam ostatnim razem, kiedy siedziałam w siodle. Pierwszej nocy poruszałam się po zejściu z wielbłąda niczym staruszka. Nie miałyśmy z Sharą innego wyboru, jak tylko następnego ranka owinąć się ciasno w talii welonami. Jedynie tak mogłyśmy ponownie znieść trudy jazdy.

Jeszcze nigdy nie widziałam Tamrina takim, jaki był teraz. O ile kiedyś wydawał mi się spokojny, o tyle obecnie stał się zupełnie inną osobą. Skończyły się pochlebstwa. Oto mistrz karawany: w jednej chwili wykrzykiwał polecenia, w następnej naradzał się z podwładnym, po czym udawał się na zwiady, a po powrocie osobiście czerpał z pobliskiej studni, w której dwa lata temu była dobra woda. Co jakiś czas intonował pieśń, szybko podchwytywaną przez nadzorców, a potem przez kolejnych podwładnych i cały orszak.

Przez pierwsze dni podróży myśli pędziły przez moją głowę szybko jak żrebięta. W trakcie nużącej drogi nie mogłam odpocząć po szaleńczym tempie ostatnich przygotowań. Nie był to desperacki marsz królowej po tron, wymagający przedzierania się przez doliny oraz podnóża gór i zabierania ze sobą kolejnych wojowników. Było to raczej powolne posuwanie się do przodu, przypominające cień, który wydłuża się w ciągu dnia.

Zaczęłam rozumieć, dlaczego mężczyźni z grupy Pustynnych Wilków, podróżujący w siodłach na klęczkach, opowiadali tyle historii i spierali się o drobnostki, byle zabić czas. Prócz zerwanych popręgów, kulejących zwierząt i chorujących towarzyszy nic nie mąciło monotonii bezkresnego krajobrazu za i przed nami.

Mimo iż karawana rozbrzmiewała głosami setek ludzi, podróż skłaniała do tego, by się izolować. Kiedy jest się pozbawionym prywatności, można albo włączyć się w nieustający hałas, albo pogрузić się w samotności własnych myśli. Przez trzy dni nie słyszałam ani jednego słowa z ust Yafusha. Nawet Khalkharib i Niman, choć rozmawiali ze sobą i z innymi wędrowcami, wydawali się dziwnie zamknięci.

Prawie codziennie garstka ludzi z pobliskich osad przychodziła, aby posilić

się przy naszych ogniskach, zapytać o wieści i dowiedzieć się, dlaczego idzie z nami więcej wielbłądów niż zwykle. Czy Saba wypowiedziała komuś wojnę? Jaki bóg, a może królestwo nam zagraża? Czy królowa przyjęła wreszcie oświadczyzny? A może Wadd, Sayin, Shams albo Almaqah to sprawili?

– Dlaczego tak bardzo dbacie o zamążpójście królowej? – spytałam zza walki starszego mężczyznę, który miał na sobie tylko przepaskę biodrową. Tego wieczoru przyszedł, aby usiąść przy ognisku z moimi towarzyszami: Khalkharibem z „niewolnikiem” Yafushem, dwórkami i Tamrinem.

– Jeśli kobieta nie jest zamężna, jej duch wędruje – odpowiedział zachrypniętym głosem. W świetle ognia dostrzegłam, że jedno oko mu ropieje. – A wtedy nie panuje nad sobą, ale otwiera się na obce duchy. Im jest starsza, tym bardziej traci rozum.

Roześmiałam się głośno.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Oczywiście. Dowodów na to nie brakuje. Kobiety są zmienne z powodu samego tylko księżyca[9]. Nie, to niedobrze, kiedy pozostają same.

– A czy tak samo dzieje się z samotnymi mężczyznami?

– O, nie – odparł i pokręcił głową. – Nieżonaty mężczyzna jest bardziej ambitny; może jedynie stać się zbyt agresywny. Ale to tylko za młodu.

– A jeśli jest starszy?

– Jeśli jest stary i nie ma żony, to znaczy, że jest głodny. – Uśmiechnął się, ukazując swoje trzy zęby.

Podczas podróży w nieznane mogłam obserwować, choćby z oddali, jak mieszkańcy oaz targowali się z Tamrinem o ceny paszy i wynajmu niewolników do napojenia naszych wielbłądów. Ależ się śmiali i klepali go po plecach, kiedy w końcu dobijali targu!

Tamrin starannie unikał mojego spojrzenia. Wydawał się w ogóle mnie nie dostrzegać. Widziałam tylko, jak przed wyruszeniem rano lub czasem w środku dnia przychodził sprawdzić popręg przy palankinie, w którym jechały moje dziew-

częta. Raz obserwowałam, w jaki sposób podawał jednej z nich miskę – jakby rzeczywiście była jedną z niewolnic Khalkhariba. Nigdy nie dał mi jej bezpośrednio.

W Nashshanie ludzie Tamrina zanieśli pakunek z kadzidłem i kilka złotych przedmiotów do nowo wybudowanej świątyni. Zgodnie z prawem wielbłąd nie mógł zejść ze szlaku, chyba że ktoś zapłaciłby za niego dziesięcinę w oazowej świątyni. Z tych opłat pokrywano koszty rytualnych sabejskich uczt oraz prac publicznych. Mężczyźni wrócili po kilku godzinach z kozami, przywiązanymi do siebie jedna za drugą. Ubiliśmy je wieczorem, co spowodowało do naszych ognisk mnóstwo gości – w tym również sprzedawcę kóz. Byliśmy zobowiązani podzielić się z nimi chlebem, mięsiwem i zupą przyrządzoną w kozich żołądkach przypieczonych w ogniu.

O ile w ciągu dnia podróżni z karawany nie mieli wielkich szans na prywatność, o tyle w obozowisku było jej jeszcze mniej. W środku nocy nie dało się nie słyszeć dalszego ciągu sprzeczki o błahostkę, nagłego przekleństwa na widok skorpiona pod kocem, jakiegoś przypadkowego wspomnienia współplemieńca. Zresztą robiliśmy wszystko, by wypełnić mrok, jakby ogrom tego pustkowia z każdym dniem stawał się coraz bardziej nie do zniesienia pod bezkresnym rozgwieżdżonym niebem.

Każdej nocy walczyłam z bezsennością. Leżałam i wpatrywałam się w czarną wełnę pokrywającą namiot. Księżyc w pełni prześwitujący przez tkaninę wyglądał, jakby dzielił się na mnóstwo gwiazd. Trwałam tak, mając wrażenie, że niebo mnie zaraz przytłoczy.

...

Kiedy dotarliśmy do Nadżranu – dalej na północy nie byłam jeszcze nigdy w życiu – przekazałam Khalkharibowi prostą wiadomość i rozkaz, by posłano ją na przód.

Królu pełen sprzeczności! Jesteś udręczony i władczy. Błagasz, a potem wymagasz.

Wprawiam cię w zachwyt. Wzburzam cię.

Piszesz, że jeśli jestem mądra, będę ostrożna. Ktoś mądry i ostrożny jest mało mówny, a jednak łakniesz moich słów.

Piszesz, że jeśli jestem sprytna, postąpię z prostotą. A jednak znajdujesz przyjemność w zagadkach.

Piszesz, że muszę skierować do ciebie słowa w ilościach, które wykarmią króla, ale nie przez najmądrzejszego czy najbystrzejszego posłańca.

Bardzo dobrze. Uszanuję wszystkie te prośby. Nie pošlę nikogo. Skoro rzucasz swój chleb na powierzchnię wód, ja rzucę swój na piaski.

Przygotuj dla mnie miejsce.

W pierwszych tygodniach podróży czułam się wyzwolona. Byłam zaciękawiona każdym szczegółem. Przepęniała mnie energia – zwłaszcza w dniu, gdy całą karawanę trzeba było osłonić przed chmurą piasku; zachwyciałam się potem mistycznym całunem, który nas spowił. Zdumiewał mnie sam piasek, wciskający się do uszu, we włosy i do jedzenia. Tyle było przez niego bałaganu jak po zjedzeniu chleba czy akcie miłosnym.

Po posłaniu ludzi z wiadomością byłam niespokojna. Nie potrafiłam już popadać w apatię w siodle, nie usypiało mnie dzwonięcie amuletów i ozdób przy zwierzęcych uzdach. Czułam się wycieńczona bezkresem świata przede mną. Szczególnie męczył mnie zapach palonego wielbłądziego łajna.

Nawet ludzie, którzy przychodzili do naszych ognisk, już mnie nie fascynowali. Jeden z tubylców wzbudził moją szczególną wściekłość, bo wskazał na mnie i spytał głośno, czy jestem darem dla egipskiej żony Salomona. Wielu z tych ludzi na widok tyłu wspaniałych wielbłądów szybko opuszczało obozowisko i wracało z samicami w rui, by powiększyć swoje stada. Czasami pojawiały się też nie wielbłądzice, lecz kobiety, przyprowadzane przez bezpłodnych mężów albo matki. Nigdy nie patrzyłam, do których ognisk podchodziły, choć czasem zastanawiałam się, czy Tamrin spełnił ich prośby.

Ziemia była coraz bardziej sucha. Porastały ją skarłowaciałe jałowce i akacje. Dookoła widziałam dziwaczny krajobraz. Wszędzie zalegała zaschnięta lawa.

Zanim dotarliśmy na żyzną równinę na południe od Mekki, o bladożółtej glebie, jedynie Pustynne Wilki potrafiły wyrwać mnie ze znużenia. Kilka razy widziałam, jak ludzie ci nagle odłączali się od karawany, znikali, czasami na całe dni, po czym wracali do ognisk z gazelami. W nocy przysłuchiwałam się odgłosom osobliwej ceremonii, podczas której dzielili mięso między siebie. Ciągnęli losy o porcje i kłócili się w nieskończoność o to, kto dostał za dużo. W tym czasie posiłek zupełnie stygł.

– To dla najbardziej cuchnącego – mówił mistrz ceremonii, po czym wyciągał z zaciśniętej pięści kawałek trzciny z symbolem danego mężczyzny. Wtedy wszyscy śmiali się i poklepywali po plecach.

– To dla najmężniejszego. – Kolejny los. – A to dostanie ten, od którego z przestraczem uciekają nawet kozy, kiedy rozchyli tunikę. – Mężczyźni zgromadzeni przy ognisku ryknęli śmiechem.

Jeszcze nigdy nie widziałam, by ktoś rozstrzygał takie sprawy równie skutecznie i z takim humorem.

Zawsze przekazywali też kawałek nam – pewnie dlatego, że siedział z nami Tamrin, którego pozycja tutaj przewyższała status możnych.

Trzy noce na północ od Mekki jeden z Pustynnych Wilków – mój ulubieniec, młodzieniec imieniem Abgair, potrafiący rozpoznawać plemiona na podstawie ich wielbłądów – podszedł do naszego ogniska z naręczem upolowanych skoczków pustynnych i usiadł, by je oprawić.

– Masz dobry nóż – zagadnęłam go.

– Dostałem go od króla – odpowiedział, wyraźnie zadowolony. Wcale nie trzymał jednak tego noża z jakimś szczególnym namaszczeniem.

– Jakiego króla? – spytałam zza woalki. W tym momencie przerwał pracę i spojrzał na mnie, jakbym postradała zmysły.

– Tego, do którego mnie posłałaś.

Westchnęłam i zdjęłam zasłonę. Po drugiej stronie ogniska Shara uczyniła to samo, uśmiechając się półgębkiem, czego nie widziałam od prawie dwóch miesięcy.

– Skąd wiedziałeś, że to ja? – spytałam. Abgair przechylił głowę, jakby nie dowierzając, że naprawdę go o to spytałam. Roześmiałam się głośno. Byłam mu wdzięczna, że mnie nie wydał – nawet przede mną samą – aż do teraz.

– A czy inne Wilki wiedzą, że tu jestem?

– Oczywiście – odparł, rzucając pierwszego skoczka na piasek i ostrożnie odkładając małą skórę na bok. – Ale ja zorientowałem się pierwszy.

– Oczywiście. – Uśmiechnęłam się do niego.

Kiedy Tamrin wrócił tamtego wieczoru do ogniska, dwukrotnie spojrzął ze zdumieniem na moją twarz, po czym padł na kolana.

– Moja pani, zaszczytasz swoją obecnością moją skromną karawanę! – zawołał wyraźnie.

Pośród tłumów dał się słyszeć gwałtowny szmer. Zbrojni i nadzorcy zbiegli się do naszego ogniska, by na mnie popatrzeć, a potem się uklonili. Nadzorcy pytali mnie, jak to się stało, że się tu zjawiłam, jakbym wyłoniła się z lawy; inni byli ciekawi, czy moi towarzysze wiedzieli – czy sam Tamrin wiedział – że królowa jest z nimi.

Następnego ranka wymieniono zwykły sztandar Saby na królewski, a ja zmieniłam strój z gładkiej tuniki i welonu na czyste szaty w brązach i czerwieniach.

Mieszkańcy Yathribu powitali nas pod daktyłowcami. Od ponad miesiąca nie widziałam murowanych domów. Ani tylu mieszkańców namiotów jednocześnie.

– Witajcie, witajcie po stokroć, w imię boga, który was tu sprowadził! – wołał dowódca, mąż imieniem Sabahumu. – Proszę, królowo, zjedz posiłek przy naszym ognisku. Albo rozwiodę się ze swoją pierwszą żoną. – Zgodziłam się na tę propozycję. Gdybym odmówiła, musiałby spełnić swoją groźbę, a zakładałam, że

pewnie kochał żonę.

Zostaliśmy w Yathribie pięć dni. Potem z północy wrócili posłańcy.

– Moja pani... – zaczął dowódca tej niewielkiej grupy – wszystko, co mówił król, jest prawdą. Odczytawszy wiadomość przekazaną nam przez Khalkhariba, zarzucił nas pytaniami. Pytał, jak mija podróż. Wy tłumaczyliśmy mu, że to królewska karawana, ale ciebie pośród niej nie ma. Pytał nas o to trzykrotnie i przysięgliśmy na jego boga, że nie ma cię z nami. Potem spytał nas o niewolników i muzyków, a my odpowiedzieliśmy, że można Khalkharib wiezie ze sobą pięć niewolnic. Wówczas król wybuchnął śmiechem. Wyszliśmy na głupców!

– Nie ma powodu do niepokoju – powiedziałam, kiedy podano mi zwój z wiadomością od króla. Staralam się nie ścisnąć listu zbyt mocno.

Słoneczna tarcza wstaje pod osłoną mroku, a horyzont jest jej welonem.

Bezsenne król bez nadziei na świt trwa przy świetle lamp. Jest żebrakiem skulonym przy ich płomieniach, broniącym się przed bezkresną nocą.

Strażnik woła, ale nikt mu nie wierzy: na południu wstaje światło tysiąca płomieni!

Moi ludzie wyjdą im naprzeciw, do samej granicy kraju, by nastał dzień.

W czasie podróży przez pastwiska przy zamulonych studniach za Yathribem na tyłach karawany dwukrotnie wszczęto alarm. Straciliśmy dwóch ludzi, ale udało się zabić dziesięciu rozbójników. Ich głowy zostawiliśmy na wbitych w ziemię palach, wypisawszy im uprzednio przekleństwa na czołach. Wieczorami krążyliśmy w niekończącym się kole; ogniska przypominały gwiazdy, a czarny namiot moich dwórek stanowił centrum. Robójnicy zdołali ukraść dwa wielbłądy, które pasły się o świcie, ale przynajmniej jeden z niesionych przez zwierzęta koszy – ten ze złotem – został opróżniony już wcześniej.

Po pięciu miesiącach podróży dotarliśmy do oazy Dedan. W ciągu dnia marzyłam tylko o chłodnej wodzie, a nocą o ciepłym posiłku – cokolwiek poza su-

szonym mięsem, ugniatanym ciastem daktylowym, zapiaszczonym chlebem i spleśniałym serem. Miałam ochotę przespać cały tydzień. Po uczcie wydanej przez tamtejszego dowódcę, obdarowaniu go kadzidłem, nożami dla jego synów i biżuterią dla kobiet padłam w swoim namiocie ze zmęczenia, wdzięczna, że mogę się położyć bez strachu przed żmijami czy szakalami. Musiałam jedynie uważać na skorpiony i wszechobecne pająki, na których widok Shara i moje pozostałe dziewczęta krzyczały wniebogłosy.

Jedynie Pustynne Wilki wydawały się rześkie mimo miesięcy znoju – ci mężczyźni, którzy opowiadali historie o prowokowaniu wielbłądów do wymiotów po to, by móc napić się cieczy z ich żołądków. Albo o mieszaniu wielbłądziego mleka ze słonawą wodą, aby uzdatnić je do picia. Ich kobiety myły włosy w wielbłądziej urynie, która podobno w smaku przypominała wywar z ziół – zaświadczam jednak, że nie pachniała jak one.

Dzień po opuszczeniu Dedanu jednego z nadzorców Tamrina kopnął wielbłąd, łamiąc mu kość. Tamrin przeklinał wielbłąda pośród okrzyków innych ludzi, po czym unieruchomił nogę mężczyzny, który zaraz zemdłał. Kazałam ludziom Tamrina zanieść nieszczęśnika do palankinu, gdzie jęczał i majaczył przez całe dni, leczony jedynie ziołami od Asma, po których miał dziki wzrok i młócił pięściami powietrze. Podczas podróży byliśmy już świadkami wielu uszkodzeń ciała i ukąszeń węży. Większość chorych wyleczono maściami, aloesem i kadzidłami. Ale to... Ten człowiek nie otrzyma właściwej pomocy dopóty, dopóki nie dotrzemy do Jerozolimy.

Kilka dni później jeden z wielbłądów dźwigających złoto zaczął kuleć. Ubiliśmy go tamtego wieczoru; jego właściciel płakał jak dziecko. Wiedział, że wynagrodzimy mu stratę, ale mimo to żałował zwierzęcia o imieniu Anemone i przez kolejne dni nosił jego uprząż na szyi.

– Widywałem już takie stany – powiedział Abgair, kręcąc głową.

Z każdym dniem cichłam. Nie potrafiłam wytłumaczyć tej swojej wewnętrznej przemiany, kiedy Shara pytała mnie o nią szeptem, a Yafush – milczącymi spojrzeniami. W trakcie podróży coś się ze mną stało. Czułam się, jakbym pozbywała się kolejnych masek. Zmieniałam się – z królowej własnej ziemi, poprzez władczynię sąsiedniego kraju, po egzotyczną przywódczynię odległego państwa,

którego mieszkańcy czcili księżyc. Gdy wyszliśmy z oaz Hegry i Tabuku, skóra zaczęła mi schodzić jak u jaszczurki, aż twarze wokół mnie wydawały mi się bardziej znajome niż moja.

Kiedy rozpoczęliśmy ostatni etap wędrówki, często spoglądałam w niebo. Chciałam dostrzec Almaqaha. Ale nawet księżyc wydawał się inny, był jedynie krewnym tamtego, który znałam. Mieszkańcy Hismy mówili na niego „sinn”.

W dniu, w którym opuściliśmy pustynię i weszliśmy do oazy Ramm, góry Saby wydawały się oddalone o całą wieczność, jakby były tylko snem. Tamtego wieczoru nieboskłon rozświetliła dziwna błyskawica, przecinając go niczym biała żyła. Z pewnym opóźnieniem zauważyłam, że noce nie były już takie chłodne. Kiedy na policzku poczułam pierwsze krople deszczu, zdałam sobie sprawę z tego, że nadeszła wiosna.

Tamtej nocy byłam świadkiem cudu. Jedna z rodzin, które przybyły do naszego ogniska, przyprowadziła ze sobą dziewczynkę. Jej imię oznaczało w ich języku „Niebiańska”. Nigdy wcześniej nie słyszałam podobnego imienia. Pomyślałam, że jest piękne i że chciałabym takie nosić albo nazwać tak swoją córkę. Córkę, której nie miałam.

Gdy „Niebiańska” podeszła do nas, jeden z muzyków wyjął bęben i zaczął w niego uderzać. Wtedy spostrzegłam, że dziewczynka – mogła mieć jakieś trzy lub cztery lata – tańczy przy ognisku.

Nie zwracała uwagi na nikogo, a my przerwaliśmy rozmowy, by na nią popatrzeć. Wpadliśmy w uniesienie bez pomocy datury, wina czy innych specyfików, które przypominają dorosłym o tym, jak to jest być dzieckiem. Dziewczynka kołysała się, tupała i podskakiwała w rytm uderzeń bębniarza, a właściwie w rytm muzyki niesłyszalnej dla nas – dorosłych o uszach zamkniętych na niebiańską rzeczywistość, z której przybywają dzieci. Najmłodszy noszą ją w pamięci nawet przez kilka pierwszych lat życia.

Doznawałam tyle strachu pod różnymi postaciami: zapobiegliwości, ostrożności, bezpieczeństwa, onieśmienia... „Niebiańska” była jego przeciwieństwem. Tańczyła z zamkniętymi oczami. Wcielenie niewinności. Nie zważała na boga, współplemieńców, księżyc i powietrze. Jakże jej zazdrościłam!

Zostaliśmy tam trzy noce. I choć każdego wieczoru wyglądałam „Niebiańskiej”, już nigdy jej nie ujrzałam. Ostatniej nocy znów rozpętała się burza. Odeszłam na bok i wystawiłam twarz na deszcz.

– Moja pani! – zawołał Niman, ale jego głos wydał mi się tak odległy jak sama Saba. Istniały tylko ziarna piasku pod moimi stopami, krople deszczu padające mi na twarz niczym błogosławieństwo z nieba, strużki ściekające po mojej głowie i przyklejające tunikę do ciała. Czułam się, jakbym zmywała z siebie nagromadzony przez miesiące brud.

Tamtej nocy nie byłam ani królową, ani Bilkis, ani Makedą, ani kochanką, ani arcykapłanką, ale kimś większym i mniejszym jednocześnie.

Przekroczyłam – odnowiona – progi Edomu. Niebiosa zagościły w mojej głowie.

Byłam gotowa na spotkanie z królem.

[9] Metaforyczne określenie miesiączkowania; przyp. tłum.

Zapomniałam już, jak błyszczą złoto i srebro, jaki kalejdoskop barw jest charakterystyczny dla klejnotów. Podczas podróży przez piaski to wszystko straciło dla mnie znaczenie. Drogocenne przedmioty były błahostkami, którymi nie można się pożywić; nie dawały schronienia i nie leczyły.

Ale można było wymienić je za statki i porty, które zapewnią przetrwanie całemu narodowi.

Dziewczęta ułożyły mi włosy i wyjęły suknie z paciorkami. Shara wypaliła kadzidło i zmieszawszy sadzę z olejkiem, podkreśliła mi oczy. Poprzedniego wieczoru ozdobiła mi henną dłonie i stopy.

Moi zbrojni mieli pochwy na miecze inkrustowane drogocennymi kamieniami, a mój eunuch na obnażonym torsie nosił tyle złotej biżuterii, że mógłby zawstydić niejednego księcia. Muzycy przebrali się za duchy przestworzy – podobnie jak podczas przyjęcia w ogrodzie.

Czy kiedykolwiek widziałam coś bardziej majestatycznego? Moźni w strojach plemiennych, dziewczęta ociekające złotem jak deszczem, kapłani w dodających powagi szatach i srebrnych naszyjnikach, dzierżący sierpowate noże, których rękojeści lśniły w słabym świetle poranka... Nawet wielbłądy dostały postronki wysadzone kaboszonami, a przy ich siodłach kołysały się cenne frędzle.

Tamrin ostrzegł mnie, bym zrezygnowała z nakrycia głowy z rogami koziorożca. Twierdził, że taki wizerunek jest dla Izraelitów odrażający, podobnie zresztą jak każde inne przedstawienie boga. Nie miał pojęcia, że już wybrałam koronę z tarczą słoneczną przesłoniętą srebrnym półksiężycem. Przedstawiała ona historię plemiennej bogini Shams przyćmionej przez Almaqaha. Król zapewne uzna ją za zagadkę, sekret wystawiony na widok publiczny.

Shara zarzuciła mi na ramiona ciężki kołnierz w kształcie sierpa, który zamówiłam specjalnie na tę okazję. Lśniaca kaskada kryształów opadała mi aż do talii. Księżyc i jego światło. Shara obwiązała mnie też złotą szarfą, założyła mi we-

lon i pocałowała mnie przez tkaninę.

– Jesteś królową królowych, królową królów. Zaprawdę, jesteś Córą Almaqaha – powiedziała, po czym skłoniła mi się nisko.

Khalkharib osobiście odprowadził mnie do palankinu. Rozpalono kadzidła. W powietrzu unosił się biały dym.

Po raz pierwszy od czasu opuszczenia Saby nakazałam, aby odsłonięto *markab*. Akacjowe drewno pokryto nowymi złotymi liśćmi. Przepychem dorównywał jej jedynie mój palankin z wysadzonym kamieniami szlachetnymi baldachimem i ze złotymi wykończeniami. Każde z nich symbolizowało poszczególne fazy księżycowe: oto pierwsza kwadra, pełnia, ostatnia kwadra i nów – obsydianowa tarcza. Nigdy jeszcze nie widziałam, by Saja, moja wielbłądzica, wyglądała równie pięknie. U jej boków kołysały się srebrne frędzle, na uprząży lśniły jaspisy.

Sklepienie zaczęło barwić się na brzoskwiniowy odcień, gwiazdy bladły. Kiedy słońce pojawiło się na horyzoncie, jego promienie wystrzeliły w niebo; na wschodzie żarzyła się gorąca, lśniąca tarcza.

Dzień wcześniej przekroczyliśmy granice Izraela. Podróżowaliśmy przez mrok do płytkiej doliny w pobliżu miasta Etam, na południe od Jerozolimy. Nie wielka grupa mężczyzn, którą spotkaliśmy w pobliżu Hebronu, wyjaśniła nam, że tu właśnie znajduje się źródło wody wykorzystywanej do podlewania królewskich parków i ogrodów. Nie sposób wyobrazić sobie odpowiedniejszego widoku z samego rana.

Tamrin zagwizdał i wyciągnął rękę. Dwunastu mężów otoczyło mój palankin, podczas gdy karawana zaczęła powoli pokonywać pofałdowany teren. Z ocienionego wschodniego zbocza wyszliśmy na słońce. Spojrzałam za siebie i osłoniłam oczy przed blaskiem bijącym od strony rozpościerającej się za mną serpentyny. Wiedziałam, że już nigdy nie doświadczę takiego widoku.

Przeszliśmy przez dolinę. Słońce odbijało się coraz intensywniej od każdej lśniącej powierzchni. Byłam wdzięczna za deszcz, który spadł ubiegłej nocy. Dziś wzniesie się nad nami jedynie chmura dymu kadzidlanego; podobnie pół roku wcześniej rozpoczęła się nasza podróż. Ciszę poranka przerwały dźwięki liry i oudu. Górował nad nimi piękny głos. Ktoś wyśpiewywał chwałę boga bez imienia.

Mazor.

W oddali przed nami dojrzałam potężną eskortę. Stu ludzi jechało na tyłach koniach. Za nimi majaczyła stolica, która jeszcze zeszłej nocy wydawała się niczym więcej niż migotanie latarni.

– To Benajasz, królewski dowódca – wyjaśnił Tamrin, który jechał obok mnie. Policzki mu się zarumieniły, oczy zaślniły. Podobało mu się to, co widział.

– Dlaczego nie zbliżyli się, aby mnie powitać? – spytałam, gdy eskorta zawróciła, by poprowadzić nas do miasta.

– Król zapewne zarządził, że chce zrobić to jako pierwszy. Wtedy wszyscy będą musieli cię przyjąć.

– Mówisz to tak, jakby byli tacy, którzy nie chcą tego zrobić – powiedziałam i oparłam się na łokciu w kołyszącym się palankinie.

– Izraelici przywykli do obcokrajowców na dworze – odpowiedział, wzruszając ramionami. Wyczułam, że starannie dobiera słowa. – Wiele kobiet spoza Izraela przekraczało mury Jerozolimy, ale później ich już nie opuszczało. Izraelici nigdy nie widzieli takiej królowej jak ty... ani takiego wjazdu.

Nie mógł się nam trafić lepszy dzień na wjazd do Jerozolimy. Od godziny słońce przesłaniały chmury, co oszczędziło nam upału. Ale chwilę przed naszym przejściem przez dolinę do bram miasta obłoki ustąpiły i słońce z całą mocą zajaśniało na klejnotach i każdej gładkiej powierzchni.

Królewska stolica sięgała gór. Od południa i wschodu otaczały ją doliny, w których rosły drzewa oliwne i rośliny uprawne, zieleniące się dzięki wiosennym deszczom i stróżkom wody spływającym z miejskich rynienek.

Miałam stąd doskonały widok na pałac, wzniesiony na północnym wschodzie, a także na bujną roślinność ogrodów, które znajdowały się na dachach. Jeszcze wyżej dostrzegłam wyglądający niczym podest do nieba brukowany dziedzińiec świątyni, przesłonięty welonem dymu. Czy wzrok mnie zawodził, czy też odziana w purpurę postać stojąca na dachu pałacu właśnie się poruszyła?

Przy drodze zebrał się tłum gapiów. Zaciekawieni ludzie podchodzili tak bli-

ska, jak tylko pozwalały im straż. Najbiedniejsi wyciągali do nas ręce. Dostawali ostatnie kawałki ciasta daktylowego i chleba. Dzieci wrywały się z opiekuńczych ramion rodziców, by pochwycić słodczy rozdawane przez moje dziewczęta.

Kolejna grupa mężczyzn w zbrojach czekała na nas przed samymi bramami miasta. Tamrin rzucił rozkaz i moi wysunęli się do przodu. Biały, wonny dym wznosił się nad kadzielnicami, a głos Mazora, piękny i czysty, rozbrzmiał przy akompaniamencie liry. Nigdy wcześniej nie słyszałam, by Mazor tak śpiewał. Za moimi podążyło pięćdziesięciu ludzi Tamrina. Nieśli na drogach drewniane skrzynki i klatki ze zwierzętami.

Przeszliśmy przez podwójną bramę za mniejszą eskortą i wypełniliśmy wąską uliczkę. Z pewną satysfakcją stwierdziłam, że cała Jerozolima z łatwością pomieściłaby się w murach Maribu. Nie spodziewałam się jednak takiego zagęszczenia domów i tylu ludzi zgromadzonych na dachach. Kompleks pałacowy był większy niż mój. Zaskoczył mnie widok świątyni wewnątrz miasta, przyozdobionej ogromną ilością złota, które lśniło w słońcu. Nawet stąd widziałam, jak dobrej jakości są jej ciosane kamienie, i poczułam zazdrość. Fenicjanie naprawdę przysłużyli się Salomonowi.

Kiedy przemierzaliśmy się przez bogatą dzielnicę, ludzie witali Tamrina. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę ze znajomości, jakie tu zawarł. Twarze gapiów rozpromieniały się na jego widok. Ludzie rozbieganym wzrokiem spoglądali to na moją świtę, to na mnie.

Przez cały czas obserwowałam wszystko z ciekawością i przysłuchiwałam się słowom wypowiedzanym w języku, którego uczyłam się dzięki Mazorowi. Zastanawiałam się też, skąd czerpią wodę dziewczęta niosące gliniane dzbanki. Gdy wkroczyliśmy na teren pałacu, serce zaczęło mi walić jak młot.

Nieustraszona czy lekkomyślna...

Kiedy znaleźliśmy się na zewnętrznym dziedzińcu, niewolnicy pałacowi pośpieszyli, by przygotować miejsca dla naszych wielbłądów. Czekałam, aż mężczyźni dźwigający mój palankin odwiążą wspólnie z Tamrinem mocne popręgi, którymi lektyka była przytwierdzona do siodła wielbłądzicy. Palankin gwałtownie się przechylił. Chwyciłam się jego krawędzi – och, byłoby wprost wybornie, gdyby królowa Saby przewróciła się jeszcze przed schodami prowadzącymi do pałacu!

Chwilę później lektyka uniosła się i ruszyliśmy. Dostrzegłam kolumny wokół otwartego dziedzińca, drzewa owocowe o pąkach gotowych do rozkwitu, pawia, który obserwował całe zamieszanie spomiędzy kwitnących krzewów. Podniosłam wzrok na tarasy, na spływającą po ścianach kaskadę zieleni. Zaprawdę, ten król wzniosł dla siebie raj, choć teraz mogłam stwierdzić, że dzieła nie ukończono – zachodnia część, położona najdalej od świątyni, była po prostu górą kamieni.

Mężczyzna odziany lepiej od pozostałych wyszedł, aby nas powitać. Zamieniwszy kilka słów z Tamrinem, poprowadził nasz orszak przez wewnętrzną bramę. Wypełniliśmy muzyką kamienne przejście zwieńczone łukiem. Mazor wyśpiewywał psalmy chwalące jego boga. W końcu wkroczyliśmy do pałacu w obłoku kadzidlanego dymu.

W przedsionku tłoczyły się grupki ludzi – zarówno zwykłych wieśniaków, jak i bogato ubranych kupców, skrybów i kapłanów. Rozmowy dookoła ucichły. Dostrzegłam przed sobą otwarte drzwi do sali królewskiej. Czy to tutaj król ogłosił swój słynny wyrok w sprawie sporu nierządnic – które zapewne tak naprawdę nie były nierządnicami, lecz po prostu kobietami niezamężnymi? W niezliczone noce w trakcie podróży kazałam Mazorowi opowiadać o jego ludzie, obrzędach i sposobach egzekwowania prawa. Tamrin przestrzegł mnie, bym nigdy nie pokazywała się tu sama w towarzystwie mężczyzny – także i jego. Nie rozumiałam tych zasad, ale nie będę się im sprzeciwiać.

Na twarzach otaczających mnie ludzi dostrzegłam ciekawość. Dopiero co zaczęłam odróżniać Izraelitów od obcokrajowców. Bardzo chciałam się przekonać, czy tutaj, tak blisko mnie, stoją astronomowie i inżynierowie, tak bardzo przeze mnie pożądani.

Sala królewska tętniła życiem. Przyglądałam się jej z zaciekawieniem. W środku było mnóstwo wysokich filarów z cedru. Lampy i palniki do kadzideł dorównywały wysokością mężczyznom pełniącym między nimi wartę. Mozaika na posadzce przedstawiała tarcze słoneczne, kwiaty i daktyłowce. W galerii zebrało się około stu dworzan. Żołnierze. Szlachetnie odziani możni. Uczni. Wszędzie rozpoznałabym uczonego – po samych tylko wystrzępionych brzegach tuniki i oczach zmrużonych na skutek zbyt wielu godzin spędzonych nad zwojami. Wszyscy wychylali się to w jedną, to w drugą stronę, by dojrzeć nasz orszak.

Patrzyłam na to wszystko, świadoma otaczających mnie bogactw, ale mój wzrok co chwila uparcie wędrował ku krańcowi sali. Znajdowało się tam sześć szerokich stopni. Po obu ich stronach wartę pełniły lwy. Tron miał wysokie, okrągłe oparcie, przypominające tarczę słoneczną, która zdobiła tron mojego ojca, nim zamienił ją na srebrny księżyc. Tam bez wątpienia siedział król.

Jakże dziwnie było wreszcie go ujrzeć!

Był starszy ode mnie i nosił taką samą schludnie przystrzyżoną brodę jak Mazor. Jego oczy lśniły pod kształtnymi brwiami. Miał szerokie ramiona – zaprawdę, syn wojownika – a na palcach mnóstwo pierścieni.

Mężczyźni obniżyli mój palankin.

Khalkharib i Niman wysunęli się przede mnie, ale tylko o kilka kroków. Dlaczego nie podeszli od razu do podestu? Skłonili się nisko, po czym wyprostowali.

– Salomonie, królu Izraela, pozdrawiamy cię w imię twojego boga. Słyszeliśmy opowieści o twojej wielkości i przybyliśmy z krańca świata, by zobaczyć ją na własne oczy – oświadczył Niman.

Król wstał. Był wysoki i miał donośny głos.

– Witajcie w Izraelu i w Jerozolimie, Świętym Mieście. W imię Boga Jahwe, TEGO, KTÓRY JEST, pokój wam. Wasz widok raduje nasze oczy.

Zaskoczył mnie ten głos. Nie był to grzmiący baryton, jakiego się spodziewałam, ale głos przeznaczony do śpiewania, zupełnie jak Mazora, o łagodnej barwie.

– Tego ranka stałem na dachu mego pałacu... – zaczął, spoglądając to na prawo, to na lewo – i jakież cudowności ujrzałem! Po raz pierwszy od czasu stworzenia świata słońce wstało nie na wschodzie, lecz na południu. – Zszedł o jeden stopień. – Ale wtedy spojrzałem znowu i okazało się, że to nie słońce, a księżyc, który pojawił się za dnia. Nigdy w życiu nie byłem świadkiem takiego cudu. Powiedz mi, Nimanie z Saby, jakież to skarb dźwigacie w tej lektyce, która tak zdobi moją salę?

Serce waliło mi w piersi.

Niman ponownie się uklonił.

– Przedstawiam waszej wysokości moją krewną, królową i klejnot Saby, chwałę Puntu. Bilkis, Córę Księżyca.

Uzgodniliśmy, że nie użyje określeń „Córa Almaqaha” czy „arcykapłanka”. Musimy przestrzegać zasad poprawności politycznej. Nie byłam też wcale taka pewna, czy Almaqah przebył ze mną tę drogę, o ile w ogóle na mnie zważał, choć oczywiście tego Nimanowi nie powiedziałam.

Król ruszył do przodu. Kiedy przystanął, Niman się zawahał. Czekałam tak przez długą, okropną chwilę. Dlaczego król nie podszedł, by mnie powitać, podać mi rękę? Stał jak wryty na ostatnim stopniu schodów. Choć w kamiennej sali było chłodno, pot ściekał mi między piersiami. Choć raz byłam wdzięczna temu, kto jako pierwszy osłonił kobiecą twarz welonem.

Królowa biegła w ogłaszaniu wyroków musi znać się na wielu rzeczach, ale przede wszystkim powinna umieć wnikliwie oceniać ludzi. Natychmiast dostrzegłam, że każda twarz w tej sali, większej od mojej sali sądowej w Maribie, zwróciła się ku Salomonowi, by przekonać się, co teraz uczyni. Jakże trzymał ich w niepewności! W jednej chwili pojęłam, dlaczego Tamrin zmizerniał po tym, gdy król odmówił mu ponownego spotkania.

Wreszcie Niman poruszył się, jakby czekał na ten właśnie moment. Okrążył lektykę i podszedł do niej z boku. Stojąca tam Shara niemal czmychnęła, gdy wyciągnął dłoń, by pomóc mi wyjść. Wysunęłam się zza baldachimu. Powoli się wyprostowałam; kryształowe zadźwięczały niczym krople wody. Niman przesunął się na bok, a wtedy zauważyłam równocześnie dwie rzeczy. Po pierwsze, przestrzeń tuż przed królem różniła się od podłóg wokół. To nie był gładki marmur, którego się spodziewałam, lecz płytki kwadratowy basenik wypełniony wodą. Po drugie, kilka stopni poniżej królewskiego tronu znajdowało się drugie, prostsze siedzenie. Zajmowała je kobieta, tak cicha i nieruchoma, że wyglądała jak pomalowana rzeźba. Miała na sobie białą szatę dorównującą mojej, a jej głowę zdobiła kosztowna czarna peruka.

Córka faraona. Królowa Salomona.

Wysiadłam z lektyki. Zgromadzeni pochylili się nisko. W chwili, gdy ich

wzrok nie spoczywał na mnie – choć oczy króla z pewnością nadal mnie taksowały – stanęłam przed płytkim basenem. Jakaż to była dla mnie nieznana sytuacja: podchodzić do podestu jak petent, miast siedzieć na tronie!

Pomyślałam o „Niebiańskiej”, która tańczyła przy świetle ognia. Uniosłam rąbek szaty. Za sobą usłyszałam, jak jedna z moich dziewcząt gwałtownie wciąga powietrze.

Gdy zrzuciłam obuwie, król omiótł wzrokiem moje palce u stóp. Czulałam chłód marmurowej posadzki. Nie zwlekając, weszłam do wody. Sięgała mi do kostek. Przemoczony rąbek sukni włókł się za mną. Nie spuszczałam z króla wzroku, zwłaszcza gdy zauważyłam, jak podnosi mu się kącik ust, a jego spojrzenie, przez wzgląd na pozostałych uważnie utkwione we mnie, zaczyna tańczyć. Dzieliło nas dziesięć kroków. Pięć.

Wyszłam z wody na posadzkę tuż przed królem. Był prawie o głowę wyższy ode mnie. Jego pełne wargi ułożyły się w uśmiech.

– Witaj, Pani Zagadko – przemówił cicho, kierując te słowa tylko do mnie. – Nareszcie księżyc i słońce dzielą wspólne niebo.

Pochwalałam przeznaczony dla mnie luksusowy apartament w rozmowie z marszałkiem dworu, Achiszarem – ależ dziwaczne te imiona! – aczkolwiek nie nazbyt przesadnie. Podziękowałam mu za dzbanki wina i nubijskiego piwa z prosa, za tace pełne chleba, oliwek, sera i gotowanych jajek wszystkich rozmiarów i kolorów, za miskę fig, granatów, beninkaz i winogron. Całe szczęście, że nie zauważyłam ani jednego daktyla. Miałam ich serdecznie dość.

Kiwałam głową, spoglądając z milczącym uznaniem na róże na tarasie, gobeliny i zagraniczne tkaniny. Następnie uzgodniłam, ile mąki, oleju, wołowiny, miodu, wina i drobiu powinno trafić do rzeszy moich ludzi obozujących za murami miasta. Spytałam o wygody dla moich możnych. Zapewniono mnie, że ich komnaty znajdują się w pobliżu, pokazano mi prowadzące do nich korytarze, a także wytłumaczono, jak dojść do sali, kuchni i mieszkania marszałka.

Poleciłam Achiszarowi, aby porozmawiał z Tamrinem na temat dostarczenia moich darów królewskim żonom i konkubinom.

– Twe drzwi są dobrze strzeżone, moja pani. Nie musisz się niczego obawiać – stwierdził, spoglądając nieufnie na Yafusha.

– Dziękuję. Ale mój eunuch... – zaczęłam, kładąc nacisk na to słowo – także będzie mnie strzegł, jak czyni to od zawsze. Tymczasem jeden z moich ludzi potrzebuje natychmiast lekarza.

Marszałek odpowiedział, że Tamrin już rozmawiał z nim o tym mężczyźnie i że lekarz już u niego jest.

Kiedy wreszcie wszystko ustaliliśmy i Achiszar wyszedł, poleciłam Sharze, by odesłała izraelskich niewolników.

Na moim tarasie słychać było dźwięki Jerozolimy: rynku w dolnej części miasta, psów szczekających w oddali, prasy do oliwek. Zapach pieczonego chleba mieszał się z wonią róż, a zasłony kłębiły się na wietrze, bezgłośnie muskając

kunsztowne wełniane dywany.

Rzuciłam się na sofę, już wyczerpana misją, która dopiero się rozpoczęła.

Dziewczęta krzątały się po komnacie. Dotykały wszystkich przedmiotów i krzyczały z zachwytu na widok futer narzuconych na łoża i sofy, poduszek i jedwabnych poszewek oraz latarenek z mnóstwem knotów, jakby nigdy wcześniej nie widziały czegoś podobnego. Głupie gąski.

W mojej głowie kłębiły się myśli.

Przywoływałam w pamięci ceremonię powitalną, krótką procesję, podczas której król i ja minęliśmy basen, by obejrzeć moje dary. Kiedy nakazywałam, by całość przeniesiono do skarbcza, piwnic, kuchni, świątyni czy oddano na przechowanie marszałkowi, każdy z przedmiotów traktowałam jak drobnostkę. Satysfakcję sprawił mi sposób, w jaki Salomon powtórzył – jakbym się pomyliła – jaką ilość złota przywiozłam ze sobą. Zszedł do pantery, by obejrzeć ją z ciekawością chłopca. Zwierzę jadło mu suszone mięso z ręki – ach, jakie to sprytne ze strony Tamri-na! Kapryśnym małpom podawał orzechy. Jedna z nich była znana z tego, że rzuca własnymi odchodami. Na szczęście tym razem nie wpadła na taki pomysł.

Właściwie to nic się nie wydarzyło. Poza cichymi słowami króla skierowanymi do mnie nic nie wskazywało na to, że mam do czynienia z tym samym człowiekiem, którego listy tyle razy czytałam. Spodziewałam się dziwnego napięcia między nami – związanego ze wspólną tajemnicą i z nierozstrzygniętą dysputą, jaką prowadziliśmy przez te wszystkie lata z poetycką żarliwością. Ale nie. Byliśmy władcami przyglądającymi się dobrom tego świata. Jedno z nas odbywało wizytę dyplomatyczną, a drugie należycie podejmowało swojego gościa. W pewnej chwili król powiedział, że po takiej podróży z pewnością chcemy odpocząć i skorzystać z największych atrakcji w jego królestwie.

– Przybyliście w samą porę. Jutro o zmierzchu rozpoczyna się szabat, czas refleksji i odpoczynku nakazany przez Jahwe. Dopilnujemy, by twoi ludzie zostali dobrze zaopatrzeni, a dworzanie otrzymali wszystko, czego potrzebują, by ci służyć. Wkrótce spotkamy się znowu.

Nie chciałam zostać tak szybko oddalona na oczach całego dworu.

– Potrzebujemy pięciu dni, by zająć się swoimi sprawami – oświadczyłam. – Musimy złożyć ofiarę naszemu bogu w podzięcie za bezpieczną podróż. Domyślałam się, że poza miastem jest miejsce, w którym mój kapłan mógłby oddawać mu cześć.

I tak to się zaczęło.

Moja prośba stanowiła zwykły wyraz pychy, choć po części była też podyktowana koniecznością: za trzy dni nów, Asm musiał więc złożyć ofiarę. Almaqah tego wymagał, ziemia tego wymagała, a przede wszystkim Asm był bardzo gorliwym kapłanem.

Mówiłam sobie, że pięć dni to nic; miałam pół roku na pozyskanie statków, portów i uzgodnienie warunków sojuszu, a także przygotowanie swojej podróży powrotnej.

Ale i tak się zadręczałam.

Zostawiłam dziewczęta, by porozwieszały moje ubrania, a sama wyszłam na taras skąpany w świetle zachodzącego słońca.

Widoczne poniżej spore budynki – pewnie domostwa administratorów dworskich – wypełniały przestrzeń aż po same mury nieukończonego pałacu. Na północy wysoko nad świątynią unosił się dym. Czy kiedykolwiek rozpędzał go wiatr? Obserwowałam wiernych wchodzących i wychodzących przez zewnętrzną bramę; orszak mężczyzn w długich szatach, pewnie kapłanów. Czułam zapach palonego mięsa. Cóż to za święto? Księżyc nawet nie zaczął się jeszcze pojawiać.

W Maribie rozpoznawałam tętent kopyt wielbłądów moich posłańców. Znałam twarze niewolników i imiona wszystkich ogrodników. Wiedziałam, którymi korytarzami muszę chodzić, jeśli nie chcę być widziana, a także rozumiałam temperament każdego z moich radnych. Tutaj nie wiedziałam nic.

Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że tak naprawdę najbardziej przeszkadzało mi całkowite opanowanie, jakie okazywał król. Nie był to człowiek z listów, który w jednej chwili wydawał się kapryśny i arogancki, a w następnej zagubiony.

Tego króla w ogóle nie znałam. A teraz, kiedy byłam w jego pałacu, on miał okazję obserwować mnie i moich ludzi, podczas gdy sam skrywał się w cieniu.

Wróciłam do komnaty i zawołałam do siebie Yafusha, Sharę oraz pozostałe dziewczęta.

– Posłuchajcie mnie – powiedziałam. Staralam się spojrzeć każdemu z osobna w oczy, zwłaszcza dwórkom, z których najstarsza miała nie więcej niż osiemnaście lat. – Nie przebywamy na dworze życzliwego nam króla, a jego ludzie nie są naszymi sprzymierzeńcami. Musicie przez cały czas osłaniać się welonami, nosić szaty dobrej jakości oraz biżuterię i pachnieć najlepszymi perfumami. Izraelici mają manię na punkcie czystości. Będziecie codziennie posyłać po wodę. Wasze dłonie i stopy nigdy nie będą zabrudzone. Nie będziecie publicznie rozmawiać z mężczyznami ani mnie dotykać. Wasze zachowanie musi pozostawać bez zarzutu. Będziecie powtarzać mi wszystko, co usłyszycie od sług czy strażników. Nie ufajcie tym obcym w niczym. Zajmujcie się wszystkim samodzielnie, włącznie z opróżnianiem własnych nocników. W ten sposób poznacie korytarze i boczne wyjścia z pałacu. Jeśli ktoś was skrzywdzi, choćby w najmniejszym stopniu, mówcie mi o tym natychmiast. Nie rozmawiajcie z nikim o podróży, o mnie ani o sprawach dworskich. Zachowajcie ostrożność w obecności sług, niewolników, kucharzy czy żon króla, jeśli znajdziecie się w takim towarzystwie. Gdyby ktoś was wypytywał, mówcie, że Saba pachnie dniem i nocą, że jej pałac lśni alabastrami i tym podobne rzeczy. Nie wspominajcie o Hagarlat... – W tym momencie spojrzałam na Sharę i Yafusha. Czy mi się zdawało, czy Shara się wzdrygnęła? – Ani o moim ojcu. A jeśli was zapytają, mówcie jedynie, że wrogów Saby zawsze spotyka srogi koniec. Czy muszę mówić więcej? Wiecie równie dobrze jak ja, że każdy sługa jest tu szpiegiem, a każdy niewolnik ma pięć par uszu i dwa razy tyle ust. – Nachyliłam się do nich. – Każdy dwór ma swoje intrygi, kłamstwa i sojusze, splątane ze sobą niczym sieć. Nie dajcie się złapać w sidła, ale zważajcie na wszystko. Jesteście moimi oczami i uszami. Zachowajcie czujność i roztropność.

Pokiwali głowami.

– Potwierdźcie na głos, że wszystko pojmujecie.

– Tak, moja pani – powiedziały dziewczęta. Yafush nie musiał tego czynić.

Posłałam po Khalkhariba i Nimana. Przybyli chwilę później w świeżych ubraniach. Nie wyglądali na wypoczętych, a raczej na zmieszanych. Rozglądali się po przedsionku mojego apartamentu.

– Nie ufam temu królowi. Powiada, że jego bóg nakazuje odpoczynek od jutra... Gdzież jest uczta powitalna? Odprawił cię na oczach całego dworu! – wykrzyknął Khalkharib.

– Posłuchajcie mnie uważnie – powiedziałam zdecydowanym głosem. – Zarządzcie, by w obozie przez cały czas palono kadzidła. Zwierzęta muszą lśnić od złota i srebra. Każdy człowiek, nawet najskromniejszy niewolnik, ma nosić czyste odzienie, najlepsze jakie posiada. Dopóki tu jesteśmy, ten obóz to Saba. W najciemniejszym kącie namiotu nie może być dziury ani rozdarcia.

Zwróciłam się do Nimana.

– Chcę dziesięciu zbrojnych w pałacu przez cały czas, czterech od zaraz, stojących za drzwiami. Każdy, kto publicznie się upije lub dwuznacznie spojrzy na kobietę, zostanie postawiony przed królem i poddany karze właściwej dla tego miejsca, a potem zwiążemy go i ukamienujemy w drodze powrotnej. Nigdy więcej nie ujrzy Saby. Kapłani niech wzniosą ołtarz w obozie. Asm i jego akolici nie mogą lekceważyć żadnego aspektu wiary naszego ludu. Niech kupują zwierzęta na ofiary.

Khalkharib zerknął w stronę tarasu.

– To druga ofiara, którą Izraelici dzisiaj spalili. Ich zwierzęta płoną w wiecznym ogniu dla ich boga.

– Nonsens. Czyż nie widziałeś budowli wzniesionych na wschodnich wzgórzach, kiedy przekraczaliśmy bramy miasta? To świątynie bogów żon króla. I my nie porzucimy swoich wierzeń. Tymczasem ani na chwilę nie oddalaj się od swojego strażnika. Salomon jest sprytny. Ale jeśli okażemy się roztropni i czujni, otrzymamy od niego wszystko, czego pragniemy. – Nagle przypomniałam sobie o czymś. – Upewnijcie się, że Pustynne Wilki są ubrane.

Kiedy poszli do obozu z moimi rozkazami, pomyślałam o nadchodzących pięciu dniach. Poczulałam niepokój. To nie będzie czas wypoczynku, ale wielokrotnego zadawania sobie pytań i odchodzenia od zmysłów w narzuconym sobie odosobnieniu.

A jednak wcale tak nie było.

...

Nazajutrz późnym popołudniem zażywałam kąpieli w wewnętrznej komnacie apartamentu, siedząc na stołku w płytkiej miednicy z brązu.

Przez okna docierały muzyka oraz wszechobecna woń palonego mięsa.

– Powiadają, że to dzień odpoczynku, ale wydaje się, że kapłani ciężko pracują – powiedziałam, gdy Shara polewała mi wodą plecy i ramiona.

Zastanawiałam się, gdzie jest Tamrin i jak wiodło się moim ludziom w obozie. Rozmyślałam też, jakimi sprawami zajmuje się król w tym „dniu odpoczynku”. Wiedziałam, że władca nie może sobie pozwolić na takie luksusy.

Do mojej komnaty wśliznęła się jedna z dwórek. Właśnie miałam skomplementować jej suknię w kolorze cytronu, kiedy zauważyłam, że dziewczyna trzyma coś w dłoni.

– Pani – powiedziała. – Jeden z ludzi króla przyniósł to dla ciebie.

– Który? – spytałam, nakazując gestem, by podeszła.

– Nie wiem, ale był bardzo dobrze ubrany.

Osuszyłam dłonie, wzięłam maleńki zwój i odwróciłam go.

Królewska pieczęć.

Złamałam ją i odczytałam krótką wiadomość:

Czy wiesz, czym jest słodycz? To wiedza, że przebywasz w moim pałacu.

Czy wiesz, czym jest udręka? To niemożność spojrzenia na ciebie. Jeśli mieśnięce ostatniego roku zdawały się dniami, to te dni są naszymi latami.

Jakżeż nieskalane są twoje dłonie i piękne twoje stopy! Podobna jesteś do gazeli. O, jakżeż wdzięczne są twoje lica między kolczykami, twoja szyja pośród sznurów perel! Oczy twoje jak oczy żmii – mamią, nim wąż ukąsi. Czy ukłujesz

mnie jadowicie, Pani Zagadko? Brwi twoje jak gołębice. Czy odfruną?[10]

Idąc korytarzem, przy którym znajdują się twoje komnaty, natkniesz się na niewielkie przejście. Jest zawsze strzeżone. To schody prowadzące do mego ogrodu, dostępne tylko dla mnie, a teraz także i dla ciebie. Ale tylko dla ciebie.

Podniosłam głowę i zamyśliłam się głęboko.

– Bilkis? – Shara obserwowała mnie uważnie. Nie potrafiła czytać. Zresztą trzymałam zwój blisko siebie.

Czyli zamierzał mnie uwieść. Czy potraktuje mnie jak zwykłą kobietę, czy może zechce nakłonić mnie do ślubu? Przez cały czas wyczekiwałam tego milczącego napięcia, którego nie poczułam wczoraj po przyjeździe. Ale tego się nie spodziewałam. To była zniewaga. Czy myślał, że mnie ugości, zaprosi do łoża, wymieni się ze mną pięknymi podarkami i ujdzie mu to bezkarnie?

– To nic takiego – zapewniłam Sharę. Naprawdę tak uważałam. Wstałam, podeszłam do palnika, przytknęłam pergamin do żarzącego się węgielka i podpaliłam list. Wrzuciłam resztki do środka i wróciłam na stołek. – Poślij po więcej wody – powiedziałam. – Chcę się wykapać raz jeszcze.

Kilka godzin później przybył pierwszy podarunek: ciasto karobowe z kuchni. Chwilę później sługa przyniósł kozie mleko i dziwne danie złożone z placków, które określił jako *ashishot*.

– Jakaś fasola czy soczewica... miód... – mówiła Shara, skubiąc ciasto.

– Cynamon... – odezwała się któraś z dziewcząt.

– I oliwa – dodała Shara.

Kiedy dwórka ponownie poszła otworzyć drzwi, Shara spytała:

– Co znowu?

Ale tym razem dziewczyna wróciła z pustymi rękami.

– Moja pani, na zewnątrz czeka służka. Egipcjanka.

Usiadłam i owinęłam się materiałem.

– Wprowadź ją.

Wróciła z drobniotką dziewczyną, która mogła mieć trzynaście lat. Egipcjanka miała na sobie lepsze odzienie niż kobiety, które widywałam w innych częściach pałacu. Jej ramiona zdobił szeroki fajansowy naszyjnik, miała podkreślone oczy. Kiedy dostrzegła, że nie mam na sobie nic prócz płótna, uśmiechnęła się i zdjęła nakrycie głowy, pod którym miała prostą czarną perukę.

Skłoniła się nisko.

– Jej wysokość królowa mnie przysłała – powiedziała po aramejsku z wyraźnym akcentem. Nakazałam gestem, by podeszła bliżej, a jedna ze służek poczęstowała ją plackami. Dziewczyna z nieśmiałym uśmiechem sięgnęła po jeden z nich i odgryzła kęs. – Powiedziała... – Chwytała okruszki placka i wpychała je do ust w taki sposób, że musiałam stłumić śmiech. – „Pozdrawiam cię w imieniu Izraela i Egiptu”. Mówiła też, że o zmierzchu rozpoczyna się szabat. „Ale te zwyczaje nie są naszymi, twoimi ani moimi”. – Urwała. – To słowa królowej, nie moje.

Pokiwałam głową. Miałam kamienną twarz.

– Królowa zaprasza cię na wspólny, skromny posiłek, choć i najskromniejsze danie staje się rozkoszne w takim towarzystwie. Ma też nadzieję, że zawitasz do jej tymczasowego pałacu – oficjalny jest jeszcze w budowie – razem ze swoimi służkami i z Nubijczykiem, o którym słyszała.

Usiadłam i przyglądałam się, jak dziewczyna wpatruje się w placek. Ukradkiem ugryzła kolejny kęs. Przypomniała mi się wiadomość od króla, która teraz rozwścieczyła mnie jeszcze bardziej.

– Będę zaszczycona – odpowiedziałam.

...

Córka faraona – trudno mi było uważać ją za prawdziwą królową – dwie godziny później przysłała po mnie lektykę. Wyszłam z dziewczętami i Yafusem w towarzystwie czterech zbrojnych i wsiadłam do niej. Nie zwracałam sobie nawet

głowy zaciąganiem zasłony.

Było to śmiechu warte – poniesiono mnie przez dziedziniec wewnętrzny na drugi koniec pałacu, obok pięknej kolumnady, do wielkich, podwójnych drzwi. Jakbym właśnie nie przybyła z drugiego końca świata i nie mogła pokonać tej odległości sama.

Ech, ci Egipcjanie.

Przed wrotami stał czarnoskóry strażnik w tunice dobrej jakości. Skłonił się nisko, gdy lektykę ustawiano na ociosanym kamiennym bloku, który najwyraźniej służył właśnie do tego celu.

Od strony świątyni zabrzmiał dźwięk rogu. Domyśliłam się, że obwieszczał nastanie zmierzchu, jakby ludzie sami nie zauważyli pomarańczowej poświaty, która zalała niebo.

Nagle drzwi się otworzyły. Na widok wnętrza niemal westchnęłam z zachwytu.

Malowane ściany pałacu, które wydały mi się piękne wcześniej, bladły w porównaniu z tym, co ujrzałam teraz.

Wielkie kolumny rozszerzały się niczym trąby ku sufitowi. Malunki miały je upodobnić do ogromnych palm. Szerokie ściany zdobił fresk przedstawiający zielone trzciny i kwiaty lotosu. Całe pomieszczenie oświetlały brązowe lampy w kształcie mis. Przez okno w sklepieniu rozlewały się błękit i fiolet nieba, wyraźniejsze niż jakiegokolwiek dzieło sztuki na dziedzińcu. Wszędzie były widoczne barwy Egiptu – od mozaiki na podłodze po inkrustowane stoły i wielkie posągi Ra oraz Seta ustawione w rogach. Zza figury Seta coś wyskoczyło, a potem się schowało. Egipski kot.

Po przeciwnej stronie komnaty znajdował się basen z niebieskozieloną wodą. Między liliami wodnymi niczym cienie przemykały ryby. Z opóźnieniem zdałam sobie sprawę z tego, że gdzieś z apartamentu dobiegała muzyka.

Zaprawdę, nie byłam wcale pewna, czy moje komnaty w Sabie dorównywały tym tutaj.

Zza drzwi wyszło dwóch niewolników i poprowadziło nas do bocznej sali, pełnej niskich rzeźbionych krzesełek, ze stołem z kości słoniowej i z wielką sofą o połączonych skrzydłach symbolizujących boginię Isis, wychodzących ze środka oparcia we wszystkich kierunkach.

Po drugiej stronie komnaty pojawiła się kobieta, którą widziałam w sali tronowej. Rozłożyła ręce w geście powitania. Była wyższa, niż sądziłam. Przy tronie Salomona wydawała mi się malutka.

– Witaj, Sabo – powiedziała. Uśmiechnęła się i skłoniła głowę. Odwzajemniłam ten gest, choć może nie ukloniłam się aż tak nisko. – Dziękujemy ci.

Na pierwszy rzut oka wydała mi się piękna. Miała okrągłą, nieco płaską twarz. Malachit na jej powiekach sięgał kącików oczu. Na ustach i policzkach miała egipską ochrę. Była pomalowana niczym ściany w pałacu. Na jej peruce spoczywało złote nakrycie głowy – skrzydła Isis sięgające aż za uszy. Jej postać zapierała dech w piersiach.

– Na imię mi Tashere. Czy mogę nazywać cię Makedą? W tym mieście jesteśmy prawie jak siostry – powiedziała i wskazała mi sofę. – Ty dorastałaś w Punocie, a ja w Egipcie. Jak to się stało, że spotkałyśmy się dopiero w tej odległej barbarzyńskiej krainie? – Uśmiechnęła się porozumiewawczo i zarazem niewinnie. Teraz dostrzegłam zmarszczki w kącicach jej ust. To przecież oczywiste, że musiała być o kilka lat starsza ode mnie.

Posłała niewolnika po piwo.

– Wyczekiwałam cię od czasu, kiedy król po raz pierwszy powiedział mi o twoim spodziewanym przybyciu.

– Podobnie jak i ja. – Uśmiechnęłam się lekko. Wyciągnęłam rękę w kierunku Shary, która podała mi niewielką skrzynkę. – Przynieśliśmy ci te oto dary.

Głośno zachwycała się bransoletami, nakryciami głowy i długim pasem z kutego złota wysadzonym klejnotami. Następnie podała nasze dary niewolnikowi. Drugi przyniósł skrzynkę z kości słoniowej.

W środku znalazłam posążki Seszat, egipskiej bogini mądrości, i Thotha, jej męskiego odpowiednika. Między nimi spoczywał zwój. Spojrzałam na córkę fara-

ona i wyjęłam go ze skrzynki, po czym, wbrew sobie, zaczęłam powolutku odwijać.

– To pisma Ptahhotepa! – wykrzyknęłam, autentycznie zaskoczona.

Nachyliła się, by spojrzeć mi przez ramię.

– Przełożone na aramejski przez osobistego królewskiego skrybę. Słyszałam od króla, że kochasz naukę.

Zastanawiałam się, cóż jeszcze jej o mnie powiedział.

– Dziękuję ci. – Mówiłam szczerze. Czytałam już niektóre nauki Ptahhotepa, ale nigdy nie widziałam ich w całości. – Te pisma mają co najmniej tysiąc lat.

– Jakieś tysiąc czterysta. – Uśmiechnęła się do mnie. – Ale któż to zliczy?

Omal nie spytałam, jakim cudem król znalazł się w posiadaniu *Maksym*, ale oczywiście byłoby to głupie z mojej strony. Ojciec królowej podarował mu miasto – czymże był przy tym jeden zwój?

– Król często czyta te pisma. Jeśli chodzi o mnie... – Westchnęła. – Wydają mi się takie zwyczajne. *Kochaj swe życie z pasją*. To oczywiste! Może pojmiesz je lepiej niż ja. Ale teraz mam nadzieję, że jesteście głodni.

Skłamałam, że owszem.

Odsłoniłam część welonu. Tashere usiadła i przyglądała mi się bez zażenowania.

– Nie przypuszczałam, że pogłoski są prawdziwe. Każdy dworzaniek wychwala urodę swojej królowej. Zaprawdę, jesteś piękną! Niech no spojrzę.

Nie nawykłam do pochlebstw ze strony innych kobiet. Przez całe życie popatrzywały na mnie kątem oka i nie odzywały się, póki nie odeszłam. Dopiero później dowadywałam się, że padły niemiłe słowa. Tamtego dnia nie uległam pochwałom Tashere, ale urzekła mnie jej szczerłość.

– Matka króla była równie piękna.

– Znałaś ją?

– Tak, przez kilka lat. – Jej milczenie świadczyło o tym, że chciała powiedzieć coś jeszcze lub wspomnienie okazało się gorzkie. Nie byłam pewna, co się wydarzyło.

Jadłyśmy ciecierzycę, soczewicę i gulasz cebulowy – jak stwierdziła: „Je-dyne potrawy, jakie są tu dla mnie do przyjęcia” – leżąc razem na sofie.

– Przyrządzono to w moich prywatnych kuchniach. Izraelici nie gotują w szabat.

– Kto w takim razie podaje królowi posiłki? – spytałam, na co Tashere machnęła ręką, jakby nie miała ochoty podejmować tego tematu.

Kiedy skończyłyśmy, poprosiła swoją dwórkę, by pokazała Sharze i moim dziewczętom prywatny ogród. Następnie uśmiechnęła się do Yafusha i przemówiła do niego w języku, który słyszałam może kilka razy w życiu. Aż wstyd, że nigdy się go nie nauczyłam. Twarz Yafusha dziwnie się rozpromieniła. Skinawszy mi głową, udał się za dziewczętami. Ale wiedziałam, że i tak nie spuści ze mnie wzroku.

– Mój eunuch także jest Nubijczykiem. Najlepsi z nich mają właśnie takie pochodzenie. Towarzyszy mi od dziesiątego roku życia. – Usiadła z powrotem. – Teraz wreszcie mogę ci powiedzieć, żebyś nie poczuła się urażona, jeśli król rzadko będzie się pojawiał w pierwszych dniach twojej wizyty. Ostatnio poślubił nową żonę i ma... zobowiązania.

Zawahałam się na moment. A mimo to zaprosił mnie do swojego ogrodu! Zastanawiałam się, co ona by na to powiedziała.

– Ile teraz ma kobiet?

– Prawie cztery setki – odparła ze spokojem.

– Cztery... setki?!

– Tak, wiem. Ale on jest królem. Każdy sojusz małżeński zapewnia jego królestwu jakąś nagrodę. Królowa nie może sobie pozwolić na zazdrość – i jakież miałabym ku temu powód? Która z nich będzie miała własny pałac? – Zaśmiała się, wskazując głową za siebie. – Widziałam budowę. Wspaniała – powiedziała. – Nie

znałam do tej pory nic lepszego. Choć z pewnością bywały wyższe konstrukcje... A! – Podniosła się na widok postaci, którą w pierwszej chwili wzięłam za służbę. – A oto i on, mój skarb. – Wstała, ucałowała chłopca, który wyglądał na zawstydzonego, i poprowadziła go do mnie. – To Itiel, mój synek – oświadczyła. Uśmiechnęła się i dotknęła dłonią jego klatki piersiowej. – Itielu, to jest wielka królowa Saby. – Przedstawiła mnie, robiąc przerwę po każdym słowie i klepiąc go w pierś. Wielka. Królowa. Saby.

Uśmiechnęłam się do chłopca – właściwie nie był on już chłopcem. Mógł mieć jakieś dwanaście lat. Był patykowaty jak większość dojrzewających młodzieńców. Skłonił głowę. Nim odszedł, wymamrotał jakąś grzecznościową formułkę. Wyraźnie poczuł ulgę, że to już koniec dyplomacji na dziś.

– Jest moją radością – powiedziała królowa.

– Czy to królewski dziedzic?

Westchnęła i usiadła.

– O tym zdecyduje król, który, bądź co bądź, rządzi na sposób egipski.

– Doprawdy?

– A myślisz, że jak wycina cedry w Libanie, wydobywa kamień, wznosi świątynie i pałace?

– Dzięki robotnikom – odparłam.

– Owszem, siła robocza jest rekrutowana. Głównie z północy. Zasłużyli na to. Zawsze występują przeciwko niemu – nie może sobie pozwolić na to, by knuli razem. Nawet królewska administracja jest zorganizowana na egipską modłę.

Zaskoczyła mnie jej wiedza na temat królewskich rządów. Nie tak wyobrażałam sobie żony pozostające w małżeństwach politycznych.

– Egipt odrzuca jednak ideę jednego boga, a król ją wspiera.

– Owszem. Ale spójrz na budowle położone na wschód od królewskiej świątyni. To miejsca kultu Kemosza, srogiego boga Moabitów. I Molocha, Aszery, Au. I wielu innych. Pełno tam ołtarzy, rzeźbionych kolumn i kapłanów.

– Zauważyłam. Ale słyszałam opowieści o zazdrości jego boga...

– Nas, kobiety, trudno zadowolić. A prawdziwie roztropny mąż uszczęśliwia swoje żony. Akuszerki mawiają, że łatwiej począć dziecko pośród słodczy niż goryczy – powiedziała i zaśmiała się głośno. – Izrael pod każdym względem jest związany z Egiptem. A ty, Makedo, masz synów?

– Nie. Ku wielkiemu niezadowoleniu mojego doradcy.

– Och, jaka szkoda. Musisz to wkrótce nadrobić. Ale słyszałam, że nie wyszłaś też jeszcze za mąż. Dlaczego tego nie uczynisz? – Zadała to pytanie lekkim tonem. W dłoni trzymała daktyla.

– A kogóż miałabym poślubić? – spytałam z uśmiechem.

– Króla, rzecz jasna. Mojego męża.

Wyrwał mi się chichot.

– Moje królestwo jest daleko stąd. Nie sądzę, bym w tej sytuacji urodziła wielu synów.

– Pewnie chcesz wiedzieć, jak kobieta może tu w ogóle począć dziecko. Jak mogę nazywać go „mężem”, skoro ma tyle żon. I to nie licząc panien przysłanych tu w celach pokojowych, konkubin.

– Zastanawiałam się nad tym – przyznałam.

– Nie wszystkie tu mieszkają. Niektóre z nich spędziły z królem tylko jedną noc. – Urwała, wzrok jej uciekł. – Nie jest to marzenie panny młodej, prawda? Ale ty i ja wiemy, że pokój między narodami znajduje się ponad kobiecymi marzeniami. Nawet marzeniami królowej. Te, które opuszczają pałac, i tak są żonami króla; otrzymują wiele darów i mają odpowiednią pozycję w swoich ojczyznach. Te, które mieszkają tutaj, są bezpieczne i mają wszystko, czego zapragną. – Uśmiechnęła się ciepło. – Ale ty... możesz mieć każdego. W Sabie nie jest tak jak w Izraelu czy Egipcie. Któż mógłby ci kazać zostać lub odejść? Powinnaś rozważyć propozycję króla. Dzięki jego flocie nie musiałabyś odbywać tej okropnej podróży łodem, by odwiedzić jego kraj – albo mój.

– Tak naprawdę nie ma czego rozważać. Nie otrzymałam takiej propozycji.

Tashere uniosła daktyla do ust, ułożonych w idealny okrąg, i przegryzła go na pół.

– Mogę się tylko domyślać przebiegu negocjacji między waszymi królestwami, ale doskonale znam swojego męża. Propozycja się pojawi. Jeśli nie ze względu na bogactwa Saby, to z uwagi na piękno twojego oblicza, które powinnaś pozwolić mu ujrzeć.

Raz jeszcze pomyślałam o zaproszeniu do ogrodu.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Ale dość już o tym. Próbowalaś królewskiego wina?

•••

W noc po zakończeniu szabatu poszłam do obozu, by przewodniczyć ofierze podczas nowiu. Nawet w Sabie nie czyniałam tego co miesiąc – ostatnio właściwie coraz rzadziej – ale była to doskonała wymówka. Musiałam być widziana poza miastem.

Przenocowałam w swoim namiocie, który postawiono pośrodku obozu. Miał o wiele mniej wygód niż apartament w pałacu, ale leżąc na swoim kocu, poczułam się bardziej sobą.

Nazajutrz rano, kiedy nad świątynią dostrzegłam dym, posłałam po Tamrina, ale powiedziano mi, że udał się gdzieś w interesach.

Kilka godzin po moim powrocie do miasta przyniesiono mi nowe podarki: delikatne ciastka sezamowe, kapary i świeże mleko kozie do kąpieli.

Następnego dnia dostałam najdelikatniejszą zwierzęcą skórę, jakiej kiedykolwiek dotykałam, i zapowiedziano mi, że wytwórca sandałów przyjdzie do mnie, kiedy zechcę. Kolejne komplementy od króla i ani słowa ode mnie. Później do apartamentu przybyły dwie żony władcy – jedna z Edomu, a druga z Chamatu. Podjęłam je posiłkiem i powitałam jako gości, choć było oczywiste, że posłano je, by mi usługiwały.

Następnego dnia Tashere przysłała egipską dziewczynę, która była u mnie już wcześniej, jako dar na czas mojego pobytu. Powitałam ją z radością. Przyniosła ze sobą wykonany z hebanu i kości słoniowej zestaw do gry w seneta. Przypominał mi zwierzę, które w szufladzie swojego ciała kryło białe i czarne pionki.

Nazajutrz Naama, ammonicka żona króla, również przysłała mi jedną ze swoich służek.

Wiedziałam już, że Tashere to główna rywalka pozostałych żon.

Podarunki napływały dalej. Wino z północnych gór. Oliwa i olej miętowy. Ogórki i cytryny. Pierścienie na palce stóp i dłoni. Wełniane dywany w misterne wzory. Olejek różany do uwielbianych przeze mnie kąpiel. Wreszcie rzeźbione instrumenty dla muzyków, którzy po południu przybyli, aby zagrać mi na tarasie.

Rankiem szóstego dnia włożyłam purpurową szatę i klejnoty, gotowa do rozpoczęcia pertraktacji. Przez cały dzień czekałam na wezwanie.

Nikt się nie pojawił.

Minęły kolejne trzy dni.

[10] Por. Pp; przyp. red.

Do tego czasu byłam już wściekła. Posłałam po Nimana i Khalkhariba, którzy, jak domniemywałam, marnieli w stanie zniecierpliwienia i nudy podobnie jak ja. Ale miast radnych do mojego apartamentu przybył jeden z ludzi marszałka dworu, by oświadczyć, że udali się oni z Natanem, bratem króla, na wycieczkę do miasta Gezer.

– I nie powiadomili mnie o tym?! – spytałam.

– Król zapewnił ich, że jesteś zajęta sprawami w mieście, dlatego muszą udać się tam w twoim imieniu, by zdać ci relację ze wszystkiego, co zobaczyli na własne oczy – odpowiedział mężczyzna. Nawet nie usłyszałam tego osobiście od marszałka!

Gdy wyszedł, wpadłam na taras jak burza. Dziewczęta w nieskończoność grały w seneta. Ostatnio obsesyjnie oddawały się tej upiornej rozrywce – podróży w zaświaty. Egipska dziewczyna o imieniu Nebt wydawała się niemal czcić tę grę. Uważała ją za praktyczny miernik boskiej przychylności. Widocznie bogowie sprzyjali Sharze, która wygrywała nieustannie, od kiedy pojęła zasady. Yafush, choć wiedział, jak grać, nie brał w tym udziału. Stał z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Ale nie potrafił powstrzymać się od uniesienia brwi czy zaciśnięcia ust, gdy któraś z dziewcząt prosiła go o wskazówkę.

– Ach, Dom Trzech Prawd! – zawołała Nebt, rzuciwszy patykami.

Znam trzy prawdy, pomyślałam z goryczą. Po pierwsze, król starał się mnie unikać lub zirytować, bym wyszła mu na spotkanie i się skompromitowała. Po drugie, moi zaufani doradcy spokojnie oddawali się zwiedzaniu, czmychnąwszy jak chłopcy na pierwszą wzmiankę o twierdzach i koniach. Nawet Asm powiedział, że ma zamiar dotrzeć do kapłanów Aszery, którą niektórzy uważali za małżonkę izraelskiego boga. Najwyraźniej od czasu naszego przyjazdu został uczonym i skupił się na zgłębianiu obcych praktyk.

Po trzecie, nie dam się przechytryć.

Spoglądałam na cudowne dachy miasta i analizowałam różne możliwości. Mogłam zwierzyć się Tashere. Nawet ją polubiłam (kiedy od niej wychodziłam, stwierdziła nawet, że wiedziała, iż zostaniemy przyjaciółkami, „może nawet siostrami”). Miałam jednak świadomość, że każdy dwór jest jak morze: gładki i niebieski na powierzchni, w głębi zaś pełen potworów, pragnących jedynie pożreć się nawzajem.

Mogłam spróbować zaprzyjaźnić się z którymś z królewskich doradców i zapewnić sobie jego wsparcie. Ale kimże dla nich byłam, jeśli nie tylko kolejną królową w tych murach, poza którymi panowali obcy bogowie?

Mogłam posłać po Naamę, rywalkę Tashere. Nebt opowiadała, że Naama ma syna o rok młodszego od syna Tashere, który cieszył się względami króla. Wydało mi się to ciekawe – czy Moloch, srogi pożeracz dzieci, nie był przypadkiem bogiem Naamy? Nie byłam jednak zainteresowana mieszaniem się w ich utarczki. Nie mogłam sobie też pozwolić na zniżanie się do takiego poziomu.

Shara jęknęła, straciwszy dwa pionki. W następnej kolejce wygrała.

Pozostała mi tylko jedna droga.

Wtem na ulicy pod tarasem zatrzymał się jakiś nędznik. Podniósł na mnie wzrok.

– Obce królowe! Obcy bogowie! W Świętym Mieście Namaszczonego! – krzyczał.

Cofnęłam się, oszołomiona. Czy ten człowiek mi groził? Nawet kiedy usunęłam się z zasięgu jego wzroku, wciąż słyszałam, jak ciska się niczym obłąkany.

Po chwili ponownie wychyliłam się przez balustradę, by ujrzeć tego człowieka. Patrzył prosto na mnie. Nasze spojrzenia się spotkały. Mężczyzna zaczął coś mamrotać i odszedł w stronę świątyni. Obserwowałam go przez całą drogę do bramy i z powrotem. Kiedy wracał pod moim tarasem, najwyraźniej o mnie zapomniał. Ale też nie udał się tą samą drogą, którą przyszedł. Zniknął w murach pałacu.

– Sharo! – zawołałam.

Podniosła się niechętnie, ponieważ Nebt już domagała się rewanżu.

– Uczyń ze mnie piękność – zażądałam.

Skłamałabym, gdybym stwierdziła, że nie zwracałam uwagi na korytarze, kiedy pokonywałam śmiechu wartą odległość od apartamentu Tashere. Zauważyłam strażników, którzy strzegli wąskiego przejścia. Od tamtego czasu ten obraz mnie prześladował.

Minęłam strażę przed moją komnatą. Yafush podążał za mną. Pokonałam korytarz jak ktoś do tego upoważniony. Dlaczego nie? Jestem królową Saby.

A jednak był to spacer wstydlivy, jakbym skradała się w cieniu. Owinęłam się ciaśniej welonem. Strażnicy patrzyli w moim kierunku, ale jakby mnie nie widzieli. Minęłam ich i spojrzałam za siebie. Nie zareagowali.

– Czy wiecie, kim jestem? – spytałam, cofając się, by stanąć twarzą w twarz z jednym z nich.

Mężczyzna odwrócił wzrok.

– Czy wiesz, kim jestem? – powtórzyłam.

Strażnik zamrugał. Patrzył gdzieś w próżnię nade mną.

– W moich oczach jest słońce – odpowiedział. – A nocą księżyc.

– A więc mnie nie widzisz. Sprytnie. Czy twój pan tak ci nakazał?

– W moich oczach jest słońce – powtórzył. – A nocą księżyc. – Spojrzał na mnie. – Królowa udaje się, dokąd zechce. Jest duchem. Albo ja nim jestem.

Zrobiło mi się go żal. Nie znałam kar, jakie spotykały tu zbrojnych za nieposłuszeństwo, ale podejrzewałam, że wyglądają one tak samo jak wszędzie. Zsunęłam pierścień z palca – najmniejszy, bez większego znaczenia – i dałam mu go.

– Masz rację – powiedziałam.

Położyłam dłoń na ramieniu Yafusha.

– Nie możesz tam ze mną iść – oświadczyłam łagodnie.

Zmarszczył brwi.

– Takie słowa z twoich ust chciałbym usłyszeć tylko wtedy, gdy będziesz gotowa wyruszyć na tamten świat, księżniczko.

Nachyliłam się i musnęliśmy się policzkami.

Odwróciłam się w kierunku schodów.

Wchodziłam na nie powoli. Ze względu na strażników udawałam, że ciąży mi tren sukni. Ostatnie dni wydawały się ciągnąć bardziej niż pół roku podróży. Spojrzałam na Yafusha, który stał na ostatnim stopniu i blokował przejście. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

Tego popołudnia, kiedy Shara przyniosła mi suknie, wybrałam tę o barwie rubinu. Tkanina przypłynęła z Hidushu zaledwie rok temu. Rubin. Twardy i nieustępliwy kamień, jak powiedziała mi kiedyś matka.

Potrzebowałam portów. Udziałów we flocie. Przywdziałam szatę.

Ale nie sprzedam się w zamian za nie, choć stopnie schodów pokonałam samotnie i po kryjomu jak nierządnicą.

Nieustraszona czy lekkomyślna...

Byłam przekonana, że Almaqah opuścił mnie już dawno temu – gdy przekroczyłam granice Saby, zostawiłam samą Sabę. Ale znał mnie każdy bóg – jeśli był bogiem. Modliłam się więc w ciszy do bogów owego miejsca, w tym do tego beziennego.

Wzięłam głęboki oddech i odryglowałam drzwi. Nie były ciężkie. Pchnęłam je.

Zmierzchało, słońce zalewało zachodnie niebo jak krew. Moje nozdrza wypełniła woń róż i kwiatów migdałowca.

Wyszłam na taras z widokiem na bujną zieleń. Wysoko położony ogród przed apartamentem był jakies trzy razy większy od mojego. Przez okiennice rzeźbione w skale wapiennej przeświecało światło lampy. Półprzezroczyste zasłony w

otwartych podwójnych drzwiach, oświetlone z zewnątrz, delikatnie kołysały się na wietrze.

Panowała całkowita cisza. Żadnych dźwięków oprócz trzasków pochodni.

Czy król był w środku? To nie miało znaczenia; nie zaryzykuję wejścia tam, by ktoś nie dostrzegł, że czekam w jego komnatach niczym rozpustnica.

Odwróciłam się na pięcie.

– Zaczekaj.

Dźwięk tego głosu mnie przestraszył. Nie widziałam nikogo. I nie był to głos króla.

Był to jego własny głos. Bez królewskiego tonu.

Odwróciłam się powoli i spostrzegłam postać wyłaniającą się z cienia zalegającego w najdalszym kącie ogrodu.

– W co ty ze mną grasz?! – krzyknęłam. – Jak to wygląda przed dworzaniemi, którzy mijają twoje komnaty? I co z twoją nową żoną? Co pomyśli ktokolwiek, kto widzi mojego eunucha na schodach? – Gniew, który dusiłam w sobie, wreszcie wybuchnął.

Podszedł do mnie. Dostrzegłam, że nie miał na sobie tych wszystkich wspaniałości co za pierwszym razem – jedynym razem, gdy go widziałam. Odział się jedynie w prostą płócienną tunikę i płaszcz. Na palcu miał złoty pierścień.

Teraz już wiedziałam, kto inspirował Tamrina. Król ten miał wpływ na wszystkich wokół siebie nawet w najdrobniejszych sprawach.

– Zawołaj więc swojego eunucha – powiedział cicho.

– Powiedziałaś, że mam przyjść sama.

Zbliżył się do mnie na odległość ramienia.

– Kobieta pełna tajemnic – szepnął. – Wypełniłaś moją salę w chwili, gdy przekroczyłaś jej progi. Uniosłaś się nad basenem. A jednak widzę, że drobna z ciebie istota. Czy pozwolisz mi dotknąć swej dłoni, nim go zawołasz? – Uśmiech-

nał się lekko. – On wygląda groźnie.

– Myślałam, że nie macie zwyczaju dotykać innych kobiet poza waszymi żonami – powiedziałam. – Skąd taka niestosowna prośba?

– To niestosowne w oczach innych. Zwyczaj ten obowiązuje po to, by nie wzbudzać zgorszenia w obserwatorach. Ale nas nikt nie widzi. Dotknę tylko dłoni, która spisała te wszystkie skierowane do mnie słowa. Dłoni Zagadki. Policzę to za więcej niż jakikolwiek inny dar, który przywiozłaś tu przez piaski.

– Czy nie wystarczy, że przybyłam z drugiego krańca świata? Że stoję sama na twoim tarasie, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, po tym, jak kazałeś mi czekać przez te wszystkie dni?

Spuścił wzrok.

– Myślałem... – Pokręcił głową. – Głupiec ze mnie.

– Co myślałeś?

– Myślałem, że pošlesz mi wiadomość. Cokolwiek, choćby podziękowanie za podarki. Czekałem.

– Dlaczego, skoro tu jestem? Po cóż przybyłam, jeśli nie po to, by porozmawiać z tobą twarzą w twarz?

Jego oczy były jak z kamienia.

– Czy naprawdę nie wiesz, że twoje słowa przywróciły mnie do życia? Wskrzesiły mnie – tak, ponieważ były echem moich własnych myśli. Czy może jesteś tak niedługo na tronie i zaznałeś tak niewielu trudów władzy, że nie masz pojęcia o samotności?

Odwrociłam wzrok.

– Aha. – Podszedł nieco bliżej. – Myślisz, że dlaczego kazałem ci posłać emisariusza? Tobie, która zbywasz królów milczeniem?

– Ponieważ, wbrew wszelkiej logice, więcej osiągniesz za sprawą prowokacji niż pochlebstwa.

Zaśmiał się łagodnie.

– Widzisz zatem, jestem chłopcem, który ciągnie cię za włosy. Za co uderzyłaś mnie w twarz. Pycha, pochlebstwo, flirt – wszystko to bym odrzucił. Ale ty udobruchałaś mnie opowieścią o ogrodzie.

Nie ośmieliłabym się przyznać, że pisanie tych słówomal mnie nie rozbiło. Po dłuższej chwili wyciągnęłam rękę.

Z jego ust wymknęło się łagodne westchnienie. Ujął moje palce – delikatnie, jak ptaka, który w każdej chwili może odfrunąć.

Dotknął kciukiem pomalowanego henną paznokcia. Wyglądał, jakby odczytywał wzór zapisany na wewnętrznej stronie mojego przedramienia. Po nim również przeciągnął kciukiem, jakby nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego.

Cofnęłam rękę, a on wpatrywał się w swoją – w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą spoczywała moja dłoń. Nagle się wyprostował.

– Zawołaj eunucha, jeśli to cię uspokoi.

Odwróciłam się w stronę schodów i otworzyłam drzwi. Yafush stał dokładnie w tym samym miejscu. Na mój widok pokonał schody zwinnymi, wielkimi susami.

– Spokojnie. Wszystko dobrze – zapewniłam go.

Wróciłam do ogrodu. Nie chciałam przyznać się nawet przed sobą, że czułam się lepiej, gdy Yafush zamknął za sobą drzwi.

Król odszedł kilka kroków, a ja podążyłam za nim. Przez chwilę nic nie mówił.

– Co tu robiłeś, siedząc w ciszy? – spytałam.

Położył dłonie na balustradzie i spojrzał przez nią.

– Przychodzę tu co noc od czasu twojego przyjazdu. Mówiłem ci: czekałem.

– Co o tym myśli twoja najnowsza żona?

– Jestem pewien, że czuje ulgę, bo nie musi mi towarzyszyć.

Omali nie spytałam, czy jest aż tak nieudolny w sztuce kochania, ale ugryzłam się w język.

– Dlaczego wysłałeś moich możnych na wycieczkę bez mojej wiedzy?

– Ponieważ... – zaczął z westchnieniem, nie patrząc na mnie – ponieważ wiem, po co tu przybyliście.

Podszedł do mnie ponownie. Wydawało się, że znów ujmie moją dłoń. A jednak się powstrzymał.

– Chcę pokazać ci swoje królestwo – powiedział ufnie jak chłopiec.

– Podczas gdy moim możnym pokazujesz Gezer, swoją największą zdobycz?

Machnął ręką.

– Twój dworzanin Khalkharib jest lojalny, ale krótkowzroczny. A twój krewny Niman jest ambitny. Widzę to doskonale. Nie mam z nich pożytku. Ale ty, Pani Zagadko... Pozostajesz dla mnie tajemnicą.

– Dla wielkiego i mądrego króla? Nie jestem tajemnicą. Jestem Sabą, a twoja nowa flota zagraża mojej przyszłości i karawanom. Ale jeśli porozmawiamy o zawarciu p...

Uniósł dłoń.

– Na to mamy czas. Są rzeczy, które chcę o tobie wiedzieć.

– W moim kraju trzeba wystosować specjalną prośbę w tej sprawie.

– A zatem wystosuję prośbę – powiedział, lekko zniecierpliwiony. – Są sprawy, które powinnaś zrozumieć. Jutro chciałbym pokazać ci swoje miasto. A w nocy wydam przyjęcie na cześć twoją i twojej świty.

– Nie zostałam wcześniej poinformowana o tym przyjęciu – odparłam. Znowu wzbierało we mnie oburzenie. Zdawałam sobie sprawę z tego, że za każdym razem brało się ono bardziej z poczucia bezsilności niż z prawdziwego gniewu. Nawykłam do podejmowania decyzji o porze wszystkiego, w czym brałam udział. Teraz czułam się przyparta do muru.

– Właśnie to postanowiłem.

– Udam się z tobą do miasta – powiedziałam. – Ale musisz uczynić dla mnie jedną rzecz.

– Tak?

– Nie myśl sobie, że możesz mnie wodzić za nos czy dalej znieważać, każąc mi tu przychodzić potajemnie.

– Uważasz, że to zniewaga? – Uniósł brwi. Nie byłam w stanie stwierdzić, czy było to zdziwienie szczere, czy udawane. – Nigdzie indziej nie mogę cieszyć się prywatnością!

– Jesteś mężczyzną w męskim królestwie. Gdybym była Baal-Eserem z Fenicji, nie byłoby tematu. Przecież nie muszę ci tego tłumaczyć.

– Gdybyś była Baal-Eserem, nie zaprosiłbym cię do swego ogrodu.

– W rzeczy samej.

– Nie krzywdzę kobiet.

– Nie powiedziałam tego.

– A jednak czujesz się śmielsza z eunuchem u boku.

– A czy od Baal-Esera odsuwałbyś doradców? A jego przyzywał z oficjalnej komnaty?

– Czyż nie pojmujesz? Jestem zmęczony sojuszami i negocjacjami. I ty także, widzę to.

Wystarczyło kilkaset żon, by się znużył, pomyślałam złośliwie.

– A po cóż przybyłam, jeśli nie po to? – spytałam. – Zażądałeś moich posłańców i zagroziłeś przyszłości mego królestwa. Cóż, dałam ci coś lepszego od emisariuszy. Ale nie myśl, że przybyłam kosztować lokalnych przysmaków.

Wyraz jego twarzy się zmienił. Przez chwilę król wyglądał na zranionego.

– Jesteśmy do siebie podobni: ty i ja. Ale jeśli przybyłaś tylko po sojusz,

moja odpowiedź brzmi: nie.

Zamrugalam.

– Nie mówisz poważnie.

– A jednak tak właśnie jest. Możesz próbować mnie złamać, ale przyrzekam ci, że będziesz musiała mocno się postarać. Będą to wysiłki, do których nie wiem, czy będziesz zdolna. Nawet jeśli będziesz chciała.

Otworzyłam usta ze zdumienia.

– Teraz, kiedy już wiesz, że nic z tego, czy wybierzesz się ze mną do miasta?

– Twoja świątynia nie będzie miała kadzideł? Czy twój bóg nie nakazał ci palenia ich? Jak spełnisz jego prośbę?

– Naprawdę sądzisz, że nigdzie indziej na świecie nie znajdę kadzideł?

– Nie dostaniesz złota Saby...

Rozłożył ramiona, a następnie wskazał na pałac i świątynię.

– A po co mi złoto?

– Nie będziesz mógł sobie pozwolić na kolejną żonę!

Roześmiał się głośno.

– A na cóż mi jeszcze jedna żona?

– Po co więc przyjechałam? – spytałam.

– Myślałem, że jesteś mądra – odparł.

– Nie mogę wrócić z pustymi rękoma. Wiesz to równie dobrze jak ja. Moja rada zażąda wojny.

Machnął ręką.

– Poślę dary, które wprawia twój dwór w osłupienie. Są inne trasy dla karawan. Możecie udać się na wschód, w kierunku wielkiej zatoki, między dwie rzeki...

Z trudem powstrzymałam atak paniki. Starłam się chwycić najdrobniejszego choćby fortelu, by zmienić jego kaprys. Byłam przygotowana na wiele ewentualności, ale nie na taką.

Wyobraziłam sobie planszę do gry w seneta, pionek przynależny do pola. Położyłam dłonie na balustradzie.

– Skoro ty jesteś zmęczony sojuszami i rozmowami, to ja jestem zmęczona podarkami. Najwyraźniej znaleźliśmy się w impasie – powiedziałam po prostu. Starłam się stłumić w sobie narastające poczucie, że chyba postradałam zmysły.

– Najwyraźniej – wyszeptał.

Gdzieś pośród mroku ptak zaśpiewał swoją nocną pieśń, a matka zawołała dzieci do domu.

– Mogę wyruszyć do Saby dopiero późną jesienią. Możemy więc równie dobrze iść do miasta i ucztować, jakbyśmy mieli wkrótce umrzeć.

Nie tyle zauważyłam, co poczułam, że przygląda mi się przez ramię.

– Do zobaczenia jutro, królu Salomonie – powiedziałam na odchodne.

Niech myśli, że ze mną wygrał.

•••

Tamtej nocy wróciłam do apartamentu i zamknęłam się w wewnętrznej komnacie. Oparłam się o drzwi, przywierając do nich czołem.

Chwilę później zdjęłam welon i zwymiotowałam do nocnika.

Byłam nieustraszona. Byłam lekkomyślna.

Teraz muszę zachować roztropność.

Egipt był słaby. Baal-Eser dopiero co zasiadł na tronie. Statków nie ukończono. A ja, byłam tego pewna, nigdy więcej nie odbędę już takiej podróży.

Jak to możliwe, że po jednej rozmowie miałam mniej niż na początku – jakbym w ogóle nie przybyła tu z drugiego krańca świata?

Miałam pół roku, by przekonać kapryśnego króla. By zabezpieczyć przyszłość Saby.

Ale kiedy nie mogłam w nocy spać, nie potrafiłam wymyślić, na czym mogłabym się oprzeć. Nie wzruszą go kadzidła ani złoto. Był zmęczony układami. Gardził pochlebstwami. Zastanawiałam się, ile kobiet budziło w nim wstręt uciekaniem się do zwykłych sztuczek.

Bardzo pragnął pokazać mi swoje miasto. Z pewnością nie po to, bym je wychwalała – tego bez wątplenia miał dość.

Przyglądał się mojej dłoni, jakby była cudem.

A więc chciał czegoś, co mógłby czcić.

Ale przecież uznawał swojego boga za pana wszystkiego.

Był znużony złotem i bogactwami, a jednak dążył do nich, jakby był od nich uzależniony.

A więc pragnął majątku. Ale przecież go miał.

Rwałałam sobie włosy z głowy. Wyszłam na taras, by popatrzeć na beznamietny księżyc. Co poruszy króla, dla którego kolejne zdobycze straciły już blask?

Westchnęłam i miałam zamiar wrócić do środka. Nagle zauważyłam ruch na

jednym z dachów znajdujących się poniżej. Mężczyzna podszedł do jego krawędzi i wpatrywał się w niebo – podobnie jak ja chwilę wcześniej.

Kim był? Kupcem? Skrybą? Nad czym zastanawiał się o tej późnej godzinie? Jakie sprawy nękały jego duszę? Dostawa oliwy? Nieukończona praca?

Przez cały czas oświeślał nas księżyc – zarówno królową, jak i zwykłego śmiertelnika.

Czy król również przechadzał się teraz po tarasie? Co powstrzymywało go od spoczynku? Nie wrogie wojska. Nie brak ciepła kobiety w łożu. Almagah wiedział, że miał inną każdej nocy i nie był w stanie osiąść ich wszystkich w ciągu roku.

Nazywał mnie Panią Zagadką. Ale to ja nie wiedziałam, co czynić.

„Są rzeczy, które chcę o tobie wiedzieć”, powiedział. „Są sprawy, które powinnaś zrozumieć”.

Raz jeszcze spojrzałam na dach poniżej, ale mężczyzny już nie było. Ciekawe, czy wrócił do łóżka równie niespokojny jak królowa.

Nazajutrz poszłam z królem i niewielkim orszakiem sług, jego i moich. Shara przez cały ranek biadoliła nad cieniami pod moimi oczami. Oklepała je mlekiem i podkreśliła powieki grubszą kreską niż zazwyczaj. Zmęczenie opuściło mnie na widok króla, który czekał w pałacowym ogrodzie, jakby nigdy nie rozmawiał ze mną na osobności i nie pytał, czy może dotknąć mojej dłoni.

Kto słucha, doskonali się w korzyści. Przynajmniej tak twierdził pradawny mędrzec Ptahhotep, którego słowa odczytywałam nieustannie w gorsze dni.

Do tej pory skupiałam się na byciu słyszaną. Naprawię ten błąd. Teraz. Dzisiaj. I każdego dnia do czasu, aż wrócę do Saby ze statkami w garści.

Udaliśmy się do dolnej części miasta. Nie pozwoliłam służącym, by sprowadzili palankin. Dobrze było rozprostować nogi.

Przekrzywiłam głowę i okazywałam uprzejme zainteresowanie, gdy Salomon pokazywał mi miasto z czasów swojego ojca. Stary pałac z tarasami dawał teraz schronienie wielu królewskim doradcom i dowódcom wojsk. Wieża strzegła

źródła, z którego mieszkańcy Jerozolimy czerpali wodę.

– Wszystko to, od pałacu do świątyni na wzgórzu, wzniosłem ja – stwierdził król, strząsając jakiś pyłek ze swojego ramienia.

– Gdzie wcześniej znajdowała się świątynia? – spytałam.

– Naszą świątynią był namiot. Nasi ludzie przypominali dawnych Sabejczyków – zamieszkiwali namioty. Podobnie jak nasz Bóg.

– Twój ojciec wybudował miasto. Dlaczego nie wznosił też świątyni?

– Mój ojciec był wojownikiem, zabijał ludzi. Nie on miał wybudować dom Jahwe.

– A twoje ręce są czyste?

– Czy istnieje władca, który miałby ręce niesplamione krwią? Jeśli nie prawą, to lewą? A ty?

Nie musiałam odpowiadać.

– Świątynia stoi w miejscu, w którym mój ojciec wznosił ołtarz, i zarazem tam, gdzie Abraham miał poświęcić swego syna.

Jak długo mieliśmy się tak przekomarzać, jakbym przybyła tu tylko po to, by spacerować po jego mieście i wychwalać fenickie dzieła?

– Słyszałam tę opowieść – powiedziałam. – Czy sądzisz, że twój Abraham złożyłby ofiarę?

Pokręcił głową, nie patrząc na mnie.

– Któż to wie, do czego człowiek jest zdolny w imię jakiegokolwiek boga?

– Czy to z powodu boskiej władzy nad człowiekiem, czy może ludzkiej wiary w boga?

Wzruszył ramionami.

– A czy to jakaś różnica?

Przeszliśmy przez rynek, co wywołało natychmiastowe poruszenie. Kupcy,

gospodynie i chłopci rozstępowali się i kłaniali nisko. Salomon z rozkoszą zatrzymywał się przy każdym straganie. Wąchał morele i granaty z prostotą wiejskiego chłopca. Kupcy zapewniali oczywiście, że możemy wziąć, co tylko zechcemy – z pewnością później do końca życia nie ustawaliby w przechwałkach, że sam król docenił ich towary. Nie przyszedł tu kosztować moreli, ciast czy koziego sera – a wszystko to król podawał mi pod welonem.

– Królowej smakuje! – obwieszczał tryumfalnie.

Poszliśmy w kierunku pałacu.

– Czy inni bogowie nie są zazdrośni o to, że wybudowałeś tak wielką świątynię dla Jahwe, a nie dla nich?

– Ufundowałem miejsca kultu dla moich żon.

– Czy zatem twój bóg nie jest zazdrosny?

– Nie mam innego boga przed Nim. Jak widzisz, tylko Jego świątynia znajduje się w murach mego miasta.

– W jaki sposób możecie spodziewać się dobrych plonów, pomyślnego handlu? Płodności ziemi i łona? A może wasz bóg jest bogiem wszystkich tych rzeczy, a także burzy i gościnności?

– Jest Bogiem wszelkiego stworzenia.

– W Egipcie oddawanie czci jednemu bogu źle się skończyło. Naprawdę myślisz, że taki kult ma szansę przetrwać?

– Tylko jeśli czci się właściwego boga.

– Pośród tak wielu! A jeżeli wybrałeś złego? Czy nie martwisz się o to, że pamięć o tobie zostanie w odwecie wymazana, jak uczyniono to z Echnatonem?

– Nie – odparł łagodnie. – Ponieważ tak naprawdę to mój Bóg wybrał mnie.

Umilkłam.

Nie mogłam powstrzymać się od wspomnień dnia, w którym sama ogłosiłam się arcykapłanką. Od wizji wszystkich obrzędów, którym przewodniczyłam. Od

przypominania sobie nocy, gdy po raz pierwszy oddałam swoją własność bogu, którego nigdy wcześniej nie wyznawałam.

Wybrałam Almaqaha. Ale czy Almaqah wybrał mnie?

Zauważyłam, że Salomon przygląda mi się kątem oka.

– Skąd pewność, że bóg cię wybrał? – spytałam ciepło. – Przyszedł do ciebie we śnie? Kiedyś przyśniła mi się trzygłowa koza.

Podniósł kamień z ziemi i odrzucił go na bok.

– Ponieważ nigdy w to nie zwątpiłem.

Umilkłam ponownie.

– Chmurzysz czoło, królowo Bilkis.

– Zastanawiam się po prostu, czy to prawda, że podczas budowy twojej świątyni nie było słyhać pracy młotów – powiedziałam.

– To prawda.

– A, i słyszałam jeszcze od ciekawskiego dudka, który czasem siada na moim parapecie, że to dżiny wzniosły tę świątynię pod osłoną nocy.

Salomon się uśmiechnął.

– Ten ptaszek jest znany z przesadzonych opowieści. – Znów mi się przyjrzał. – Choć uważam, że w każdej jest coś z prawdy.

– A zatem twój ojciec był jak mój dziadek – zmieniłam temat. Udawałam, że przyglądam się czemuś na jednym z dachów. – Zjednoczył swój lud. Mamy dla takich ludzi specjalne określenie: *mukarrib*.

Tym razem król odwrócił się do mnie i westchnął z udawanym dramatyzmem.

– Dlaczego, droga królowo, czynisz porównania do swego dziadka? – Następnie zwrócił się do swych towarzyszy: – Zdaje mi się, że królowa i mnie właśnie uznała za starca!

Jakże łatwo stawał się beztroski! Ten król, który noc wcześniej twierdził, że udobruchała go moja opowieść, i nawet teraz brał interesy mego królestwa za zakładnika!

– Mamy w Sabie powiedzenie, że żywica z młodego drzewka może i jest bielsza, ale ta ze starszego piękniej pachnie.

Dworzanie roześmiali się głośno. Kilku z nich uprzejmie klasnęło w dłonie, kiedy mijaliśmy pałac.

– A zatem płynie w tobie krew nomadów. Tak jak i we mnie.

– Jak w nas wszystkich.

– Ale wy wędrowaliście jeszcze całkiem niedawno – zauważyłam. – Jak twoi ludzie radzą sobie w miastach? Czy są spokojni, czy wciąż tęsknią za namiotami?

Salomon westchnął.

– Każdy człowiek pamięta o swoich plemiennych korzeniach.

Kiedyś sama tak mówiłam.

– A prawa twojego ludu? Zostały nadane przez Jahwe, czyż nie? Jakie mają zastosowanie teraz, gdy osiedliście w miastach?

– Uczą nas, jak żyć we wspólnocie.

– Znam te prawa. Są rygorystyczne. Twój bóg jest wymagający. Czy twoi ludzie nie żyją przypadkiem w ciągłym strachu przed karą – jeśli nie ze strony kapłana czy króla, to samego boga? Czy twój bóg pragnie tylko bojaźni, a nie czci?

– On pragnie być kochany.

Wróciłam myślami do rozmowy z Asmem, przeprowadzonej całą wieczność temu.

– Jakim sposobem, nawet jako król, możesz znać zamiary boga?

– Ponieważ napisane jest: *Będziesz miłował swego Boga Jahwe z całego serca, z całej duszy i ze wszystkich swoich sił*[11].

– A jednak zabiegasz o jego względy: przestrzegasz praw, składasz ofiary. Jak my wszyscy. Czy to jest miłość?

Na te słowa nagle się zatrzymał. Wydawało się, że zapomniał o obecności innych.

– Jak można kochać bogów? Przez strach. A potem przez przyjaźń. Mój ojciec był przyjacielem Jahwe.

Zmrużyłam oczy. *Przyjaciel boga?*

– Mój Bóg jest inny – dodał. – Podobnie jak nasze prawa są inne.

– Czym różnią się od siebie prawa, które zakazują morderstwa, gwałtu i kradzieży? – spytałam, choć po głowie kołatały mi się setki innych pytań.

– Nasze prawa pochodzą od Boga, który mówi, że powinniśmy okazywać Mu szacunek poprzez okazywanie go innym. Kiedy karmimy głodnego bliźniego i nie okradamy go, okazujemy szacunek nie temu bliźniemu, lecz przedstawieniu Tego, który go stworzył. Mówisz, że nasz Bóg nie ma oblicza. To nieprawda. Twarz Jahwe jest w obliczu każdej napotkanej osoby, ponieważ uczyniono nas na Jego obraz. Żywi wymagają więcej życzliwości i czci niż jakikolwiek posążek.

Nigdy nie słyszałam czegoś tak odbiegającego od szkoły nagród i względów, kultu błogosławieństwa i przekleństwa. To zaprzeczało logice.

Zaśmiał się łagodnie. Wydawał się dziwnie zakłopotany.

– Zadajesz mi trudne pytania, pani.

– Odpowiadasz mi zrećźnie, panie.

– On filozofuje – powiedział mąż, który przedstawił mi się jako Jeroboam. Przemówił na tyle głośno, by król go usłyszał. – W tym tempie nigdy nie dojdziemy do świątyni.

– Przybył z północy, by złożyć raport o stanie siły roboczej. Ciekawe, kiedy wreszcie tam wróci – powiedział król donośnie, jakby do mnie. Jeroboam roześmiał się i poszedł dalej.

Popatrywałam na króla, gdy zmierzaliśmy ku bramie.

Podoba mu się to, pomyślałam.

Wkroczyliśmy na dziedziniec. Jakże inaczej wyglądała z tego miejsca świątynia! Pochłaniałam wzrokiem ogromny ołtarz. W każdym z jego czterech narożników znajdował się szpikulec. Naprzeciwko stał gigantyczny kocioł, wyższy od człowieka, wykonany z gliny pochodzącej z równin leżących nad rzeką Jordan. Spoczywał on na grzbietach dwunastu wołów z brązu – po jednym dla każdego z plemion Izraela, jak wyjaśnił król. Salomon wskazywał na przeciwległe strony dziedzińca i podawał jego długość i szerokość sprawnie, jakby robił to wielokrotnie.

Nad wszystkim unosiła się woń pieczonego mięsa. Skądś – z balkonu? – dobiegały muzyka i śpiew.

Wskazałam na budynek. Złotych, składanych drzwi strzegły dwie ogromne kolumny z brązu przypominające palmy daktylowe.

– Czy możemy wejść do środka?

– Nie wolno nam, ponieważ jesteś kapłanką innego boga. – Król zaczął opisywać ogromne cheruby, które znajdują się w świątyni, złote palmy i girlandy kwiecista na jej murach. Domyślałam się, że przypominały one te na drzwiach zewnętrznych. Mówił o komnacie za zasłoną, w której ustawiono złotą arkę – *markab*. Nad nią, niczym zjawa, unosił się jego niewidzialny bóg.

– W dniu, w którym arkę wprowadzono do świątyni i zamieszkał w niej Jahwe, ofiary trzeba było rozłożyć na całym dziedzińcu, gdyż ołtarz nie był w stanie ich pomieścić. Dwadzieścia dwa tysiące wołów. Sto dwadzieścia tysięcy owiec[12].

Widziałam już ofiary z tysiąca zwierząt. Ale dwadzieścia dwa tysiące? Sto dwadzieścia tysięcy? Przewodniczyłam niezliczonym ofiarom, nie potrafiłam jednak wyobrazić sobie takiej ilości krwi.

Nagle pożałowałam, że rano nic nie zjadłam. Zapach mięsa był bardzo silny. Pieśń kapłanów rozbrzmiewała w moich uszach. Raz jeszcze spojrzałam na woły pod kotłem – trzy zwrócone były na północ, trzy na południe, po trzy na wschód i zachód. Wydawało mi się, że jeden z nich zadrżał...

Spójrz, pomyślałam. Rozchodzą się w różnych kierunkach. Kocion spadnie, a jego zawartość się rozleje! Uniosłam dłonie i osłoniłam uszy przed hukem. Ktoś mnie podtrzymał. Król.

– Moja pani, dobrze się czujesz?

Spojrzałam szybko na kocion. Ale nie, woły stały w miejscu, nieruchome jak na posągi przystało.

– To wszystko jest wspaniałe – wyszeptałam. Miałam nadzieję, że nie zemdleję tutaj, na dziedzińcu świątyni. – I dwukrotnie przewyższa opowieści, którym i tak nie dawałam wiary.

Po części powiedziałam to, ponieważ była to prawda, a po części dlatego, że czułam, jak bardzo pragnie to usłyszeć. A także dlatego, że nie mogłam już dłużej stać. Dzwoniło mi w uszach.

– Chciałabym złożyć tu dar ze zwierząt ofiarnych – usłyszałam swoje słowa. – Niech zrobi to twój przedstawiciel, jeśli ja nie mogę. Mówiłeś, że w środku jest arka...

Nasi towarzysze zwrócili się do wyjścia. Na szczęście obraz zaczął mi się już wyostriać.

– Tak, to Arka Przymierza – między moim Bogiem a ludem. Wewnątrz znajdują się kamienne tablice z dziesięcioma przykazaniami.

– Podobna arka stanowi symbol mojego urzędu. Widziałeś ją w dniu, w którym wkroczyłam do miasta.

– W Egipcie też mają podobne skrzynie – powiedział. – Ale nie takie.

Oczywiście.

– Ponieważ ta nie jest siedzibą ziemskiego suwerena – powiedział. – Ale suwerennego Boga. Bóg mieszka tutaj, w świątyni, i nawet kapłani nie mogą wchodzić do najświętszego miejsca – jedynie raz w roku, i to z drzeniem, pośród chmury kadzidła, by nie patrzeć na Jedynego.

– Czy nie macie kapłanek? – spytałam nagle.

Salomon pokręcił głową.

– To niedozwolone.

Nic dziwnego, że jego żony czciły innych bogów.

Wróciliśmy do pałacu, by zwiedzić plac budowy. Król wskazał trzy kondygnacje z kamienia i cedrowe belki ułożone przed czwartą, zasypane żwirem – to fenicki pomysł na ochronę budynku przed trzęsieniami ziemi.

Interesowałam się każdą z tych rzeczy, ale przez cały czas gnębiły mnie pytania o to, czego król pragnął i jak stoczyć tę batalię tęgich umysłów.

Król cenił sobie zagadkowość. Podważał logikę, łaknął chwały i z czcią dotykał moich dłoni. Stanowił układankę. Musiałam ją prędko zrozumieć.

...

Kolejnego wieczoru uczestniczyłam w przyjęciu w sali królewskiej. Moi doradcy i handlarz wciąż oddawali się zwiedzaniu. Byli za to Jeroboam – ten młody, podobno obiecujący człowiek, z którym król żartował wcześniej i który służył u kierownika robót, syn królewskiego brata Natana, a także synowie Tashere i Namy. Zauważyłam, że te dwie żony nie siedziały obok siebie.

– Ten młody człowiek... – zaczął Salomon, kładąc dłoń na karku Jeroboama – jest dla mnie jak syn. To moja duma, ten, który przyczynia się do mojej radości – powiedział ze śmiechem.

Jeroboam otworzył usta, aby się sprzeciwić.

– Jest aż nadto pobożny, aż nadto dokładnie wysłuchuje tyrad mojego proroka i potrafi mnie zbesztać. Nie nauczył się, że nierozsądnie jest stawiać królowi wyzwania, ale jest jeszcze młody. W końcu i tak przeciągnę go na swoją stronę. Przy nim muszę się mieć na baczności. – Poklepał go po ramieniu. Pomimo tych słów było oczywiste, że traktuje Jeroboama z czułością.

– Król ceni swojego proroka, ale tylko dlatego, że się z nim nie zgadza – powiedział Jeroboam.

– W rzeczy samej. – Salomon pokiwał głową.

– Nikt, kto zbyt ochoczo się z tobą zgadza, nie może mówić prawdy.

Nie dodałam, że na moim dworze opozycjonistom groziło uduszenie.

Głośno podziwiałam tancerzy i muzyków. Ale zauważyłam, że król wycofał się i przycichł.

Rozsiedliśmy się, narzekaliśmy na przepełnione brzuchy i jednocześnie komplementowaliśmy kuchnię i egzotyczne dania. Następnie nadworny skryba Elichoref zaczął zabawiać nas opowieściami o Jakubie i innych ojcach religii Jahwe.

– Nie wiedziałam, że skrybowie mogą być tak pełni wigoru, miłować zarówno słowo mówione, jak i pisane! – wykrzyknęłam. Oczywiście, to tylko częściowo była prawda. Skryba mojego ojca, pozwalający mi wchodzić do biblioteki, również pięknie opowiadał, nawet kiedy byłam jego jedyną słuchaczką.

Zauważyłam, że król przygląda się tkaninie mojego welonu, jakby starał się domyślić wyglądu mego oblicza – tak jak wypełnia się mozaikę brakującymi kawałkami.

– Historie, które dla nas przepadły, dla nich wciąż są żywe – powiedział Salomon. – W opowieściach odnajduję wielką wartość. Są one spoiwem naszej tożsamości. Przypominają o naszym złączeniu się w naród. Dlatego wspieram każdą sztukę, muzykę, poezję... jak sama dobrze wiesz. Jak inaczej mielibyśmy doścignąć umysły bogów... lub demonów, które nas nękają? – Jego wzrok powędrował do moich oczu, a potem znów padł na welon.

Olśniło mnie, że tajemnica mego oblicza zajmowała go bardziej, niż mogłoby to sprawić jego rzeczywisty wygląd.

Jakież udręki cierpię. Jakże mnie zachwycasz...

Nie był typem człowieka, który pragnął zwykłych pertraktacji. Nie chciał boga o obliczu wyrytym w skale. Ani kobiety, która nie kryła w sobie żadnej tajemnicy.

Zaczęłam to pojmować.

...

Później poprosiłam o zwolnienie z przyjęcia w imieniu moich towarzyszy, którzy drzemali już na sofach.

– Widzisz, nawet moje dziewczęta posnęły – powiedziałam.

Ponownie wymknęłam się ze swojego apartamentu z Yafushem i udałam się po schodach do ogrodu.

Król czekał. Z całą pewnością nie wydawało mi się: przez jego twarz przemknął cień ulgi.

– Myślałem, że już nigdy nie przybędziesz do tego ogrodu – powiedział, podchodząc do mnie. – Popadłem w melancholię, kiedy rozmyślałem o tym w trakcie posiłku.

– A jednak jestem – odparłam. – Tak jak powiadasz, nigdzie indziej nie znamy prywatności. Wybacz mi, że zarzuciłam ci zniewagę.

– Wczoraj nie czułaś się dobrze – powiedział. Pochylił lekko głowę i spojrzał mi w oczy.

– Aż tak wszytkowiedzący nie jesteś, by to zauważyć.

– Czyż zapomniałaś, że dorastałem w haremie? Rozumiem niemy język kobiet o wiele lepiej niż większość mężczyzn. Ośmielę się stwierdzić, że nawet lepiej niż niektóre kobiety.

– Almaqah wie, że masz wystarczająco dużo żon, by posługiwać się biegle tym językiem.

Roześmiał się głośno. Ten dźwięk przetoczył się po ogrodzie niczym silny podmuch wiatru.

– Dobrze udawałaś zainteresowanie moimi budowlami.

– Nie udawałam. A może zapomniałeś, że Saba to kraj wielkiej tamy i nie jednej, lecz wielu świątyń?

– Nie zapomniałem.

Usiedliśmy. Tam, gdzie pierwszej nocy było przygotowane jedno siedzisko, teraz znajdowały się dwa – ustawione nie przodem do siebie lub przy sobie, jak dla bliskich, lecz pod kątem. Sprytnie.

– Powiedz mi, w której świątyni mieszka twój bóg? – spytał Salomon.

– We wszystkich – odpowiedziałam, nieco zaskoczona. – Jest wszędzie tam, gdzie sięga światło księżyca i słońca. Dlatego święte miejsca są otwarte na niebo.

– A czy bez waszych ofiar twój ojciec, bóg księżyca, nie rozpocznie swego cyklu na nowo?

Westchnęłam.

– Oczywiście, że rozpocznie. Wiesz równie dobrze jak ja, że składamy ofiary nie dla boga, a dla siebie. Jaki pożytek mają bogowie z mięsa, krwi czy ze złota? Czynimy bogów na nasze podobieństwo, tak jak mówiłeś, że Jahwe uczynił was na swoje.

Czułam jego wzrok na sobie, ale myślami wróciłam do rozmowy z Asmem odbytej w pierwszych dniach mojego panowania.

– W takim sensie dostrzegam mądrość twego niewidzialnego Jahwe – dodałam. – Tego z twoich opowieści, który wyrzeka się podobizny czy imienia i pozostaje JA JESTEM. Boga, którego należy dostrzegać w twarzach innych. Myślałam o tym przez cały dzień.

W migoczącym świetle pochodni jego twarz się zmieniła. Po melancholii nie pozostał nawet ślad.

– Słyszałem opowieści o tobie – powiedział cicho. – I o arce, którą nazywasz *markab*. Czy są prawdziwe?

– To zależy, co słyszałeś.

– Że wskoczyłaś do arki z drzewa akacjowego i zagrzewałaś swych ludzi do walki, dzięki czemu przyniosłaś im zwycięstwo. Przyznaję, że kiedy przybyłaś do Jerozolimy, po części spodziewałem się dzikiej kobiety z gór o pomalowanej twa-

rzy. Nie kłamałaś, że słońce wzejdzie na południu! Zdaniem ludzi z miasta, twoja karawana lśniła niczym ognisty promień. Choć później twierdzili oni, że wyglądało to raczej jak wąż. Ponieważ, oczywiście, jesteś nieczysta.

– Oczywiście.

– A jednak, kiedy stałem tu, w ogrodzie, poczułem najpierw zapach twoich perfum.

– A to, jak domniemywam, czyni ze mnie jakiegoś demona.

Machnął ręką.

– Te wątpliwości już dawno zostały rozwiane. Pokazałaś stopy, które bynajmniej nie okazały się kozimi racicami.

– Czy tylko w tym celu kazałaś umieścić w sali basen? – Zbladłam.

– Owszem. Ukończono go dopiero na dzień przed twoim przybyciem. Chciałem zniszczyć tę plotkę.

– Skąd wiedziałeś, że nie jest prawdziwa?

Posłał mi pocieszne spojrzenie.

Zachichotałam.

– Dlaczego nie obeszłaś go dookoła?

– Bo tak. Po tak długiej podróży przez piaski pomyślałam, że będzie to wyborne uczucie.

Parsknął śmiechem.

Nie dodałam, że chciałam przez to przekazać: nic mnie nie powstrzyma.

– Skoro zdaniem twoich ludzi, byłam demonem o kozich racicach, to dlaczego nie pomyśleli też, że Mojżesz był czarownikiem? Czyż nie przemienił laski w węża, nie wydobyl wody ze skały i nie uczynił innych cudów?

Zaśmialiśmy się razem. Później zadawał mi wiele pytań o mego ojca i moją matkę. Dziwił się, jak to się stało, że pochodzili z tego samego plemienia.

– Zrodziłam się z miłości – stwierdziłam po prostu.

– Podobnie jak ja. – Przez jego twarz przemknął jakby smutek. – Nie jestem nawet pierworodnym synem mojego ojca. Ani drugim, ani trzecim, ani nawet piątym. Ale to ja miałem zostać królem. Któremu przyśni się Bóg.

Coś nie dawało mi spokoju. Znów stanął mi przed oczami obraz wołów, które rozchodziły się na wszystkie strony. Dlaczego do mnie powracał?

– Czy twoje żony nie złoścą się, że nie towarzyszysz tej nocy którejś z nich? – spytałam po chwili.

Wzruszył ramionami.

– W haremie z pewnością śledzi się kobiety, które wychodzą i wracają. Tashere i Naama na pewno prowadzą takie statystyki.

Westchnął i przeciągnął dłonią po twarzy.

– Tak, przychodzą zabiegać o moje względy swymi palcami i delikatnym dotykiem ust.

A zatem cenił każdą chwilę, w której niczego od niego nie chciałam. Ale jakże miałam postępować tak dalej? Znów zdałam sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Musiałam prowadzić negocjacje bez negocjacji, prosić, nie wypowiadając tego na głos!

– Oczywiście, że tak. Ich mąż, jeśli nie król, to jedyna widownia, jaką mają.

Oparłam się o poduszkę.

– Mój pałac w Sabie jest ozdobiony kością słoniową i klejnotami. Alabastrowe tarcze przepuszczają światło do środka. Wszędzie jest złoto. I spojrzenia. I dworzanie. Wszędzie. Codziennie dostaję propozycje sojuszu to od jednego, to od drugiego plemienia... Powiedziałam kapłanowi, że chyba wiem, jak to jest być bogiem – nie z pychy, ale ponieważ zauważyłam, jak trudno stwierdzić, czy jest się naprawdę kochanym, czy też traktowanym jak źródło przywilejów.

Wpatrywał się we mnie w ciszy.

– Z pewnością każdy król przyznałby mi rację – mówiłam dalej. – Ale ja, choć nikomu jeszcze tego nie mówiłam, zaczęłam wątpić w miłość. Zaczęłam myśleć, że to tylko układ. „Będę cię kochać, jeśli mnie zadowolisz”. „Będę cię kochać, jeśli nie będziesz pożądać innego”. „Będę cię kochać, jeśli...” I tak dalej, i tak dalej.

Powiedziałam to, co uważałam za prawdę. Jak sądziłam, ląknął takich rozmów. Wiedziałam, że mnie zrozumie. Może miałam nadzieję, że rzuci spostrzeżenie podobne do tego, które tak mnie wczoraj zmieszało. Ale zamiast tego spuścił głowę i zasłonił twarz.

Siedział tak przez bardzo długą chwilę.

– To zabolalo – powiedział stłumionym głosem. – Zraniłaś mnie tymi słowami.

– Zraniłam? To tylko próżna gadanina. Wyrzuć ją z pamięci, jeśli cię rani.

– Nie mogę. Ponieważ wiem, że to prawda. Oto siedzimy tutaj, oboje zrodzeni z miłości, snując takie ponure refleksje! Czy zaznałaś kiedyś innej miłości?

– Tak. Od matki.

– Nie takiej.

– Od Shary, mojej służki.

– Od mężczyzny.

Znieruchomiałam.

– Aha – powiedział łagodnie. – Jest ci czego zazdrościć, posiadasz bowiem coś, co dane jest niewielu władcom.

– Już tego nie posiadam – odparłam i wstałam, by wyjść.

Złapał mnie za rękę.

– Nie odchodź. Jeszcze nie.

– Zostanę, jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie.

– Jakież to?

– Czego pragniesz bardziej od miłości?

Zwolnił uścisk.

– Śpij dobrze, Szebo.

•••

Tamtej nocy po powrocie do komnaty, długo po tym, jak pozostali posnęli, wertowałam listy od niego przy świetle lampy i przywoływałam w pamięci własne słowa, zdanie po zdaniu.

Tuż przed świtem zatrzymałam się na jednym wersecie.

Nawet bogowie chcą zostać poznani.

Oto słowa, które poruszyły go od samego początku, zapisane przeze mnie w przyływie emocji.

[11] Pwt 6,5; przyp. red.

[12] Liczby podano za Biblią Poznańską (2 Krn 7,5); przyp. red.

Pot spływał mi strugami pod suknią. Choć siedziałam w królewskiej lektyce, wciąż oganiałam się od much. Tak było przez całą drogę do Gezeru. W końcu dotarliśmy do murów miasta i wiatr znad zachodnich wód przyniósł nam ukojenie.

W Gezerze spotkaliśmy się z Khalkharibem i Nimanem. Salomon roześmiał się na widok zaskoczenia malującego się na ich twarzach, kiedy wieczorem pojawiliśmy się, jakby za sprawą magii, za królewskim stołem.

Trwał miesiąc tamuz. Poza Świętem Tygodni – w tym okresie przemierzałam sale pałacowe i sabejskie obozowisko przez siedem niespokojnych dni – i dwukrotnym nowiem od mojego przyjazdu król i ja widywaliśmy się codziennie. Wychodziliśmy poza mury miasta, doglądaliśmy drzew oliwnych i szliśmy w góry, aby pobawić się z tegorocznymi jagniętami. Przemykaliśmy piwnicami i niezliczonymi tunelami pod miastem jak dzieci. Yafush i strażnicy króla podążali za nami z pochodniami, zanurzeni w zatęchłej ciemności.

Zgadzałam się na każde wyjście, przyjęcie, uroczystość w pałacu i przygodę poza jego murami, po których niezmiennie kontynuowaliśmy rozmowy rozpoczęte przy obiedzie w jego prywatnym ogrodzie.

Przez cały czas z rosnącym niepokojem myślałam o tym, że dni mijają. Nie posunęłam się w negocjacjach ani o krok – nawet nie podjęłam na nowo rozmów.

Przyznawszy to przed sobą, zmuszałam się do odegnania tej myśli. Nie tak należy postępować z królem, który już raz odmówił. Było dopiero lato. Miałam czas.

Król przestał odwiedzać swój harem. Gdy po raz drugi gościłam u Tashere, nie omieszkała o tym wspomnieć, uniósłszy brwi.

Cóż, nic nie mogłam na to poradzić. Ani na plotki, które bez wątplenia krążyły po komnatach haremu.

Wieczorem, kiedy dołączyliśmy do moich radnych, Khalkharib opowiadał z

entuzjazmem o nowych umocnieniach i bramach z wnękami w Gezerze, wyraźnie podniecony wszystkim, co widział.

– A tobie, moja pani, jak się powodzi? – spytał, gdy znaleźliśmy się na korytarzu tylko we dwoje. Miał na myśli zarówno moje samopoczucie, jak i interesy polityczne.

Dobre pytanie.

– Nie najgorzej. – Nie powiedziałam ani jemu, ani Nimanowi, który do nas dołączył, o bitwie toczonej z samą sobą, o pojedynku na słowa i zamiary.

– Uważam... – Khalkharib zacisnął usta. Ten najbardziej opanowany i gburowaty z moich ludzi po raz pierwszy, odkąd pamiętałam, tak starannie dobierał słowa. – Uważam, że Sabie przyda się sojusz z tym królem. Teraz, kiedy na własne oczy widzę ruch na jego drogach... Ten władca wydaje się prawdziwym innowatorem.

Takie słowa z ust radnego, który był wcześniej skłonny jedynie do wojaczki!

– Kim jest człowiek, który kryje się za twarzą Khalkhariba? – spytałam, udając zdumienie.

Przez chwilę właściwie poczułam się nim rozczarowana. Czy nikt już nie był odporny na rosnące wpływy tego młodego królestwa i perswazyjne działania króla?

Niman zmarszczył brwi, a ja przypomniałam sobie, jak ocenił go król. „Jest ambitny”.

– Porozmawiam o tym z królem w twoim imieniu, kuzynko – powiedział.

Ależ oczywiście, że to uczyni. Który ambitny człowiek nie chciałby zwać króla swym krewnym? A skoro proponowane przez moich radnych małżeństwo raczej nie przyniesie dziedzica, Niman miał nadzieję, że będę go tak nazywać.

– Rozważę to – odparłam, choć wcale nie brałam tego pod uwagę.

W Megiddo, ważnym mieście przy trasie przybrzeżnej i zarazem ośrodku administracyjnym na północy, przechadzałam się po rynkach i wyrażałam swoje zdanie, kiedy król o nie pytał, jakby nie było żadnych wątpliwości co do naszej przy-

szłej umowy handlowej.

Zwiedziliśmy ruiny starego kompleksu świątynnego, a następnie słynne królewskie stajnie, o których tyle słyszałam. Nigdy w życiu nie widziałam tylu koni co w stajniach jerozolimskich, ale nawet liczba tych w Megiddo powaliła mnie na kolana.

Jakże smukłe i piękne są te zwierzęta! Nie powiedziałam na głos, że widziałam w nich przyszłość Saby i zazdrościłam ich królowi, choć był on tylko pośrednikiem dla Egipcjan w handlu końmi. I na to przyjdzie czas – sprowadzę je, kiedy pozyskam statki.

– Mam coś dla każdego z was – rzekł Salomon. – Wybierzcie sobie konia, a będzie wasz. Ale pozwólcie mi pokazać, które powinniście wybrać.

– To za wiele – zaprotestowałam.

Poprowadził nas do trzech przegród, cały czas opowiadając o rodowodach koni. Aż krzyknęłam na widok karej klaczy. Pochwaliłam jej piękno i głaskałam ją pomiędzy oczami. Kątem oka dostrzegłam szybką wymianę spojrzeń między radnymi.

Wahabil nie dałby się kupić tak łatwo.

Obejrzeliśmy nowe umocnienia, a także pomieszczenie z rydwanami – tysiącami rydwanów – które Niman pochłaniał chciwym spojrzeniem. Najwyraźniej zapomniał, że tego typu pojazdy wojenne nie znajdowały zastosowania na terenie Saby.

Drugiego ranka po naszym przyjeździe do Megiddo oficerowie dwukrotnie wzywali króla. Wrócił do mnie z zaciśniętą szczęką.

– Opowiedz mi historię... – zażądał, kiedy rozłożyliśmy się pod baldachimem w pałacowym ogrodzie – o ogrodzie. Błagam.

– Uczynię coś lepszego – odpowiedziałam i zerwałam kilka kwiatów. Spłótłam ich łodygi i związałam ich końce. Nachylił się, a ja włożyłam mu ten wieniec na głowę.

– Ach. – Przez chwilę na jego twarzy malowało się napięcie.

– Kwiecie zawitało na ziemię, nadszedł czas śpiewów – powiedziałam, po czym zanuciłam jedną z piosenek Shary. On wpatrywał się, rozpromieniony, w moje przesłonięte oblicze.

– Choć nosisz koronę, nie jesteś królem – powiedziałam łagodnie. – Jesteś chłopcem, który zszedł do ogrodu, by nazbierać lili.

– Ty jesteś lilią pośród ciemnych krzewów – powiedział cicho. Już się nie uśmiechał.

– Coś się stało? – spytałam, kiedy umilkł.

– Kim jesteś, pani? Kim jesteś naprawdę? – wyszeptał.

– Jestem pastereczką – odpowiedziałam z udawaną beztroską. – Kimże innym?

– Odwróć ode mnie wzrok. On mnie przytłacza. Ale, błagam, pozwól mi ujrzeć swą twarz.

Stałam nieruchomo. Dokładnie w tej chwili podbiegł do niego jeden ze służących.

– Panie!

Oderwanie ode mnie oczu zajęło mu chwilę.

– Panie, posłaniec z Semaraim. Wybuchły zamieszki.

A potem król odszedł. Miał nogi smukłe jak gazela. Nie zdjął korony z kwiec.

...

Włączył mnie w wiele aspektów życia dworskiego. Poprosił nawet, bym zajęła się kilkoma mniej znaczącymi sprawami handlowymi.

Tamtego dnia zniknął ze swoimi doradcami na kilka godzin. Poleciałam Sharze, by przygotowała nasze rzeczy. Spodziewałam się pospiesznego powrotu do Jerozolimy.

Doskonale wiedziałam o rosnących napięciach między Damaszkiem a Izraelem, pomiędzy plemionami północnymi a południowymi. Zdawałam sobie także sprawę z tarć pomiędzy kapłanami zagranicznych żon a kapłanami Jahwe, na przykład szaleńcem z ulicy, który okazał się prorokiem o imieniu Achiasz, człowiekiem cenionym przez króla – choćby dlatego, że miał odwagę się z nim spierać. Do kłótni dochodziło też między uczonymi a robotnikami, pomiędzy imigrantami a rdzennymi Kananejczykami. Ależ skłócone królestwo!

A jego władca był pełen sprzeczności. Wiedziałam, że jest równocześnie poetą i kupcem, filozofem i człowiekiem interesu. Izraelitą, który czcił pamięć wyjścia swego ludu z niewoli egipskiej... i jednocześnie zatrudniał do prac współplemieńców. W jego żyłach płynęła krew nomady, a mimo to osiedlił swój lud w miastach i wznosił przybytek dla boga dotychczas zamieszkującego namiot. Korzystał z dorobku intelektualnego świata, po czym obalał go za pomocą nieomyślnej logiki. Był mędrce, który poszukiwał wzniosłości w luksusie. Łaknął tajemnic, by wyjaśniać je znanymi sposobami.

Nie wróciliśmy do Jerozolimy tego dnia, choć później dowiedziałam się, że posłał tam jednego ze swoich generałów z kompanią.

Tego wieczoru zjedliśmy posiłek w otoczeniu dworzan, którzy w napięciu odpowiadali na wszystkie pytania Salomona dotyczące kolejnych dań. Część pytań była zagadkami. Inne zasiewały ziarno dyskusji filozoficznej. Każde miało podżegać, bawić lub prowokować.

Król raz po raz zmieniał swoje rozumowanie i odwracał kota ogonem. Reszta nie miała innego wyjścia, jak tylko się z nim zgodzić.

Tylko ja dostrzegałam w jego spojrzeniu desperację, tak jakby z każdym odparciem kolejnego argumentu wypędzał jakiegoś wewnętrznego demona.

– Powiedz, że nasza opowieść potoczy się dalej – powiedział, kiedy udawaliśmy się na spoczynek. – Nakazuję ci. Błagam.

– Tak – odpowiedziałam i wzniosłam dłoń w geście błogosławieństwa.

Nazajutrz Niman zatrzymał mnie na korytarzu.

– Pozwól mi z nim pomówić – naciskał. – Pozwól mi zbliżyć się do niego

jako twojemu krewnemu.

– Nie uczynisz tego – odparłam. Najpierw mój handlarz trzy lata temu zwrócił radę przeciwko mnie na sugestię króla, a teraz mój własny krewny służył najlepszym interesom tego władcy w imieniu Saby! Niman najwyraźniej wyobrażał sobie, że zyska wszystko, jeśli wyjdę za mąż za porty i statki – a nawet za konie, których tak pożałowałam. Miałam słuszną rację, że nie zostawiłam go w Sabie na czas swojej nieobecności. Ale teraz wołałabym, by wrócił do obozu.

– Po co tu przyjechaliśmy, jeśli nie po to? Moja pani, on da ci wszystko, o co poprosisz.

– Nie, nie zrobi tego. Jeszcze nie.

– Moja pani. Kuzynko. Czy nie widzisz, jak on na ciebie patrzy? Tak jak człowiek patrzy na bożki, o które król spierał się minionego wieczoru! Jego ludzie mówią, że od czasu twojego przyjazdu jest prawdziwie natchniony. Czy nie wiedziałś, że to z twojego powodu nie pojechał interweniować tam, gdzie wybuchły zamieszki, lecz posłał tam dwa tysiące zbrojnych?

Nie miałam o tym pojęcia. Dlaczego chciał mnie uspokoić i zdenerwować jednocześnie?

– Te ściany mają uszy – syknęłam. – Pomówimy po powrocie do Jerozolimy.

•••

– Dlaczego nie wyjdiesz za mąż, Bilkis? – spytał Salomon wieczorem po powrocie do stolicy.

Czy powietrze też miało uszy?

Spojrzałam ponad niskim tarasowym murem na wzniesienie na wschodzie. Od kilku ołtarzy biło światło ognia. Zdałam sobie sprawę z tego, że nawet tutaj słyszeć bębny.

– Jak to się stało, że poślubiłaś Moabitkę, skoro twój bóg tego zabrania? – skontrowałam. – Nie tylko Moabitkę, ale i Egipcjanek, Sydonitkę, Edomitkę i nie

wiem ile jeszcze innych kobiet, na które on nie przyzwala?

– On opowiada się przeciwko temu nie ze względu na kobiety – i nawet nie z uwagi na ich bogów – ale dlatego, że mężczyzna z miłości do kobiety jest w stanie uczynić wszystko. Mój ojciec czcił moją matkę, jakby była królową niebios. O ile łatwiej jest zacząć wyznawać boga żony, jeśli ona kusi go słodkimi obietnicami.

– Rozumiem. A zatem kobieta wodzi mężczyznę na pokuszenie?

Widziałam, jak przygląda mi się w świetle gwiazd.

– Słaby mężczyzna uzna kobietę za kusicielkę i nakaze jej osłaniać ciało. Silny mężczyzna sam się okryje i nie powie ani słowa. Muszę zachować pokój z ludami moich żon, ale nie wyznaję ich bogów.

– Musisz też zachować pokój ze swoimi żonami, dlatego wzniosłeś świątynie dla ich bóstw.

– Mój Bóg nie wzywa ich do oddawania Mu czci. On wie, że ja należę do Niego.

Nie powiedziałam tego, co cisnęło mi się na usta: „A co, jeśli twoja żona pójdzie do łóżka z innym? Nadal będziesz pewien, że jej serce należy do ciebie?”.

– Człowiek, który nagina prawo wedle swojej woli, jest niebezpieczny – odpowiedziałam zamiast tego.

Salomon umilkł.

– Nie naginam prawa. Rozumiem je. O wiele bardziej niebezpieczne jest przestrzeganie prawa bez jego zrozumienia – odparł w końcu. – Czyż wolimy, by dzieci spełniały nasze prośby dlatego, że nas słuchają, czy też dlatego, iż boją się kary? Czyż nie mamy nadziei, że będą wzrastać w rozumieniu, jak samodzielnie odróżnić dobro od zła, i z własnej woli wybierać dobro? Nie jesteśmy dziećmi i nie możemy sobie pozwolić na to, by myśleć jak one. Jednego dnia przyjmimy człowieka do naszego królestwa, a innego nie ośmielimy się tego uczynić. I choć jednego dnia go oszczędziliśmy, następnego musimy zażądać jego śmierci. Mimo że każde prawo na świecie mówi: „Nie zabijaj”.

Zawsze miał w zanadrzu sprytną odpowiedź. Za sprawą jego słów zwykle

opuszczała mnie jakakolwiek pewność siebie.

Umilkł i ujął moją dłoń. Przeszliśmy nad tym do porządku dziennego. Król trzymał mnie za rękę, jakbyśmy byli dziećmi. Czasami ścisnął ją mocno, a niekiedy odwracał tak, jak pierwszego wieczoru – niczym coś, co może odfrunąć.

Czekałam, aż ponowi swoje prośby – o dalszy ciąg opowieści o ogrodzie, o to, żeby ujrzeć moją twarz, by uciec z pałacu. Nie sposób przewidzieć, czego jeszcze mógł zażądać.

– Któż to? – spytał łagodnie, dotykając jednego z moich pierścieni. – Któż to spogląda jak świt, piękny jak księżyc, jasny jak słońce? – Podniósł wzrok i uniósł palce do mojej twarzy. Ale kiedy już myślałam, że zajrzy mi pod welon, tylko musnął mój policzek przez tkaninę.

– Uciekasz, kiedy próbuję cię dogonić – wyszeptał. – Ja staję się oziębły, a ty się zbliżasz. A to, o co mnie prosisz, nie jest tym, czego naprawdę pragniesz.

Dławiłam oddech pod osłoną jedwabiu.

– Tak jest w istocie.

Chwilę później odeszłam.

...

Od czasu przyjazdu do Jerozolimy, czyli od dwóch miesięcy, widziałam Tamrina zaledwie kilka razy. Nasze wspólne noce wydawały się oddalone o wieczność. Ale nawet własny pałac pamiętałam jak przez mgłę, jakby tylko mi się przyśnił.

Skłonił się nisko, gdy spotkaliśmy się w obozie za murami Jerozolimy, ten dworzanin w ciele mistrza karawany.

– Tamrinie! Myślałam, że jesteś za Damaszkiem.

– Moja pani zaiste ma zmysł przepowiadania przyszłości – powiedział. – Wyruszę jutro.

– Do tego wzywa cię serce – stwierdziłam.

Niegdyś sądziłam, że ma dzikie spojrzenie. Teraz, nawet kiedy się uśmiechał, wydawało mi się ono jedynie udręczone.

– Chyba tak. Ale nie obawiaj się, wrócę na czas, zimą.

Zimą.

– Ech, kupieckie życie – mruknęłam.

– Jak idą negocjacje?

– Pozwól, że nie będziemy o tym mówić.

– Król jest głupcem, jeśli odmawia ci czegokolwiek – powiedział cicho.

Na chwilę odwróciłam wzrok i zmusiłam się do uśmiechu.

– Czy po powrocie zechcesz przyjść do pałacu na ucztę?

– Będę głodny przyzwoitego jedła i dobrych manier, zanim powrócę – odparł, ale wzrokiem już uciekał poza obozowisko. – O, jest i nadzorca. Upraszam cię o błogosławieństwo na drogę, pani.

Udzieliłam go. A później patrzyłam, jak Tamrin odchodzi.

•••

Tamtego wieczoru w ogrodzie król patrzył na położone w dole miasto. Byliśmy sami – już od dawna odsyłałam Yafusha.

– Co mi ofiarujesz? – spytał w końcu, nie patrząc na mnie.

– Za cóż to?

– Za to, czego ode mnie chcesz.

Odwrócił się w moim kierunku. Dobrze znałam bystry wyraz twarzy tego człowieka interesu.

– Nie powiedziałam jeszcze nawet, czego chcę.

– Potrzebujesz moich statków, które będą zatrzymywać się w twoich portach. Twoje porty nie są w stanie ich pomieścić. Moi ludzie wypyтали twoich o architekturę waszych miast, o drogi i wybrzeża. Potrzebujesz robotników, którzy zmodernizują porty. I mnie, abym wsparł twój handel morski.

– Jest tak, jak mówisz.

– A zatem, co mi ofiarujesz?

– A czego pragniesz?

Było to niewłaściwe pytanie, wiedziałam to od chwili, w której wydobyło się z moich ust.

– Porozmawiam z inżynierami o twoich portach. Postaram się nawet o ręce do pracy, jeśli zapewnisz połowę robotników. Wspólnie ustalimy trasę przez Morze Czerwone, a ja zagwarantuję ci korzystne warunki. Mam dalekosiężne plany dotyczące statków, a ty będziesz miała w tym udział.

– Dopilnuję, byś otrzymał złoto z Puntu – wystarczająco dużo do ukończenia twojego pałacu i jeszcze trzech kolejnych. Dostaniesz kadzidło do świątyni, którego starczy na całą wieczność.

Mówił dalej, jakby mnie nie słyszał.

– Egipt, Edom i Damaszek marzą o sojuszu z Sabą. Fenicja również, choć nie ośmieliłaby się mnie pominąć. – To była dla mnie nowość. – W moim najlepszym interesie jest tego uniknąć – dodał. – Dlatego powinienem zawrzeć z tobą układ.

– Słusznie. Jeśli zdecydujemy się na sojusz, Egipt nigdy nie przejmie kontroli nad handlem któregoś z naszych krajów. W każdym razie nie uczynią tego mnie.

– Tego nie wiesz. Faraon nie będzie żył wiecznie, a Libijczycy już umacniają swoją władzę. Ale ty chcesz czegoś jeszcze – powiedział.

Dlaczego zachowywał się tak ozięble tego dusznego wieczoru? I czemu nie

odnajdywałam radości w tej rozmowie, kiedy wreszcie ją podjął?

– Tak. Chcę astronomów, matematyków i kapłanów na moim dworze. Mędr-
ców i skrybów, którzy gromadzą się teraz u ciebie. Pragnę ośrodka nauki w Sabie.

– Będę z tobą negocjować. Ale pod jednym warunkiem.

– Czego żadasz?

– Małżeństwa.

Poczułam się, jakby mnie spoliczkował.

– Sam mówiłeś, że nie chcesz więcej żon!

– Chodziło mi o to, że nie miałbym pożytku z kolejnej żony.

– Na jedno wychodzi!

– A jednak taki jest mój warunek.

– Jestem królową, a nie księżniczką, którą można wydać za mąż w zamian za
sojusz. – Straciłam panowanie nad sobą. – Sabejczycy nigdy nie zgodzą się na ob-
cego króla.

– Jesteś królową. Zgodzą się na każde rozwiązanie, które ty uznasz za sen-
sowne.

– Dla mnie to nie ma żadnego sensu!

– Bilkis. – Podeszedł do mnie i ścisnął moją rękę. – Czy uważasz mnie za ba-
widamka? Mnie, który nigdy nie widział twojej twarzy?

– A cóż innego mam myśleć? Oczekujesz, że wezmę sobie męża na jedną
noc? A może dodasz mnie do swojej kolekcji jak jakąś lalkę?

– Dam ci potomka.

Nie byłam w stanie powstrzymać się od gorzkiego śmiechu. Nie powiedzia-
łam mu, że żaden mężczyzna – nie mówiąc już o obrzezanym królu – nie jest w sta-
nie tego uczynić.

– Nie mam zamiaru być jedną z kilkuset. Nie łudź się: nie będę przez całe

życie sypiać samotnie.

– Czy widywałem się choćby z jedną z moich żon w ciągu ostatniego miesiąca, od kiedy spędzam całe dni i wieczory u twego boku?

– Nie mam pojęcia. A widywałeś się? Z pewnością nie prosiłam, byś się powstrzymywał.

– Nie! Choć przysyłają wiadomości, błagania. I wiem, że są wściekłe. Jestem całkowicie świadom ich zazdrości. A jednak porzucam je, by spędzać czas z tobą!

– Jakież to wspaniałomyślne z twojej strony! – Wyrwałam rękę z uścisku. – Co powiedziałyby na to twój obłąkany prorok? Już mówi, że twój bóg jest na ciebie zły. Ten człowiek codziennie paradytuje ulicami i nazywa twoje żony czcicielkami demonów. Twoi ludzie patrzą na mnie podejrzliwie, oprócz tych, których dopuszczasz do stołu – oni są zmuszeni udawać pokornych. Czy sądzisz, że małżeństwem ze mną zjednasz sobie ich względy? Odpowiedź brzmi: nie.

– Rozumiem – odparł chłodno. – Mówisz, że nie będziesz dla mnie jedynie kolejną królową. Ja jednak widzę, że dla ciebie jestem tylko kolejnym królem.

Westchnęłam.

– Teraz ty wymagasz ode mnie zapewnień?

– Czy myślisz, że którykolwiek inny król dałby ci to, co ja? Przyszłość Saby legnie w gruzach, jeśli nie sprzymierzysz się ze mną. Czy jesteś aż taką egoistką, że nie poślubisz mnie dla dobra swego ludu?

– A ty jesteś aż tak bezinteresowny? I żenisz się raz, drugi, trzeci?!

– Tak! – podniósł głos. – Wyrzekam się kolejnych kawałków siebie dla dobra mego królestwa – zjednoczonego i duchowego. Dla pokoju i mego Boga!

– Cóż, nie jesteś jedynym władcą zjednoczonego i duchowego królestwa. Ale ja potrafię rządzić swoim bez sprzedawania się na wszystkie strony! – syknęłam.

Co ja najlepszego czyniłam? Ale tama, raz zerwana, nie powstrzyma wód. Całe napięcie z ostatnich tygodni i miesiący zawieszenia, tego tańca, w którym się

miotalam, poplynęło teraz w moich żyłach i zerwało mnie na równe nogi.

– Mówisz, że twój bóg ma władzę nad pozostałymi. Ale mój wybacza o wiele więcej niż twój! Jahwe nie poprze twojego małżeństwa ze mną, arcykapłanką innego boga. A Almaqah pozwala mi wyjść za mąż lub nie i sypiać, z kimkolwiek zapragnę. Ty za to musisz nieustannie się żenić, by usankcjonować swoją nieposkromioną żądę bogactwa. Ale i na to boski autor twoich praw się nie godzi. Dlatego znajdujesz sobie wytłumaczenie. Myślisz, że zapewniasz rozwój swojemu królestwu, ale tak naprawdę jesteś jak zwierzę we wnykach, niezdolne zwrócić się ani w jedną, ani w drugą stronę. Twój prorok uważa twoje żony za rozpustnice. A kto tu jest naprawdę rozpustnikiem?

Przez chwilę myślałam, że mnie uderzy, tak drżał z wściekłości. Jego twarz miała straszliwy wyraz.

– Myślałem, że jesteś roztropna. Teraz widzę, że się pomyliłem – podsumował i zniknął w swoich komnatach.

Zostawił mnie tam, na dachu, samą.

Byłam skończona. Przyszłość Saby legła w gruzach. I to ja przyniosłam jej zgubę.

Zawiodłam. Straciłam wszystko.

Drugiego dnia po tym, jak wyrwałam się z otępienia, posłałam powierzone mi kobiety, by wykonały wymyślone zadania – jedną do kuchni, aby przekazała kucharzom przepis na sabejskie danie, na które niby miałam ochotę, drugą po świeże kwiaty do komnat. Reszta miała udać się na rynek po najnowsze wieści.

– Żony króla są zazdrosne – powiedziała najstarsza z moich dziewcząt, kiedy pozostałe odeszły. – Od ponad miesiąca żadna z nich nie spędziła nocy z królem, poza nowiem. Słyszałam rozmowę Edomitki z żoną z Chamaru. Ale Naama i córka faraona nie martwią się o te noce, a jedynie o względy, jakimi król cię obdarza. Obawiają się, że jeśli go poślubisz, twój syn będzie cieszył się większą przychylnością władcy niż ich potomkowie. Służka Naamy już dwukrotnie dopytywała się, kiedy wyjeżdżamy. Twierdziła, że chciałyby zostać z nami jak najdłużej. Ale my wiemy przecież, że pytanie pochodzi od jej pani, która wzywa ją do siebie często pod pretekstem posłania darów nam lub tobie.

– Oczywiście, że tak jest, a cóż myślałaś? – spytałam.

– Boję się, królowo – powiedziała nagle Shara. – Słyszałam od Nebt, że nowe faworytki króla podtruwano, by ich dzieci nie dotrwały do rozwiązania ciąży.

– Cóż, nic takiego nie nastąpi – odparłam. Mimo to postanowiłam, że od tej pory ktoś będzie zawsze kosztował potraw przede mną.

Teraz muszę zdecydować, co czynić dalej. Postąpiłam pochopnie, lekko-myślnie. Wykazałam się zbyt małym sprytem.

Mogłam pogodzić się z Salomonem. Ale nie sądziłam, że będę jeszcze w stanie zmusić się do wejścia po schodach do ogrodu, o ile król nie zagroził mi już drogi. Nie byłam też pewna, czy w ogóle zechciałby mnie przyjąć.

Mogłam odjechać. Jeśli jednak to uczynię, okaże się, że całkowicie zawiodłam. Po tylu obietnicach... Nie mogłam znieść tej myśli.

Nie potrafiłam również wyobrazić sobie czasu, który pozostał do zimy.

A co najgorsze: tęskniłam za królem. Nie, nie za królem, ale za człowiekiem, który ścisnął i czcił moje dłonie. Za poetą, który błagał mnie o dalszy ciąg historii o ogrodzie, pasterzu i pastereczce. Za chłopcem, który wykradał mnie z pałacu. Za duszą, która nieuchronnie zbliżała się do mnie, im mocniej uchylałam królewskiego płaszcza, by ukazać istotę mej samotności.

Tak. On był moim zwierciadłem. A ja jego.

Wmawiałam sobie, że mogłabym zacząć od nowa, udobruchać go historyjkami i zagadkami, których tak łaknął... Ale zagadki się wyczerpały, a słów, które wypowiedziałam, nie dało się cofnąć.

Mogłam też przystać na jego warunki.

– Chyba przegrałam – powiedziałam cicho do Shary. Byłyśmy same. – Choć chciał dać mi wszystko, czego pragnęłam. zaproponował małżeństwo. A ja chciałam się zgodzić. Pomimo tego, co mu odpowiedziałam.

Objęłam Sharę ramieniem i zastanawiałam się, dlaczego nie zwierzałam się jej częściej. Wyrządzałam jej szkodę, chroniąc ją w ten sposób. Mogła tylko pocieszać mnie milczeniem.

– Trudno jest utrzymać przychylność króla – powiedziała stłumionym szeptem.

– Nie. Trudno jedynie utrzymać ją, nie tracąc wszystkiego. – Westchnęłam i wstałam.

Shara siedziała nieruchomo i wpatrywała się w swoje dłonie. Oddychała coraz szybciej. Nagle uderzyła ręką w stół.

– Sharo! Co się dzieje?! – Ujęłam ją za ramiona.

Nigdy nie widziałam, by tak przejmowała się sprawami państwowymi. Dlaczego teraz ogarnęła ją panika?

– To sprawy między królami a królowymi. – Przyciągnęłam ją do siebie i poszukałam wzrokiem służki, która mogłaby przynieść wino. – Niedługo wrócimy do

domu.

– Przynajmniej możesz wybierać i jesteś wybierana. – Schowała twarz w dłoniach. – I nigdy cię nie oddano.

Trzęsła się gwałtownie w moich objęciach.

– Sharo! Co ci jest? – Oderwałam jej rękę od siebie.

Nie odpowiedziała. Jej błagalny wzrok wyrażał jakąś przeraźliwą potrzebę. Było to spojrzenie kogoś, kto nie może mówić, lecz rozpaczliwie pragnie, by wypowiedziano coś za niego – albo spojrzenie kobiety, która nosi w sobie tajemnicę o jeden dzień za długo.

Sekret, który nie daje spokoju. Pamięć całych lat.

Tamta noc przyjęcia, kiedy powiedziałam, że nie może pozostać niewidzialna, i ubrałam ją w swoją suknię. „Nie oddawaj mnie”. Przyrzekłam, że tego nie zrobię.

Oddana... Oddana komu?

Te wszystkie dni, kiedy nosiła proste suknie. Jej nienawiść do Hagarlat, kobiety, która wkradła się w łaski mego ojca i wspierała jego bezowocne duchowe poszukiwania. Która nigdy nie żałowała mu nałożnic – tylko po to, by zabezpieczyć sobie jego względy. Która nie cofała się przed niszczeniem innych, jeśli służyło to jej celom. I która pierwsza, wiedziałam to w głębi serca, skierowała wzrok swego zepsutego brata na mnie...

– Chyba nie masz na myśli Sadiqa...

Pokręciła głową. Gwałtownie chwyciła powietrze.

– Wybacz mi. Wybacz mi.

Jeśli nie Sadiqa, to kogo miałam jej wybaczyć? Jedynym innym mężczyzną w moim życiu był wtedy... mój ojciec!

Ramiona mi opadły.

Shara ześliznęła się z sofy i padła mi do stóp. Uczepiła się rąbka mojej sukni.

Przeraźliwie wyła. Ścisnęło mnie w żołądku i zrobiło mi się niedobrze.

Moja własna siostra mleczna... konkubina mego ojca?!

Nawet ja nie znałam imion tamtych kobiet – ani w trakcie pobytu w Sabie, ani później, gdy żyłam za morzem. Hagarlat była zbyt dumna, zbyt ambitna, by dzielić się względami ojca – szczególnie po królowej, która nie dzieliła się nimi wcale. Ale Shara nie była kobietą pragnącą się pokazywać. Hagarlat o tym wiedziała.

– Przez cały ten czas... – wyszeptałam. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– A jak miałam ci o tym powiedzieć? – Słowa uwięzły jej w gardle. – Każdego dnia zdawałam sobie sprawę z tego, że przyjdzie godzina, w której zaczniesz mną gardzić. Każdego ranka... Budziłam się i zastanawiałam, czy nadeszła już ta pora i jak zniosę kolejną godzinę. Nie znieawidź mnie, Bilkis, moja siostrze, moja pani, którą kocham! Nie ośmieliłam się mówić. Jak mogłam ci powiedzieć, mając pewność, że mnie oddalisz?

Jej słowa mną wstrząsnęły.

Znałam to uczucie. Bardzo dobrze je znałam.

Tak długo nosiłam w sobie prawdę o Sadiqu i nie mówiłam o tym nikomu... Każdej nocy spędzonej z Maqarem zastanawiałam się, czy odsunąłby się ode mnie, gdyby wiedział. A jednocześnie chciałam zostać poznana – i być kochana – taka, jaka jestem.

Szarpnęłam ją gwałtownie i przyciągnęłam do siebie. Padła w moje ramiona.

Byłam przerażona, przytłoczona – sama nie wiem czym. Odrzą? Współczuciem? Przymusem chronienia jej przed innymi, przed latami odrętwienia i przeszłością, której nie mogłam wymazać? Shara drżała w moich ramionach.

Ona także pragnęła zostać poznana.

Z trudem oddychała, jej płuca odmawiały posłuszeństwa.

– Dała mu mnie na złość tobie. A ja – cóż mogłam uczynić? Mogłam tylko odebrać sobie życie... Ja... nawet na to nie miałam odwagi!

Poczułam, że traci siły. Zawołałam służkę. Shara bezwładnie opadła mi na rękę.

Tamtego wieczoru usiadłam na tarasie i słuchałam nocnych odgłosów miasta. Szczekania psa. Płaczu dziecka. Śpiewu grupy mężczyzn, którzy spacerowali ulicą. Zamknęłam oczy i starałam się przypomnieć sobie ogrody Saby sprzed ataku szarańczy. Teraz na pewno znów buchały zielenią, o ile spadły obfite deszcze. Mimozy pewnie zrzucały kwiecie na ziemię. Malejący księżycowy sierp, wiszący na niewidzialnych niciach, przesuwał się po atramentowym niebie.

Czy Shara poszła do ojca z ochotą? Czy miała choć odrobinę nadziei na zyskanie jego względów, na osiągnięcie wyższego statusu? Czy chciała odegrać się na Hagarlat? A może ukraść jej coś w odwecie za podłość macochy wobec mnie? Czy mój ojciec traktował ją z okrucieństwem, że stała się taka płochliwa? A może z dobrocią i przez te wszystkie lata zalewało ją poczucie winy?

Postanowiłam, że zadam jej te pytania. Później. Jutro. Może w drodze powrotnej, o ile będę w stanie je sobie przypomnieć. Ale kiedy stałam na tarasie tamtego wieczoru, zdałam sobie sprawę z tego, że odpowiedzi Shary niczego nie zmienią.

Nie była moim wrogiem. Ani rywalką. Nie należała do mnie, bym mogła ją komuś dawać. Cierpiała z powodu swojej lojalności wobec mnie. Kiedy się obudzi, zaleję ją miłością. Wymażę ze swojej pamięci twarz Hagarlat – a nawet mojego ojca – by w ten sposób i ona o nich zapomniała.

Usłyszałam za sobą kroki.

– Yafushu.

– Jestem tutaj, pani.

Westchnęłam ze zmęczenia.

– Myślę... że pora wracać do domu – powiedziałam. Nie widziałam innej drogi. Bogowie uczynią, jak zechcą.

– To nie księżniczka, którą znam – usłyszałam w odpowiedzi. Podniosłam wzrok. Yafush stał u mego boku i patrzył w gwiazdy.

– A jaka jest księżniczka, którą znasz?

– Jest silna. Silna jak mężczyzna. Silniejsza.

Pokręciłam głową.

– Nie wiem, gdzie podziła się tamta kobieta.

– Nie sądzę, by odeszła. Zapomniała tylko, kim jest.

Położyłam głowę na krągłym oparciu krzesła.

– Yafushu, czego najbardziej pragniesz?

– Chciałbym ujrzeć oblicze Boga.

Uśmiechnęłam się leciutko.

– Którego boga chciałbyś zobaczyć? Stoją na półeczce w komnacie. Mogę ci jednego przynieść...

– Nie sądzę, by Bóg był w tych posążkach, księżniczko.

– Ja też nie – odparłam cicho. – Tylko nie mów, że stałeś się monoteistą...

– Myślę, że Bóg ma wiele twarzy.

– Jedną z nich jest słońce, a drugą księżyc?

– Tak. Tak musi być. I jest jeszcze wiele innych twarzy.

– A gdzie mieszka ten bóg?

– Myślę, że jest tam – powiedział i wskazał na gwiazdy. – I tu. – Poklepał się po klatce piersiowej. Jakże piękny mi się wydawał! Księżycowe światło przesunęło się po jego twarzy. Przeniosłam wzrok na gwiazdy.

Mój Yafush był taki mądry!

– Yafushu... Dlaczego ci to zrobili? – Nigdy go o to nie pytałam.

– To byli jacyś ludzie. Tacy, którzy się tym zajmują.

Zamknęłam oczy.

– Byłem wtedy chłopcem. Rodzina sprzedała mnie im.

Otworzyłam usta, ale nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Przykro mi, Yafushu.

– A mnie nie.

Jak ktoś okaleczony przez własną rodzinę może tak powiedzieć?

Wzięłam go za rękę, splotłam ją ze swoją i uniosłam do ust. Pomyślałam o tym, co powiedział Salomon, o tym, jak raniły się nawzajem i zasmucamy tym jego boga – boga, którego obraz naruszamy, krzywdząc na końcu siebie. *Tak*, pomyślałam. *Pojmuję*. Tyle krzywd! Tylu pokrzywdzonych! Shara, Yafush, sam Salomon... Zastanawiałam się, jaka tajemnicza rana wymagała okładu z nieustannego pomnażania bogactwa.

– Yafushu, czy chciałbyś wrócić do Nubii?

Przez chwilę milczał.

– Nie sądzę, bym się tam wybierał.

– Kiedy wrócimy do Saby, zwrócę ci wolność – powiedziałam. To było zarazem bolesne i piękne.

– Ja już jestem wolny, księżniczko.

Kiedy odszedł, przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w niebo.

Po trzech dniach napisałam po prostu: *Pomówmy. Twarzą w twarz.*

Ale posłaniec wrócił i oświadczył, że królowi nie można teraz przeszkadzać, ponieważ odwiedza swoją egipską żonę.

Shara, Yafush i ja zeszliliśmy do obozowiska. Byłam odziana tak zwyczajnie, że nikt nie rozpoznałby we mnie królowej, która przemierzała te same ulice mnóstwo razy.

W swoim namiocie poczułam, że znów mogę oddychać. Może i we mnie było jeszcze coś z nomady?

Tamtego wieczoru zjadłam prosty posiłek z Asmem.

– Jak spędzasz czas w Jerozolimie, przyjacielu? – spytałam. Zmienił się, widziałam to, choć nie byłam w stanie określić, na czym ta przemiana polegała.

W ciągu ostatnich dni ze mną również coś się stało. Choć zawiodłam, czułam, jakby z moich ramion spadł wielki ciężar.

– Jestem w kłopotcie. Muszę ci coś powiedzieć.

– Cóż? – Nie wiedziałam, czy zniosę kolejne wyznanie.

– Spotkałem się z kapłanami Molocha, Aszery, Baala i Kemosza, a także z kapłanami izraelskimi.

– I? Czy dowiedziałeś się czegoś nowego, czym chcesz się ze mną podzielić?

– Kapłani związani z miejscami kultu radują się z twojej obecności, a także z obecności naszego boga w obozie. Ale kapłani Jahwe... nie mogą się doczekać, aż odejdiesz, pani.

Z jakiegoś powodu zaskoczyło mnie to.

– Obawiają się twojego wpływu na króla.

– No cóż. – Uśmiechnęłam się do niego. – Już nie muszą się tym przejmować. Czego jeszcze dowiedziałeś się od kapłanów?

Zaczął opowiadać o omenach, obrzędach, ofiarach i wyroczniach.

– Żaden z nich, pani, nie zna takiej wyroczni jak ty.

Spuściłam wzrok.

– Zwierzyli mi się, że często ponawiają rzuty magicznymi kamieniami do skutku. Że zgadują, zamiast czytać z wątroby, i wątpią w swoje wizje lub nie pojmują ich. I to kapłani bogów starszych od Almaqaha, których czciłem na odległość przez całe swoje życie! Wstrząsnęło mną to do głębi.

Zalała mnie fala współczucia.

– Powiedz mi, Asmie, czy mówili, jak to jest mieć wizję? Prawdziwą wizję?

– Nie, moja pani. Mówili tylko, że śnią im się dziwne rzeczy. Albo wydaje im się, że coś widzą, a potem okazuje się, iż tego tam nie ma lub wzrok ich mylił.

Wróciłam myślami do dnia pamiętnej ofiary, do kotła, którego zawartość w mojej wizji wylewała się na ziemię. Pamiętałam, że obraz mi się wtedy zamazał. Myślałam, że zemdleję, ale zdążyłam dostrzec, jak wół z brązu chwieje się w falującym powietrzu...

– Miałam wizję podczas pobytu tutaj.

Asm nachylił się, jakby chciał zajrzeć w głąb moich oczu, jakbym nie była kobietą, lecz złotą misą.

– Przemów, Córo Almaqaha!

– To jest przeznaczone tylko dla uszu króla, ponieważ pochodzi od jego boga.

Ściągnął brwi.

– Czy jesteś tego pewna? Almaqah przybiera wiele twarzy.

– Jestem pewna. Czy pamiętasz naszą rozmowę z czasów, kiedy zaczynałam panowanie?

– Pamiętam – odpowiedział. Wydawał się zakłopotany.

– Powiedziałaś: „Jeśli Almaqah nie przemówi do ciebie, to do kogo innego miałby przemówić?”.

– Tak rzekłem. Ale on mówi do ciebie, na szczęście dla Saby.

– Asmie. – Nie wiedziałam, czy straciłam już wszystko dla Saby i dlatego tę sprawę też chciałam załatwić, czy też za sprawą odmienionej Shary odkryłam, że pragnę wolności. A może byłam po prostu zmęczona. – Po powrocie do Saby złożę urząd arcykapłanki.

– Moja pani! Dlaczego?!

– Bóg uratował mnie za moich młodych lat. Ale nie wiedziałam wtedy, jaki to bóg. – Nigdy nie powiedziałam mu o Sadiqu i nie oczekiwałam, że zrozumie, do czego się odnosiłam. – Wzywałam Almaqaha, a teraz wiem, że on wcale nie wzywał mnie. Wołałam do niego, powierzyłam mu się, a on milczał. Nigdy do mnie nie przemówił, pewnie dlatego, że mnie nie rozpoznaje. Zostałam stworzona na inny obraz.

„Kim naprawdę jesteś?” Takie pytanie zadał mi Salomon. Wiedziałam, jakie noszę tytuły, jakie sprawuję urzędy. Ale nie znałam odpowiedzi na pytanie króla.

Wróciłam myślami do nocy, gdy stałam w deszczu, zapomniawszy o koronie, tytułach i stanowiskach. Przed oczami stanęła mi „Niebiańska”. Pomyślałam też o Yafushu. Nie znałam lepszego sposobu na zatrzymanie go niż obdarowanie go wolnością. O Sharze. Nie umiałam lepiej wyrazić swojej miłości do niej niż poprzez przyjęcie jej krzywdy na siebie.

– Ale o jakim bogu mówisz? Tu jest ich wielu – tu i na wschodnim wzniesieniu. Starych bogów tych miejsc i tych, którzy tu przybyli – powiedział Asm, wyraźnie zdezorientowany.

– O bogu tajemniczym.

Przynajmniej za to mogłam podziękować Salomonowi.

...

Nazajutrz znowu posłałam królowi wiadomość. I znów posłaniec po powrocie powiedział mi, że król przebywa ze swą małżonką. Tym razem moabicką.

Kolejnego wieczoru ponownie był z jedną z żon.

Tym razem wybuchnęłam śmiechem. Tak, odbiorę jego wiadomość bardzo głośno, choć on nie odebrał mojej. Następnie wymknęłam się przez drzwi, zanim się zamknęły, i osłoniłam twarz.

– Wskaż mi drogę – szepnęłam. Sama nie wiedziałam, do kogo to mówię.

W noc po obrzędzie nowiu byłam gotowa wrócić do pałacowych komnat. Ale zanim odeszłam, przyjął Abgaira. Ze zdumieniem i z ulgą zauważyłam, że od czasu przyjazdu przybrał na wadze.

– Wolałbym już wracać – powiedział z uśmiechem.

– Nie podoba ci się tutaj?

– Ci ludzie biją swoje wielbłądy.

– Wyruszymy, kiedy przyjdzie czas.

– Zanim odjedziemy, chciałbym zobaczyć tego króla raz jeszcze.

– Zobaczę, co da się zrobić. Dlaczego chcesz się z nim widzieć?

– Chcę ujrzeć twarz człowieka, który ma tylu wrogów.

Zaskoczył mnie.

– Dlaczego myślisz, że ma wielu wrogów?

– Ludzie mówią różne rzeczy, kiedy myślą, że inni ich nie rozumieją. Jestem tylko wilkiem przy studni. Ale nauczyłem się ich języka.

– Kim są ci ludzie, Abgairze?

– W domu króla jest człowiek. Ważny człowiek. Wytropiłem go. W tym miesiącu dwukrotnie odbył podróż na północ i z powrotem z robotnikami.

Zmrużyłam oczy.

– Z robotnikami?

– Z tymi, którzy tak narzekają na swój los. Powiadają, że nie było ich w domu przez miesiąc, a król źle ich traktuje. Ale ten człowiek mówi, że to się wkrótce zmieni. Że jego bóg tak mówi. I że on zostanie królem.

– Na północ i z powrotem? Jesteś pewien?

Posłał mi wymowne spojrzenie.

Odtwarzałam w myślach niezliczone dni, posiłki, twarze na dworach w Jeruzolimie, Gezerze, Megiddo. Ten młody człowiek, z którym król żartował... Co to za imię, która twarz? Obiecujący młody człowiek, nadzorca robotników, z którego Salomon był tak dumny.

Jeroboam.

Pospiesznie wróciłam do pałacu.

– Przekaż to królowi i nikomu innemu – powiedziałam do sługi marszałka, wciskając mu pergamin w dłoń. Napisałam tylko jedno zdanie: *Jeroboam zamierza cię zdradzić.*

Minęły trzy dni. Czwartego posłaniec przyniósł krótką wiadomość: *Przyjdź do ogrodu.*

Udałam się tam natychmiast. Weszłam po wąskich schodach, zostawiwszy Yafusha za sobą.

Zamknęłam drzwi u szczytu i pospiesznie rozejrzałam się dookoła. Nie ujrawszy Salomona, wtargnęłam zuchwale do komnat. Wiedziałam, że mogę natknąć się na jedną z jego żon albo, co gorsza, od razu na dwie. Ale zobaczyłam tylko króla. Stał pośrodku pomieszczenia.

Miał rozczochrane włosy, pomięte odzienie. Zauważyłam, że przy krawędzi rzeźbionego stołu stały dzban z winem i kielich.

– Jeroboam uciekł – oświadczył Salomon. Nie drgnął mu nawet jeden mięsień.

Tak, wiedziałam, lubił tego młodego człowieka. Ale zdziwiłam się, że aż tak to przeżywał. I nagle pojęłam: to jego kochał jak syna!

– Mój prorok... miał wizję. Moje królestwo upadnie. Mój własny prorok, Achiasz! Nie przyszedł z tym do mnie, ale do tego chłopca. Powiedział mu, że zostanie królem! – Jednym ruchem zrzucił dzban ze stołu; na posadzkę trysnął karmazynowy płyn. Potem Salomon przewrócił krzesło i popchnął stół. Na koniec zachwiał się i osunął na ścianę.

Prędko przemierzyłam komnatę i chwyciłam go za ramiona. Z dzikością wpatrywał się w moją twarz.

– Żadna wizja nie jest trwała. Gwiazdy nie mają stałego porządku. Ty jesteś królem. Cokolwiek przyniesie jutro, dziś ty jesteś królem.

Pokręcił głową. Miał podpuchnięte oczy.

– Czy zdajesz sobie sprawę... – szeptał – z tego, że mnie zrujnowałaś?

Puściłam jego ręce. Chyba nie obwiniał mnie za postęпки tego młodzieńca?

– Zrujnowałaś mnie – powtórzył. Jego twarz miała posepny wyraz. – Powiadają, że moje królestwo upadnie. Ale ja na to nie pozwolę. Nie pozwolę na to! Jestem zrujnowany.

– Odjadę więc...

– Nie! – Ścisnął mnie za ramiona. – Czy nie widzisz? Nie mogę cię wypuścić, choć muszę to zrobić! Moje królestwo upadnie, prorok miał wizję, a ja nie mogę do tego dopuścić! A jednak w każdej godzinie minionych dni marzyłem tylko o tobie u mego boku. Chciałem się na ciebie wściekać, chciałem z tobą rozmawiać. Chciałem wypłakać ci się na kolanach jak chłopiec. Czy nie pojmujesz? Zdo byłaś mnie! Mnie, lwa Judy!

Drżałam, moje serce z każdym uderzeniem ożywało i umierało. Statki, porty, Saba odeszły w zapomnienie.

Ujął moją twarz w dłonie.

– Nie mogę jeść. Nie mogę spać...

– Ponieważ byłeś ze swoimi żonami – powiedziałam słabym głosem. Ale on nie pozwolił mi się wyrwać.

– Doprawdy? Poszedłem zobaczyć się z Tashere, ale byłem nieobecny, nawet kiedy jadłem przy jej stole. Zezłościła się na mnie. Posłałem po inne żony... Ale nie mogłem im powiedzieć, że Jeroboam złamał mi serce – on, którego każę ściąć, o ile jeszcze kiedyś go ujrzę! Dla moich żon muszę być królem, nie mogę szlochać w towarzystwie rady ani braci. Otrzymałem dar przenikliwości i rozdałem go jak złoto. Ale ty... ty do niego dążyłaś. I użyłaś go mądrze, jak syn zrodzony nie z bogatego, lecz z biednego człowieka, który sam musiał dorobić się majątku. Ja jestem synem bogacza. Ale to ty ubłagałaś bogów. Jak to możliwe? Ty, która czcisz księżyc! A teraz i ty mnie opuścisz. A ja dam ci wszystko, czego chcesz. I co otrzymam w zamian? Goniłem za tobą, a ty skrywałaś przede mną twarz. Zaatakowałem cię, ale przegrałem.

– Nie przegrałeś – szepnęłam. – Zyskałeś coś, czego nie otrzymasz od żony, służki ani kogokolwiek innego, kto nazywa cię królem. Szukałeś mojego towarzystwa, ponieważ nie jestem nimi. Pytałeś mnie o miłość. Byłam niegdyś kochana – kochana pięknie. Mocno. Bezinteresownie. Ale czymże jest miłość dla kogoś, kto chce przede wszystkim... zostać poznanym?

Zakrył twarz.

– I jak mam pozwolić wrócić ci do Saby?! – zawołał. – Odstraszyłem cię swoimi żądaniami. Tak bardzo chciałem cię przy sobie zatrzymać! Ciebie, która mnie zniszczyłaś...

– Mnie, która cię kocha. Niedoskonale, egoistycznie i zarazem bezinteresownie.

Chwycił moją rękę i ścisnąwszy ją, rzekł:

– W takim razie nie odchodź. Jeszcze nie. Zostań. – Zaprowadził mnie na sofę i ukląkł na jedno kolano. – Zostań, a ja dam ci całego siebie. Jeśli pozwolisz mi sobie służyć.

– Zostanę – powiedziałam. – Do zimy.

Położył głowę na moich kolanach.

Trwaliśmy tak przez długi czas. Kiedy podniósł wreszcie wzrok, sięgnęłam ręką za głowę i pozwoliłam, by welon opadł.

Pociągnął mnie na posadzkę. Palcami drżącymi niby ptasie skrzydła wodził po moim policzku. Łagodnie rozchylił moje wargi. Przez godzinę głaskał moją twarz, szyję, ramiona. Zawahał się, a kiedy go nie odtrąciłam, dotknął mnie niżej, delikatnie, początkowo niepewnie jak chłopiec, później zaś ze swobodą kochanka. Objął mnie w talii. Przez cały ten czas muskałam palcami jego krótki zarost, łuk brwi. W końcu złożyłam pocałunek na jego wargach. Westchnął, a ja chłonełam słodki dźwięk rozkoszy.

Potem odeszłam, rozbita i odnowiona, zostawiając za sobą zdruzgotanego króla.

...

Następnego dnia posłałam tylko jedną wiadomość: *Zabiłam swoje bydło. Zaprawiłam wino. Zastawiłam stół i rozesłałam swoje służebnice*[13].

Nie były to moje słowa, a jego – z pism o Pani Mądrości.

Posłałam dziewczęta do obozu, by popatrzyły na ofiarę. Wzięły ze sobą wszystkie kobiety przebywające w moim apartamencie. Jedynie Shara i Yafush zostali ze mną.

Król przyszedł późnym wieczorem.

Wszedł do moich komnat i rozejrzał się dookoła, jakby nie poznawał swego pałacu i wkraczał do innego, obcego świata. Dywany z mojego namiotu oraz te ofiarowane mi na miejscu leżały na podłodze w zewnętrznej komnacie, najkunsztowniejszy z nich pod repliką mojego tronu, który okryto skórą lamparta. Obok tronu na szerokim stojaku stała *markab*, symbol mojego urzędu.

Król przystanął przed arką i wyciągnął rękę, by jej dotknąć.

– To *markab*, z którą jechałaś na bitwę o tron – powiedział ze zdumieniem. Musnął palcami złote liście i wystrzępioną krawędź strusiego pióra, podobnie jak ja, gdy po raz pierwszy ujrzałam *markab*.

– Ta sama. – Nie miałam na sobie welonu ani nawet biżuterii. Ta broń odeszła w zapomnienie.

– Mówiłaś mi wcześniej, że twój wyjazd utajniono. Czy twoi dworzanie nie zorientowali się, że zabrałaś arkę?

– Podobną trzymam w prywatnej komnacie. Prawdziwa pojechała ze mną.

Zasępił się, po czym ujął moją dłoń, a jego wzrok powędrował do mego tronu. To na nim podejmowałam gości i rozwiązałam kilka problemów – w tym spór między rannym nadzorcą a właścicielem wielbłąda, który go kopnął. Nadzorca już do końca życia będzie kulał, choć lekarze Salomona i tak wykazali się umiejętnościami – w końcu człowiek ten nie stracił nogi.

Salomon poprowadził mnie ku alabastrowemu siedzeniu.

– Chcę wiedzieć, jak to wygląda, kiedy wstępujesz na swój tron w Sabie. Chcę to zobaczyć na własne oczy.

Posłałam mu zamyślony uśmiech i minęłam go, by usiąść, wyprostowana, z rękami na podłokietnikach.

– Tron w moim pałacu jest większy niż ten. Za nim widnieje wielki, srebrny księżyc, a przed nim znajduje się podium. – Wyciągnęłam ręce w kierunku ścian. – Na murach umieszczono dwadzieścia osiem alabastrowych tarcz. Lśnią bielą niczym księżyc w nocy i złotem niczym słońce w dzień, od rana do zmierzchu.

Cofnął się o krok, po czym, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, ukląkł. Nic nie mówił. Powoli nachylił się, by ucałować moje stopy, przebiec palcami po kunsztownym kwiatowym wzorze z henny sięgającym aż do kostek. Zamknęłam oczy, kiedy dotykał mojej skóry pod sandałem i pieścił tę szczególnie wrażliwą część ciała.

Chwilę później minęliśmy posążki Almaqaha, Aszery, Thotha i Neit. Przystanął w wewnętrznej komnacie. Patrzył na sofę z jedwabnymi narzutami i poduszkami, a także na palnik do kadzidła w kształcie koziorożca.

– Gdzie siadasz, kiedy odpoczywasz? – spytał. – Tutaj? – Podeszedł do jednej z dwóch niskich sof.

– Tak. Tutaj.

– A zatem ja się tu położę.

– Nie – powiedziałam. – Połóż się u mego boku.

Piliśmy wino. Jego palce przebiegały po zbroczu mojego ramienia niczym gązle. Kosztowaliśmy mnóstwa potraw; przybyły one z kuchni wraz z osobą, która próbowała ich pierwsza. Salomon jadł z mojej ręki, a ja z jego.

– Teraz zapominam o otaczającym mnie świecie – zamruczał król. Wtulił twarz w moje włosy i wdychał zapach perfum. – Dzień staje się nocą. Koziorożec i lew wspólnie się pożywiają.

– Nie ma ucztowania ni złota... Tylko ogród – powiedziałam.

– Jestem pasterzem, podobnie jak mój ojciec. – Uniósł moją brodę, a potem pocałował mnie w ucho.

– A ja pastereczką.

– Twój lud nie pochodzi z innego świata – wyszeptał. – Ale z doliny Szunem. Czy wiesz, że latami próbowałem wyobrazić sobie twoją twarz? Jednocześnie chciałem ją ujrzeć i nie chciałem tego, żeby przypadkiem nie okazała się inna od wyobrażenia.

– A oto jestem. I moja twarz – taka, jaka jest.

Pogłaskał mnie po policzku.

– Jest o wiele piękniejsza, niż byłem w stanie to sobie wyobrazić. Czuję, że znałem ją od zawsze... a ona mnie.

Wziął głęboki oddech i położył głowę na mojej szyi.

Tamtej nocy płakał w moich ramionach, a kiedy zasnął, szlochałam i ja.

[13] Por. Prz 9,2–3; przyp. tłum.

To był mój nowy świat: namiętne spojrzenie zwrócone w moją stronę. Pachnące prześcieradła na świeżo pościelonym łożu. Woń róż docierająca do mnie przez okno, mówiąca: „Przyjdź!”.

Nie zwracałam już uwagi na wszechobecny zapach palonego mięsa; zupełnie stracił dla mnie znaczenie z chwilą, gdy moją komnatę zalała woń kwiatów.

Przed południem przyniesiono mi najnowszy wiersz króla.

*Urzekłaś moje serce jednym spojrzeniem twych oczu,
jedną perłą twego naszyjnika.*

*O ileż bardziej pożądana jest twoja miłość niż wino,
a wonność twoich olejków lepsza ponad wszystkie aromaty balsamu!*[14]

Odpisałam mu od razu:

*Podczas gdy król gości przy stole biesiadnym,
mój olejek nardowy roznosi swoją woń.*

*Woreczkiem mirry jest dla mnie mój umiłowany,
spoczywającym między moimi piersiami.*

Kwitnącą gałązką cypru jest dla mnie mój umiłowany[15].

Siedziałam u jego boku w sali królewskiej, dokąd przeniesiono mój tron.

Biesiadowałam z jego doradcami, którzy popatrywali to na niego, to na mnie. Król ciągle zadawał w ich obecności pytanie: „Co Saba sądzi o tej sprawie?”. Z taką konsekwencją, że nawet spojrzenia najbystrzejszych – i najbardziej zachowawczych – radnych zaczęły zwracać się w moim kierunku w oczekiwaniu na odpowiedź.

Zasiedliśmy jako królowie w jego komnacie audiencyjnej i wysłuchaliśmy sprawy Jeroboama. Potępiliśmy trujący owoc rebelianckiego nasienia. Towarzyszyłam też królowi, gdy na przesłuchanie wezwano biedną matkę oskarżonego, wdowę.

Napiętnowaliśmy wspólnie Egipt za udzielenie schronienia wrogom: Jeroboamowi, a wcześniej Hadadowi, który panował teraz w Aramie. Salomon zawarł z nim pokój i poślubił jego córkę.

Z Chasoru dobiegały nas wieści o kolejnych zamieszkach, tym razem na północnej granicy z Damaszkiem opanowanym przez Rezona. Dyskutowaliśmy, jakie kroki należy podjąć.

Ale wieczorami zapominaliśmy o wszystkim.

Przychodził do mego łóża jak poddany. Ja otrzymywałam hołd. On domagał się mojego dotyku, a ja się cofałam. On szeptał mi do ucha, a ja padałam w jego ramiona.

– Moja matka zdobywała królów. Gardziłem ojcem z tego powodu jeszcze długo po jego śmierci. Ale teraz to pojmuję.

Rozprawialiśmy o bogach i plonach, o morskich podróżach zajmujących półtora roku w jedną stronę i tyle samo w drugą. Wiedliśmy rozmowy, które Salomon mógłby prowadzić z Baal-Eserem w moim imieniu. Mówiliśmy o statkach mających wpływać do moich portów. O tym, w jaki sposób ukształtujemy świat.

Ja śpiewałam pieśni mojej matki, a on psalmy swego ojca. Szeptem opowiadał historie o swoim starszym bracie, którego podziwiał jako dziecko, Adoniaszu. O tym, że był zmuszony go zgładzić.

Po raz pierwszy od prawie pięciu lat wymówiłam imię Maqara i zapłakałam.

– Ja także miłuję tego Maqara, choć go nie poznałem – powiedział. – Poniósł śmierć za moją królową i dzięki niemu jestem z nią teraz. Jako wyraz wdzięczności złożymy ofiary obu naszym bogom.

Nazajutrz posłaliśmy ludzi na targ, by kupili zwierzęta. Nad naszymi ołtarzami uniósł się dym. Nareszcie mogłam być wdzięczna, że coś tak gorzkiego po tak długim czasie zmieniło się w słodycz.

Popołudnia spędzałam na miłej, odurzającej senności. Drzemałam, gdy za oknem rozlegał się śpiew skowronków, i zażywałam kąpeli, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi.

Nocami wchodziłam po schodach na taras albo posyłałam po niego, by przybył do mojej alkowy. *Wejdz do mego ogrodu i pożywaj jego najwyborniejsze owoce*[16], pisałam.

Byliśmy bezwstydni jak dzieci. Kąpaliśmy się w środku nocy na jego tarasie. Posyłałiśmy sobie tajemnicze spojrzenia nad stołem podczas oficjalnych posiłków. Wykradaliśmy się z miasta tunelami jak boscy małżonkowie.

Przyszedł do obozu podczas kolejnego nowiu w towarzystwie sług i przyniósł ze sobą zwierzęta. Był świadkiem obrzędu Almaqaha, któremu przewodniczyłam wraz z zatroskanym Asmem. Ostatniego mojego rytuału na cześć milczącego boga.

– Jakaż ty jesteś straszliwa, piękna i wspaniała zarazem – wyszeptał w moim namiocie tamtej nocy, gdy ucichły bębny. – Jakże mnie oczarowałaś! Jaką władzę dzierżysz, Córo Księżycy?

– To potęga pragnienia – odpowiedziałam.

– Wierzysz w takie rzeczy?

– A czymże jest modlitwa, jeśli nie pragnieniem? Kiedy miałam dwanaście lat, do mojej komnaty wkradł się mężczyzna. Wziął mnie siłą. A potem znowu, przy innej okazji. I znowu. – Wyprostował się, osłupiały. – Modliłam się o wybaczenie. Rzeka wylała i zabrała go. Z wdzięczności oddałam się bogu. Ale sądzę, że jestem bezpłodna.

Objął mnie mocniej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Moje biedne kochanie! Gdyby ten człowiek żył, chciałbym patrzeć, jak cierpi. I pomyśleć, że nalegałem, byś tej pierwszej nocy przyszła do mnie sama. Niech będę przeklęty za to, że kiedykolwiek postępowałem surowo wobec ciebie. Wybacz mi. Wybacz – powiedział i przyciągnął mnie do piersi.

– Nigdy nie położyłeś na mnie ręki.

– Powinienem był okazywać ci więcej łagodności już od pierwszego listu.

– Wtedy bym nie odpisała.

– Nie, pewnie nie.

– Widzisz zatem, wierzę. Modliłam się do księżycy, by mnie wybawił. Modliłam się o wolność, a ojciec wysłał mnie do Puntu. Byłam szczęśliwa przez lata. Żyłam pośród miłości. Ale nie jestem pewna, czy jakaś część mnie nie pragnęła od zawsze zostać królową. Zastanawia mnie, czy nasze dusze są przewidujące i czy moja wiedziała, że się tu znajdę. Jeśli wiedziała, nie przybyłabym tu, gdyby Maqar żył... – Odsunęłam się, by spojrzeć na króla w świetle lampy. – Kiedy pisałam do ciebie po raz pierwszy, część mnie już cię pragnęła. Gdy po raz pierwszy cię ujrzałam, już cię chciałam. I oto jesteś. Ale bóg, któremu się oddałam, nie oddał się mnie. A zatem który z bogów podarował mi ciebie... i wkrótce nas rozdzieli?

– Ten sam, który ponownie nas złączy – powiedział łagodnie. – Przecież wierzymy w tego samego boga – stwierdził.

– Jaki to bóg?

– Jego imię to miłość.

Salomon, mój poeta.

Po jakimś czasie przestałam przyjmować go w swoich komnatach, w których przebywały moje dwórki i dwie mniej ważne królewskie żony. Kazałam po prostu przenieść swoje rzeczy do jego komnat.

Wylegiwaliśmy się do późna. Całował mnie w pępek, a ja porównywałam jego skórę do gładkiego alabastru, z którego wykonywano posążki płodności. Roz-

śmieszało go to i udawał, że okrywa się płótnem ze wstydu.

Potem na kilka godzin znów przybieraliśmy role króla i królowej. A w głowach układaliśmy wiersze.

Nie poruszaliśmy tematu nadchodzącej zimy, choć dni mijały w szaleńczym tempie i lato chyliło się ku końcowi.

[14] Pp 4,9; przyp. tłum.

[15] Pp 1,12; przyp. tłum.

[16] Por. Pp 4,16; przyp. tłum.

Khalkharib i Niman złożyli mi wizytę podczas Święta Trąb, na które od kilku dni przybywali do miasta pielgrzymi. Król udał się do świątyni; nie zobaczę go do zmroku. Dźwięk baranich rogów rozbrzmiewał co rano od miesiąca, niejednokrotnie wyrywając mnie ze snu i z ramion króla. Ten dźwięk nie wydawał się jednak wzruszać władcy. Salomon pochrapywał słodko, choćby nie wiem jak głośno dęto w rogi. W tym czasie z każdego pieca w mieście roztaczała się już woń świeżego chleba.

Przyjęłam ich u siebie. Na stole znalazły się pigwy i miód z królewskich kuchni. Byłam w tym apartamencie po raz pierwszy od wielu dni i jeszcze nigdy nie przyjmowałam w nim swoich radnych.

– Moja pani, martwimy się – oświadczył Niman.

– A dlaczegoż to? – spytałam beztrąsko. Spodziewałam się słów potępienia i traktowałam ich z rezerwą. Od tygodni pojawiałam się w sali królewskiej i komnacie audiencyjnej. Król okazywał w ten sposób wszystkim, że zgodził się na sojusz. Z flotą w garści nie mieliśmy powodu zostawać tu dłużej. Ludzie byli niespokojni, a ja wciąż kazałam im czekać.

– Krążą... niepoehlebne pogłoski o tobie i królu. Coraz intensywniej i zacieklej rozpowiadają je pielgrzymi, których przybywa z dnia na dzień.

– Ludzie zawsze będą plotkować. W Sabie też krążą różne pogłoski o mnie.

Niman pokręcił głową.

– Pani, to miejsce to nie Saba.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. – Parsknęłam śmiechem. – Przyszlicie tu tylko po to, by mi o tym powiedzieć? – Spojrzałam na Khalkhariba. Wpatrywał się ponuro w miejsce, w którym wcześniej stał mój tron.

– Król ma mnóstwo żon, a one mają wiele służek. I te służki rozpowszechni-

niąją zazdrosne pomówienia. Na dworze jest wielu kapłanów i członków rady, których drażni obecność obcego suwerena. Wywierają oni na króla nacisk. To nie jest kraj dla zagranicznego władcy – a zwłaszcza dla królowej. Stałaś się ulubionym celem gróźb. Choć kiwiają głowami i uśmiechają się w pałacu, oprócz króla nie masz tam zwolenników.

– Skąd możecie to wiedzieć? Nie jesteście wtajemniczeni w obrady.

– Poszliśmy do miasta w przebraniach i słyszeliśmy różne rzeczy na własne uszy – przyznał wreszcie Khalkharib. – Ludzie na targu wypowiadają się przeciwko „sabejskiej dziewce” i nazywają twego strażnika „synem nierządnicy”.

Twarz mi poczerwieniała, a na plecach poczułam dreszcz.

– Jak śmia!

Zerwałam się na równe nogi i zaczęłam chodzić po komnacie. Gwałtownie odrzuciłam do tyłu włosy.

– Tchórze zawsze będą traktować kobiety u władzy po prostaku. Myślicie, że to pierwsze plotki na mój temat? Czy naprawdę sądzicie, że mnie to zajmuje? Plotkarzy nie zadowolają już królewskie małżeństwa, choć korzystają z nich na wszelkie sposoby. To ludzie nawykli do skandali. Prawią morały nawet na temat związku, z którego zrodził się ich ukochany król, ustanowionego przez ich własnego boga – wyrzuciłam z siebie ze złością. – Król wyznający napelnionego mądrością Jahwe!

– Ludzie lękają się, że ten sam bóg ukarze ich za postępkę króla – ciągnął Niman.

– Moja pani, nie jestem pewien, czy władca jest tak kochany przez swój lud, jak zapewniają go pochlebcy w pałacu – stwierdził Khalkharib.

– Nie ośmieliliby się mówić żadnych słów przeciwko niemu.

– Publicznie nie. Ale coraz śmielej opowiadają się za Jeroboamem.

– Moja pani, to oczywiste, że Salomon darzy cię względami – mówił Niman.
– I Saba te względy odwzajemnia. Król jest tobą oczarowany. Nic dziwnego – Saba to najbogatszy naród na świecie.

Wybuchnęłam śmiechem.

– Jeszcze kilka tygodni temu nie mogliście się nachwalić tego króla. Widziałam, jak pożądlwym wzrokiem chłonicie darowane nam konie, a ty, Nimanie, także złoto rydwanów. Czyż nie jesteście już tymi samymi ludźmi, którzy tak zabiegali o moje małżeństwo z tym władcą i upatrywali w naszym związku wszelkich możliwych korzyści?

– Pani, jeśli masz zamiar go poślubić, uczyn to – oświadczył Khalkharib. – Ale musisz wyciszyć ten skandal. Nie tylko dla dobra Saby, lecz także dla bezpieczeństwa naszych ludzi w obozie.

Obróciłam się na pięcie.

– O czym ty mówisz?!

– Od tygodni pod osłoną nocy do obozowiska ktoś wrzuca kamienie i śmieci. Zeszłej nocy grupa ludzi z północy wdała się w utarczkę z naszymi strażnikami. Trzech ludzi Tamrina ucierpiało.

– Co takiego?!

– Jeśli nie masz zamiaru poślubić króla, wyjedźmy stąd prędko. To oczywiste, że masz zapewnione – a przynajmniej obiecane – to, po co przyjechaliśmy!

Starłam się nie myśleć o nadchodzących deszczach, o coraz krótszych dniach. Wmawiałam sobie, że noc przychodzi wcześniej po to, bym mogła spędzić więcej czasu z królem. Rzecz jasna, było to kłamstwo.

– Nie wyruszamy do zimy. Jeszcze nie wszystko udało się ustalić – powiedziałam, obgryzając paznokcie.

– Powiadają, że wprowadziłaś się do jego komnat – powiedział ostrożnie Khalkharib. – Cały dwór wie, że zasiadasz obok niego w sali królewskiej – nie jakbyś była władczynią składającą wizytę, ale jego królową!

Miałam ochotę krzyknąć: „Bo nią jestem!”.

Byłam jego królową o wiele bardziej niż którakolwiek z jego umownych żon! Bez małżeństwa, bez posagu, bez unii narodów. Bardziej niż kobiety, które

urodziły mu synów. Choćby dlatego, że żaden z tych układów nie był moim udziałem.

Co pomyśleliby, gdyby wiedzieli, że do późnej nocy debatowaliśmy nad kształtem świata? Zastanawialiśmy się, jak przyciągnąć Hidush i Babilonię, kiedy ograniczymy naszą obecność na drogach wiodących do dalekich krain. Jak ukrócić wpływy Edomu dla dobra moich karawan i jego statków zacumowanych w zatoce...

– Gdzie byliście, kiedy zasiadałam w sali królewskiej podczas negocjacji i posiedzeń rady? Dlaczego zajmują was słowa krążące po korytarzach? Nie będę się wam tłumaczyć. Powiedziałam, że przybędziemy tu po porty i statki. Osiągnęłam o wiele więcej. Jak śmiecie mnie napominać?!

– To nie wszystko – powiedział Niman. – Powiadają też, że potępiłaś Egipt za udzielanie schronienia wrogom króla.

– Oczywiście, że to uczyniłam!

– Czy wiesz, że egipska królowa zaczęła w odwecie rozpuszczać nikczemne plotki?

Zaskoczyło mnie to.

– Od kiedy to zniżacie się do poziomu niewieścich plotek? – syknęłam. – Do poziomu targowiska? Z pewnością to samo mówią o mnie na rynkach sabejskiej stolicy, a także w komnatach żon moich możnych. – Spojrzałam znacząco na jednego i drugiego. – Wkrótce nadejdzie zima. Skupcie się na zaopatrzeniu karawany, ponieważ czeka nas długa podróż na południe.

Odprawiwszy ich, wysłałam wiadomość marszałkowi dworu. Byłam wstrząśnięta, zatroskana o bezpieczeństwo obozu, zaniepokojona nieobecnością Salomona. Z niechęcią patrzyłam, jak świat wkraczał w nasze mury. Nie mogłam pogodzić się z tym, że księżyc znika, a słońce pojawia się kolejnego ulotnego dnia.

W ciągu kilku godzin przed sabejskim obozem postawiono dodatkowych strażników. Uspokołam się na chwilę – dopóki nie poszłam do królewskiego apartamentu. Salomon wziął mnie w ramiona, ale był zrozpaczony.

- Nie mogę tu dziś zostać – oświadczył.
- A zatem udam się z tobą, dokądkolwiek pójdziesz.
- Nie byłem u Tashere od tygodni. Jest wściekła i zazdrosna.

A więc to prawda. Odsunęłam się od niego.

- Myślałam, że podchodzi do małżeństwa pragmatycznie.
- To nie tajemnica, że przeniosłaś się do mnie. Że twój tron stoi obok mego. Tashere ustąpiła w wielu sprawach. Ale rozpaczliwie pragnie począć kolejnego syna i tego się nie wyrzeknie.

Zalała mnie gorąca fala zazdrości.

- Cóż. W takim razie i ja zaproszę innego mężczyznę do moich komnat!

Rwał sobie włosy z głowy.

- Nie! Nie rób tego. Błagam cię. Pozwól mi tylko wypełnić obowiązek.

- Obowiązek? Jesteś królem!

- A ona jest córką faraona! – odpowiedział.

- Owszem. Ileż to razy mówiliśmy, że Egipt jest słaby? To schronienie dla twoich wrogów, przyznaliśmy to nawet publicznie. Co jesteś jej teraz winien?

I wtedy mnie oświeciło: kochał ją.

Poczułam lodowate ukłucie.

Ileż to razy pisał dla niej wiersze, zanim po raz pierwszy napisał je dla mnie? Ile listów posłał, ile podarków?

Chwycił mnie za rękę.

- Moja droga, proszę. Zostań. Zaczekaj na mnie. Wrócę wraz z nastaniem świtu. Nie kładź się, dołączę do ciebie.

- Prosto z łóża innej kobiety – powiedziałam z goryczą.

– Ty też przybyłaś do mnie od innego.

Zaśmiałam się szyderczo.

– A ty od setek. Nie udawałam, że jestem dziewicą. A może nazwiesz mnie „dziewką”, jak ludzie na targu? Jeśli jest tak w istocie, to król mnie nią uczynił!

– Czy nie widzisz, czym ryzykuję, by z tobą być? – spytał, jakby się poddając.

– Ty?!

– Tak! Nazywają cię „dziewką” – cóż, każda kobieta niepoślubiona mężczyźnie doczeka się w końcu takiego miana. Wiesz to lepiej ode mnie. Czy nie widzisz, że narażam się na dezaprobatę ze strony kapłanów, którzy twierdzą, że to właśnie z twojego powodu północ, Damaszek, Jeroboam i całe zastępy innych knują przeciwko mnie?

– Czy nie widzisz, że zawsze, gdy naród ma kłopoty, wytyka się palcami kobiety, choć nie mają one żadnej władzy? – spytałam. – Nawet twoja Ewa nie przeżyła przecież owocu i nie splunęła nim w usta Adama. To on sam wziął go i zjadł. Czytałam opowieści twoich kapłanów. Czy nie widzą, że malują w ten sposób obraz własnej słabości?

– Nie tylko kapłani. Cały mój lud. A jednak wynoszę cię ponad wszystkich. Pozwalam ci ich sądzić. Ryzykuję skandalem, ryzykuję królestwem – dla ciebie!

– To są kapłani, ludzie, których wybierasz. Wybierz zatem innych. Ryzykujesz królestwem, zapraszając tak majętny kraj jak Saba do swego łoża? Uświadamiając światu, że nasze królestwa mają być traktowane jako jedna potęga? Cóż to za ryzyko, o panie? Dla ciebie, który zwiesz się niebezpiecznym, po czym biegniesz na każde skinienie żony?

– Czego ode mnie żądasz? – spytał, a ja się roześmiałam. Jakiś czas temu zadałam mu to samo pytanie.

– Czy mam powiedzieć, tak jak ty, że moim warunkiem jest małżeństwo?

– Nigdy nie chciałaś ślubu.

– Jestem królową. Widzę, że ty wielokrotnie zmieniasz zdanie. Czyż nie wolno mi uczynić podobnie?

– Poślubiłem cię w moim sercu, ciele...

– Twoje serce nie uspokoi ludzi potępiających mnie na ulicach. Ani twojego obłąkanego proroka, który podburza twych wrogów przeciwko tobie. Bierzesz za żony córki narodów, których twój bóg nie akceptuje. Bóg ten nie powiedział jednak nic o małżeństwie z Sabą – a ty nie chcesz mnie poślubić?

– Pomówimy o tym. Wrócę. Noc jest krótka...

– Wcale nie jest krótka. Robi się coraz dłuższa! Czy wyglądałeś przez okno? Czyż nie widzisz blednącego słońca? Jest jesień, a czas, który nam pozostał, można mierzyć w godzinach. Po moim wyjeździe spędzisz miesiąc z Tashere. Możesz nawet nie wychodzić z jej łóża. Ale teraz zostań ze mną.

– Bilkis. – Na jego twarzy malowało się wyczerpanie. – Nie wiesz, jak to jest: być mężem jednej rozzłoszczonej żony, a co tu dopiero mówić o wielu... Ty jesteś moim ukojeniem. Pozwól mi uczynić, co do mnie należy, a powrócę do ciebie z wdzięcznością.

Nie mogłam nic zrobić. Wyrzucanie z siebie złości w niczym mi nie pomoże. Czegóż oczekiwałam od króla, który miał tyle żon? W ogóle od króla?

– Idź więc. Może tu będę, kiedy wrócisz. A może nie.

Westchnął i nachylił się do moich dłoni. A potem odszedł.

...

Obudziłam się nazajutrz późnym rankiem, sama. Król nie wrócił. Ani rano, ani po południu, kiedy posłałam po Share, by ze mną zjadła. Spoglądałyśmy na ulice pełne pielgrzymów. Na dachach roilo się od altanek pokrytych strzechami z liści palmowych. Minionej nocy widziałam lampy odwiedzających je gości. Lśniły niczym gwiazdy. Przez cały dzień pielgrzymi przybywali do miasta i odchodzili, a krzyki sprzedawców docierały z targów do pałacu.

Woń z publicznych pieców spowijała Jerozolimę niczym całun, wywołując burczenie w brzuchach i skłaniając mnie do podjadania przez cały dzień. Shara wydawała się tego nie zauważać. Przyniosła ze sobą planszę do gry w seneta i wygrała ze mną trzy razy z rzędu.

Była odmieniona. Chodziła wyprostowana, podczas gdy przez ostatnie lata mocno się garbiła. Dawniej była taka opanowana, a przy tym taka nieśmiała; teraz poruszała się jak ktoś, kto potrafi oddychać. Nawet jej ruchy były bardziej zdecydowane niż wcześniej. Nie przeproszała już całym swoim zachowaniem, że jej szczupłe ciało zajmuje jakąś przestrzeń. Już nie patrzyła w przeszłość.

Tuż przed świtem w pałacu rozległ się rozdzierający skowyt.

Zerwałam się na równe nogi, zrzuciłam planszę i rozsypałam pionki. Pędem przemierzyłam komnatę. Shara padła do moich stóp, a Yafush wyciągnął rękę, by mnie powstrzymać. Pierwszy wyszedł na korytarz.

Trzaskanie drzwi i podniesione głosy dobiegały od strony komnat Tashere. Egipcjanka krzyczała z wściekłości. Drugi głos należał do mężczyzny. Do króla.

Podpytywałam po cichu strażnika, ale nie posłałam po marszałka. Nie będę wdawać się w małżeńskie sprzeczki.

Kiedy nieco później przygotowywałyśmy się z Sharą do spoczynku, przyszedł do mnie brat Salomona, Natan. Nie patrzył mi w oczy i miał ponurą minę.

– Przybył do nas jeździec – powiedział. – Faraon nie żyje.

Król uczestniczył w obradach przez cały następny dzień. Kiedy posłałam po niego, powiedziano mi jedynie, że przyjdzie do mnie najszybciej, jak zdoła.

Tym razem nie zaprosił mnie, bym zasiadła u jego boku.

Chodziłam wzburzona po apartamencie w tę i z powrotem. Wreszcie posłałam po Asma, który dla bezpieczeństwa przybył z obozu wraz z eskortą królewskich zbrojnych.

Kiedy zjadł symboliczną ilość jedzenia, zagadnęłam go:

– Faraon nie żyje. Czy otrzymałeś jakieś znaki?

Wiedziałam, jaka będzie odpowiedź.

– Żadnych.

Czy mi się zdawało, czy zmizerniał na twarzy przez ostatnie tygodnie, jakby nie jadał ani nie sypiał?

– Chcę wiedzieć, co widziałeś w dniu, w którym ruszaliśmy – zażądałam. Nie pamiętałam o tym przez miesiące. Teraz przypomniałam sobie wszystko. Dopadły mnie złe przeczucia.

Asm pokręcił głową.

– Tyle tylko, że wizja naszego powrotu była niewyraźna.

– Co to oznacza?

– Nie wiem. Może powrót będzie trudny...

– Podróż w tę stronę była wystarczająco kłopotliwa!

– Może to też oznaczać, że obierzemy inną drogę powrotną.

– A w najgorszym wypadku?

Zawahał się na chwilę.

– Że ktoś nie wróci.

Znieruchomiałam.

– Tak, cóż – powiedziałam w końcu. – Zdarzało się już, że wróżby wprowadzały nas w błąd.

Za każdym razem, gdy twierdziłam, że Almaqah przemówił, wcale tak nie było. Za każdym razem, kiedy sądziłam, że okazał mi względy, następowała katastrofa. Z tego powodu nie uważałam ujawnienia zamiarów Jeroboama – tego, który złamał króla, ale za to naprawił nasze relacje – za zapowiedź przyszłości. Nie spodziewałam się, że spadnie na nas klęska.

Po południu w mieście rozległy się krzyki i z pałacu oddelegowano grupę strażników. Obserwowałam z tarasu, jak przechodnie rozstępowali się przed nimi. Napierśniki strażników lśniły w słońcu. W pobliżu targu wybuchło jakieś zamieszanie. Ludzie nadbiegali tam od strony namiotów.

Niepokoilo mnie to miasto przepełnione pielgrzymami. Tłumy wstępowały do doliny, poprosiłam więc o kolejnych strażników do pilnowania obozu, a moi ludzie podwoili liczbę wartowników. Nawet w Sabie konflikty i dawne zaszłości wybuchwały ogniem niczym suche drewno w lecie, tryskając iskrami pochopnych słów i wina. Trzymałam dwórki i Sharę przy sobie, nie pozwalałam im opuszczać miasta. Udobruchałam je łakociami z królewskich kuchni i niespodziewaną wizytą Tamrina, którego natychmiast nauczyły gry w seneta.

Salomon wrócił późno w nocy.

– Faraon nie żyje – oznajmił.

– Słyszałam. – Nalałam mu wina.

– Władzę w Egipcie objął Szizak z Libii. W ciągu nocy ten kraj wzrósł w siłę. – Jeszcze nigdy nie widziałam go takiego zabiedzonego.

– Bez przesady – odparłam.

Pokręcił głową.

– On przez lata dowodził armią faraona. Egipt znów stanie się potęgą militarną. Będą chcieli odzyskać Gezer.

– Twoja pierwsza żona jest Egipcjanką!

– Czy to ma znaczenie dla najemników? To nie Egipcjanie, lecz Libijczycy, którzy przejęli władzę w Egipcie i zwrócą oczy poza jego granice. Już ugościli Jeroboama, który według mojego proroka... – jego szczęki się zacisnęły – będzie rządził północnymi plemionami Izraela. Szizak myśli, że ma w garści przyszłego króla. Nie. Będzie chciał Gezeru. Wkrótce, jeśli nie dziś. A także udziałów we flocie.

– Nie może ich mieć!

– Może.

– Jakimż to sposobem?

– Egipt zapewnia ludzi do garnizonów w Kadesz-Barnei, Beer-Szebie i Gezerze. Oni strzegą moich interesów, ale są lojalni wobec Egiptu. I jest coś jeszcze.

– Cóż takiego? – spytałam z niedowierzaniem.

– On wie, że tu jesteś. Jeroboam opowiedział mu przejęskrawione historie o naszej... przyjaźni.

Dlaczego po tym jego prostym stwierdzeniu z moich palców uleciało całe ciepło? Kilka dni temu utrzymywałam przed swoimi radnymi, że nie dbam o zdanie innych. Ale kiedy dowiedziałam się, że opowieści o mojej „przyjaźni” z Salomonem dotarły do Egiptu, poczułam, jakby cały świat nagle zajrzał mi do alkowy. Tym bardziej że historie te wcale nie były przesadzone.

– Muszę obchodzić się z nim ostrożnie – mówił Salomon. – Egipt przyjaźni się też z Hadadem, moim starym wrogiem. Czy rozumiesz teraz, w jakim położeniu się znalazłem? Muszę pertraktować dla naszego wspólnego dobra. Skoro może zwrócić oczy na Gezer, spojrz też na południe, na Punt.

Znieruchomiałam.

– Uczynię wszystko, co w mojej mocy – zapewnił. – Ufasz mi?

– Tak. – Nikomu bardziej nie dawałam wiary. Mimo to jego posępna mina i

słowa: „Uczynię wszystko, co w mojej mocy”, podczas gdy dopiero co mówił: „Przeciagnę go na swoją stronę”, naprawdę mną wstrząsnęły.

Hadad w Aramie. Rezon w Damaszku. Jeroboam w Egipcie. Jego plemiona na północy, grożące rebelią. Prorok jego boga. Jego zazdrosne żony.

Czy bóg sprzyjał temu człowiekowi? Człowiekowi, o którym krążyły takie opowieści, który posiadał taką mądrość, a przy tym miał tylu wrogów? Władcy, który musiał chronić jedność plemion, złączonych przez jego wojowniczego ojca, tym razem nie siłą, lecz przez spryt i małżeństwa – środki stanowiące, zdaniem kapłanów, zagrożenie dla tożsamości narodu?

Czułam wzrok Salomona na sobie.

– O co chodzi?

– Jest coś jeszcze.

– Cóż znowu? – spytałam rozpaczliwie.

– Szyszak jest spowinowacony z Tashere...

Odwróciłam się gwałtownie.

A więc Egipt umocnił swoją pozycję wszędzie. Tam i tu.

– Teraz nie odważysz się mnie poślubić – stwierdziłam.

– Nie mógłbym – powiedział cicho. – Nie mógłbym uczynić cię jedną z setek, jak mówiłaś, ani wynieść innej żony ponad ciebie. Jesteś królową. Moją królową. Pierwszą w moim sercu.

Westchnęłam, kiedy podszedł do mnie. Położyłam głowę na jego ramieniu.

– Tashere musi być zadowolona.

– Straciła ojca.

Pomyślałam o własnym ojcu i łzach, których nigdy po nim nie wylałam. Ona mieszkała tu od przeszło dekady. Czy teraz płakała?

– Pójdę do niej jutro – powiedział cicho. – Wiem, że będziesz zła. Ale zrobię

to.

Cóż mogłam uczynić?

– Wkrótce wyjeżdżam – powiedziałam.

– Wiem.

– Ale i tak pójdziesz.

Oparł podbródek na mojej głowie.

– Tashere zagroziła, że pośle słowo do Egiptu. Napisze, że jest nieszczęśliwa i źle traktowana, jeśli do niej nie przyjdę. Jeżeli publicznie nie okażę jej względów.

Parsknęłam śmiechem.

– Nie sądziłam, że ma czelność rozkazywać królowi.

– Szizak będzie szukał byle pretekstu. Jeroboam jest mu coś dłużny, a będzie miał jeszcze większe zobowiązania, jeśli obejmie tu władzę. O wiele łatwiej kontrolować wyrostka niż króla zasiadającego na tronie od lat.

– Co teraz zrobimy?

– Poślę emisariusza z darami. Tak nakazuje zwyczaj. Dzięki temu do niego dotrę. – Jego głos nie brzmiał pewnie. Salomon był po prostu zmęczony. Gdzie podział się autor nietaktownych listów?

Jeśli królestwo Salomona upadnie, nie będzie floty. Albo statki przejdą w inne ręce. Co wtedy pocznę? Do kogo będę musiała pojechać? Ile wysiłków tej ostatniej podróży poczyniłam na próżno?

Nie. Nie na próżno.

– Oczywiście – odparłam.

Nazajutrz Tashere odwołała Nebt ze służby u mnie. Zapłakana dziewczyna padła mi w ramiona, a potem ze spuszczoną głową opuściła moje komnaty na zawsze. Zostawiła zestaw do gry w seneta.

...

Zaczęłam obawiać się dnia, w którym Tashere będzie chciała ze mną mówić. Wiedziałam, że zechce podkreślić swoją umocnioną pozycję na królewskim dworze. Ale trzy dni później odwiedziła mnie nie ona, a Naama.

W zestawieniu z zadbaną Tashere przedstawiała się całkiem zwyczajnie. Była skromna niczym chłopka i miała potężne kości. Cała jej postać świadczyła o tym, że kobieta ta zajmuje się głównie rodzeniem i wychowywaniem dzieci, choć nie spytałam, ile synów i córek miała.

Zjadła tylko tyle, by uczynić zadość zwyczajowi, po czym usiadła.

– Tashere czuje się zagrożona, dlatego stała się twoim wrogiem. A zatem jesteś teraz moją przyjaciółką – oświadczyła. – Ona wierzy, że wygrała, ponieważ z nowym faraonem łączy ją powinowactwo. Publicznie wyznała wiarę w Bastet, kocią boginię, którą czczą jego kapłani. Ale nie jest szczególnie mądra. Szyszak to najeźdźca, a nie zdobywca czy zjednoczyciel jak mój mąż albo jak ty. On chce tylko odzyskać to, co zostało darowane. W sytuacji zagrożenia ze strony Egiptu Salomon nie wybierze na następcę syna egipskiej księżniczki.

– Którego syna więc poprze? – spytałam.

– Roboam, mój syn, ma serce po ojcu. Uczył się od niego. Może nawet jest aż nazbyt zagorzałym jego wyznawcą, a przy tym ma mniej wyrozumiałości dla ludzi z północy. Myślę, że Salomon wybierze jego. Oczywiście, o ile ty nie urodzisz mu syna i nie sprowadzisz go tutaj.

– A więc prosisz mnie, bym wyjechała.

– Wszystkie żony tego chcą – powiedziała bez ogródek, ale i bez złośliwości. O ile Tashere uważałam za szczerą, Naama nie miała żadnych oporów!

– Nie musisz się obawiać tego, że dam mu syna.

– Tak mówi wiele nowych kobiet, na które król zwraca uwagę, myślących tylko o miłości. A zwrócił on oczy ku wielu niewiastom. Wiele z nich kochał. Nie jesteś pierwsza. I nie będziesz ostatnia. Ale myślę, że ciebie pokochał chyba najbardziej. A więc jesteś w niebezpieczeństwie. W haremie toczy się więcej wojen,

niż kiedykolwiek stoczyli mężczyźni. Izraelskie żony gardzą zagranicznymi, te zaś uważają Izraelitki za pospolite. Żony z ziem północnych zarzucają nadużycia tym z terenów południowych, a one uznają kobiety z północy za mniej szlachetne. Wszystkie żony rywalizują o względy króla, do którego wiele z nich chowa jednak urazę.

– A ty? Masz do niego żal? – spytałam, równie prosto jak ona.

– Tak. Czasami.

Chyba i to byłam w stanie zrozumieć.

– Łączy je jedno: zazdrość o każdą nową kobietę, która przyciąga uwagę władcy – czy to ze względów politycznych, czy romantycznych. Ale żadna z żon nie pragnie twojego odejścia bardziej niż Tashere. Uważaj, Szebo. Ona ma swoich szpiegów i sługusów. Miej przy sobie służkę do kosztowania potraw. Choć Tashere nie toczy wojny z tobą, to w twoim kierunku posybyją strzały. Przybyłaś po sojusz. Król zapewni ci porty, których chciałaś. Ale nie będziesz bezpieczna, dopóki nie zwrócisz twarzy na południe.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że wtajemniczono ją w tak wiele spraw. Żałowałam, że nie zaprosiłam jej do apartamentu na samym początku.

– Pojmuję – odpowiedziałam i podziękowałam jej.

– Izrael jest bogaty. Ale twój kraj również. Jeśli chcesz pokoju, nie znajdziesz go tutaj.

Wstała, by odejść, ale przystanęła jeszcze na chwilę.

– Moją dwórkę uradowała posługa u ciebie. Będzie płakać za Sharą i pozostałymi dziewczętami. Uznam to za przysługę, jeśli zabierzesz ją ze sobą. Nigdy nie była tu szczęśliwa. Jeśli tak uczynisz, będzie to znak naszej przyjaźni. Kiedyś zostaniemy matkami władców naszych narodów. Chciałabym, abyśmy pozostały w dobrych stosunkach.

Niespodziewanie padłam w objęcia tej kobiecie, która mówiła prawdę w sposób surowy, ale uczciwy.

Tamtego dnia mój obóz został przeniesiony na południe od Jerozolimy. Znaj-

dował się teraz w połowie drogi do portu w Esjon-Geber, z dala od coraz bardziej niebezpiecznego miasta. Pożegnałam się z dziewczętami. Zapowiedziałam, że zobaczymy się za kilka tygodni, kiedy skończy się okres świąteczny. Zatrzymałam przy sobie tylko Sharę i Yafusha.

Kiedy zbrojni wynosili mój tron i *markab* poza mury miasta, usłyszałam wivaty mieszkańców. A także okrzyki: „Precz, Szabo!”.

Wieczór spędziłam na tarasie. W samotności. Czułam pierwszy chłodny powiew zimy.

Nazajutrz wieczorem przebraliśmy się z Salomonem w gładkie szaty i w towarzystwie kilku jego ludzi w prostych strojach udaliśmy się do zatłoczonego miasta. Początkowo byłam nieufna. Lękałam się tych ulic ze względu na swoich ludzi, a tego wieczoru bałam się również o siebie. Nawet w obecności króla. W głowie szumiało mi echo okrzyku: „Precz, Szebo!”. Zbyt długo jednak męczyłam się zamknięta w pałacu, wplątana w intrygi tak samo w jego murach, jak i poza nimi. Nie dam się zastraszyć.

Szliśmy razem, jak mogliby to czynić mąż i żona. Nawet o tej godzinie ulice były pełne ludzi. Zaczęłam tęsknić za targami i okresem pielgrzymkowym w Sabie. Nigdy nie doświadczyłam ich uroków nierozpoznana.

Gdzieś w pobliżu starego miasta Salomon zakradł się za niski murek domu piekarza i zwędził dwa placki, które chłodziły się na dziedzińcu. Pies zaczął szczekać, a właściciel wypadł z budynku i rzucał za nami przekleństwa, kiedy uciekaliśmy zatłoczoną ulicą.

– Co ty sobie myślałeś? – spytałam kilka przecznic dalej, dysząc i śmiejąc się mimo woli. Gdzieś obok grupa ludzi śpiewała psalmy.

Podał mi placek.

– Że będę dla siebie pobłażliwy. Jestem zakochany. I zdolny do wszystkiego!

W górnej części miasta widziałam kunsztowne maleńkie konstrukcje wzniesione przy domach, na dziedzińcach, a nawet na dachach – trój- lub czworoboczne budki pokryte liśćmi i kolorowymi tkaninami, stanowiące schronienia dla gości. Salomon wciągnął mnie do jednej z nich i wyjaśnił, że powstały na pamiątkę szalaśców, w których jego lud mieszkał na pustkowiu przez czterdzieści lat po wyjściu z Egiptu.

W tej samej chwili przejeżdżający obok wóz z owocami wywrócił się i po ulicy potoczyły się cytrusy. Rzuciła się na nie szajka młodzieniaszków. Król

chwycił mnie za rękę. Wypadliśmy z niewielkiego szafasu wprost w całe to zamieszanie. Jego ludzie otoczyli nas ciasno. Spojrzałam za siebie bez tchu – w samą porę, by zobaczyć, jak budka przewraca się pośród przepychanki.

– Katastrofa depcze nam po piętach – stwierdził król ponuro.

Wolałabym, aby tego nie mówił, choćby dlatego, że nigdy nie wiadomo, które słowa mogą się wypełnić.

...

– Kiedy pokażesz mi naszą flotę? – spytałam, gdy miasto zniknęło za okiennicami pałacu i w końcu zostaliśmy sami. Kilkakrotnie rozmawialiśmy już o obejrzeniu statków, ale dziś naprawdę żywiłam na to nadzieję.

– W dniu, w którym będę eskortował cię do obozu, udamy się razem do Esjon-Geber. Wtedy zobaczysz statki. Obiecuję. Poznasz drogę, którą pewnego dnia do mnie powrócisz.

Nie mogłam zdobyć się na uśmiech. W dniu, w którym będzie eskortował mnie do obozu, opuszczę Izrael i jego samego.

Dwa dni później Tashere wezwała Salomona na uroczystość związaną z urodzinami ich syna. A trzy dni po tym, by uczestniczył w przyjęciu na cześć koronacji nowego faraona. W korytarzach rozlegały się śmiechy i muzyka; parady tancerzy i muzyków przemierzały je nieustannie to w jedną, to w drugą stronę przez cały wieczór. Był ranek, gdy Salomon wrócił i rzucił się na łóżko. Spał do zachodu słońca.

Nazajutrz przypadła Dzień Pojednania, w którym król musiał pościć i oczyścić się w ramach przygotowań do posługi świątynnej. Tłumy rozrosły się do nieprawdopodobnych rozmiarów. Dziwiłam się, że pielgrzymi nie pospadali nocami z dachów.

– Wybacz mi, pani – powiedział i ucałował mnie, nim odszedł.

Spacerowałam samotnie po jego ogrodzie. Spoglądałam na Jerozolimę, ale tylko tak, by nie było mnie widać z dołu. Obserwowałam zamieszanie na targu za

miastem i schronienia pielgrzymów w dolinie pomiędzy rynkiem a murami. Czarne namioty mojego obozu zostały zastąpione jaskrawymi mozaikami. Muzyka dobiegała z ulic i dachów, niemal zagłuszając śpiew lewitów, w który wsłuchiwałam się na początku pobytu w Izraelu. Teraz już tak do niego przywykłam, że ledwie zwracałam na niego uwagę. Może poza chwilami, gdy przebijał się przez gwar.

Potem grałam w seneta z Sharą i służką Naamy. W końcu przesunęłam pionek z Domu Szczęścia do Domu Wody.

Jakże ta gra przypominała królewski dwór! Za zamkniętymi drzwiami wazyły się losy narodów; zależały od rzutu kilkoma patykami. Lojalność podlegała miarom, a względy były okazywane w tajemnicy. Mrugnięcie okiem lub najlżejszy afront mogły sprawić, by jeden naród padł na kolana, a drugi został wyniesiony ponad inne!

Salomon wrócił do mnie w nocy. Ucałował moje dłonie i położył się u mego boku na sofie.

– Urzekłaś moje serce jednym spojrzeniem swych oczu, jedną perłą swego naszyjnika[17].

– Zrywaj swe lilie – odpowiedziałam, kiedy przyciągnął mnie do siebie.

Nie spytałam, dlaczego tak późno wracał z obiadów i przyjęć, które Tashere urządziła teraz pod byle pretekstem niemal co tydzień. Cóż bym osiągnęła? Dałam spokój dociekaniom. W szaleńczym pędzie przeżywaliśmy idyllę tych jesiennych dni. Spijaliśmy z siebie szczęście, jakbym ja była dzbanem słodkiej wody, a on amforą z winem. Naczynia te nie były pozbawione dna, doskonale zdawałam sobie z tego sprawę.

Noce zaczynały się wcześniej i robiły się coraz chłodniejsze.

– Chodź. Chcę ci coś pokazać – powiedział pewnego wieczoru, kiedy było już zbyt chłodno na przesiadywanie w ogrodzie, a na ulicach panował taki tłok, że nie śmielibyśmy wyjść. Był miesiąc tiszri. Za kilka dni miało rozpocząć się trzecie święto w tym okresie – Święto Szałasów.

– Cóż to?

Okrył mnie wełnianym płaszczem.

– Mój największy sekret.

Zniknął w pokoju na tyłach. Usłyszałam dźwięki otwieranego zamka i odchylania wieka skrzyni. Wrócił z pękiem kluczy.

Zaprowadził mnie do pomieszczeń znajdujących się głęboko pod pałacem. Trzymał pochodnię wysoko nad naszymi głowami. Z tych podziemnych komnat wielokrotnie wymykaliśmy się do tuneli pod murami Jerozolimy. Z pewnością nie miał zamiaru wyjść poza miasto; otaczająca je dolina była zasłana namiotami pielgrzymów.

Poprowadził mnie przejściem znajdującym się naprzeciwko skarbcza, za magazynem i piwnicami. Korytarz był zakończony nieoznaczonymi drzwiami. Zamkniętymi.

– Przez ten tunel mogę dostać się do świątyni – powiedział i wskazał na ziejący w ciemności otwór. Czy mi się zdawało, czy poczułam słabą woń kadzidła?

– By pojawiać się jak czarownik podczas obrzędów?

Zachichotał. Dźwięk ten rozbrzmiał echem w mrocznych podziemiach. Otuliłam się ciasniej płaszczem; panujący tu chłód był niemal porównywalny z tym na zewnątrz.

Otworzył wrota z pewną trudnością, przeklinając klucz, zamek, a wreszcie ślusarza, który je wykonał. Zaśmiałam się i przytrzymałam mu pochodnię.

– Spytałaś mnie kiedyś, co znajduje się w świątyni.

– Powiedziałaś, że nie możesz mi tego pokazać.

– Bo nie mogę. Ale mogę pokazać ci to.

Chwycił pochodnię i zaprowadził mnie do komnaty. Cienie spoglądały na nas ze ścian i tańczyły nad różnymi przedmiotami: lampami, złotymi kotłami, palnikami do kadzideł niemal równymi mi wysokością, a także posągami lwa – dokładną kopią złotych figur strzegących królewskiego tronu. Było tam jeszcze kilka skrzyń zdobionych kością słoniową. Drogocenne kamienie lśniły na bocznej ścia-

nie przysłoniętej czymś, co uznałam za bele tkanin owinięte w zakurzone płótna. Znów podał mi pochodnię. Podeszliśmy do zakrytego przedmiotu o dziwnym kształcie znajdującego się przy najdalej wysuniętej ścianie pomieszczenia, które okazało się zwyczajną jaskinią.

– Często pytasz mnie o bogów. O Jahwe, o Jego niewymawialne imię. – Chwycił za rogi wełniane nakrycie i ściągnął je powoli na ziemię.

Cofnęłam się z cichym westchnieniem.

Dwa złote cheruby o szeroko rozpostartych skrzydłach, niemal stykających się nad ich pochylonymi głowami, klękały na złotej skrzyni, której górną krawędź ozdobiono kunsztownym filigranem. Całość miała szerokość mniej więcej mojej arki. Podeszłam, by przyjrzeć się twarzom aniołów, wzorom na froncie, zwężanym nogom skrzyni.

– Z czego jest zrobiona?

W kącikach jego oczu pokazały się zmarszczki.

– Z drewna akacjowego.

Gwałtownie wypuściłam z płuc powietrze.

– Tak jak moja *markab*.

– My także zabieramy arkę na pola bitew.

Obok znajdowały się dwa długie drągi. Wiedziałam, że powinny pasować do skrzyni – dokładnie tak samo jak w moim palankinie.

– Czy nie powinna być w świątyni? – spytałam, wpatrując się w niego.

– Jest tam... i nie jest – odparł z tajemniczym uśmiechem. – W trakcie budowy świątyni kazałem wykonać sekretną kopię arki. Na wypadek, gdyby trzeba było ją chronić. Już kiedyś odebrali nam ją Filistyni – dodał cicho.

Przyjrzałam jej się ponownie. Tylko dzięki istnieniu jej odpowiednika w postaci mojej *markab* domyślałam się, jak wielkie miała znaczenie. Ale podczas gdy *markab* stanowiła symbol mojego urzędu i rządzącego plemienia, ta arka była tronem Jahwe i znakiem tożsamości ludu. Bóg i naród, w jednym miejscu kultu.

– Moja arka stanowi kopię tej utraconej po walkach mego dziadka. Skąd wiesz, że ta jest podrobiona?

Salomon również wpatrywał się w nią ponad moim ramieniem.

– Są niemal takie same. Różni je tylko jeden szczegół. Tutaj rzemieślnik popełnił błąd. – Pokazał mi lekkie odchylenie w złotym zdobieniu przy narożniku. – Ale nie kazałem mu tego poprawiać. Dzięki temu zawsze potrafię je odróżnić.

Palcami odnalazłam wskazane przez Salomona miejsce. Czy wzrok mnie mylił, czy król wzdrygnął się w chwili, gdy dotknęłam arki? Odsunęłam się nieco.

– Nie sposób dotknąć prawdziwej arki i ujsć z życiem – wyjaśnił. – Jesteśmy niegodni.

Wyprostowałam się szybko.

– Nikt jej nie dotyka? Jak więc jest przenoszona?

– Tylko lewicy, których śpiew właśnie słyszysz, mogą ją transportować.

– Czy inni kapłani nie czują zazdrości?

Pokręcił głową. Wydawał się skupiać wzrok na rozpostartych skrzydłach cherubów.

– Nie. Lękają się jej. Cały Izrael i wszyscy, którzy pojmują, czym jest arka, i znają jej historię, rozstępują się przed nią jak morze i nie mają śmiałości na nią spojrzeć.

– A zatem doskonale nadaje się na pole bitwy – powiedziałam z lekkim westchnieniem.

– Widziałaś właśnie największy z moich sekretów. Żadna z moich żon na niego nie spojrzała. I żadna nie spojrzy – powiedział, wpatrując się we mnie.

– Dziękuję ci – odpowiedziałam szczerze, nie tylko z powodu oczywistego wyróżnienia, lecz także dlatego, że jeszcze nigdy nie byłam tak blisko żadnego boga. Pojęłam, że gdybym została, nie mogłabym ujrzeć arki ponownie. Był to sekret, który nie mógł wyjść na jaw, zwłaszcza w granicach tego państwa.

Później, kiedy leżeliśmy przy świetle pojedynczej latarenki, był milczący. Odgłosy miasta ucichły. Słysząc było jedynie szczekanie psów, płacz niemowląt i szum przyciszonych rozmów prowadzonych na dachach domostw przez ludzi cierpiących na bezsenność.

– Jesteś bardzo spokojny – powiedziałam wreszcie.

– Chyba nigdy jeszcze nie miałem w sobie tyle spokoju i chaosu jednocześnie – wyszeptał. – Mojemu królestwu grozi upadek. Dzisiaj moi dwaj bracia wezwali mnie przed radę.

– Czego dotyczyły rozmowy?

– Północy. Ciebie. Tego, że Assyria rośnie w siłę, podczas gdy ja, ich zdaniem, słabnę. Braku deszczu. Księżyca i gwiazd. – Zaśmiał się łagodnie, choć przypominało to raczej westchnienie.

Zdałam sobie sprawę z tego, że właśnie był nów. Nie myślałam o tym aż do tej chwili. Od czasu naszego przyjazdu co miesiąc zza murów słysząc było bębny zapowiadające obrzędy ku czci Almaqaha. Pomyślałam o moim obozie, który znajdował się teraz w połowie drogi do portu nad Morzem Czerwonym. Miałam nadzieję usłyszeć jego gwar.

– Mówią, że tracę wiarę w mój lud i nie przestrzegam przymierza z Jahwe. – Zamknął oczy. Objęłam go ramieniem.

– Powiadają, że przez pierwsze lata byłem oczarowany Jahwe. Rozpalał mnie wtedy święty ogień. Prawie nie spałem, tak byłem natchniony, taką przyszłość widziałem dla tego królestwa, dla dziedzictwa mego ojca. Ale jeszcze większą ufność upatrywałem w Bogu, który powołał mnie na tron, jakby był moim ojcem w większym stopniu niż mąż mojej matki.

– Musisz zachowywać w pamięci to uczucie – powiedziałam. Ale wiedziałam, że poczucie obowiązku nie ma znaczenia dla tego króla, który rozkwitał na pierwszym etapie każdego zauroczenia. Ten człowiek wciąż pragnął, by tajemnica opuszczała świat. Nie zostało mu nic z dawnej głębi. Tylko doczesność.

– I mówi to kobieta, która ściga bogów. Jakże przywodzisz mi na myśl tamte dni. I pomyśleć, że po części wolałbym, by moje królestwo się rozpadło, niż miał-

bym je utracić. I ciebie.

Ja też tak myślałam.

Jakże dobrze udawaliśmy, że możemy wiecznie biegać po mieście, ogrodach i podziemnych tunelach! Czyniliśmy to z zapałem, jakiego nie okazywalibyśmy, gdyby nasz czas się nie kończył. Ale nie mogłabym zastąpić jego boga. Nawet ja wiedziałam, że Jahwe nie zgodziłby się na drugie miejsce.

Również z tego powodu musiałam wyjechać. Lecz kiedy mówiłam: „Wyjeżdżam za trzy tygodnie”, chciałam usłyszeć, że mi zabrania, że nie mogę jechać.

Nie chciałam jednak stać się jak Naama, na której lico z pewnością kiedyś wstępował rumieniec, a która teraz stała się poważna i błysk w jej oczach można było dostrzec tylko wtedy, gdy mówiło się o jej synu. Albo jak Tashere, z jej wystawnymi przyjęciami stanowiącymi w istocie wyraz rozpacz, pretekst, by przyciągnąć uwagę królewskiego męża choć na kilka godzin, ponieważ brak jego względów oznaczał dla niej utratę miejsca w świecie. Czym ja się od niej różniłam?

Kim byłam?

Córką, księżniczką, ofiarą, wygnaną, kochanką, królową, kapłanką... Każdą z nich w relacji do kogoś innego – póki osoba ta nie odeszła.

A Salomon, zachłanny król... Wiem i chyba zawsze wiedziałam, że nie byłabym w stanie go zadowolić. Nie w pełni. Ten człowiek tęsknił za pierwszym zauroczeniem swoim bogiem. Usiłował zastąpić tę tęsknotę konkubinami bogactwa, żon, układów.

Szłochał, a ja trzymałam go w objęciach, tego mężczyznę równie silnego jak cedry Libanu, które tak cenił... a jednocześnie kruchego jak jego słowa.

– Czasami wydaje mi się, że Bóg mnie opuści. Mojżesz ujrzał Jahwe, ale nigdy nie wszedł na Jego ziemię. A ja, który posiadam na tej ziemi wszystko, nie słyszałem głosu Jahwe od lat. A jeśli mnie nie opuścił, to jak długo będzie mieszkał w świątyni po moim odejściu? Mój prorok widział, że Izrael się rozpadnie. Co wtedy się z nami stanie?

Pokręcił głową jak ktoś, kto o wiele za długo zmagał się z pytaniami.

– Czyż nie jesteś przyjacielem swego boga podobnie jak twój ojciec? Czy go nie kochasz?

– A czymże jest miłość? – spytał bezradnie. – Umową? Poezją? Myślałem, że cię kocham, i próbowałem cię posiadać. Kocham cię teraz i pozwalam ci odejść. Ale nie jest mi z tym dobrze. Wiem tylko, że Bóg Abrahama i Izaaka zakochuje się w wybranych ludziach. Mój ojciec był jednym z nich. A moje królestwo będzie trwało dopóty, dopóki ja będę trwał w wierze. Nie mogę jednak go chronić i zwiększać jego bezpieczeństwa bez słuchania mego proroka. Może jest tak, jak mówisz: ścisnąłem go zbyt kurczowo. Może pochłaniam je, tak jak pochłonąłbym ciebie, i nie kocham go właściwie. Miałaś rację – zaszlochał – kiedy mówiłaś, że znalazłem się w pułapce!

Milczałam.

– Śpisz, moja pani? – zapytał łagodnie po chwili.

– Chcę ci coś powiedzieć – odrzekłam. – Pewnie mnie za to znienawidzisz. Ale powiem ci to, ponieważ czuję się do tego zobowiązana, choć w innym wypadku zachowałabym milczenie. Jest czas milczenia i czas mówienia. Pora na to drugie.

Uniósł głowę.

– Serce nomady coś mi podpowiada. Moje roszczenia do tronu były efektem prawa krwi – zarówno po matce, jak i po ojcu. Czysta sytuacja. Twoje dzieci pochodzą od obcych matek. Historie naszego życia do czegoś nas zobowiązują, sam tak mówiłeś. Bogami mej młodości były historie przekazywane przez przodków – o tym, by zachować czystość krwi. Ale twoja zostanie rozlana w dwóch kierunkach. Kiedy byliśmy na dziedzińcu świątyni, widziałam, jak woły symbolizujące plemiona rozstępują się, a zawartość kotła wylewa się na ziemię. – Wybałuszył oczy. – Te słowa to mój dar dla ciebie: wybierz następcę ostrożnie, jeśli chcesz zachować względy swego boga. Ponieważ nie dochowałeś wierności Jahwe o wiele bardziej niż swojej pierwszej żonie.

Zamknął oczy.

– A więc stracę wszystko.

– Za każdym razem, gdy zdawałam sobie sprawę z tego, że nie mam nic do stracenia, czułam się wolna. Jest czas zachowywania i czas odrzucania. Zawsze w tej kolejności. Ale jeśli nie jesteś w stanie... Jeżeli sprawa, której tak kurczowo się trzymasz, ma opętać cię aż do śmierci, pij swoje wino i pisz poezję. Ponieważ prawdopodobnie będzie to wszystko, co ci pozostanie.

Rwał sobie włosy z głowy.

– Jakże nie w porę słyszę te słowa! Nie dalej jak dziś Tashere zachęcała mnie, bym dla podtrzymania pokoju wziął sobie żonę z Egiptu. Siostrę Sziszaka.

Ależ oczywiście, że tak mu doradziła.

– Nie znam innej drogi, jak tylko uczynić to dla mego królestwa! Jakże mam cię posłuchać, skoro Libijczycy właściwie stoją u moich bram? A ty i ja – co z nami, skoro nie wiemy, czy jeszcze kiedykolwiek się zobaczymy? Jakże mamy żyć z wiedzą o tym, co utraciliśmy?

Nieznacznie pokręciłam głową. Tego nie wiedziałam. Serce już mi pękało.

– Ja mówię sobie, że do tej pory zawsze znajdował się sposób. Ale to kłamstwo. Nowa droga pojawiała się przede mną dopiero w chwili, gdy wyrzekałam się tego, co najbardziej ceniłam. I ty masz coś o wiele cenniejszego, nawet ode mnie.

– Nie mogę wyrzec się swego królestwa – powiedział z udręką.

– A zatem obawiam się, że je stracisz – odparłam łagodnie. – Sumeryjscy mędrcy mają słuszność, gdy mówią, że wszystko jest na próżno.

– Co mam uczynić? – zapłakał. Nie znałam odpowiedzi.

Objęłam go i płakałam z powodu nas obojga. Nigdy nie wiadomo, kiedy objawia się nam przyszłość. Tym razem jednak byłam przekonana, że proroctwo jest słuszne.

[17] Por. Pp 4,9; przyp. red.

Nazajutrz Salomon wstał na długo przed świtem.

– Dokąd idziesz? – spytałam, wciąż wyczerpana. Atmosfera melancholii, która spowiła komnatę, nadal w niej panowała.

– Wielu moich współplemieńców przybyło z północy, by spotkać się ze mną przed uroczystościami – wyjaśnił, ubierając się pośpiesznie. – Niepokoją ich nastroje w mieście. W niżej położonych dzielnicach dziś rano wybuchły zamieszki. A poza murami Jerozolimy kolejne.

Zerwałam się z łoża.

– Co takiego?!

Wcześniej spałam tak smacznie, że nawet nie usłyszałam, by ktoś wchodził.

Podszedł do mnie.

– Kocham cię. Kocham cię. Zaczekaj na mnie. – Ucałował moją głowę, oczy, usta. Po czym wyszedł.

Położyłam się ponownie i zasłoniłam dłonią oczy. Wsłuchiwałam się w odgłosy Jerozolimy, w której przebywało trzykrotnie więcej ludzi niż zwykle. Taki gwar o tej porze! Jak ja mogłam spać? Zza zamkniętych okien dobiegały psalmy i dźwięki muzyki. Wyobrażałam sobie wszechobecny zapach chleba wymieszany z odorem uryny, a także rynek ze zwierzętami.

Jeszcze tylko dziewięć dni, mówił król, a pielgrzymi opuszczą miasto.

Kolejne dziesięć dni później udam się do obozu, by zwrócić swą twarz na południe, w kierunku portów, a potem w stronę ojczyzny.

Tak niewiele cennych dni! Dlaczego minionej nocy byłam w tak opłakanym stanie i czułam się zmuszana do czegoś jak nigdy, nawet nad misą z krwią?

Dziś wieczorem będę opowiadać tylko piękne historie. O ogrodzie. I jutro. I

pojutrze. Każdego wspaniałego wieczoru, jaki pozostał do mojego wyjazdu.

Wstałam, ale po chwili znów usiadłam.

Jakże mam porzucić tego człowieka, dla którego zapomniałam, choć pewnie tylko na chwilę, o swoim królestwie?

Zamknęłam oczy i pogрузyłam się w samotności. Wcisnęłam twarz w prześcieradła. Pachniały Salomonem.

Miał słuszość, ten człowiek ogarnięty obsesją. Nie przybyłam tu po statki czy porty. Nie tak naprawdę.

Przekonywałam samą siebie, że zrobię wszystko, by tu powrócić – tym razem nie z karawaną, ale statkiem. Że pewnego dnia być może on przybędzie do Maribu i będzie spacerował po pałacu, jak niegdyś po moim apartamencie – wtedy, gdy po raz pierwszy chciał obejrzeć mój tron. Pewnego dnia, kiedy sytuacja w jego królestwie się ustabilizuje.

Tak. Będzie to ostatnia opowieść, którą usłyszysz ode mnie przed rozstaniem.

Wreszcie założyłam suknię i przeszłam na zdętwiałych nogach do zewnętrznej komnaty.

Sługa przyniósł dzban. Umyłam twarz. Obok stało naczynie z napojem miodowym, którego sobie nalałam. Wyszłam do ogrodu. Za bramami widziałam namioty pielgrzymów rozciągnięte w jaskrawym szeregu aż po horyzont. Nawet śmieci za miastem wydawały się palić bardziej żywiołowo niż kiedykolwiek. Uniosłam kielich do ust i wypiałam tylko odrobinę. Wiatr przyniósł mdlącą woń.

Dzień spędziłam w swoich komnatach. Spałam niespokojnie, odgłosy miasta docierały do mnie przez taras. Były tak donośne, że zawołałam Sharę, by pozamykała drzwi.

Śniły mi się dziwne rzeczy. Świątynia, na wczesnym etapie budowy, ledwie sterta kamieni. Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że to wcale nie świątynia w budowie, ale po upadku. Dostrzegłam, że krawędzie kamieni są naznaczone ogniem; część skał wapiennych zupełnie się spaliła. A pałac, który miałam za plecami, był wąty jak dzwonki; ich dźwięk, wysoki i metaliczny, rozbrzmiewał z oddali.

Obudziłam się chwilę później. Umierałam z pragnienia. Ktoś otworzył drzwi na taras i do środka wpadło powietrze pachnące deszczem. Chwilę później spadły pierwsze krople. Ich bębnienie przypominało tupanie niezliczonych stóp. Było niczym odgłosy wojska na ulicach. Ukołysało mnie znów do snu. Głowę miałam ciężką jak deszczowe chmury na niebie.

Zbudziło mnie mocne szarpnięcie. Ktoś wołał do mnie po imieniu.

– Spałaś przez cały dzień – mówiła Shara. – Źle się czujesz. Martwimy się, moja pani!

– Król...

– Jest z dowódcą straży. Wszędzie panuje zamęt, na ulicach toczą się walki.
– Wstałam, lecz pokój zaczął wirować. Zwymiotowałam do nocnika.

– Próbowałam posłać dwórkę Naamy po lekarza, ale za drzwiami są strażnicy, którzy nie schodzą ze swoich stanowisk i nie wypuszczają nikogo – płakała Shara. Podniosłam na nią wzrok. Nie rozumiałam, co się dzieje.

– Gdzie Yafush?

– W zewnętrznej komnacie. Nigdy wcześniej nie widziałam, by się modlił. Jakże martwimy się o ciebie, Bilkis! I o nas wszystkich.

Zmrużyłam oczy. Nagle skojarzyłam dzwonki ze snu ze szczękiem mieczy.

Zamknęłam oczy i zmusiłam ciężkie kończyny do ruchu.

– Ubierz mnie – zażądałam.

Z ulicy tuż pod pałacem dobiegał hałas. Nie były to jednak śpiewy pielgrzymów czy głosy pijaków, lecz krzyki – głośnie, przepełnione wściekłością. Znowu szczęk broni. Rozruchy w całym mieście.

Ruszyłam na niepewnych nogach w kierunku tarasu, ale Shara mnie odciągnęła. Uznała, że powinnyśmy usunąć się z widoku. Po chwili w zewnętrzną ścianę mojego apartamentu trafił pocisk, odbił się od niej i wylądował u mych stóp. Był to spory, nadpalony kamień.

Co najmniej dziesięciu strażników zastąpiło mi drogę.

– Zabierzcie mnie do króla – powiedziałam. Mojego strażnika nigdzie nie było widać.

– Pani – odezwał się jeden z nich. – Nie możesz wyjść.

– Cóż to, jakiś areszt? Poślijcie po niego albo pozwólcie mi przejść. W tej chwili!

– Nie ośmielę się tego zrobić. Dla twojego bezpieczeństwa. Z rozkazu króla.

– Czyż przed pałacem nie stoi cała jednostka straży?! – krzyknęłam mu w twarz. W tej samej chwili mnie zamroczyło.

Yafush ścisnął mnie za ramię.

– Nie ochronią cię przed tymi, którzy są w środku.

– Co masz na myśli?

– Zamordowano człowieka. W królewskim apartamencie znaleziono ciało sługi. Musisz tu zostać.

Otworzyłam usta, by powiedzieć, że byłam tam rano. Ale powstrzymał mnie strach.

– Jak umarł? – spytałam bardzo cicho. Na plecach poczułam dreszcz.

Gdzieś z pałacowego dziedzińca dobiegł huk, a potem usłyszeliśmy krzyki.

Byłam przerażona. Odwróciłam się do Yafusha. Palcami zasłoniłam usta.

Potem spałam jak odurzona przez cały dzień.

– Wydaje mi się... – wyszeptałam później – że ktoś próbował mnie zabić.

Pobladła Shara wpatrywała się we mnie. Ujęła moje dłonie.

– Co zjadłaś?! Co wypiałaś, czego dotykałaś?! – wołała.

Chciałam odpowiedzieć, ale komnatę spowił mrok. Zdołałam jedynie dostrzec Yafusha, który przepychał się przez strażę.

Umieram, pomyślałam.

Nigdy nie wiemy, kiedy widzimy kogoś po raz ostatni. Matkę, która mnie całowała. Maqara na polu bitwy. Przed oczami stanęło mi jego oblicze, wyraźne jak nigdy od tamtej chwili. Mrużył oczy w słońcu. Dlaczego nie ujęłam jego twarzy w dłoń tamtej ostatniej nocy w obozie?

Salomon pochylał się nade mną. Płakał.

Och, mój Salomonie!

Dlaczego nie czuwałam przez całą noc, nie utrwalalam w pamięci tych oczu? Czemu nie poszliśmy do miasta i nie zostawiliśmy za sobą swych królestw? Dlaczego nie wyszliśmy przez bramę, ramię w ramię, i nie uciekliśmy na zawsze?

– Bilkis.

Jakże cudownie było słyszeć, jak wypowiada moje imię!

– Moja pani. Bilkis!

Matka i Maqar zniknęli.

Ktoś uderzył mnie w policzek. Jakimś cudem otworzyłam oczy, by ujrzeć jedyną twarz, która mi pozostała: twarz Salomona.

Dźwięk szofaru z oddali. Ostre dudnienie, surowe dla ucha i przyprawiające o ból głowy. Krzyki dobiegające falami.

– Co powiedział medyk? – spytał Share.

– Że przetrwała dzień, a zatem przeżyje. Podał jej odtrutkę.

– Nie umrze? – pytał dalej.

– Nie, panie. Jest silna... – zawahała się – podobnie jak dziecko w jej łonie.

Król spojrział na nią zdumionym wzrokiem, po czym przyciągnął mnie mocno do siebie.

– Władca zrodzony z krwi nas obojga – szepnął mi do ucha z żarliwością. – To będzie syn. Syn, który będzie rządził i zjednoczy nasze królestwa. Będzie władcą, jakim ja nigdy nie byłem. – Głaskał mnie po włosach i policzku, kołysząc się w przód i w tył. – Jakże mam pozwolić ci odejść?

– Jeszcze nie czas – wyszeptałam. Nie. Jeszcze nie. Przed nami całe dni...

W drzwiach pojawiła się kolejna postać. Salomon podniósł głowę.

– Królu, droga wolna.

Pomógł mi wstać. Miałam wrażenie, że podłoga zaraz się zapadnie. Mocno chwycił mnie w ramiona. Potem biegł ze mną korytarzami. Strażnik cały czas spieszył przodem. Dostaliśmy się na niższe piętra pałacu. Dalej. W dół, do piwnic i podziemnych komnat. Byłam tu już kiedyś. Tam, zwykły tunel naprzeciwko skarbcza, prowadzący do nieoznakowanego pomieszczenia. Tym razem drzwi nie były zamknięte na klucz, ale stały otworem. W przejściu coś błyszczało.

Złota skrzynia, drągi ulokowane w odpowiednich miejscach, cherub, który zdawał się wzbijać w powietrze.

Nie byliśmy sami. Pod ścianą w przejściu stało mnóstwo postaci. Ich sylwetki oświetlała pojedyncza pochodnia. Ośmiu, nie – dziesięciu kapłanów. Widywałam już ludzi w takich strojach. Śpiewali w dniu, w którym odwiedziłam świątynny dziedziniec. Nie, to nie kapłani. To lewicy o szerokich barkach.

Ośmiu z nich otoczyło arkę, a dwóch stanęło u jej krańców przy drągach. Nachylili się i na dany znak dźwignęli skrzynię. Na ich twarzach odmalował się wysiłek. *Niczym boski palankin*, pomyślałam.

Rozglądałam się za Yafusem, cieniem w ciemności. I za Sharą o poblądłej twarzy.

Lewicy zniknęli w tunelu, a za nimi światło pochodni. Salomon pochwycił mnie jeszcze mocniej w ramiona. Weszliśmy w głąb wyciosanej skały.

Ciężkie odgłosy kroków. Echo szeptów.

Dokąd szliśmy?

– Yafushu... – odezwała się, a dźwięk ten wydał mi się zbyt cichy i zbyt głośny jednocześnie.

– Jest za nami, z królewską strażą – odpowiedziała mi Shara bez tchu.

Wilgotny chłód skał, strome zejścia. Raz Salomon się potknął, ale odzyskał równowagę i ruszył przed siebie.

– Pozwól mi iść samej – mówiłam z coraz większą trudnością. Moje ciało, wspomóżone lekarstwem, walczyło o siły.

– Nie możesz. Muszę to zrobić, by cię ocalić. Ciebie i naszego syna. Pozwól mi uratować choć jeden z narodów.

Przez głowę przemknęła mi myśl: *Dlaczego mężczyźni zawsze twierdzą, że to syn?*

Wydawało się, że wędrowaliśmy w ciemności przez całą wieczność. Dreszcze przebiegały mi po ciele jak krople spływające po kamieniach. Oddech króla, trzymającego mnie w stalowych objęciach, drażnił moje ucho. Pomyślałam, że słyszę, jak serce dziko wali mu w piersi. A może to było moje serce?

Shara upadła z płaczem. Westchnęła, gdy czyjeś ręce po raz kolejny pomogły jej wstać.

Zaczęliśmy wspinać się pod górę. Lewicy pochylali się nisko w coraz węższym przejściu. Król wykrzywił twarz z wysiłku. Na jego czole perlił się pot.

Rzeczywistość docierała do mnie powoli. Walczyłam z obezwładniającą mgłą, niezdolna do końca umknąć jej lepkiemu mackom.

Świątynia.

Wynurzyliśmy się w komnacie pełnej złotych kotłów i palników. Postacie zasłaniały światło i wyciągały do nas ręce ze wszystkich stron. Wilgotne echo tunelów wzmacniające dźwięk każdego oddechu niemal natychmiast zostało zastąpione przez odgłosy rozruchów w mieście.

Przemieściliśmy się z jednego z bocznych budynków na wewnętrzny dziedziniec. Przez bramę widziałam grupę konnych i piechurów zgromadzonych na ze-

wnętrz.

– Gotowi? – spytał król.

– Gotowi.

Rozejrzałam się w nagłym przypiływie paniki. Shara i Yafush nie wyszli z nami z tunelu.

– Poszli inną drogą z moimi ludźmi – oznajmił Salomon. – Są mniej rozpoznawalni. Spotkamy się z nimi na południe od miasta. Ale nie sposób przeprowadzić cię bezpiecznie przez dolinę. Zamieszki wybuchły nawet poza bramami.

Od kiedy miałam dwanaście lat, Yafush zawsze był przy mnie.

Czterech lewitów otoczyło arkę. Po chwili wahania unieśli wieko.

Salomon przycisnął mnie do siebie i przywarł policzkiem do mojej twarzy.

– Moja droga – szeptał. – Wkroczyłaś do Jerozolimy niczym słońce, w chwale. Nie opuścisz jej bez blasku złota. Cały Izrael padnie przed tobą na kolana. Cały Izrael zapamięta ten dzień. A jeśli nie on, to ja z pewnością. Na zawsze. – Pocałował mnie delikatnie. – Pani *markab* – wyszeptał. – Moja największa miłości.

Czymże jest miłość, jeśli nie bezinteresownym uczuciem?

Czymże jest miłość, jeśli nie danym uprzednio poświęceniem?

Czymże jest miłość...

Jeśli nie wolnością.

Chciałam wypowiedzieć te myśli na głos, kiedy układał mnie w skrzyni. Ale król ciągle całował mnie w usta. Kolana miałam podkurczone do piersi.

– Kocham cię o wschodzie słońca. Kocham cię w świetle księżyca. – Wykrzywił twarz. – Jakże mam pozwolić ci odejść, skoro wiem, że choć pragnę cię ocalić, możesz przekroczyć bramy żywota? Jakże mam powierzyć cię w ręce jakiegokolwiek boga?

– Poddaj się – powiedziałam. I tak też sama uczyniłam.

Pamiętam, jak odciągali go ode mnie. Świat pogrążył się w mroku.

Widziałam, jak rozstępują się niczym słynne morze. Opadali niczym deszcze spływające po dwóch zboczach góry.

Jakimś cudem ich widziałam.

Było ich tylu... Tak wielu zbrojnych pośród nich... Mieli nieodgadnione twarze, pełne niepokoju.

Umykali, rozpraszali się niczym liście pośród wichury.

Ale przecież wszystko jest dobrze, myślałam. Słońce wschodzi bez naszej pomocy. Po nim na niebie pojawia się księżyc. Jest jedna Siła każąca im wschodzić i zachodzić; jedna Siła, która je stworzyła.

Teraz to wiedziałam.

Koniec zagadek. Są jedynie ich pozostałości, niczym twarde pancerze szarańczy wciąż przylegające do łądyg.

Nagle skorupy opadły.

W tym moja.

Kim byłam?

Nie było już Bilkis, Makedy ani kapłanki. Nie było córki, księżniczki ani królowej. Kochanki ani niekochanej. Zostało tylko imię, które zawsze nosiłam, a którego zapomniałam. Imię, pod którym znał mnie Bóg, miano, którego nie sposób wymówić ni zapisać. To moje unicestwione „ja”. Naczynie, które jest pełne, ponieważ najpierw je opróżniono.

Tak. Wolność. Yafush miał rację.

Półksiężyc wznosił się nad słońcem. Czas i wieczność, w jednej chwili. Jakże piękny był świat. Niebiosa tańczyły nad nami.

Szukałam miłości. Mówiłam o niej, choć nie wiedziałam, że to rzecz niepojęta w obliczu Boga. I było to jedyne wybawienie.

Król był tam, kiedy uniesiono wieko i rozbudził mnie pierwszy podmuch chłodnego powietrza. To on wyciągnął mnie ze złotej skrzyni jak z zaciśniętego łona.

– Oddycha?! Jest martwa?! – krzyczał Yafush.

Nigdy nie słyszałam takiej rozpacz w jego głosie.

– Żyje! – zawołał król, biorąc mnie w ramiona.

Owszem. Bardziej niż myślał.

Ucałował mnie. Tysiącrotnie mnie ucałował. Jakże pragnęłam pocieszyć go tysiącem zapewnień, powiedzieć mu, że pamiętam wszystko, co mówiłam, podobnie jak zapamiętam wszystko, co mówił on, kiedy rozwiązywał moje zagadki, udzielając odpowiedzi, które wykraczały nawet poza jego pojęcie.

Jakże pragnęłam powiedzieć mu, że Jahwe o nim nie zapomniał.

Tak, to przede wszystkim.

Zamiast tego wypowiedziałam jedno słowo, to, które pojawiało się w mojej głowie, kiedy wpatrywałam się w jego oblicze – albo w oblicze Yafusha, Shary, innych mężczyzn i kobiet, znanych mi lub nie. Lekarstwo, które do tej pory nie miało szansy zadziałać, zawładnęło moim ciałem.

Zapomniałam powiedzieć, że musi zakończyć naszą opowieść. W jakiś sposób muszę zapamiętać, by mu to przekazać.

Piasek jak zwykle roztoczył w powietrzu mgiełkę. Powiadali, że gdy tylko dotarliśmy do najlepszego możliwego portu, wraz ze statkami nadciągnęła burza.

To nieprawda.

Dwa tygodnie zajęło nam szukanie odpowiedniego miejsca na wybrzeżu, by rozładować wielbłądy, wydobyć namioty i paszę na dalszą podróż lądem na południe, do Saby. A także najcenniejszy dobytek, skryty pod ciężkimi wełnianymi kocami. Dziwny, zdeformowany przedmiot niesiony na drągach przez lewitów, którzy towarzyszyli nam w drodze do statków. Również dwa tygodnie zajęło mi dojście do siebie i odtworzenie w pamięci wszystkiego, co zdarzyło się w ciągu tych godzin, kiedy stwarzałam pozory świadomości.

Powiadali, że byłam niespełna władz umysłowych, gdy wchodziłam na pokład. To też nieprawda. Odżyłam niedaleko za Jerozolimą i usłyszałam historię opowiadaną w obozie, jak to zostałam przemycona w biały dzień, a ludzie w mieście i poza nim w nabożnym lęku padali na kolana przed arką. Zamieszki natychmiast się skończyły. Hadad, jak twierdził król, zgromadził wojska przy granicy, by pokazać swoją potęgę. Król wyjechał mu więc naprzeciw wraz z siedzibą Jahwe, by nie dopuszczono się ataku podczas święta.

Nikt nie podawał króla w wątpliwość – nie w pobliżu arki! Nikt też nie pojechałby pod Edom sam. Choć właściwie tak się stało, ponieważ sama tylko obecność króla i arki skłoniła wojska do odwrotu dzień po tym, jak odbiliśmy od brzegu. Potwierdzili to moi ludzie, którzy ruszyli na południe drogą lądową.

Nie wierzono, że widziałam to wszystko. Jakże mogłabym, skoro tkwiłam zamknięta w skrzyni?

Ale pewien mądry człowiek powiedział kiedyś, że tylko głupiec broni się zaciekłe przed znaną sobie prawdą.

Lewici szli z fałszywą arką do samego Esjon-Geber, ale dotarłszy tam, już

nie powrócili. Rozgrzeszyłam ich z czystym sumieniem, prawdziwa arka była bowiem w świątyni. Ale oni odmówili powrotu. Twierdzili, że ich los leży w rękach Saby lub innych państw, do których zabiorą skrzynię.

Tam pożegnałam się z królem – u bram jego portu, pośród robotników i dziobów nieukończonych jeszcze statków.

– Musisz zabrać tę arkę ze sobą do Saby – powiedział Salomon.

– Ależ my nie potrzebujemy już fortelu. Twój ludzie zauważą, jeśli jej nie zwrócisz.

– Podaruj mi *markab* wraz z okryciem. Pozwól mi zachować tę część ciebie, podczas gdy ty zaopiekujesz się symbolem mego Boga, który cię wybrał. Będzie to o wiele doskonalsza wymiana niż jakiegokolwiek przyrzeczenie, które moglibyśmy złożyć. Przyłóż mnie jak pieczęć do twego serca[18]. Pewnego dnia, gdy nasz syn dorośnie, pošlesz go na północ, bym mógł go ujrzeć. Obiecuj mi to. Będę oglądał w nim nas oboje, aż do dnia, gdy zbudzę się ze snu i znów ujrzę przed sobą twoje oblicze.

Chwycił moje dłonie i ucałował je ze łzami w oczach.

– Pamiętaj o mnie w słońcu. Pamiętaj o mnie w świetle księżyca. Pozdrów ode mnie naszego syna... – Głos mu się załamał. – I mów dobrze... o niemądrym królu.

W tej ostatniej chwili był dla mnie bardziej ujmujący niż podczas tysięcy wcześniejszych spotkań. Przywarliśmy do siebie, po czym się rozdzieliliśmy. Stałam na dziobie statku i zapisywałam w pamięci królewskie oblicze, aż Salomon zniknął mi z pola widzenia.

Podczas tygodni na morzu Shara często pytała mnie, czy dobrze się czuję. Przytakiwałam, choć do tej pory nie wiedziałam, że można żyć z wyrwaną połową serca. Później z wdzięcznością odwiedzałam namioty tych, którzy wyszli nam na spotkanie w drodze na południe. Do Maribu, do pałacu.

Wahabil przywitał mnie z radością. Ze zdumieniem patrzył na mój pęczniący brzuch. Wreszcie będzie miał dziedzica, na którego tak czekał. I nigdy się nie dowie, że to jego imię zostało zapisane na zwojach spoczywających przez cały ten

czas w trzech świątyniach.

– A gdzie jest *markab*? – spytał mnie na osobności w komnacie audiencyjnej.

– W Izraelu – odpowiedziałam. – W pałacu królewskim.

– Zastąpiłaś ją inną arką – stwierdził.

– Wymieniłam naród za Boga.

Trzy miesiące później z północy nadciągnęła w chmurze piasku gromada ludzi. Ale kiedy wyszliśmy im na spotkanie, nie było pośród nich Asma. Jak powiedzieli mi jego akolici, wyszedł z obozu w pobliżu morza i już nie wrócił. Miałam tylko nadzieję, że w końcu doświadczył długo wyczekiwanej wizji.

Przyjęłam Tamrina w pałacu. Dostarczył dary i konie wysłane do obozu przed uroczystościami. Miał podkrążone oczy. Wiedziałam, jak bardzo jest już niepokojny, choć obiecał, że wiosną przybędzie ponownie.

– Król powiedział, że nigdy nie będziesz mogła bezpiecznie wrócić – wyznał mi na osobności. Wiedziałam, że on także kochał Salomona na swój sposób. – Nie, jeśli odkryją, co wzięłaś ze sobą na przechowanie.

Założyłam, że chodzi mu o dziecko w moim łonie.

Zaczęły się wiosenne deszcze, a pola pokryły się zielenią. Lewici nie czuli się dobrze w mojej stolicy, w której zdecydowanie zbyt wiele mówiło się o Almagahu. Tamtej jesieni posłałam ich więc z ładunkiem przez wodę do Puntu. Nie pojmowałam tego oddania złotej skrzyni, ale w dniu, w którym ujrzałam, jak wynosili ją z pałacu, po raz pierwszy zauważyłam, że drągi były krótsze, niż zapamiętałam to podczas wieczornej wizyty w ukrytym pokoju...

Życzyłam im bezpiecznej podróży w imię Jahwe i spokojnie wróciłam do pałacu.

By wychować syna. I naród.

[18] Pp 8,6; przyp. red.

Epilog

Statki przyplłynęły. Co trzy lata, jak zwykle. Jedna flota popłynęła na południe, do Puntu. Druga na wschód, to sabejskiego portu w Aden. Okręty są majestatyczne, ale nie tak jak karawany, których wyglądałam przez te wszystkie lata. Choć i te nie wydają się już takie same od czasu śmierci Tamrina na szlaku kadzidlany, który tak bardzo ukochał. Często żywię nadzieję, że odnalazł swój cel – gdzieś w tej podróży.

Z dumą oświadczyłam kapitanowi, że to pierwszy rok, w którym flotę powita Menelik. Pierwszy raz jako król.

Kapitan chciał wiedzieć, czy tęsknię za tronem, z którego abdykowałam. Odpowiedziałam, że nie. W Puncie jest o wiele spokojniej, chyba że komuś przeszkadzają koncerty cykad. Yafush, który ostatnio częściej siada, niż stoi u mego boku, przyznał mi rację.

Spytałam, czy kapitan przywiózł coś dla mnie.

Tak, miał zwój, jak zwykle. Ale kiedy to mówił, westchnął.

Powiedział, że król odszedł do swoich przodków. To jego ostatni list.

Palce mi się trzęsły. Chciałam być sama.

Kiedy wyszedł, przycisnęłam zwój do piersi, po czym złamałam pieczęć. Kiedy czytałam ostatnią pieśń, do oczu napłynęły mi łzy. Ale nie były to łzy smutku.

Pamiętał o ogrodzie.

Wreszcie zakończył opowieść.

*Przyłóż mnie jak pieczęć do twego serca,
jak sprzączkę do swego ramienia!*

*Jak śmierć mocna jest bowiem miłość
Wielkie wody nie zdołają ugasić miłości,
ani rzeki jej nie zatopią*[19].

Uchodź spiesznie.

[19] Pp 8,6–7; przyp. tłum.

Posłowie

Zjednoczone królestwo Salomona rozpadło się podczas panowania jego następcy, Roboama. Zostało podzielone pomiędzy dziesięć plemion Izraela na północy i dwa plemiona Judy na południu. Jeroboam powrócił z Egiptu i wzniecił rebelię plemion północnych po tym, jak Roboam nie tylko odmówił zmniejszenia obciążeń publicznych, lecz także dziesięciokrotnie je powiększył. Jeroboam prawdopodobnie władał Izraelem przez dwadzieścia dwa lata, a Roboam Judą przez siedemnaście lat. Przez cały okres rządów władcy ci pozostawali w stanie wojny.

Faraon Sziszak (Szeszonk I, założyciel XXII dynastii libijskiej) najechał Judę w piątym roku panowania Roboama. Zajął wiele miast, w tym Megiddo, a także odzyskał Gezer. Relief w świątyni Amona w Karnaku przedstawia Szeszonka I niosącego *skarby Przybytku Jahwe oraz królewskiego pałacu* wraz ze złotymi zbrojami Salomona. Sama Jerozolima nie została wymieniona na liście podbitych miast, za to jako o jedynej wspomniano o niej w relacji biblijnej. Badacze przypuszczają, że Roboam powstrzymał zburzenie Jerozolimy, oddając faraonowi skarby świątynne.

Arka Przymierza prawdopodobnie przetrwała najazd Szeszonka (król Jozjasz zwrócił ją świątyni, o czym można przeczytać w Drugiej Księdze Kronik 35,1–6 – to jedna z dwóch wzmianek o niej po okresie rządów Salomona), ale znikła z Pisma i historii mniej więcej w czasie zdobycia Jerozolimy przez Babilończyków w 587 r. przed Chr., kiedy to Nabuchodonozor II doszczętnie spalił świątynię i zrównał Jerozolimę z ziemią. Arka nie została jednak wymieniona na liście zniszczeń, którą możemy znaleźć w Drugiej Księdze Królów, choć pojawiły się na niej tak niewielkie przedmioty jak naczynia. Nie wymieniono jej także pośród dobytku zwróconego Jerozolimie przez króla Cyrusa (Księga Ezdrasza).

Menelik I, syn królowej Bilkis i króla Salomona, według legendy został pierwszym królem z dynastii salomońskiej w Etiopii. Jego potomkowie rządili przez prawie trzy tysiące lat, aż do 1974 r., kiedy to odebrano władzę cesarzowi Hajle Sellasje.

Nota od autorki

Po całych tonach rozpraw naukowych, które musiałam zgłębić, by napisać *Judasza*, naiwnie sądziłam, że rekonstrukcja postaci królowej Saby na podstawie spisanych fragmentów historycznych będzie łatwiejsza. W rzeczywistości wydobycie z nich informacji na temat legendarnej władczyni okazało się nową przygodą kosztującą mnie rwanie włosów z głowy – choć z całkiem innych powodów.

Królowa Saby pojawia się w Biblii, Koranie i dziele *Kebrā Nagast. Chwała królów*, w którym opisano ponad siedemsetletnią historię pochodzenia dynastii salomńskiej panującej w Etiopii, drogę tego kraju od wierzeń w bogów słońca, księżyca i gwiazd do wiary w Boga Izraela, a także rzekome pojawienie się Arki Przymierza w Etiopii. Uważa się, że dzieła te mają u podstaw relacje ich zwolenników. Wszystkie trzy opowiadają o legendarnej podróży królowej do kraju Salomona. Ale na tym podobieństwa się kończą.

Żydom i chrześcijanom królowa Saby jawi się jako bezimienna starotestamentowa władczyni południowego kraju słynącego z kadzideł, która przybyła do Salomona, wioząc cztery i pół tony złota, uznała jego potęgę i pobłogosławiła jego Boga – ta sama królowa, którą Jezus w Nowym Testamencie ogłosił sędzią potępiającego Go pokolenia Izraela. Muzułmanie uważają, że arabska królowa Bilkis wyruszyła, by złożyć hołd królowi Izraela, i nawróciła się na wiarę w Allaha. Etiopczycy nazywają ją Makedą i uznają za kobietę, którą Salomon zwabił do swego łoża. Ich zdaniem, królowa nawróciła się na wiarę w Jahwe i została matką dynastii królów panujących prawie trzy tysiące lat.

O królowej Saby wspominał także historyk Józef Flawiusz. Nazywał ją *Nikaule, królową Egiptu i Etiopii*, pomimo że według większości kronik w czasach Salomona Egiptem nie rządziła królowa. W księgach apokryficznych władczynię Saby wymieniono jako jedną z przedstawicielek linii genealogicznej władczyń, ale odkrycia archeologiczne nie potwierdzają tego, by w południowej Arabii rządziły królowe.

Co tak naprawdę wiemy o tej władczyni z X w. przed Chr.? Odpowiedź jest

krótka: bardzo niewiele. Dla zwolenników relacji biblijnych i koranicznych oraz legendy etiopskiej jej życie to fakt, historycy zaś podają jej istnienie w wątpliwość.

Królestwo Saby leżało nad Morzem Czerwonym i obejmowało tereny od dzisiejszego Jemenu po Etiopię. Sabejczycy z całą pewnością istnieli; w ruinach ich świątyń, miejscach tam na rzekach oraz miast przez dekady prowadzono wykopiska i badania. Sabejskie pisma pojawiają się zarówno w Jemenie, jak i w starożytnym D'mt, wieki później przekształconym prawdopodobnie w królestwo Aksum.

Autentyczność szlaku kadzidlanego również nie ulega wątpliwości. Autorzy tekstów nowoasyryjskich wskazują, że handel między południową Arabią a terenami leżącymi nad środkowym Eufratem funkcjonował już na początku IX w. przed Chr., a wymiana między południową Arabią a krajami Lewantu rozpoczęła się prawdopodobnie tysiąc lat wcześniej. Zdaniem badaczy, sedno relacji z Pierwszej Księgi Królów (10,1–13) spisano najprawdopodobniej ok. X w. przed Chr. Fragmenty sabejskiej inskrypcji w brązie datowanej na ok. 600 r. przed Chr. przedstawiają wszechobecne w sztuce sabejskiej głowy koziorożców, a także dokumentują handel pomiędzy południową Arabią a *miastami Judy*.

Kuszące znaleziska prowadzą do Salomona i królowej Saby. W 2012 r. zespół archeologów z północnej Etiopii odkrył mierzącą ok. 6 metrów stelę, na której widniały słońce i półksiężyc oraz fragmenty sabejskiej inskrypcji. Znaleziono także kolumny ze świątyni boga księżyca znajdującej się w pobliżu szybu starożytnej kopalni złota. Dalej na północ kopalnie miedzi w Edomie dowodzą zorganizowanej aktywności w X w. przed Chr., zakłóconej najazdem Szeszonka I.

Mimo to stwierdzenie, że odkrycia archeologiczne dotyczące królowej Saby – i w tym wypadku również Salomona – są skąpe, jest i tak stwierdzeniem na wyrost. Znaleziska związane w sposób szczególny z tą parą władców czekają jeszcze na swój czas.

W 1980 r. Muzeum Narodowe w Izraelu odkupiło od anonimowego kolekcjonera liczącą trzy tysiące lat rzeźbę granatu wykonaną z kości hipopotama. Nie wielka ozdoba z otworem prawdopodobnie miała wieńczyć berło kapłana. Zdobiająca ją inskrypcja głosi: *Własność Świątyni Pana (Jahwe), świętość kapłanów*, co narzeczcie potwierdzałoby istnienie pierwszej świątyni wzniesionej przez Salomona.

W 2004 r. uznano jednak tę inskrypcję za fałszerstwo, a sama ozdoba jest datowana na okres sprzed pierwszej świątyni.

Według Koranu, królowa czciła słońce. Shams, bogini solarna, była znana i czczona w starożytnym Jemenie wraz z zastępem innych bogów, których kult różnił się w zależności od miejsca zamieszkania wyznawców. W ocalałych tekstach powszechnie występuje bóg Almaqah. Ślady jego kultu można odnaleźć również w zdobionych wizerunkami koziorożców świątyniach rozsianych po całym obszarze dawnej Saby. Badacze nie są jednak zgodni co do tego, czy Almaqah był bóstwem lunarnym, czy solarnym.

O królu Salomonie, który według większości kronik panował ok. 970–930 r. przed Chr., wiemy o wiele więcej niż o królowej Saby. W każdej z trzech głównych relacji został on przedstawiony nieco inaczej. W Biblii zaprezentowano go jako niezwykle mądrego władcę, któremu jednak nie udaje się przestrzegać przykazań Jahwe – choć to On obdarzył go pożądaną wiedzą oraz, dodatkowo, bogactwami i potęgą. W Koranie król mówi językiem zwierząt, nawet owadów, dowiaduje się o królowej Saby od ciekawskiego dudka oraz nakazuje dżinom, by przyniosły mu tron władczyni przed jej przyjazdem. Ponadto legenda arabska głosi, że Salomon zmusił królową do odsłonięcia stóp w basenie znajdującym się w sali tronowej.

W dziele *Kebrā Nagast. Chwała królów* przebiegły Salomon posuwa się do podstępu i wabi królową do swojego łóża. Później oddaje Arkę Przymierza judejskiemu strażnikowi honorowemu, którego wysyła wraz z Menelikiem do domu po wizycie w Izraelu. Według tradycji ustnej, Salomon zamierzał posłać jedynie kopię arki, by Menelik mógł czcić Jahwe w dalekiej krainie. Ale Menelik, zaniepokojony słabnącą wiarą Salomona, rozkazuje strażnikowi przemycić prawdziwą arkę, a na jej miejscu zostawia fałszywą. Dziś wielu Felaszów (tzw. Czarnych Żydów) z Etiopii uważa się za potomków izraelskich wojsk Menelika (inni deklarują, że wywodzą się od członków starożytnego plemienia Dan).

Choć dowody na istnienie królewskiego miasta w pobliżu jerozolimskiego Wzgórza Świątynnego oraz różnych budynków datowanych na czasy Salomona potwierdzają biblijne odniesienia do jego projektów, wielu badaczy uważa opowieści o bogactwie i potędze króla za przesadzone.

W taki oto sposób docieramy do mistycznego trzeciego bohatera tekstu: arki.

Idea arki jako sztandaru bojowego nie ogranicza się do Izraela. *Markab* służyła podobnym celom w czasie wojny, choć z tego co mi wiadomo, nigdy nie przydawano jej duchowej potęgi właściwej izraelskiej Arce Przymierza – istnej broni masowego rażenia. Złote skrzynie zawierające święte przedmioty pojawiają się w całej historii starożytnej (taką skrzynię, noszoną w procesjach, w 1922 r. odkryto w atmosferze sensacji w grobowcu Tutenchamona; wymiary skrzyni w kształcie pylonu były jednak inne niż Arki Przymierza, a poza tym na „arce” Tutenchamona spoczywa rzeźbiony Anubis).

Losy Arki Przymierza stały się tematem niezliczonych badań, podań, teorii spiskowych i... produkcji hollywoodzkich. Domniemywano, że jest ona przechowywana w Izraelu, Egipcie, Arabii, Irlandii, we Francji, a nawet w Stanach Zjednoczonych – tak przynajmniej twierdzili ludzie pokroju Indiany Jonesa.

W rzeczywistości arkę zabrał Nabuchodonozor II podczas najazdu na Jerozolimę w 587 r. przed Chr. Nie wymieniono jej jednak pośród skradzionych ze świątyni dóbr w Drugiej Księdze Królów (25,13–15) ani w Księdze Jeremiasza (52,17–22), gdzie wyszczególniono świątynny dobytek od kolumn i kotła z brązu po łopatki, naczynia i narzędzia do przycinania knotów. Jedynie w apokryficznej Czwartej Księdze Ezdrasza (10,19–22) zamieszczono wzmiankę o grabieży arki, ale księgę tę prawdopodobnie spisano dopiero między 90 a 100 r. po Chr. w odpowiedzi na inwazję Rzymu. To nie do pomyślenia, by Jeremiasz, „płaczący prorok”, mógł w swoich lamentacjach nie opłakiwać takiej kradzieży. Arka nie pojawia się również wśród przedmiotów zwróconych Izraelowi przez Cyrusa (Księga Ezdrasza).

Według Drugiej Księgi Machabejskiej, przed najazdem Jeremiasz ukrył arkę w jaskini na górze Nebo na wschód od Jerozolimy i miał nie ujawnić dokładnego miejsca, *aż Bóg zgromadzi lud*. W publikacji *Arka Przymierza odnaleziona*[20] Tudor Parfitt przyjmuje, że później przeniesiono ją z Izraela do Jemenu.

Ze względu na cel tej książki najbardziej interesująca wydała mi się tradycja dotycząca arki i jej repliki w Etiopii. W każdej świątyni Etiopskiego Kościoła Ortodoksyjnego znajduje się *tabot* – kamienna płyta symbolizująca fragment arki lub replika całości. Bez *tabotu* świątyni nie uznaje się za konsekrowaną. Wyznawcy

Etiopskiego Kościoła Ortodoksyjnego utrzymują też, że są w posiadaniu oryginału. Spytaj jedyne go strażnika arki – bezimiennego mnicha, który całe życie poświęcił dochowaniu tajemnicy świętej relikwii – w kaplicy Tablic w Aksum, a on potwierdzi, że arka znajduje się pod jego opieką. Jedynym minusem jest to, że tylko on może ją oglądać.

Kiedy analizowałam tradycję dotyczącą kopii arki, moją uwagę przykuła zwłaszcza jedna teoria „spiskowa” – idea zasadzająca się na obserwacji długości drążków w opisie wnoszenia arki do świątyni (Druga Księga Kronik 5,9). Według Pierwszej Księgi Królów (8,9) i Drugiej Księgi Kronik (5,10), w arce nie było nic oprócz dwóch Mojżeszowych tablic; nie ma mowy o dzbanie z manną czy kwitnącej lasce Aarona. Teoria ta głosi, że fałszywą arkę ze znacznie dłuższymi drążkami umieszczono w świątyni, prawdziwą zaś ukryto, rzekomo dla bezpieczeństwa.

Inni uważają, że arka nadal znajduje się w Jerozolimie, a odpowiedzi na wszystkie pytania poznamy po dokładniejszych wykopaliskach, które jednak nie nastąpią szybko, jeśli wziąć pod uwagę maksymalną ostrożność, jaką współcześnie trzeba zachować w okolicach Kopuły na Skale. Projekt Temple Mount Sifting Project, związany z przeszukiwaniem gruzu wywiezionego po (kontrowersyjnych) pracach prowadzonych na terenie Wzgórza Świątynnego w latach 1996–1999, mających wspomóc budowę meczetu Al-Marwani, do tej pory zaowocował jednak imponującymi odkryciami (a przeszukano dopiero dwadzieścia procent gruzu). Przebieg prac można śledzić na stronie: **Błąd! Nieprawidłowy odsyłacz typu hiperłącze..**

Pod Jerozolimą znajduje się mnóstwo tuneli, w tym ten, dzięki któremu Dawid zdobył niegdyś miasto (prawdopodobnie odkryty w 2008 r. przez dr Eilat Mazar), a także system korytarzy przylegający do Ściany Wschodniej. Pod Wzgórzem Świątynnym z pewnością jest o wiele więcej ukrytych przejść.

Trochę uwag dodatkowych:

1. Z pewnością popełniłam kulturowy grzech, eliminując alef (‘) i inne zapisy z rzeczowników w dawnym języku sabejskim, by oszczędzić czytelnikom (i so-

bie) takich imion jak Ammī'amar, Ma'dīkarib, dhāt-Ba'dyān.

2. Zaprojektowane przez Bilkis naczynie z wizerunkami koziorożców oraz napisami *Nieustraszony* i *Lekkomyślny* jest fikcyjne. Za to posążek Astarte z woskowymi zatyczkami w piersiach ma odniesienie do datowanej na VII w. przed Chr. figurki bogini odkrytej w Tutugi w Hiszpanii, o tych samych „cudownych” właściwościach. Manipulacje wykorzystujące religie były znane w starożytnym świecie.

3. Wreszcie, choć Salomon i królowa Saby muszą jeszcze zaistnieć w odkryciach archeologicznych, są oni tak żywi, jakby ich pałace wciąż stały na swoich miejscach – dla Etiopczyków, uważających królową Saby za nieodłączną część swojej tożsamości narodowej, a także dla chrześcijan, żydów, muzułmanów, dla których autentyczność zjednoczonego królestwa Dawida i Salomona tworzy podwaliny pod rozwój historii ich wiary.

Jeśli chodzi o mnie, uważam, że nie potrzebujemy artefaktów, by wiedzieć co nieco o każdym z monarchów: ich wątpliwości, słabostki, krzywdy, radości, zwycięstwa i straty nie są niczym wyjątkowym. W istocie są dokładnie takie same jak nasze... tyle że otaczało je więcej złota.

[20] Wydawnictwo Amber 2008; przyp. tłum.

Dodatkowe źródła

Queen of Sheba: Treasures From Ancient Yemen, red. St. John Simpson, Trustees of the British Museum 2002.

Nicholas Clapp, *Sheba: Through the Desert in Search of the Legendary Queen*, Nicholas Clapp 2001.

Klaus Schippmann, *Ancient South Arabia: From the Queen of Sheba to the Advent of Islam*, Markus Wiener Publishers 2001.

Jean-François Breton, *Arabia Felix: From the Time of the Queen of Sheba*, University of Notre Dame Press 1999.

Robert G. Hoyland, *Arabia and the Arabs: From the Bronze Age to the Coming of Islam*, Routledge 2001.

Barbara Black Koltuv, *Solomon & Sheba: Inner Marriage and Individuation*, Nicolas-Hays, Inc. 1993.

Wilfred Thesiger, *Arabian Sands*, Penguin, 2007.

Dla zainteresowanych:

David Rohl, *From Eden to Exile: The Epic History of the People of the Bible*, Arrow Books 2003.

Graham Hancock, *Znak i pieczęć: na tropie zaginionej Arki Przymierza*, Prima 1999.

Podziękowania

Każda książka to podróż tysiąca podziękowań i niesamowitych ludzi – tych, którzy planują trasę, towarzyszą nam i przychodzą z pomocą, prowadzą i dodają otuchy... a potem w cudowny sposób czynią to na nowo.

Dziękuję moim czytelnikom za nieustrudzone dusze, słowa otuchy, anegdotki na temat bekonu, a także za kibicowanie podczas moich pisarskich maratonów. Każda książka jest dla was.

Dziękuję moim zwiadowcom: Danowi Rainesowi i Meredith Smith z Creative Trust, którzy (nie sposób tego nie zauważyć) wzdrygają się na moje kolejne nie-dorzeczne pomysły, a także Jeanie Kaserman, która tak subtelnie poprawia wydruki, że śladów tego nie da się dojrzeć gołym okiem.

Mojej redaktorce prowadzącej Becky Nesbitt, a także redaktorce pomocniczej Amandzie Demastus, które wydobyły piękno z burzy pierwszych szkiców. Jonathanowi Merkhowi, Robowi Birkheadowi, Brandi Lewis, Jennifer Smith, Bonnie MacIsaac, Chrisowi Longowi, Bruce'owi Gore'owi i całemu zespołowi wydawnictwa dziękuję za wybitne umiejętności.

Dziękuję Cindy Conger, która pomaga mi utrzymać dobry kierunek i przytomność umysłu. Markowi Dahmke'owi, który wspomógł mnie w analizach starożytnego nieba. Meredith Efken, która ślęczała ze mną na pierwszym etapie pisania przy tacos. Stephenowi Paroliniemu, który towarzyszył mi przy tworzeniu pierwszego szkicu, sypiąc jak z rękawa odniesieniami do *Gwiazdnych wojen* – twoje poczucie humoru powstrzymuje mnie przed znieawidzeniem cię za twój geniusz.

Dziękuję specjalistom: wykładowcy Starego Testamentu z Dallas Baptist University dr. Joemu Catheyowi, którego nigdy nie męczy mnóstwo moich dziwacznych pytań. Wykładowcy historii na Univeristy of Northern Iowa dr. Roberto-wi L. Dise'owi Jr., pastorowi Jeffowi Scheichowi oraz mojemu nowemu koledze Jonowi Culverowi – dziękuję wam za dzielenie się swoim doświadczeniem, wiedzą i czasem.

Dziękuję członkom rodziny, tym rodzonym i adoptowanym, za to, że podczas długich okresów milczenia nie pomyśleli, że umarłam, i nie rozdali wszystkich moich rzeczy. Dziękuję przyjaciółom: nigdy nie zwrócili mi uwagi, że od kilku dni mam na sobie to samo ubranie. Julie, że od trzydziestu lat chodzi ze mną na wagar, Bryanowi, Wynter, Kayli, Gage'owi i Kole'owi za zasianie w moim sercu ziarna miłości.

Największe podziękowania należą się Bogu, który, jak zwykłam mawiać, ukazuje mi wielkie dzieła, choć ostatnimi czasy głównie doprowadza mnie do szaleństwa niespodziewanymi wydarzeniami. Nauczyłam się, by nie mówić „jestem gotowa”. Bo nigdy nie jestem.

Tosca Lee

Tytuł oryginału: *The Legend of Sheba: Rise of a Queen*

Projekt okładki: Adam Piasek

Zdjęcia: fotografia na froncie – Lorado (iStock), fotografia autorki – archiwum prywatne

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Cytaty z Pisma Świętego za: Biblia Poznańska (Poznań 2010)

© 2014 by Tosca Lee

Howard Books a Division of Simon & Schuster, Inc.

© for the Polish edition by Święty Wojciech Dom Medialny sp. z o.o., Poznań 2016

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone. Licencjonowane dzieło opublikowane na mocy przyznanej licencji.

ISBN 978-83-8065-056-5

Wydawca:

Święty Wojciech Dom Medialny sp. z o.o.

Wydawnictwo

ul. Chartowo 5, 61–245 Poznań

tel. 61 659 37 13

wydawnictwo@swietywojciech.pl

Zamówienia:

Dział Sprzedaży i Logistyki

ul. Chartowo 5, 61–245 Poznań

tel. 61 659 37 57 (–58, –59), faks 61 659 37 51

sprzedaz@swietywojciech.pl • sklep@mojeksiazki.pl

www.swietywojciech.pl • www.mojeksiazki.pl

Konwersja do e-wydania: Wydawnictwo Święty Wojciech

